



BEVERLY
BARTON

Gra o śmierć



Prolog

Intensywny blask oslepił ją. Nie widziała nic poza jaskrawym światłem, które zasnuło mrokiem wszystko w zasięgu wzroku. Szkoda, że nie może wyłączyć reflektorów samochodu.

Judd nie lubił, kiedy pokazywała mieszkania wieczorami, a ona zwykle robiła to, co chciał. Jednak dopiero zaczynała karierę w handlu nieruchomościami i gdyby udało jej się sprzedać Farrisom dom wart pół miliona dolarów, prowizja wystarczyłaby na umeblowanie dzieciennego pokoju. Nie była w ciąży. Jeszcze nie. A Judda stać było na wyposażenie dzieciennego pokoju we wszystko, co najlepsze. Ale Jennifer chciała, żeby dziecko było darem dla wspianatego męża, a pokój dziecienny - podarunkiem od niej dla ich dziecka.

Unosząc dłoń, żeby osłonić oczy przed światłami, zrobiła kilka kroków w stronę samochodu Johna i Katherine Farrisów, przedsiębiorczych małżonków, którzy zamierzali założyć nową firmę w Chattanooga. Wcześniej rozmawiała przez telefon tylko z Johnem Farrisem i wywnioskowała, że podobnie jak jej mąż, lubi mieć poczucie, że to on nosi spodnie w związku. Jennifer - choć uważała się za kobietę w każdym calu nowoczesną - uwielbiała staromodną opiekuńczość i zaborczość Judda.

John Farris zaparkował czarnego mercedesa i wysiadł. Jennifer podała mu rękę. Ujął jej dłoń i uśmiechnął się serdecznie.

- Dobry wieczór, panie Farris. - Rozejrzała się dookoła za panią Farris.

- Przepraszam, ale Katherine w ostatniej chwili coś wypadło i trochę się spóźni. Niedługo powinna do nas dojechać.

Kiedy zmierzył ją spojrzeniem szaroniebieskich oczu, przeszedł ją dreszcz i poczuła dziwny niepokój, od którego ścisnęło ją w żołądku. Nie bądź głupia, powiedziała do siebie. Wiedziała, że podoba się

mężczyznom. Nie była temu winna, niczym ich nie prowokowała. Była piękna, i tyle; po przystojnych rodzicach odziedziczyła wspaniałe geny.

Westchnęła. Tytuł królowej piękności czasem bywa przekleństwem.

- Może woli pan, żebyśmy poczekali na żonę? W międzyczasie odpowiem panu na ewentualne pytania. Wszystkie informacje mam w aktówce w samochodzie.

Pokręcił głową.

- Nie będziemy czekać. Chciałbym się rozejrzeć. Jeśli mnie się nie spodoba, Katherine nie będzie zainteresowana.

- Ach, rozumiem.

Zachichotał.

- Ale nie we wszystkim mi ulega. Staramy się zadowolić siebie nawzajem. To chyba dobry przepis na udane małżeństwo, prawda?

- Tak mi się wydaje. W każdym razie Judd i ja tak właśnie staramy się żyć. Niedawno się pobraliśmy i usiłujemy przebrnąć przez pierwszy rok małżeństwa. - Skinęła głową w stronę głównego wejścia do okazałego domu z drewna i szkła. - Proszę za mną.

- Z rozkoszą pójdę za panią.

Jego odpowiedź przyprawiła ją o kolejny dreszcz, ale szła dalej w stronę schodów, tłumacząc sobie, że nie pierwszy raz musi stawić czoło niechcianym zalotom. Umiała wybrnąć z niezręcznych sytuacji. Na wszelki wypadek w torebce miała sprej, a w kieszeni zakietu bezpiecznie spoczywał telefon komórkowy.

Otworzyła drzwi i włączyła światło w przestronnym holu.

- Dom został zbudowany w 1975 roku i należał do architekta, który go zaprojektował.

- Ile ma pokoi? - spytał Farris.

- Dziesięć - odparła. - Proszę wejść. - Zachęciła go gestem.

Wszedł, rozejrzał się po holu, po czym zerknął w górę na salon i na prawo przez otwarte drzwi jadalni.

- Idealny do przyjmowania gości - ocenił.

- O, tak. Kuchnia jest prawdziwym dziełem sztuki. Obecny właściciel cztery lata temu całkowicie ją przebudował i odnowił.

- Chciałbym rzucić na nią okiem - powiedział Farris. - W naszej rodzinie to ja jestem kucharzem. Katherine nie potrafi nawet zagotować wody.

Jennifer poczuła się nieco swobodniej. Poprowadziła go przez hol i jadalnię do kuchni urządzonej w marynarskim stylu.

- Ta kuchnia strasznie mi się podoba. Nie jestem wielką kucharką, ale chodziłam na kurs gotowania, żeby zrobić niespodziankę mężowi.

- Szczęściarz.

Jennifer zorientowała się, że Farris znalazł się za jej plecami. Chciała odwrócić się do niego, ale nagle chwycił ją i zakrył jej twarz cuchnącą szmatą.

Nie. Nie... nie, to nie dzieje się naprawdę.

Była nieprzytomna kilka minut czy kilka godzin? Nie wiedziała. Kiedy się ocknęła, siedziała oparta o ścianę. Nogi miała związane, a ręce rozłożone nad głową i przymocowane sznurem do uchwytych drzwi dwóch otwartych szafek.

Lekko zdezorientowana, zamrugała kilka razy, wzięła głęboki oddech i rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając oprawcy. John Farris pochylał się nad nią z dziwnym uśmiechem na twarzy.

- Witaj, piękna- powiedział. - Zastanawiałem się, jak długo będziesz spać. Odpłynęłaś na prawie piętnaście minut.

- Dlaczego? - spytała chrapliwym szeptem.

- Dlaczego co?

- Dlaczego pan chce to zrobić?

- A niby co chcę zrobić?

- Zgwałcić mnie. - Głos jej drżał.

Proszę, Boże, nie pozwól, żeby mnie zabił.

Roześmiał się cicho.

- Za kogo ty mnie masz? Nigdy się nie narzucam kobiecie, która mnie nie chce.

- Proszę, niech mnie pan puści. Cokolwiek... -jęknęła, kiedy spostrzegła, że Farris trzyma coś lśniącego w prawej dłoni.

Tasak do mięsa!

Przeżazona, poczuła, że oblewa się potem. W uszach dudniło jej przyspieszone bicie serca.

Farris opuścił lewą rękę i chwycił ją za długie ciemne włosy.

- Gdybyś była blondynką albo rudą...

Jennifer z trudem przełknęła ślinę. Zabije mnie. Zabije mnie tym tasakiem. Poćwiartuje na drobne kawałeczki...

Znowu jęknęła.

Och, Judd, dlaczego cię nie posłuchałam? Dlaczego przyjechałam tu sama wieczorem?

- Boisz się? - spytał John Farris.
- Tak.
- I słusznie - oznajmił.
- Pan ma zamiar mnie zabić, prawda?

Roześmiał się znowu. Jeszcze ciszej i jeszcze bardziej złowieszczo.

- Proszę... Proszę... - łkała. Łzy spływały jej po policzkach.

Podszedł bliżej, uniósł tasak i opuścił na jej prawy nadgarstek.

Trysnęła krew i odrąbana dłoń potoczyła się po podłodze.

Ból. Nieopisany ból.

Farris zamierzył się ponownie i jednym ciosem odciął lewą dłoń.

Jennifer straciła przytomność.

RRS

Rozdział 1

Są rzeczy o wiele gorsze niż śmierć. Judd Walker aż za dobrze znał męczarnię istnienia, kiedy nie jest się ani martwym, ani tak naprawdę żywym. Ostatnie trzy lata, osiem miesięcy i dwa dni przeżył bez Jennifer. Na początku ból był nie do zniesienia. Przy życiu trzymała go tylko wściekłość, która pozwalała mu we mgle cierpienia przetrwać każdy kolejny dzień. Później, kilka miesięcy po pogrzebie Jenny, mgła uniosła się i wyraźnie zobaczył cel swojego życia - odnaleźć i zniszczyć zabójcę żony.

W głębi duszy nadal kochał Jennifer. Poza tym nikłym, ledwie tłącym się płomykiem czuł jedynie błogosławione otępienie. Wypaliła się nawet wściekłość. Obojętny na wszystkich i wszystko, myślał tylko o zemście.

Klęknął przy zaśnieżonym grobie. Nie lubił tu przychodzić, starał się nawet nie zbliżać do cmentarza, ale po prostu musiał być przy Jenny w dzień ich rocznicy. Czternasty lutego. Walentynki. Jennifer była niepoprawną romantyczką - i chociaż u innych kobiet nie lubił tej cechy, u kobiety, którą kochał, wydała mu się urzekająca.

Kobieta, którą kochał...

Wyciągnął rękę i powiódł drżącą dłońią po literach wygrawerowanych na nagrobku żony. Została pochowana tutaj, na prywatnym cmentarzu Walkerów w Hamilton County, obok jego rodziców, starszego brata, który zmarł jako niemowlę, i wielu znamienitych przodków, którzy zapisali się w historii południowo-wschodniego Tennessee.

Podobnie jak wcześniej jego ojciec, Judd należał do kawalerów cieszących się największym powodzeniem w stanie. Świetna partia. Były prokurator okręgu Chattanooga, znany z tego, że naprawdę troszczył się o dobro mieszkańców. Jako jedyne żyjące dziecko rodziców, z których każde odziedziczyło nieprzyzwoity wręcz majątek, wzrastał w dobrobycie i cieszył się przywilejami. Ale nie wystarczało mu, że jest synem

sędziego Judsona Walkera IV i wnukiem senatora Nathaniela Chisholma. Chciał czegoś więcej. I oczekiwano od niego czegoś więcej. Wpojono mu przekonanie, że powinien być dobrym człowiekiem, który żyje po to, by pomagać bliźnim.

- Dlaczego właśnie ty, Jenny? Dlaczego to musiało być ty? - Zadrżał z zimna, przed którym nie chroniły go dzinsy, przemoczone na kolanach od śniegu, i stara skórzana kurtka, którą przesywały podmuchy lodowatego wiatru. W pamięci wciąż miał obraz Jennifer. Pięknej. Tętniącej energią. Szczęśliwej.

Na Boga, powinien teraz płakać, rozpaczać, szaleć. A przynajmniej czuć tęsknotę i smutek.

Nie czuł nic.

Nie uronił ani jednej łzy.

Wstał z kłęczek i po raz ostatni spojrzął na grób żony. Nie przyjdzie tu więcej, nawet w ich następną rocznicę. Nie ma sensu udawać żałoby, skoro została w nim tylko pustka po tym, co kiedyś było gorącym uczuciem.

- Nie zasłużyłaś na to, Jenny. - Głos Judda zlewał się z wyciem zimowego wiatru. - Choćbym miał poświęcić na to resztę życia, obiecuje, że go dopadnę i zapłaci za to, co ci zrobił.

Przeszedł wąską ścieżką do bramy z kutego żelaza i przez chwilę wpatrywał się w ciemne niebo. Zamrugał, kiedy na jego twarz opadły płatki szybko topniejącego śniegu. Wilgoć wtapiała się w zarost, zmierzwione włosy i szwy skórzanej kurtki. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi starego mercedesa, który kiedyś należał do jego ojca. Obejrzał się przez ramię i wziął głęboki oddech.

- Wszystkiego najlepszego, Jenny.

Usiadł za kierownicą, włożył kluczyk do stacyjki, odpalił silnik i odjechał.

Griffin Powell przyjął zaproszenie Jillian i Gila Russellów tylko z powodu ponętnej rudowłosej Laury Barrett. Laura przyjaźniła się z Jillian od czasów studenckich w Vanderbilt, a Griff nawiązał z nią romans, kiedy kilka miesięcy temu zainwestował w podupadającą stadninę jej ojca. Nie miała zbyt ciekawej osobowości, lecz jako kochanka przejawiała spory talent. Na początku mogła przypuszczać, że ich związek zakończy się małżeństwem, ale Griff szybko wyprowadził ją z błędu. Oboje mieli świadomość, że to kres ich romansu.

Laura mocniej ścisnęła Griffa za rękę.

- Po prostu musisz kogoś poznać.
- Kogo? - zainteresował się.
- Royce'a Palmera. - Laura niemal przeciągnęła Griffa przez zatłoczony salon.

- A kto to jest Royce Palmer?
- Mój były narzeczony.
- Aha.
- Nie jesteś ani trochę zazdrosny?

Zanim Griff zdążył obmyślić dyplomatyczną odpowiedź, drogę zastąpił im Henry Lewis. Położył Griffowi na ramieniu kościstą dłoń i powiedział:

- Widzę, że ciągle wrywasz najładniejsze dziewczyny.

Griff uśmiechnął się, mimo że męska dłoń na ramieniu wprawiała go w lekkie zakłopotanie. Hank, obecnie wykładowca na politechnice, wydawał mu się jakiś dziwny już za czasów studenckich. Nie przyjaźnili się, ale wpadali na siebie przy różnych okazjach, bo obaj należeli do stowarzyszenia absolwentów i obracali się w tych samych kręgach towarzyskich. Różniło ich jedynie to, że Hank był bogaty od urodzenia. Griff zdobył majątek, wylewając krew, pot i łzy.

- Lauro, pozwól, że ci przedstawię Hanka Lewisa. - Spojrzał na tyczkowatego, lekko łysiejącego mężczyznę. - A może wolisz, żebym cię przedstawił jako profesora Henry'ego Lewisa?

Hank zdjął rękę z ramienia Griffa i ujawszy dłoń Laury, wyrecytował coś, co prawdopodobnie uważał za dowcipną ripostę.

Griff zaczął leniwie przemierzać wzrokiem przestronny salon Russellów. Sama śmietanka towarzyska Knoxville i kilkoro gości zamiejscowych. Dostrzegł projektanta wewnątrz, Marka Crosby'ego. Uniósł rękę i mu pomachał. Mark był najlepszy w całym stanie i właśnie dlatego Judd zatrudnił go, żeby zaprojektował mu zarówno biuro, jak i dom.

Co to za facet rozmawia z Markiem? Wydawał się znajomy, ale Griff nie mógł sobie przypomnieć, skąd go zna.

- Kto stoi z Markiem? - spytał, przerywając prowadzącą donikąd pogawędkę Laury z Hankiem.

Laura spojrzała na Griffa z wdzięcznością.

- To Cary Maygarden z Nashville. Poznaliśmy go na balu sylwestrowym u Fentonów w Atlancie. Nie pamiętasz?

- Zajmuje się muzyką country? - wtrącił Hank.

- A skąd - roześmiała się Laura. - Maygardenowie to jedna z najstarszych, najbogatszych i cieszących się największym prestiżem rodzin w Nashville. Prapradziadek Cary'ego żył w czasach Andrew Jacksona.

Griff prychnął.

- Wybacz nam, Hank. - Laura pociągnęła go za rękę. - Przed wyjściem musimy się przywitać ze starym przyjacielem.

- To my wychodzimy? - Griff uśmiechnął się szeroko. Nic nie sprawiłoby mu większej radości.

- Oczywiście. Za kilka dni wracam do Louisville, więc dziś wieczorem przynajmniej przez chwilę chcę cię mieć tylko dla siebie.

Hank, wyraźnie zmieszany, postanowił się ulotnić.

- Bardzo dosadnie - podsumował Griff, kiedy zniknął im z oczu.

- Co masz na myśli?

- Powiedziałas staremu Hankowi, że masz zamiar zabawić się ze mną dziś wieczorem.

- Bo mam - odparła z szelmowskim uśmiechem. - Nazywajmy rzeczy po imieniu.

- To znaczy?

- Pożegnalne bzykanko.

Trzeba przyznać, że wie, jak osiągnąć cel, pomyślał Griff. Położył dłoń na jej plecach i pozwolił, żeby powoli zsunęła się niżej i zatrzymała tuż powyżej talii. Laura chciała coś powiedzieć, ale chwycił ją za łokieć i lekko pchnął w stronę jej byłego narzeczonego.

Zanim znaleźli się przed Royce'em Palmerem, Griff pochylił się i wyszeptał jej do ucha:

- Sądzę, że pożegnalne bzykanko powinno być pamiętne.

Laura, zupełnie jakby go nie usłyszała, podała rękę mężczyźnie, z którym kiedyś była zaręczona.

- Royce, kochanie, jak miło cię widzieć. - Odwróciła się do Griffa. - Skarbie, to Royce Palmer, mój stary przyjaciel. - Znów spojrzała na Royce'a. - Znasz Griffina Powella, prawda? Tego Griffa Powella, legendę drużyny uniwersyteckiej, jedną z najlepszych partii w stanie Tennessee.

Tuż po trzeciej nad ranem Pinkie zdjął smoking i odwiesił do szafy, a diamentowe spinki z mankietów białej koszuli włożył do szkatułki na biżuterię. Wyszedł z przyjęcia dość wcześnie, bo okropnie się nudził.

Nie cierpiał nudy, ale człowiek z jego pozycją musiał pojawiać się na niektórych tego typu imprezach. Wypadało.

Zdjął buty i resztę garderoby i sięgnął do szuflady po jedwabną piżamę. Pogładził luksusową tkaninę. Kupował tylko to, co najlepsze.

W piżamie, skórzanych kapciach i pikowanym jedwabnym szlafroku zszedł na dół do gabinetu. Nalał sobie małego drinka, podszedł do ściany z półkami na książki, wyjął jeden tom, wcisnął przycisk na ścianie i czekał, aż otworzy się ukryte pomieszczenie. Właśnie sekretne pokoje najbardziej kochał w tym starym domu. Jeden znajdował się między gabinetem a frontową werandą, drugi w piwnicy. Do piwnicy schodził rzadko, tylko gdy chciał osobiście wybrać butelkę wina. Wolał mały, przytulny pokój na górze.

Tam czuł się jak w innym świecie, królestwie rozkoszy, które stworzył dla siebie cztery i pół roku temu. Włączył światło i pokój zalała łagodna, miękka jasność. Pinkie szedł wolno wzdłuż ściany, przypatrując się fotografiom wiszącym jedna przy drugiej. Trzydzieści dwa zdjęcia szesnastu kobiet, wszystkich wyjątkowej urody. Przystanął przed najnowszym nabytkiem w kolekcji - Gale Ann Cain, „przed” i „po”. Fotografię „przed” wykonano przed laty, kiedy Gale Ann została Miss Stanów Zjednoczonych i kandydatką w wyborach Miss Universe. Zdjęcie „po” zrobił swoim małym aparatem cyfrowym chwilę po tym, jak ją zabił, niecałe czterdzieści osiem godzin temu.

- Dziękuję ci, mój piękny kwiatusku - powiedział. - Byłaś warta dwadzieścia punktów.

Po miesiącach poszukiwań wybrał Gale Ann z powodu jej płomieniorudych włosów. Rude były najrzadsze i dlatego więcej warte niż blondynki czy brunetki.

Dotknął swojego dzieła opuszkami palców i przesunął je od włosów do smukłych kostek kobiety.

W głowie Pinkiego pobrzmiwało echo jej krzyków.

Pierwsze zabójstwo było najtrudniejsze, bo nie cierpiał krzyku. Ale z każdym następnym szło mu coraz łatwiej, aż w końcu krzyki zaczęły sprawiać mu przyjemność.

- Zabójca królowych piękności znów zaatakował.

Zaledwie Sanders to powiedział, Lindsay McAllister wyskoczyła z łóżka i podbiegła boso do otwartych drzwi sypialni, w których stał. Osobisty asystent Griffina Powella obudził ją przed chwilą głośnym pukaniem.

- Powiadomiłeś szefa? - spytała. Griff prawdopodobnie spędził noc ze swoją nową przyjaciółką, rozwódką z Kentucky, która przebywała

w Knoxville z wizytą przyjaciółki ze stowarzyszenia studenckiego. Zeszłej jesieni Powell zainwestował w chwiejny interes hodowlany jej ojca. Lindsay od dawna podejrzewała, że szef ma kompleks rycerza na białym koniu. Zawsze z największą przyjemnością spieszył na ratunek potrzebującym.

- Tak - odparł Sanders. - Już jedzie. Niedługo powinien tu być.
- Daj mi piętnaście minut. Wezmę prysznic i się ubiorę.

Sanders energicznie skinął głową. Lindsay nie pierwszy raz zauważyła, że zachowuje się jak wojskowy. Chociaż pracowała z nim już trzy i pół roku, nie wiedziała zupełnie nic o jego przeszłości, ale podejrzewała, że kiedyś był żołnierzem. Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat, był średniego wzrostu i potężnej postury. Jego gładko ogolona głowa przypominała kulę bilardową, a cały sprawiał wrażenie umięśnionego hydrantu przeciwpożarowego. Ale największą uwagę przykuwały jego oczy - tak ciemnobrązowe, że wydawały się czarne. W hipnotycznym spojrzeniu widać było pustkę, która nieustannie wprawiała Lindsay w zakłopotanie.

- Jak zejdziesz na dół, będzie na ciebie czekać kawa. - Sanders odwrócił się do drzwi.

- Kto, gdzie i jak! - krzyknęła za nim.

Sanders przystanął, cały czas zwrócony tyłem do niej.

- Gale Ann Cain. Williamstown, Kentucky. Odrąbał jej obie stopy.
- Była tancerką - powiedziała Lindsay bardziej do siebie niż do Sandersa. Zabójca, którego Agencja Powella tropiła od niemal czterech lat, mordował swoje ofiary na różne sposoby - zależnie od tego, jakim talentem popisywała się dana królowa piękności w konkursie.

Sanders lekko wyprostował plecy.

- Taniec liryczny. Jest byłą miss.
- Chciałeś powiedzieć, że była - poprawiła go Lindsay.
- Nie, chciałem powiedzieć, że jest. Pani Cain żyje.
- Co?!
- Nie wykrwawiła się na śmierć, bo zdążyła znaleźć ją siostra.
- Mój Boże! Wiesz, co to znaczy?

Sanders skinął głową i wyszedł.

Serce Lindsay zaczęło bić szybciej. Po ponad trzech i pół roku poszukiwań piekielnie sprytnego zabójcy wreszcie znaleźli się w punkcie zwrotnym. Skoro ofiara wciąż żyje...

Lindsay przymknęła oczy i pomodliła się w duchu za nieznaną kobietę pozbawioną obu stóp przez mężczyznę, dla którego morderstwo stanowiło wynaturzoną zabawę.

Zamknęła drzwi sypialni i poszła do łazienki, po drodze zdejmując pomarańczową bawełnianą koszulkę Volsa i białe koronkowe figi.

Kiedy przeniosła się z Chattanooga do Knox County, żeby podjąć pracę w Prywatnej Agencji Detektywistyczno-Ochroniarskiej, przystała na propozycję Griffina Powella i zamieszkała w jego dwudziestopokojowej rezydencji, położonej na pięćdziesięciohektarowej działce przy jeziorze Douglasa, u podnóża gór Great Smoky. Zamierzała zostać tam tylko do czasu, aż znajdzie sobie mieszkanie, ale pobyt, który miał trwać miesiąc, przeciągnął się na ponad trzy lata.

Lindsay odkręciła prysznic, położyła dwa ręczniki na macie przed wyłożoną kafelkami kabiną, weszła pod strumień ciepłej wody i energicznie wtarła szampon we włosy.

Niektórzy uważali, że skoro nie tylko pracuje z Powellem, ale też jako jedyna z agentów mieszka w jego posiadłości, jest kochanką szefa. Mylili się.

Poza pragnieniem rozwikłania zagadki morderstw królowych piękności łączyła ich tylko przyjaźń. Griffin zaczął odgrywać w życiu Lindsay rolę troskliwego starszego brata.

Wyszła spod prysznica, wytarła ręcznikiem krótkie kręcone włosy i szybko wykonała poranną toaletę. Należała do kobiet, które przedstawiały na minimum. Krótkie włosy, krótkie paznokcie, odrobina różu na policzkach, jasny błyszczący do ust, dezodorant o świeżym, lnianym zapachu. Ubierała się tak, żeby było jej wygodnie - w spodnie, koszule i żakiety w neutralnych odcieniach. Jedyną biżuterią, jaką nosiła, były wkręcane kolczyki z diamentami, prezent gwiazdkowy od Griffa.

Ubrała się pośpiesznie i zbiegła tylnymi schodami do przestronnej kuchni. Za granitowym blatem stał Sanders z dzbankiem kawy w potężnej dłoni. W korytarzu prowadzącym z sieni pojawił się Griffin Powell w rozpiętym płaszczu, spod którego widać było pogniecioną białą koszulkę i smoking. Wytarł oblepione śniegiem wyjściowe półbuty w beżową wycieraczkę.

Lindsay przystanąła na najniższym stopniu i przeniosła wzrok z Sandersa na szefa. Rozumieli się bez słów. Oboje pomyśleli o tym samym: jak zareaguje Judd?

- Chcesz, żebym do niego zadzwoniła?
- Griff pokręcił głową.
- Już próbowałem. Oba numery, domowy i na komórkę, są nieaktualne.

Lindsay westchnęła.

- Wcale mnie to nie dziwi.

- Mnie też nie. - Griff strząsnął śnieg z krótkich blond włosów, a później zdjął płaszcz i rzucił na najbliższe krzesło. - Kiedy widziałem go ostatnio, wyglądał jak jakiś stuknięty pustelnik.

- Spróbujesz jeszcze raz się z nim skontaktować czy...?

- A może byś tam podjechała i zobaczyła, co u niego słychać? - zaproponował. - Jeśli całkiem nie zwariował, powiedz mu, co się stało, zostań z nim i postaraj się utrzymać go w pionie.

Myśl o tym, że znów zobaczy Judda po... - ile to już minęło? pół roku? - wprawiła Lindsay w zakłopotanie. Kiedy zabójca królowych piękności zaatakował trzy miesiące temu, krótko przed Świętem Dziękczynienia, błagała szefa, żeby nie kazał jej pracować z Walkerem. Griff, znając ich przeszłość, zgodził się. Wątpiła, czy teraz też ustąpi, ale postanowiła spróbować.

- Wolałabym nie spotykać się Juddem - zaczęła.

Sanders odkasznął.

- Czy ktoś ma ochotę na śniadanie?

- Nie - oboje odpowiedzieli jednocześnie.

Sanders odstawił dzbanek z kawą na gorącą podstawkę i bez słowa wyszedł z kuchni.

- Nie możesz unikać go w nieskończoność - powiedziała Griff. - Uwolniłaś się od Judda Walkera sześć miesięcy temu. Spotykasz się z tym napalonym młodym lekarzem, więc pomyślałem, że wreszcie uporałaś się ze swoimi demonami.

- Jeszcze nie pozbyłam się moich demonów - odparła. Podeszła do ekspresu, wzięła dzbanek z płytki i nalała kawy do dwóch kubków, które Sanders postawił na blacie.

Griff sięgnął po jeden kubek, łyknął gorącego napoju i wbił wzrok w Lindsay.

- Judd był jednym z moich najlepszych przyjaciół - powiedział. - Gdybym uważał, że można go uratować, poruszyłbym niebo i ziemię, żeby to zrobić. Ale nie da się uratować kogoś, kto tego nie chce. Judd zabnął już za daleko. On nie chce ratunku. Ani spokoju. Pragnie tylko zemsty.

- Więc po co każesz mi tam jechać, skoro twierdzisz, że nie można mu pomóc?

- Może żadne z nas nie jest w stanie pomóc Juddowi, ale jesteśmy jedynymi ludźmi, których on w ogóle obchodzi. Bez względu na wszystko

powinniśmy przejść z nim przez to do końca. To nasz obowiązek. - Zawałał się na moment. - I jedyny sposób na to, żebyś się w końcu uwolniła.

W Lindsay odezwały się uczucia, które tak bardzo starała się ukrywać, odkąd zrozumiała, że nie zdoła ich zdusić.

- A jeżeli będzie chciał zobaczyć Gale Ann Cain?
- Jeszcze dziś będę w Williamstown - odparł Griff. - Poinformuj cię o stanie pani Cain. Jeśli Judd będzie chciał zobaczyć, nie powstrzymuj go. Złapcie najbliższy samolot do Kentucky i prosto z lotniska przewieź go do szpitala.

Rozdział 2

Gęsty deszcz był znacznie gorszy od śniegu, który padał zeszłej nocy. Wycieraczki dwuletniego terenowego chevroleta Lindsay poruszały się z najwyższą prędkością, a mimo to ledwie dawały sobie radę z ulwą. Dziewczyna była w połowie drogi między domem Griffa w Knox County a starą leśniczówką w Marion County, która od kilku pokoleń należała do rodziny Walkerów. Wyjechała o wpół do dziesiątej, gdy tylko podwoziła szefa na prywatne lądowisko, gdzie trzymał swój samolot. Przy dobrej pogodzie pokonałaby tę trasę w nieco ponad dwie godziny, ale dziś widoczność była praktycznie zerowa, więc będzie dobrze, jeśli dotrze do celu w trzy godziny.

Griff nalegał, aby pojechała do Judda, chociaż doskonale wiedział, że obawiała się tego spotkania. Znała szefa na tyle, by zdawać sobie sprawę, że niczego nie robi bez powodu.

Co kierowało nim tym razem? - zastanawiała się.

Może uznał, że jeśli nieudany atak zabójcy królowych piękności nie wyrwie Judda z marazmu, to nie pomoże mu już nic. Po raz pierwszy ofierze udało się przeżyć, co może oznaczać przełom w śledztwie. O ile Gale Ann Cain opisze mordercę...

O ile...

A jeżeli nie będzie w stanie zidentyfikować szaleńca, który odrąbał jej stopy? Albo nigdy nie wybudzi się ze śpiączki? Albo umrze? Czy mają prawo dawać Juddowi nadzieję, pozwalając mu wierzyć, że rzeczywiście wpadli na trop mordercy jego żony?

Wycieraczki poruszały się miarowo przy wtórze dudniących kropli deszczu. Lindsay pokonywała kolejne kilometry autostrady, wspominając pierwszą sprawę, którą prowadziła jako świeżo upieczony detektyw wydziału zabójstw policji w Chattanooga. Pracowała z porucznikiem Danem Blakiem, który był partnerem jej ojca dziesięć lat wcześniej, gdy zastrzelił go uciekający przestępca. Dan czuwał nad Lindsay, chcąc ją uchronić przed podobnym losem. Tamtego wieczora dostali wezwanie krótko przed północą.

W domu Walkerów zastali mundurowych funkcjonariuszy - Marshalla i Landersa, którzy pierwsi dotarli na miejsce.

- Telefonował szef pani Walker, właściciel firmy Archer & Hert - wyjaśnił Sanders. - Pan Walker martwił się, że żona długo nie wraca, i nie mógł dodzwonić się do niej na komórkę, więc zadzwonił do jej szefa. Gdy panu Archerowi również nie udało się skontaktować z panią Walker przez telefon komórkowy, podjechał do domu, który pokazywała, i zastał... - Landers z trudem przełknął ślinę. - Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego i mam nadzieję, że nigdy...

- Aż tak źle. - Dan minął Landersa i wszedł do przestronnego domu z lat siedemdziesiątych. Lindsay ruszyła za nim.

W holu Marshall rozmawiał cicho z niskim siwym mężczyzną, który wyglądał, jakby niedawno płakał.

Słyszac, że drzwi się otwierają, odwrócił się twarzą do Dana.

- Poruczniku, to pan Archer. To on znalazł ciało pani Walker. - Policjant wskazał głową miejsce. - Tam, w kuchni.

- To najobrzydliwsza rzecz jaką w życiu widziałem. - Głos Archera drżał z przejęcia. - Jak można było zrobić Jennifer coś tak potwornego?

- Wyprowadźcie pana Archera na zewnątrz, niech trochę ochłonie na świeżym powietrzu - rzekł Dan. - I dajcie mi znać, jak tylko zjawią się chłopaki ze Stanowego Biura Śledczego. - Odwrócił się do Lindsay. - Jesteś na to gotowa?

Skinęła głową.

- Nie martw się, gdyby zrobiło ci się niedobrze - powiedział jej. - Każdy nas przeżył to co najmniej raz.

- Nic mi nie będzie. - Była przekonana, że sobie poradzi niezależnie od tego, co zastaną. Przecież widziała już kilka sekcji zwłok, przy których tylko przez chwilę czuła mdłości. Widziała też zdjęcia wielu ciał w różnym stanie rozkładu i nawet się nie skrzywiła.

Dan włożył lateksowe rękawiczki i przeszedł przez dom, przyglądając się kolejnym pomieszczeniom. Przystanął niespodziewanie w ku-

chennych drzwiach i Lindsay niemal na niego wpadła. Wymięła go, stanęła obok i zajrzała do środka.

Była tak wstrząśnięta, że ledwie zdołała stłumić krzyk. Szczupła młoda kobieta siedziała na podłodze z głową pochyloną jak do modlitwy. Nogi miała skrępowane w kostkach cienkim nylonowym sznurkiem. Rozpostarte nad głową ręce były przywiązane do otwartych drzwiczek szafki.

- Dobry Boże-jęknął Dan.

Obok kobiety, zaledwie kilka centymetrów od ud, leżały jej dłonie, odcięte w nadgarstkach. Otaczały je wielkie kałuże krzepnącej krwi, z których unosił się charakterystyczny metaliczny zapach.

- Sukinsyn odrąbał jej dłonie. - Dan wpatrywał się gniewnie w taką leżącą u stóp martwej kobiety.

Lindsay nie wiedziała, co powiedzieć. Nie była pewna, czy w ogóle powinna się odzywać.

Patrzyła w milczeniu na nieszczęsną panią Walker i zauważyła coś, co zupełnie nie pasowało do ponurej scenarii.

- Na kolanach ma kwiat.

- Czerwoną różę - odparł Dan. - To prawdopodobnie wizytówka mordercy.

Lindsay przywołała wszystkie skojarzenia związane z czerwoną różą, z jakimi zetknęła się w życiu. Najpierw przyszło jej do głowy, że czerwona róża znaczy „kocham cie”. Ale chyba nie o to chodzi, prawda? Później przypomniała sobie słowa starej piosenki: „Czerwone różę dla smutnej damy”.

- Wyjdźmy stąd i poczekajmy na techników. Może dopisze nam szczęście i okaże się, że facet zostawił jeszcze jakieś inne ślady, nie tylko czerwoną różę. - Dan przymknął oczy i z odrazą pokręcił głową. - Dłaczego niektórzy z nich muszą ćwiartować swoje ofiary?

Lindsay wiedziała, że pytanie jest retoryczne, milczała więc. Cofnęła się o kilka kroków, robiąc Danowi miejsce, ale zanim zdążył zamknąć kuchenne drzwi, z korytarza dobiegły słowa funkcjonariusza Landersa:

- Proszę pana, nie może pan tam wejść.

- Wszystko mogę! - odpowiedział wzburzony baryton.

Kroki. Pomruki. Przekleństwa. Huk.

- Panie Walker, niech pan wraca! - krzyknął Landers. - Niech pan się natychmiast zatrzyma!

Do Dana i Lindsay przedarł się Judd Walker, były prokurator okręgowy Chattanooga, a obecnie wzięty prawnik, który miał się ubiegać w najbliższych wyborach o fotel gubernatora.

- Gdzie ona jest? - spytał stanowczo.

- Panie Walker... - Dan podszedł do męża ofiary.

Lindsay cofnęła się, zastawiając sobą kuchenne drzwi.

Judd spozierał na nią gniewnie.

- Proszę zejść mi z drogi. Chcę zobaczyć moją żonę.

- Nie, proszę pana, nie chce jej pan zobaczyć. - Dan złapał Judda za rękę, ale ten wyszarpnął dłoń i ruszył do przodu.

Przystanął przed Lindsay i rzucił jej kolejne gniewne spojrzenie.

- Niech pani nie próbuje mnie powstrzymać. Nigdy nie uderzyłem kobiety...

- Więc niech pan nie próbuje teraz. - Dan chwycił Judda od tyłu.

Walker wyrwał się z uścisku, odwrócił błyskawicznie i wymierzył mężczyźnie silny cios w brzuch. Ten jęknął z bólu i zgiął się wpół.

Lindsay wzięła głęboki oddech i w chwili, kiedy Judd znowu się odwrócił, potraktowała go prawym sierpowym prosto w szczękę. Zachwiała się, najwyraźniej zaskoczony nieoczekiwanym atakiem, ale szybko odzyskała równowagę. Zanim Dan zdążył wyciągnąć pistolet z kabury na ramieniu, odepchnął Lindsay od drzwi i szeroko je otworzył.

- Niech się pan zatrzyma, panie Walker! - krzyknęła do niego. - Proszę tam nie wchodzić! Nie wolno niczego dotykać! To miejsce zbrodni!

Dan stanął w progu kuchni i wycelował magnum w plecy Judda.

- Nie strzelisz do niego - powiedziała Lindsay.

Pokręcił głową i opuścił broń.

- Niech to szlag. Powinienem być go powstrzymać, ale mnie zwiódł. Chyba robię się za stary do tej roboty.

Lindsay ledwie słyszała słowa Dana i niemal nie zauważyła Landersa i Marshalla, którzy zjawili się z pomocą kilka sekund za późno. Patrzyła, jak Judd pada na kolana i bierze żonę w ramiona. Nie płakał ani nie złorzeczył mordercy. Po prostu ją tulił i gładził po bładym policzku.

- Musimy go stąd zabrać. - Dan skinął na Landersa i Marshalla.

Kiedy razem wchodził do kuchni, stało się coś, co sprawiło, że stanęli jak wryci. Judd Walker wydał z siebie rozdzierający krzyk, tak przerażający, że Lindsay przez kolejne lata słyszała go w nocnych koszmarach.

Skrzypnięcie, skrzypnięcie. Do przodu i w tył. Wycieraczki zgarniały strugi wody z przedniej szyby terenówki w kolorze metalicznego błękitu. Cholera, deszcz zaczynał zamarzać. Tylko tego brakowa-

to. Drogowcy poradzą sobie z głównymi drogami, ale do leśniczówki Walkera prowadziła pięciokilometrowa boczna droga wysypana żwirem. Napęd na cztery koła świetnie się sprawdzał na śniegu, ale na lodzie samochód zachowywał się tak samo jak każdy inny.

A może podświadomie ma nadzieję, że drogi staną się nieprzejezdne? Może szuka pretekstu, by uniknąć ponownego spotkania z Juddem? Ostatnim razem, kiedy musiała mieć z nim do czynienia, przysięgła sobie, że nigdy więcej. Judd jest bydlakiem pozbawionym uczuć. Fakt, stracił żonę, swoją ukochaną Jennifer. Była miss Tennessee została zamordowana - sadystyczny psychopata odrąbał jej dłoń. Judd zasługiwał na współczucie i wyrozumiałość. I ona mu je okazywała, podobnie jak Griff. Cholera, każdy, kto go znał, a także niezliczone rzesze tych, którzy nie znali go osobiście, rozumieli jego ból. Ale od śmierci Jenny Walker upłynęły prawie cztery lata i był już najwyższy czas, żeby Judd wrócił do świata żywych.

Nigdy nie będzie tym samym człowiekiem, co wcześniej. Nikt nie oczekiwał od niego rzeczy niemożliwych. Lindsay miała nadzieję, że Judd przejdzie proces żałoby i wyleczy się z szaleńczej manii przesładowczej, ale żal i wściekłość zabiły w nim wszelkie inne uczucia. Trzymała go przy życiu jedynie żądza zemsty.

Gdy tylko samolot wylądował na małym prywatnym lotnisku w Williamstown w Kentucky, Griffin zadzwonił do Sandersa.

- Jakies nowe wieści o stanie Gale Ann Cain?
- Nie, poza tym, że żyje - odpowiedział Sanders.
- Lindsay się odezwała?
- Nie, ale raczej prędko się tego nie spodziewamy, prawda?
- Chyba tak.
- Martwi cię, że musi znowu spotkać się z Walkerem.

Griff odpowiedział dopiero po chwili, bo niełatwo było mu przyznać, że rzeczywiście martwi się o Lindsay.

- Nic jej nie będzie. Jest twarda.
- Tak, sir.

Griff zdawał sobie sprawę, że Sanders używa tego oficjalnego „sir” tylko wtedy, gdy chce mu okazać swoją dezaprobatę.

- Judd jej potrzebuje - powiedział Griff. - Tylko ona potrafi do niego dotrzeć.

Cisza.

- Ona wcale nie jest kozłem ofiarnym.

- Nie, sir.

Griff doskonale wiedział, kiedy obstawać przy swoim, a kiedy odpuścić, zwłaszcza z Sandersem. Tym razem zdecydowanie należało odpuścić.

- Jeśli czegoś się od niej dowiesz...

- Skontaktuję się z panem, sir.

Do cholery, Lindsay McAllister naprawdę jest twarda. Kiedyś służyła w policji i szybko trafiła do wydziału zabójstw w Chattanooga. Jej stary był gliną, jego ojciec także. Jako dziecko była chłopczycą, a przynajmniej tak mu powiedziała. Wolała grać z chłopakami w baseball, niż bawić się lalkami Barbie z innymi dziewczynkami. Drobną i szczupłą, mogłaby stanowić uosobienie delikatnej kobiecości. Ale wszelka kokieteria była jej całkiem obca. Odkąd ją poznał, zdobyła najwyższe umiejętności we wschodnich sztukach walki, stała się doskonałą snajperką i nauczyła się ukrywać emocje równie dobrze jak mężczyzna.

Lubił Lindsay i miał dla niej dużo szacunku. Traktował ją bardziej jak młodszą siostrę niż pracownika.

Poznali się prawie cztery lata temu, niedługo po brutalnym morderstwie Jennifer Walker. Lindsay była partnerką Dana Blake'a, który prowadził śledztwo w tej sprawie. Griff od razu dostrzegł jej ogromną determinację. Początkowo sądził, że Lindsay po prostu chce się sprawdzić jako początkujący detektyw. Ale wkrótce zrozumiał, że sprawa nabrała dla niej osobistego znaczenia. Poznała Judda Walkera na miejscu zabójstwa jego żony, wiedziała, że jest wdowcem w żałobie, ogarniętym żądzą zemsty - a mimo to zakochała się w nim.

Griffin usiadł za kierownicą wypożyczonego dwuletniego Lincoln. Nigdy wcześniej nie był w Williamstown, więc zanim wyjechał z lotniska, spytał o drogę do szpitala.

Trzy kilometry za lotniskiem skręcił w lewo w Elmwood Street. Powinien znajdować się niecałe pięć minut drogi od szpitala, gdzie w stanie śpiączki leżała Gale Ann Cain, naszpikowana lekami, zawieszona między życiem a śmiercią. Uczestniczka konkursu Miss Universe sprzed lat była jedną z wielu królowych piękności, które w ciągu ostatnich czterech i pół roku zostały brutalnie zaatakowane. Z obliczeń Griffa i FBI wynikało, że panna Cain jest ofiarą numer dwadzieścia dziewięć. Ani on, ani FBI nie mieli pewności, czy sprawcą wszystkich dwudziestu dziewięciu morderstw jest ta sama osoba. Nie mogli też wykluczyć, że ofiar było więcej.

Kobiety pochodziły z różnych zakątków kraju, ale każda wygrała kiedyś konkurs piękności - na szczeblu lokalnym, stanowym, krajowym albo międzynarodowym. Żadna z ofiar nie miała więcej niż trzydzieści pięć lat. I wszystkie nadal były piękne.

Jennifer Mobley Walker miała duże brązowe oczy, gęste ciemne włosy, pełne usta, kształtne piersi i nogi do samej szyi. Nieprzeciętnej urodzie towarzyszył urok osobisty, którym zjednywała sobie ludzi. Kochał ją każdy, kto ją znał.

Nikt nie był bardziej zaskoczony niż Griff, kiedy jego stary przyjaciel Judd Walker, zatwardziały kawaler, zakochał się po uszy w byłej miss Tennessee i ożenił z nią niespełna rok po pierwszej randce. Kobiety w całym stanie pogrzyżyły się w żałobie po stracie takiej dobrej partii. Judd był bogaty, przystojny i czarujący.

To było pięć lat temu.

Przed morderstwem Jennifer.

Griffin dotarł do skrzyżowania z Pickler Avenue i jego oczom ukazał się dwupiętrowy szpital. Jeśli Gale Ann Cain przeżyje i zdoła opisać napastnika, będą mieli szansę dopaść tego psychola, zanim zabije znowu. Griff nie wiedział, czy aresztowanie mordercy ocali duszę Judda, ale był pewien, że nie ocali jej nic innego. Martwił się o przyjaciela i choć starał się zachować bezstronność i trzeźwe spojrzenie, niemal obsesyjnie pragnął, by sprawiedliwości wreszcie stało się zadość.

Zatrzymał samochód na zatłoczonym parkingu dla odwiedzających. Włożył skórzane rękawiczki, mocniej zawiązał jedwabny szalik, zapiął płaszcz i wysiadł. Żymny, porywisty wiatr szczypał w policzki i płatał mu kroki.

W informacji szpitalnej dowiedział się, jak dotrzeć na oddział intensywnej terapii - drugie piętro, od windy w lewo i dalej do końca korytarza.

Wychodząc z windy, rozpiął płaszcz i zdjął szalik. Nienawidził szpitali. Nie znosił woni leków zmieszanej z zapachem środków dezynfekujących i odorem choroby i śmierci. Idąc korytarzem, starał się nie zaglądać do sal, by uniknąć widoku chorych. Nie wynikało to ze współczucia, lecz z jego braku, a Griff nie znosił bezdusznej strony swojej osobowości, tak obcej jego dawnej naturze. Tłumaczył sobie, że to skutek uboczny tego, że kiedyś wszelkimi dostępnymi środkami musiał walczyć, by przeżyć.

W poczekalni oddziału intensywnej terapii - puszcze bez okien wielkości trzech i pół na cztery i pół metra - tłoczyli się wymęczeni

mężczyźni i kobiety. Kilka osób drzemało na brązowych winylowych sofach i krzesłach, które do niczego nie pasowały i w dodatku wyglądały na niewygodne. Na meblach i na podłodze leżały jaśki i koce różnych rozmiarów i kolorów.

Griff nie miał pojęcia, czy Gale Ann Cain oprócz siostry ma męża, inne rodzeństwo albo rodziców, którzy mogliby tu być; Sanders zdobył tylko szczątkowe informacje w krótkiej rozmowie z ich człowiekiem we władzach, długoletnim znajomym.

Przystanął w otwartych drzwiach i rozejrzał się po pomieszczeniu. Kilka osób spojrzało na niego. Pozostali, pochłonięci własną tragedią, zignorowali go.

Jakaś kobieta pogrążona w rozmowie z inwalidką na wózku chyba wyczuła jego obecność, bo wyprostowała się, ścisnęła swoją rozmówczynię delikatnie za rękę, uniosła głowę i obejrzała się przez ramię.

Cholera! Powinien się domyślić, że tu będzie. Kula u nogi, cierń w boku, wrzód na tyłku - agentka specjalna Nic Baxter.

Wstała z krzesła i spojrzała na Griffa, marszcząc brwi i mrużąc jasnobrązowe oczy. Podeszła do niego, ani na chwilę nie odwracając wzroku.

Wycofał się na korytarz. Gdyby miało dojść do konfrontacji - a dochodziło do niej zawsze, ilekroć się spotykali - lepiej, żeby obrzucali się wyzwiskami z dala od uszu innych ludzi. Zwłaszcza ludzi, których bliścy leżą na intensywnej terapii.

Wyszła za nim. Spojrzeli sobie w oczy.

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz - zagaił Griff.

- Nigdy się nie cieszę, że cię widzę - odparła.

- Zauważyłem, że ścisnąłeś ją za rękę. Czy to siostra Gale Ann Cain, czy twoja przyjaciółka?

- Nie mogę kazać ci wyjść, chociaż bardzo bym chciała, ale mogę cię ostrzec, żebyś nie wtrącał się w moje dochodzenie. - Pogroziła mu palcem. - Prędzej czy później dowiem się, kto ci kabluje, a wtedy...

- Kiedy wreszcie dotrze do tej twojej ciasnej mózgowicy, że jesteś śmy po tej samej stronie? - Griff rozumiał, że agenci federalni powinni być stanowczy, bo często muszą się użerać z nieporadnymi funkcjonariuszami i pełnymi najlepszej intencji obywatelami, ale on nie zaliczał się do żadnej z tych kategorii.

- A ty kiedy wbijesz sobie do swojego pustego łba, że tropienie i zatrzymywanie seryjnych zabójców to robota dla profesjonalistów, a nie zabawa dla przemądrzałych dupków? - odparowała.

Griff uniół brew i połał jej jadowite spojrzeie.

- Gdzie agent Jackson?

Kiedy kaćiki ust Nic uniołsy się w lekkim ułmiechu, zrozumiał, że nie spodoba mu się jej odpowiedź.

- Curtis mieaić temu przeszedł na emeryturę. Twoja wtyczka z Waszyngtonu ci nie powiedziała?

Cholera! Agent Curtis Jackson, który prowadził sprawę zabójcy królowych piękności od samego początku, kierował grupą specjalną utworzoną na potrzeby tego śledztwa. Griff lubił i szanował Jacksona. Miał koło sześćdziesiątki, wiele lat doświadczenia i żył jak maczo, podobnie jak Griff, więc dogadywali się niezłe, chociaż Jackson nigdy nie dzielił się z nim żadnymi informacjami i ciągle mu powtarzał, żeby nie wtykał nosa w sprawy federalne. Powell miał w swojej agencji specjalistę od profilu przestępców, ale sporządzona przez niego charakterystyka mordercy w niczym nie ułatwiła sprawy - byli tak samo daleko od ujęcia tego *potwora* jak trzy lata temu. Podejrzewał, że FBI znajdowało się w podobnej sytuacji.

Nicole Baxter dołączyła do grupy po pięciu latach pracy za biurkiem, więc chociaż szkołę w Quantico ukończyła z wyróżnieniem, doświadczenie miała niewielkie. Od chwili, kiedy się poznali, działała na Griffa jak płachta na byka. Nie lubił kobiet, które usiłowały udowodnić, że we wszystkim są lepsze od mężczyzn. Agentka Baxter nie była wprawdzie zagorzałą feministką, ale odpowiadała wyobrażeniu Griffa o feministkach na tyle, by wpackowała ją do jednego worka z radykalnymi babsztylami, które mają facetów za nic.

- Skoro Jackson przeszedł na emeryturę, domyślam się, że ty przejęłaś sprawę zabójcy królowych piękności? - Griff właściwie znał odpowiedź, ale musiał się upewnić.

Skinęła głową.

- Tak. Teraz ja kieruję grupą specjalną.

- Czy da się zakopać topór wojenny, żebyśmy mogli pracować razem?

- Mogę tylko wbić ci go w plecy.

Griff jęknął teatralnie.

- Nie masz zamiaru ani trochę odpuścić, prawda, skarbie? - Dodał pieszczotliwe określenie, bo wiedział, że ją rozwścieczy.

Spojrzała na niego gniewnie.

- Potrafię być rozsądna, skarbie.

- Jakoś w to nie wierzę. - Powinien był ugryźć się w język, ale nie potrafił. Wyzwalała w nim najgorsze instynkty.

- Obrażaj mnie dalej, a zobaczymy, dokąd cię to zaprowadzi.

- Chyba powinienem przeprosić.

- Chyba tak.

Cholera, ona rzeczywiście oczekuje, że zacznie się przed nią płasz-
czyć.

- W takim razie przepraszam.

Położyła dłoń na sercu.

- Nie ma to jak szczerza skrucha.

- To wszystko, na co mnie stać. Przyjmujesz albo nie. - Griff nie miał zamiaru się poniżyć. Prędeż umrze.

- Jeżeli jesteś w stanie przyznać, że to moja sprawa, że to ja wszystkim kieruję i podejmuję decyzje, nie urwę ci jaj i nie podam ci ich na srebrnej tacy.

Niech cię diabli, suko - miał już na końcu języka.

- Co mam zrobić w trosce o bezpieczeństwo moich jaj? Własną krwią podpisać przysięgę, że nie będę wchodził ci w paradę?

- Nie kuś mnie.

- Wierz mi, agentko specjalna Baxter, że nigdy celowo bym cię nie kusił.

- Zapewniam, że niczym byś nie ryzykował - odparowała.

Wyciągnął rękę, proponując jej rozejm.

- Pogódźmy się z tym, że się nie zgadzamy. Ja przestanę mieć nadzieję, że mi pomożesz, a ty nie będziesz mi rzucać kłód pod nogi.

Popatrzyła na jego dłoń, jakby był to jadowity wąż, po czym niechętnie podała mu swoją. Uścisk był krótki - oboje chcieli mieć to jak najszybciej za sobą.

- Jeśli zaczniesz się wtrącać, umowa jest nieważna. Jasne?

Skinął głową. Rozumiał doskonale, nie był tylko pewien, jak długo będzie w stanie silić się na uprzejmość wobec tej specyficznej kocicy.

Nic, najwyraźniej zadowolona, wskazała głową w stronę poczekalni.

- Ta kobieta to Barbara Jean Hughes, starsza siostra Gale Ann Cain. Znalazła ją dosłownie kilka chwil po tym, jak została okaleczona i zostawiona na pewną śmierć.

Do głosu zaczęła dochodzić intuicja Griffa.

- Powiedz, że zdążyła zauważyć zabójcę.

- Właściwie mogę ci to powiedzieć, bo i tak nie powstrzymam cię przed rozmową z Barbarą Jean, prawda?

- Prawda.

Nic zmarszczyła brwi.

- Kiedy Barbara Jean wchodziła do bloku siostry od Loretta Street - zaczęła niechętnie- zauważyła mężczyznę w prochowcu i okularach przeciwsłonecznych, który zbiegał po schodach.

- Potrafi go opisać?

- Wydaje mi się, że tak. Ale jest śmiertelnie przerażona.

- Więc mamy świadka, nawet jeżeli ofiara umrze.

- Jesteś bydlakiem bez uczuć, Powell. Wiesz o tym, prawda?

- Tak mówią.

- Jeszcze jedno, panie Powell. Przekazałam ci informację o Barbarze Jean, bo i tak byś ją zdobył. Ale na tym koniec. Siostra jest naocznym świadkiem, więc to my zajmiemy się jej ochroną, jeśli uznamy to za konieczne. Czy to jasne?

Griff uśmiechnął się szeroko.

- Jasne jak słońce, skarbie.

Nic Baxter westchnęła.

Rozdział 3

Stara leśniczówka wyglądała, jakby od dawna nikt w niej nie mieszkał. Odkąd przed piętnastu laty zmarł sędzia Judson Walker IV, nie była wykorzystywana zgodnie z przeznaczeniem. Judd, w przeciwieństwie do swoich przodków, nie przepadał za polowaniem - od zabijania dla rozrywki wolał grę w polo albo w tenisa. Zamienił starą leśniczówkę w weekendową przystań i jako kawaler urządził tu przyjęcia dla przyjaciół. A że - jak głosiła plotka - jego narzeczona nie lubiła tych imprez w lesie, jeszcze przed ślubem Judd zamknął domek na cztery spusty.

Żwirowa droga prowadząca do leśniczówki z biegiem czasu przeobraziła się w krętą ścieżkę porośniętą chwastami i trawą, a teraz jeszcze pokrytą liśćmi i przysypaną śniegiem. Podjazd i samą leśniczówkę otaczały wiekowe drzewa - dla każdego przedsięwzięcia handlującego tarcicą warte swojej wagi w złocie. Ich nagie konary były pokryte grubą warstwą lodu.

Stuletni dom z miejscowego kamienia i cegły zwracał uwagę mnóstwem długich wąskich okien, czterema kominami i panoramicznym gankiem. Za domem znajdowała się niewielka powozownia, która w późnych latach trzydziestych została zamieniona w garaż. Z okapów dachu i parapetów, zarówno domu, jak i powozowni, odchodziła farba. Dwie wybite szyby na piętrze leśniczówki aż się prosiły, żeby je wymienić.

Lindsay zaparkowała przed panoramiczną werandą, ale nie wyłączyła silnika. Marznący deszcz przestał padać dobre dwadzieścia kilometrów temu, a przez chmury usiłowało się przebić słońce. Wskaźnik temperatury na desce rozdzielczej pokazywał jeden stopień, co oznaczało, że ociepliło się na tyle, aby wszystko zaczęło topnieć. Nim zapadnie zmierzch, temperatura spadnie poniżej zera i wszystko, co stopniało, znów zamrznie.

Dom sprawiał jeszcze bardziej ponure wrażenie niż wtedy, gdy była tu ponad pół roku temu. Z krawędzi dachu zwisały sople lodu, zarośnięty trawnik pokrywały połacie topniejącego śniegu, a w zakamarkach, gdzie nie dochodziło słońce, zasypany śniegiem kilkunastu centymetrów.

Lindsay spojrzała na frontowe schody prowadzące na werandę, a później na drewniane drzwi z ozdobnymi żelaznymi okuciami.

Pamiętała, że za głównym wejściem znajduje się mały hol, z którego wchodzi się do dwóch przestronnych pokoi wyłożonych boazerią z ciemnego drewna i wyposażonych w kamienny kominek. W tym z lewej na ścianach wisiały trofea myśliwskie w postaci głów jeleni, a w przeciwległym - nagrodzone okazy ryb wyłowionych z rzeki Tennessee, po trzy z każdej strony kominka. Sypialni na górze nie widziała, ale domyślała się, że są utrzymane w podobnym stylu - wyznaczają terytorium maczo, na które kobiety mają wstęp wzbroniony.

Myśl o tym, że ma spotkać się z Juddem, spojrzeć w te jego zimne, martwe oczy, paraliżowała Lindsay. Tłumaczyła sobie, że go nie kocha i nigdy nie kochała. Współczuła mu, chciała go pocieszyć, starała się mu pomóc. Pociągała ją, ale to przecież nic dziwnego - był tak cholernie seksowny i męski.

Powtarzała sobie to wszystko przez ostatnie pół roku, próbując przekonać samą siebie, że chodziło tylko o współczucie i pożądanie, a nie miłość.

Ale jeśli nie kocha Judda, dlaczego tak bardzo się boi go zobaczyć?

Przecież wiesz, że nie możesz tego odwręcić w nieskończoność, mówiła sobie. Wsiądź z samochodu i zapakuj do drzwi. Zmierz się ze swoim lękiem. Udowodnij sobie, że Judd Walker już na ciebie nie działa.

Włożyła czerwoną wełnianą czapkę i rękawiczki od kompletu, zapięła dwurzędowy granatowy żakiet w marynarskim stylu, wyłączyła silnik i otworzyła drzwiczki. Kiedy wysiadała, czarne skórzane kozaki ugrzęzły w wyrwie z topniejącym śniegiem i na obcasach i zaokrąglonych czubkach rozmazało się błoto. Wytarła buty o mokrą trawę i ruszyła na ganek.

Stanąła przed drzwiami i wzięła głęboki oddech, zbierając się na odwagę. W końcu uniosła rękę i zapukała. Raz. Drugi. Trzeci.

Żadnej reakcji.

Zapukała ponownie. Głośniej.

Nadal nic.

Pukała dalej.

- Judd, jeżeli tam jesteś, wpuść mnie. Mam dla ciebie wiadomość. Chodzi o sprawę zabójcy królowych piękności.

Cisza.

Cholera. Może go nie ma. Może wyprowadził się nie wiadomo gdzie. Właściwie chciała, żeby tak było.

Nacisnęła klamkę, drzwi nie ustąpiły. Były zamknięte.

Podeszła do najbliższego okna i zajrzała do środka. Salon tonąłw półmroku, a meble były przykryte folią ochronną. Sprawdziła drugi salon - też pusty. Podeszła do przestronnej werandy, przystanąła przy bocznych drzwiach i nacisnęła klamkę. Ku jej zaskoczeniu, drzwi ustąpiły. Zaskrzypiały głośno, kiedy je otwierała. Niepewnie weszła do ciemnego korytarza.

- Judd, jesteś tam? - zawołała, idąc w stronę kuchni.

Cisza.

Kuchnia była pusta, ale na podgrzewaczu stał dzbanek z kawą a na blacie przy ekspresie - brudny kubek.

Więc jest tutaj. Na górze? W piwnicy? A może spaceruje po lesie?

Gdyby był w domu, słyszałby, że go woła. Chyba że śpi albo się upił. Przez pierwszy rok po śmierci żony upijał się do nieprzytomności prawie codziennie. Ale kiedy ostatnim razem go widziała, był trzeźwy. Z pijanym Juddem radziła sobie o wiele lepiej niż z trzeźwym. Pijany, zionął nienawiścią i żądzą zemsty. Trzeźwy - był apatyczny i nie do życia.

- Judd, jeżeli tu jesteś, to się odezwij, żebyś nie musiała cię szukać po całym domu.

Nic.

- Zabójca królowych piękności znów zaatakował, ale tym razem ofiara nie umarła. Ciągłe żyje.

Żadnej reakcji, żadnej odpowiedzi.

- Słyszałaś, co powiedziałam?

Skrzypięcie. Krok. Skrzypięcie. Krok.

Lindsay przysłuchiwała się ciężkim krokom na tylnych schodach prowadzących z kuchni na piętro. Serce zaczęło bić jej szybciej.

- Judd?

Kroki stawały się coraz głośniejsze.

Lindsay przeszła przez kuchnię i czekała u stóp schodów, czując, jak wrze w niej krew. Obie dłonie zacisnęła mocno w pięści.

Barbara Jean Hughes, przykuta do wózka po tragicznym wypadku samochodowym, któremu uległa przed pięcioma laty, zareagowała na męski urok Griffina Powella jak większość innych kobiet - zmiękła w jednej chwili. Dobry Boże! Nicole nie mogła tego pojąć. Owszem, był przystojny, męski, ubrany jak model z katalogu, jeździł wystrzałowym sportowym samochodem i ponoć spał na forsie - to wystarczało, żeby każda przeciętna kobieta ulegała jego czarowi. Ale Nicole Baxter nie była przeciętna pod żadnym względem. Nie była przeciętnej wzrostu ani urody, przeciętny nie był też jej iloraz inteligencji ani gust, jeśli chodzi o mężczyzn.

Silni, pewni siebie faceci odpychali ją. Od kiedy dojrzała - szybko, w wieku jedenastu lat - musiała sobie radzić z płcią przeciwną. Z kąśliwymi docinkami na temat jej piersi i wzrostu i z zazdrością o to, że była najbystrzejsza w klasie - znacznie bystrzejsza niż najbystrzejszy chłopak.

Mężczyznom podobają się kobiety z dużym biustem, ale raczej unikają tych wybitnie inteligentnych, które kończą studia w wieku lat osiemnastu, a do tego są bardzo pewne siebie i wygadane.

- Pani Hughes, może zjedziemy na dół do restauracji i zamówimy pani coś do zjedzenia - zaproponował Griff.

Nic już wcześniej próbowała przekonać Barbarę Jean, że powinna coś zjeść, ale ta uparła się, że nie opuści poczekalni.

- A jeśli Gale Ann się obudzi? Albo jeśli... Nie, muszę tu być.

Słyszając propozycję Griffa, Barbara Jean tylko spojrzała na niego zamglonymi od łez oczami. Wyciągnął rękę i delikatnie ujął jej dłoń.

- Kiedy siostra odzyska przytomność, nie powinna zobaczyć pani wyczerpanej i zmartwionej, prawda? Musi pani coś zjeść i odpocząć, żeby zregenerować siły. - Przerwał na chwilę, żeby jego uwagi zdążyły

do niej dotrzeć. - Ze względu na Gale Ann powinna pani o siebie dbać - dodał.

Dobry bajer, pomyślała Nic. Musiała przyznać, że Griffina dar przekonywania. I że nie jest w jej typie. Należał do facetów, którzy mogliby zaklinać węże. Był z niego prawdziwy złotousty diabeł.

Niepewny uśmiech Barbary Jean nie pozostawiał wątpliwości, że czar Griffa wywarł na niej wrażenie. Czy jest sens przestrzegać ją przed Griffinem?

- Chyba ma pan rację. - Barbara Jean westchnęła ciężko.

Griff ścisnął jej dłoń.

- Oczywiście, że tak. - Spojrzał na Nic. - Agentka specjalna Baxter poprosi dyżurną pielęgniarkę, żeby nas powiadomiła, gdyby stan pani siostry uległ zmianie.

Nic zdobyła się na sztuczny uśmiech i skinęła głową na znak zgody.

- Idę porozmawiać z pielęgniarką. - Obrzuciła Griffa jadowym spojrzeniem. On po prostu nie potrafił się powstrzymać. Wydawanie poleceń było dla niego rzeczą równie naturalną jak oddychanie. Wprawdzie FBI przestrzegało członków rodzin ofiar przed współpracą z prywatnymi agencjami, w tym z Agencją Powella, ale prawnie władze miały związane ręce.

Za dziesięć drugą w restauracji nie było tłumów, więc bez trudu znaleźli miejsce. Griff wybrał odosobniony stolik w głębi jadalni i postawił wózek Barbary Jean tak, żeby znajdowała się w bezpiecznej odległości od okna i plecami była zwrócona do bocznej ściany. Nicole rozumiała jego pobudki. Jeśli człowiek, który napadł Gale Ann, podejrzewa, że Barbara Jean go widziała i może być w stanie go zidentyfikować, jej życie znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie. Wprawdzie nie powiedziała, że umiałyby go rozpoznać, ale przyznała, że mignął jej przed oczami, kiedy zbiegał po schodach.

- Czy ma pani na coś szczególną ochotę? - spytał Griff, kładąc płaszcz i jedwabny szalik na wolnym krześle.

- Wszystko mi jedno - odpowiedziała Barbara Jean.

Nic i Griff zamówili sobie kawę, a dla Barbary Jean lunch. Baxter nie zamierzała nawet na chwilę zostawić siostry Gale Ann sam na sam z Powellem. Nie mogła mu zabronić rozmowy z nią ani tego, żeby jej służył silnym męskim ramieniem. Mogła natomiast nie spuszczać jej z oka. Griff podał kasjerce banknot studolarowy. W portfelu Nic banknotem o najwyższym nominale była dwudziestodolarówka. Prosta różnica między prawdziwym bogactwem a dobrą pensją.

Griff wrzucił do kieszeni resztę, wziął tacę zjedzeniem i trzema filiżankami kawy i zaniósł do stolika. Postawił talerze i kubki na blacie i odłożywszy tacę na stolik obok, odsunął krzesło dla Nic. Wygięta usta w kolejnym sztucznym uśmiechu i skorzystała z jego uprzejmości.

Był czarujący. Szarmancki. Cholerny sukinsyn.

Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Wrogość wręcz iskrzyła między nimi. Nic podejrzewała, że Griff nie lubi jej tak samo jak ona jego, zarówno na gruncie osobistym, jak i zawodowym.

Barbara Jean popatrzyła na stojący przed nią talerz z jedzeniem i podniosła wzrok na Griffa.

- Wygląda wspaniale. Dziękuję.

- Proszę zjeść tyle, ile pani da radę - powiedział z troską.

- Obawiam się, że nie jestem głodna.

- Nie szkodzi - wtrąciła Nic. - Nikt nie oczekuje, że będzie pani...

- Nie macie pojęcia, co przeżyłam. - Barbara Jean chwyciła Griffa za rękę. - To potworne znaleźć własną siostrę w takim stanie. Z odciętymi stopami. Wszędzie krew... - Zaniósła się płaczem.

Zanim Nic zdążyła cokolwiek zrobić czy powiedzieć, Griff przysunął krzesło do wózka Barbary Jean i otoczył ją ramieniem. Ukryła twarz na jego ramieniu i płakała dalej.

Nic nie znosiła płaczących kobiet i już dawno postanowiła nigdy się do nich zaliczać, ale nie mogła kwestionować, że Barbara Jean Hughes ma wszelkie prawo do tego, by wypłakać sobie oczy. Każdy byłby zrozpaczony, gdyby zastał swoją siostrę okaleczoną tryskającą krwią. Gale Ann uszła z życiem tylko dzięki temu, że Barbara Jean wykazała się refleksem.

Po kilku minutach Barbara Jean uniosła głowę.

- Przepraszam, że tak się rozkleiłam.

Z wewnętrznej kieszeni szytej na miarę marynarki Griff wyjął płócienną chusteczkę do nosa z monogramem. Jego garnitur pewnie kosztował więcej, niż wynosiła miesięczna pensja Nic. Podał chusteczkę Barbarze Jean.

- Uratowała pani życie siostrze - stwierdził.

- Lekarze nie dają jej szans. - Barbara Jean ścisnęła chusteczkę w dłoni. - Straciła tyle krwi, zanim... - Zdusiła szloch. - Gdybym dotarła do niej szybciej... gdybym...

- Może jej pani pomóc, pomagając nam odnaleźć mężczyznę, który usiłował ją zabić. - Głos Griffa nabrał uwodzicielskiego tonu, od którego Nic cierpła skóra.

- Jak... jak mogę to zrobić? - wykrztusiła przez zły.

- Wiem, że widziała pani mężczyznę, który wychodził z bloku Gale Ann. Ma pani siłę rozmawiać o tym teraz czy raczej woli pani, żebyśmy poczekali, aż pani zje?

Barbara Jean spojrzała na talerz ze smażonym kurczakiem, ziemniakami puree i zielonym groszkiem i zrobiła taką minę, jakby żołądek podszedł jej do gardła. Drżącą dłonią sięgnęła po kubek z kawą. Przytrzymała go drugą ręką, podniosła do ust i wzięła kilka łyków.

- Muszę pani przypomnieć, pani Hughes, że pan Powell nie jest zatrudniony w FBI ani w żadnej instytucji ochrony porządku publicznego - odezwała się Nic, siłąc się na przyjacielski ton. - Upprzedzam panią, że nie pomoże pani siostrze, rozmawiając o tym, co się wydarzyło, z kimkolwiek innym niż...

- Agentka Baxter ma rację - wszedł jej w słowo Griff. - Jestem prywatnym detektywem, a nie państwowym funkcjonariuszem. Ale ten sam człowiek, który, jak podejrzewany, usiłował zabić pani siostrę, zamordował żonę jednego z moich najlepszych przyjaciół. To dlatego od prawie czterech lat próbuję znaleźć i powstrzymać tego szaleńca.

Barbara Jean spojrzała Griffowi w oczy i posłała mu ufnym uśmiechem.

- Znam wszystkich sąsiadów siostry - powiedziała. - W bloku jest tylko dziesięć apartamentów. Mieszkają tam dwie rozwódki, jak Gale Ann, dwie wdowy i jeden stary kawaler. Pozostali to cztery młode małżeństwa, ale tylko dwa mają dzieci.

- Ten mężczyzna, którego pani widziała, nie był sąsiadem? - spytał Griff.

Barbara Jean pokręciła głową.

- A może znajomy któregoś z sąsiadów? - wtrąciła Nic.

- Nie wiem. Ale jestem pewna, że przez sześć lat, od kiedy mieszka tam moja siostra, nigdy tego mężczyzny nie widziałam.

Nic już otworzyła usta, żeby zadać kolejne pytanie, ale Griff ją uprzedził.

- Potrafiłaby pani opisać tego mężczyznę? Albo go rozpoznać, gdyby jeszcze raz go pani zobaczyła?

Zapadła cisza.

Nic posłała Griffowi spojrzenie pełne nienawiści.

- W porządku - powiedziała po chwili. - Skoro nie potrafi pani opisać mężczyzny...

- A jeśli potrafię? - przerwała jej Barbara Jean.

- Potrafi pani? - ożywił się Griff.

- Myślicie, że to on chciał zabić Gale Ann? Że to on odrąbał jej stopy? - Barbara Jean opuściła ręce na kolana i zmięła w dłoniach chusteczkę Griffa.

- Prawdopodobnie - odparła Nic.

- Czy on wie, że ona nie umarła?

Nic pokręciła głową.

- Raczej nie. Miejscowa policja przekazała komunikat dla mediów, że ciało Gale Ann Cain zostało znalezione przez siostrę. Mogło jednak coś wyciec od personelu szpitalnego, chociaż uprzedzono ich, że mają uważać. Próbuja do pani dotrzeć dziennikarze, żeby poznać szczegóły. Ale przez dwadzieścia cztery godziny na dobę będę z panią ja albo inny agent. W szpitalu, przy wejściu służbowym na oddział intensywnej terapii, też ustawiliśmy agenta, żeby chronić pani siostrę.

- Jeżeli ten mężczyzna dowie się, że go widziałam i mogę go zidentyfikować, będzie chciał mnie dopaść?

- Tak - przyznała Nic.

- Ale nie dopuścimy, żeby coś się pani stało - uspokoił ją Griff. - Będą panią chronić i FBI, i Agencja Powella.

Barbara Jean milczała kilka minut.

- Chyba nie potrafiłabym go rozpoznać - powiedziała wreszcie.

Nic jęknęła w duchu. Barbara Jean albo rzeczywiście nie rozpoznałaby faceta, albo jest tak przerażona, że wmówiła sobie, że nie byłaby w stanie go rozpoznać.

- A może pani go opisać? - spytał Griff.

- Już powiedziała pani Baxter...

- Proszę mi mówić po imieniu. - Też potrafiła grać przyjaznego głinę.

- Już powiedziała pani Nic - Barbara Jean posłała jej błady uśmiech - że kiedy wchodziłam do budynku, zobaczyłam zbiegającego po schodach mężczyznę w prochowcu. Miał kapelusz i okulary przeciwsłoneczne, więc nie widziałam jego oczu. Wydaje mi się, że miał ciemne włosy, ale nie jestem pewna.

- Czy on panią widział? - spytał Griff.

- Chyba nie. Raczej nie sądzę. Nie patrzył w moją stronę. A kiedy doszedł do drzwi, już byłam w windzie.

Zadzwoiła komórka Nic. Sięgnęła po telefon. Zanim usłyszała głos agenta specjalnego Randalla, wiedziała, że chodzi o stan Gale Ann.

- Baxter, słucham - rzuciła.

- Przywieź tu szybko jej siostrę - powiedział Jeff Randall. - Gale Ann Cain odzyskała przytomność.

Wzrok Lindsay powędrował w górę schodów. Dostrzegła nogi mężczyzny w dżinsach. Długie, zgrabne nogi. Wyblakły, brudny dżins. Centymetr po centymetrze jej oczom ukazywała się reszta ciała, kiedy włókł się po schodach jak ślimak pełzający po ziemi. Ubrany był w obszarpaną flanelową koszulę i wyswiechtaną podkoszulkę. Westchnęła, kiedy zobaczyła jego twarz. Nie rozpoznałaby Judda, gdyby nie jasne bursztynowe oczy - martwe jak zimowy krajobraz za oknem. Spłowiące brązowe włosy sięgały mu niemal do ramion, a twarz ginęła pod bujnym zarostem.

- Wyglądasz okropnie - powiedziała pierwszą rzecz, która przyszła jej do głowy.

Przystanął u stóp schodów.

- Dobrze usłyszałem? Ostatnia ofiara nie umarła? Przeżyła?

- Tak.

- Co jej zrobił?

- Odrąbał stopy.

Judd nie skrzywił się. Niby czemu miałyby się krzywić? Poza pragnieniem zemsty nie był już w stanie odczuwać żadnych emocji.

- Gdzie ona jest?

- W szpitalu okręgowym w Williamstown w Kentucky.

- Czy Griff...?

- Poleciał tam natychmiast.

- A ciebie przysłał, żebyś przekazała mi dobre wieści. - Judd minął ją podszedł do ekspresu i uniósł dzbanek z kawą. - Chcesz? - spytał.

- Tak, poproszę. - Odwróciła się do niego.

Wyjął drugi kubek z wiszącej szafki, oba napełnił kawą i podał jej jeden. Wzięła kubek i podniosła do ust. Kawa była mocna i gorzka. Musiała długo stać na podgrzewaczu. Pewnie od wczesnego ranka.

- Jest w stanie zidentyfikować napastnika? - spytał Judd.

- Nie wiem. Zapadła w śpiączkę kilka minut po operacji.

- Pewnie się nie wybudzi.

- Nie wiadomo.

- Pobożne życzenia są gównem. - Judd wysunął krzesło zza stołu, postawił swój kubek na blacie i usiadł ciężko.

Lindsay stała za nim i przyglądała się, jak pije czarną jak smoła kawę. Judd Walker, multimilioner, dawny playboy, wybitny i cieszący się uznaniem prawnik, wyglądał jak kłozard. Włosy miał brudne i potargane, jakby nie mył i nie czesał ich od tygodni.

Podeszła z drugiej strony stołu i stanęła dokładnie naprzeciwko niego.

- Jeśli chcesz jechać do Kentucky...

Jego złowieszczy śmiech przeszył ją do szpiku kości.

- Więc po to Griff cię przysłał. Miał nadzieję, że się tym przejmę.

- Przysłał mnie, bo uznał, że to może być dla nas punkt zwrotny.

I że nadal chcesz zobaczyć zabójcę twojej żony przed sądem.

Uśmiech zniknął z twarzy Judda.

- Ja chcę tylko pięciu minut sam na sam z nim. Pięciu minut.

- Wątpię, żebyś miał taką okazję - powiedziała Lindsay. - Ale jeśli zostanie złapany i skazany, załatwimy, żebyś mógł być przy egzekucji.

- To nie to samo co własnoręcznie wykonać robotę. - Judd dopił resztę płynu, który nazywał kawą. - Masz pojęcie, ile razy wyobrażałem sobie tego potwora? Nigdy nie widzę twarzy, tylko ręce trzymające tasak i rąbiące, rąbiące, rąbiące... A później nagle to nie on trzyma tasak, tylko ja. I to ja rąbię. Rąbię go na tysiąc kawałków.

Judd miarowo uderzał dłonią w blat stołu. Oddychał coraz głębiej i głośniej. Jego oczy lśniły, jakby był w transie.

Lindsay odstawiła kubek na blat za sobą, odwróciła się do Judda i chwyciła go za nadgarstek. Odepchnął ją z taką siłą, że poleciała do tyłu i zatrzymała się na lodówce. Z głośnym hukiem uderzyła plecami w drzwi. Judd poderwał się z krzesła i spojrział na nią groźnie.

Usiłowała się wyprostować, kiedy do niej podchodził. Stał, oparł dłonie na lodówce po obu stronach jej głowy i przysunął twarz do jej twarzy, tak że niemal dotykali się nosami.

- Wiem, czemu Griff cię tu przysłał - powiedział. - Ale nie wiem, dlaczego przyjechałaś.

Rozdział 4

Lindsay skuliła się, przemknęła pod lewą ręką Judda i stanęła obok niego. Wzięła kilka głębokich wdechów, przestrzegając się w myślach, żeby tym razem nie dać się wciągnąć w jego manipulację. Judd zachichotał i spojrział na nią. Nienawidziła tego nieszczerego uśmiechu, który w ciągu ostatnich lat opanował do perfekcji i z którego biła nie wesołość, lecz rozpacz.

- Co jest, Lindsay? Boisz się, że nie potrafisz mi się oprzeć?

Zacisnęła zęby, żeby nie powiedzieć złośliwej uwagi, którą miała na końcu języka. Drażni cię. Chce, żebyś się wściekła. Nie daj mu tej satysfakcji.

- Jeśli masz zamiar jechać ze mną do Kentucky, będziesz musiał wziąć prysznic i...

- Nie jadę.

Ciągle próbuje tych swoich gierek, uspokajała się.

- Mnie bez różnicy - stwierdziła. - Jestem tylko pościgać Griffina Powella. - Sięgnęła po komórkę przypiętą do paska. - Zadzwoń do niego i powiem...

- Dlaczego przyjechałaś?

- Szef wysłał mnie, żeby przekazała pewne informacje klientowi, z którym nie jesteśmy w stanie skontaktować się w inny sposób. - Nic więcej mu nie powiesz, Lindsay, pomyślała.

Judd zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem.

- Na pewno nie wróciłaś po powtórkę?

Poczuła, że rumieniec zalewa jej szyję i policzki. Nie była w stanie zapanować nad tą mimowolną reakcją, przekleństwem blondynek o jasnej karnacji.

Nie mów mu, że zniszczyło cię to, co zaszło między wami ostatnim razem. Uporałaś się z tym, poradziłaś sobie z ponizieniem, przekonałaś się, że tak naprawdę nigdy Judda nie kochałaś.

- Ja wracam do Knoxville. Zadzwoń do Griffa i powiem mu, że już nie jesteś zainteresowany zabójcą królowych piękności. - Odwróciła się i wyszła z kuchni.

- Czekaj!

Przystanąła, tyłem do niego.

- Jeżeli ona nie umrze... jeżeli będzie w stanie opisać... daj mi znać. Dobrze?

- Przekazę ci wiadomość.

- Nienawidzisz mnie, prawda?

On ciągle z tobą pogrywa. Nie zapominaj, że nie możesz mu wierzyć.

- Tego byś chciał, prawda? - Obejrzała się przez ramię. - Przykro mi, ale nie. Nie czuję do ciebie nienawiści. Jest mi cię żal.

Ruszyła korytarzem do bocznych drzwi prowadzących na werandę.

- Lindsay!

Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz, przyspieszając kroku. Marzyła tylko o tym, żeby znaleźć się jak najdalej od mężczyzny, który

nadal był w stanie ugodzić ją w samo serce. W głębi duszy nienawidziła Judda - nienawidziła go w tym samym stopniu, w jakim kiedyś go kochała. Do licha, kocha go nadal. I pewnie zawsze będzie kochać.

Lindsay usiadła za kierownicą swojego trailblazera, przymknęła oczy i usiłowała wziąć się w garść. Żadnych łez. Ani jednej. Ostatnią łzę za Juddem wypłakała już dawno. Teraz było jej obojętne, czy Judd Walker będzie się męczył w piekle.

Wykonała szybki telefon do Sandersa, żeby zorientować się, co słychać w Kentucky. Powiedział, że zanim przywiezie Judda do Williamstown, musi skontaktować się z Griffem. Ale to nie miało już znaczenia. Włożyła kluczyk do stacyjki, włączyła silnik i popełniła błąd - przez boczną szybę spojrziała na leśniczówkę.

Na ganku stał Judd. Patrzył na nią.

Cholera!

Wcisnęła guzik i otworzyła okno.

- Gale Ann Cain przeżyła, bo parę minut po ataku znalazła ją siostra - zawołała do niego. - Ta kobieta widziała mężczyznę w prochowcu i okularach przeciwsłonecznych, który wychodził z bloku. To mógł być zabójca królowych piękności.

Judd podszedł do samochodu i pochylił się tak, że znaleźli się twarz przy twarzy.

Przez kilka minut się nie odzywał, tylko na nią patrzył. Dopiero kiedy dotknęła przycisku, żeby zamknąć okno, powiedział:

- Daj mi pół godziny. Doprowadzę się do porządku i pojedziemy do Kentucky.

Lindsay skinęła głową.

- Dobrze. Ale pospiesz się. Zadzwoń do Griffa i powiem mu, że zaraz jedziemy.

Pinkie zaczynał się martwić. Nie przeczytał nic nowego na temat morderstwa w Williamstown w Kentucky ani w lokalnych, ani w krajowych gazetach. Czterdzieści osiem godzin temu rzecznik miejscowej policji wydał oświadczenie, że dawna miss USA Gale Ann Cain została brutalnie zaatakowana, a jej ciało odnalazła siostra, która natychmiast wezwała pogotowie. Dlaczego miejscowe gminy nie wezwały FBI? Przecież muszą wiedzieć, że śmierć Gale Ann Cain to robota zabójcy królowych piękności. Ofiara kiedyś wygrała konkurs piękności, a że popisywała się

wtedy tańcem lirycznym, odciął jej stopy. Była ruda, więc zostawił żółtą różę. I posłużył się tym samym co zawsze nylonowym sznurkiem, żeby związać jej ręce. Czyżby miejscowi gliniarze byli na tyle głupi, że nie rozpoznali roboty geniusza?

Wielu przestępców wraca na miejsce zbrodni. Ale nie Pinkie. Jest za sprytny, by zrobić coś tak głupiego. Jeżeli jednak w inny sposób nie dowie się, jak wygląda sprawa morderstwa Gale Ann Cain, nie będzie miał innego wyjścia - będzie musiał znów wybrać się do Williamstown. Bez trudu znajdzie wiarygodny pretekst do takiej wyprawy: choćby kupno konia albo czegoś przeraźliwie drogiego w antykwariacie. Może też wpaść tam w drodze w jakieś inne miejsce albo pojechać w przebraniu i postługiwać się fałszywym prawem jazdy.

Robił, co mógł, żeby odegnać niepokojącą myśl, która dręczyła go od tego wieczoru, kiedy zabił Gale Ann. W chwili gdy wychodził z bloku, zauważył, że głównymi drzwiami wjeżdża kobieta na wózku inwalidzkim. Czy i ona go widziała? Pewnie nie. Była skupiona na manewrowaniu wózkiem - musiała przecież utrzymać otwarte drzwi na tyle długo, żeby wjechać do środka.

Ale jeśli jednak?

No i co z tego, że widziała? Co właściwie mogła zobaczyć? Mężczyznę w prochowcu, kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych. Twarzy nie widziała i nie byłaby w stanie rozpoznać. A ubrania, które miał na sobie tamtego wieczoru, pozbył się od razu - spalił je w starej kotłowni w piwnicy. Kiedy przystępował do gry, wkładał na siebie tanie ciuchy masowej produkcji. Nie był na tyle głupi, żeby ubierać się w swoje eleganckie, szyte na miarę stroje.

Gdyby wiedział, co jest grane, a konkretnie - co policja z Williamstown robi w sprawie Gale Ann - spałby znacznie lepiej tej nocy.

Wyjął z kieszeni klucz i otworzył dolną szufladę biurka, gdzie trzymał jednorazowe telefony na kartę. Włożył jeden do marynarki, zaniknął szufladę, a klucz schował z powrotem do kieszeni.

Dzisiaj po południu weźmie bentleya i wybierze się na długą, miłą przejażdżkę. Może po kilku okręgach. Skontaktuje się z policją z Williamstown, z lokalną prasą i telewizją i spyta o morderstwo Gale Ann. Jeżeli się niczego nie dowie, nie będzie miał wyjścia - wynajmie samochód i ze sfałszowanym prawem jazdy pojedzie do Williamstown, żeby osobiście sprawdzić, jak wygląda sytuacja.

„Jestem dalekim kuzynem ofiary i nie mogę się skontaktować z nikim z rodziny” - tak właśnie powie.

Jak brzmiało panieńskie nazwisko Gale Ann? Przed sporządzeniem szczegółowego planu gry zawsze zbierał wszelkie dostępne informacje na temat swoich ofiar.

Hughes, przypomniał sobie. Gale Ann Cain, z domu Hughes. Jej rodzice nie żyją. Ma jedną siostrę, Barbarę Jean, która nie wyszła za mąż. Sama nie ma dzieci i od ponad sześciu lat jest rozwiedziona.

Intuicji nauczył się słuchać już w dzieciństwie - nie jeden raz uchroniła go przed skutkami ataku wściekłości okrutnego ojca. Później pozwoliła mu zdobyć imponujący wynik dwustu piętnastu punktów w cudownej makabrycznej grze, którą nazywał „Wybieraniem Pięknych Kwiatów”.

Teraz też powinien posłuchać intuicji.

Ostatnie zabójstwo poszło nie tak. Jest jakiś problem. Nie wiedział jaki, ale postanowił, że się dowie.

Griff, Nic i Barbara Jean wrócili na oddział intensywnej terapii. Czekwały na nich dwie pielęgniarki. Jedna zatrzymała Griffina i Nicole w poczekalni, a druga zawiozła Barbarę Jean do sali, w której leżała jej walcząca o życie siostra.

- Co się dzieje? - spytała Nic.

- Państwo z rodziny? - spytała pielęgniarka.

- Nie, nie jesteśmy rodziną. - Nic wyciągnęła odznakę. - Nicole Baxter, agent specjalny Federalnego Biura Śledczego. Współpracuję w tej sprawie z miejscową policją. Muszę przesłuchać panią Cain najszybciej, jak to możliwe. Rozmawiałam z pani przełożoną, siostrą Canton, niecałą godzinę temu i...

Pielęgniarka zmarszczyła brwi.

- Siostra Canton jest teraz zajęta innym pacjentem. Porozmawiam z doktorem Clarkiem, ale to chyba bez znaczenia.

- Dlaczego bez znaczenia? - spytał Griff.

Kobieta odkaślnęła.

- Przykro mi. Nie powinnam była nic mówić. - Wskazała głową drzwi poczekalni. - Niech państwo poczekają na korytarzu. Jeśli mają państwo jakieś pytania, proszę skontaktować się z komendantem policji Mahoneyem.

Nicole wyraźnie nie spodobało się, że miejscowe władze nie poinformowały personelu szpitalnego, iż sprawą zajmuje się FBI.

Griff, widząc jej irytację, delikatnie wziął ją za rękę i wyprowadził na korytarz. Kiedy znaleźli się z dala od rodzin pacjentów, wyszarpnęła dłoń.

- Co ty wyprawiasz? - spytała, patrząc na niego gniewnie.

- Pilnuję, żebyś nie zrobiła afery - odparł. - Naprawdę powinnaś popracować nad swoim wybuchowym temperamentem. To zła cecha, zwłaszcza u agenta federalnego.

Nic aż trzęsała się ze złości. Griff miał wrażenie, że wrzaśnie na cały głos i z uszu pójdzie jej para. Ale ona tylko wzięła głęboki oddech i po chwili wypuściła powietrze.

- Po pierwsze, nie jesteś moim aniołem stróżem - wycodziła przez zęby. - Po drugie, nie miałam zamiaru robić afery.

- Nie wkurzyło cię, że szef miejscowej policji nie poinformował personelu szpitala, że to ty prowadzisz sprawę?

- Współpracuję z miejscową policją. To w takim samym stopniu ich sprawa, jak moja. Zachowujesz się, jakbym była jakimś żółtodziobem, który nie wie...

- Pani Baxter! - zawołał kobiecy głos.

Nic i Griff spojrzeli na drzwi poczekalni, w których pojawiła się pielęgniarka.

- Doktor Clark zgodził się, na wyraźną prośbę pani Hughes, żebyście państwo weszli do sali pani Cain.

- Czy coś się stało? - spytała Nic.

- Wygląda na to, że pani Cain usiłuje coś przekazać siostrze i jest bardzo wzburzona. - Pielęgniarka pokręciła głową. - Obawiam się, że jeśli się nie uspokoi, będziemy musieli ją związać.

Griff chciał zobaczyć Gale Ann Cain, zanim będzie za późno, więc ledwie się powstrzymał, żeby znów nie złapać Nic za rękę i nie pociągnąć jej za sobą na oddział intensywnej terapii. Okazało się, że wcale nie musiał. Agentka Baxter przemierzyła poczekalnię w takim tempie, że pielęgniarka ledwo dotrzymała jej kroku.

Za niecałą godzinę się ściemni. W połowie lutego dni są trochę dłuższe, ale niebo było zachmurzone, więc dziś szybko zapadnie zmrok. Lindsay dziękowała Bogu, że przestało padać. Jechali bez postojów i byli już blisko granicy stanu Kentucky. Do Williamstown powinni dotrzeć najpóźniej o szóstej po południu.

- Niedługo będę musiała zatankować - powiedziała Lindsay. - Skorzystam z toalety i kupię nam hamburgery i colę.

- Zatrzymaj się przy markecie - odparł Judd. - Ja wleję paliwo, a ty przynieś jedzenie. Zjemy po drodze.

- Może być.

- Griff zadzwoni, gdyby ta kobieta umarła?

Lindsay ścisnęła mocniej kierownicę.

- Zadzwoni, jeśli będą jakiegokolwiek wieści, dobre czy złe.

- Hm...

Jechali już od trzech godzin, ale powiedzieli do siebie zaledwie kilka słów. Pełna napięcia cisza była równie męcząca jak gęsta mgła. Cholera! Brakowało im tylko mgły, która opóźni jazdę.

- A jak tam Griffin? - spytał Judd.

Lindsay, zaskoczona pytaniem, odwróciła gwałtownie głowę i spojrzała na niego.

- Patrz na drogę - upomniał ją.

Z powrotem skupiła wzrok na autostradzie.

- Dlaczego pytasz o Griffa? Przecież cię to nie obchodzi?

- Griff to mój dawny przyjaciel. Chyba normalne, że się nim interesuję?

- Griff jak to Griff - odpowiedziała. - W porządku.

- Uprawialiście już seks?

Lindsay zacisnęła zęby. Więc o to tak naprawdę chodziło - po prostu chciał jej dopiec.

- Nie twoja sprawa - odparła.

- Mógłbym dać mu kilka wskazówek, gdyby chciał. Powiedz mu, co lubisz, co cię podnieca, co...

- Do cholery jasnej, zamknij się!

Zachichotał, a jego śmiech był ponury i przeszywający do szpiku kości.

- Jesteś bydlakiem i wiesz o tym, prawda?

- O co chodzi, kochanie? Nie powiedziałaś o nas Griffowi?

- Nie ma żadnych „nas”.

- Ale niewiele brakowało. Miałaś ochotę.

Owszem, miała ochotę. Mało powiedziane - miała wielką ochotę. Była napalona. Zakochała się w Juddzie w ciągu kilku pierwszych miesięcy po zabójstwie jego żony, kiedy ona i jej partner Dan Blake widywali się z nim regularnie. Dan ostrzegał ją, żeby się nie angażowała. Niestety, nie posłuchała jego rad. Już jako dziecko przynosiła do domu

bezdolne psy i koty, pielęgnowała ranne ptaki i stała się przeciwko dręczycielom w obronie dręczonych.

Ojciec twierdził, że ma miękkie serce, zupełnie jak jej matka. Nie mogła znieść widoku cierpiącego stworzenia - człowieka ani zwierzęcia.

A Judd Walker przeżywał męczarnie. Dzień po dniu obserwowała, jak opłakuje swoją żonę, jak coraz bardziej zamyka się w sobie, jak złość - czysta wściekłość - trawi wszystkie inne ludzkie uczucia, aż została w nim jedynie żądza zemsty.

Jej serce krwawiło przez niego. Głupie, poranione serce.

- Czemu nic nie mówisz? - zagadnął Judd. - Wspominasz tamtą noc?

- Nie - odpowiedziała zgodnie z prawdą. - Myślałam o tych miesiącach po śmierci Jennifer, kiedy Dan i ja ciężko pracowaliśmy, żeby odnaleźć mordercę.

- No i minęły prawie cztery lata, a zabójca Jennifer nadal jest na wolności i odrąbuje dłonie, stopy, ręce, nogi, podcina gardła...

- W końcu zostanie złapany i ukarany - powiedziała Lindsay. - Griff i ja złożyliśmy ci obietnicę, której mamy zamiar dotrzymać. A Nic Baxter nie podda się, dopóki nie dorwie tego faceta. Jest zdeterminowana jak Griff i ja, i...

- I ja?

- A nadal jesteś zdeterminowany, Judd? Czy rzeczywiście wciąż ci na tym zależy?

- Nie zależy mi na niczym. Ty powinnaś to wiedzieć najlepiej.

- Ale chcesz, żeby zabójca Jennifer został ukarany, prawda?

- Tak. To jedyna rzecz, jakiej naprawdę pragnę. Przy życiu trzymamnie tylko nadzieja, że pewnego dnia własnoręcznie będę mógł go zabić.

- A jeśli rzeczywiście będziesz mógł go zabić, odrąbać mu dłonie, stopy, nogi, ręce, poćwiartować go na drobne kawałki? Co wtedy?

- Pytasz mnie, czy później będę miał spokój?

- Nie. Pytam cię, co będzie, kiedy stracisz jedyny sens życia?

- Nie wiem - odpowiedział. - I wcale mnie to nie obchodzi.

Ale mnie obchodzi, pomyślała. Mnie obchodzi.

Doktor Clark czekał przy wejściu na salę Gale Ann Cain. Wskazał gestem, żeby cofnęli się o parę kroków, i spojrzął najpierw na Nic, a później na Griffa.

- Stan pani Cain nadal jest krytyczny - powiedział. - Nie ma dużych szans na przeżycie. Stara się coś przekazać siostrze, pokazuje, że chce

mówić. Wyjaśniliśmy jej, że na razie nie możemy odłączyć jej od respiratora. Jest bardzo pobudzona i jeżeli wkrótce się nie uspokoi, będziemy musieli ją związać i podać środki uspokajające. Pani Hughes poprosiła, żebym pozwolił państwu zobaczyć się z jej siostrą, dopóki jest przytomna. Ma nadzieję, że może państwo zdołacie rozszyfrować język znaków pani Cain.

- Znaków? - zdziwił się Griff.

- Pani Cain nie może mówić, więc usiłuje przekazać jakąś wiadomość gestami.

- Kiedy będzie można odłączyć ją od respiratora? - spytała Nic.

Clark pokręcił głową.

- Za wcześniej na tego typu prognozy. Może za kilka dni, a może za kilka tygodni. A może nigdy.

- Chce pan powiedzieć...

- Ma wolę życia - rzekł lekarz. - Jeśli nie będzie w stanie samodzielnie oddychać i będziemy wiedzieć, że nie ma dla niej nadziei...

- Rozumiem. - Nic spojrzała na Griffa.

- Daję państwu pięć minut - powiedział Clark. - Ale jeśli się zdenerwuje, poproszę, żeby państwo wyszli.

Nic skinęła głową.

- Dobrze - zgodził się Griff.

Kiedy weszli do sali, Barbara Jean, która trzymała siostrę za rękę, uniosła głowę i posłała im smutny uśmiech.

- Gale Ann - wyszeptała do siostry. - Są tu agent specjalny Baxter i pan Powell. Powiedz im to, co starasz się powiedzieć mnie.

Miedziane włosy Gale Ann kontrastowały z bielą poduszki, na której leżała. Wielkie zielone oczy, szeroko otwarte, popatrzyły do góry na Nic, a później na Griffa.

Wyszarpnęła rękę z uścisku siostry, uniosła obie dłonie z rozchyłonymi palcami, po czym zacisnęła je w pięści. Po chwili znów rozprostowała wszystkie palce.

- Ciagle tak robi - wyjaśniła Barbara Jean.

Nic przysunęła się do Gale Ann.

- Chce nam pani powiedzieć coś o napastniku?

Gale Ann skinęła głową i powtórzyła gest.

- A może dajmy jej kartkę i ołówek? - zaproponował Griff. - Może zdoła to napisać?

- Próbowaliśmy, ale wychodzą jej tylko bazgrały - odparła Barbara Jean. - A to ją złości jeszcze bardziej.

- Dziesięć palców - powiedziała Nic. - Liczba dziesięć? - spytała. Gale Ann pokręciła głową i jeszcze raz powtórzyła gest dłoni.
- Robi to dwukrotnie - zauważył Griff. - Dwadzieścia.

Gale Ann przytaknęła.

- Co może mieć wspólnego z napastnikiem liczba dwadzieścia? - zastanawiała się głośno Nic.

Gale Ann wskazała swoją głowę i powoli przesunęła palcem wskaźującym po kosmyku włosów.

- Włosy i liczba dwadzieścia - zgadywała Nic.

- To nie ma najmniejszego sensu. - Barbara Jean z bezradną miną spoglądała to na Nic, to na Griffa.

Gale Ann szarpnęła się za włosy i wskazała palcem drugi koniec łóżka. Kiedy zorientowała się, że nikt nie rozumie, co stara się im przekazać, zaczęła gestykulować jak szalona. Chwyliła przewód respiratora i usiłowała wyrwać go sobie z gardła. Barbara Jean wezwała pielęgniarkę.

- Proszę się uspokoić, Gale Ann - powiedział Griff, pochylając się nad łóżkiem.

Nic podbiegła do drzwi.

- Szybko! - krzyknęła. - Pani Cain chce sobie wyrwać respirator.

Zanim Griff zdołał ją powstrzymać, Gale Ann wyrwała rurkę z gardła i łapczywie zaczerpnęła powietrza.

- Dwadzieścia punktów - zdołała wyszeptać. Gdy pielęgniarki i doktor Clark dobiegli do jej łóżka, wydobyła z siebie jeszcze jedno słowo: - Gra.

Jedna z pielęgniarek kazała Griffowi i Nic wyjść, a zaraz za nimi wypchnęła wózek Barbary Jean. Zaciągnięto biały parawan i zamknięto drzwi, które odcięły ich od szaleńczych prób ratowania życia Gale Ann.

- Co panu powiedziała? - spytała Barbara Jean, zanim pytanie to zdążyła zadać Nic.

- Powiedziała trzy słowa - odparł Griff. - „Dwadzieścia punktów” i „gra”.

- Dobry Boże! - Nic spojrzała na niego. Wiedziała, że oboje myślały o tym samym.

- Zabijanie jest dla niego grą - rzekł Griff. - Musiał powiedzieć Gale Ann, że jest warta dwadzieścia punktów.

Nic skinęła głową.

- Cały czas dotykała włosów. To musi mieć jakiś związek. -
Westchnęła głośno. - Była warta dwadzieścia punktów z powodu rudych
włosów.

- W jego morderczej grze rude są warte dwadzieścia punktów.

Rozdział 5

Lindsay i Judd dotarli do szpitala w Williamstown dziesięć po szó-
stej i skierowali się prosto na oddział intensywnej terapii. Kiedy szli
w stronę poczekalni, Lindsay zauważyła na korytarzu Griffa. Stał przy
ścianie i rozmawiał cicho z mężczyzną, w którym rozpoznała agenta
specjalnego Josha Friedmana. Friedman dołączył do zespołu Curtisa
Jacksona trzy miesiące temu, po ostatnim zabójstwie byłej miss. Carrie
Warren miała podejrzięte gardło i wycięty język. Na konkursie Miss
Dixie Belle przed dziesięcioma laty śpiewała arię z opery Pucciniego
Madame Butterfly.

Griff chyba wyczuł, że się zbliżają, bo przerwał rozmowę i spojrzął
w głąb korytarza. Lindsay skrzywiła się, widząc, w jaki sposób na nich
patrzy. Nie ma dobrych wieści.

- Nie żyje - domyślił się Judd.

Lindsay spojrzała na niego.

- Czemu tak myślisz?

- Widziałas minę Griffa.

Chciała powiedzieć, że nie ma pojęcia, o co mu chodzi, ale jaki
sens miałyby robienie Juddowi fałszywych nadziei? Jedno spojrzenie
na twarz Griffina Powella wystarczyło, żeby instynktownie wyczuła to
samo. Gale Ann Cain prawdopodobnie nie żyje.

Agent Friedman skinął Juddowi głową i uśmiechnął się do Lindsay.

- Jak się pani miewa, pani McAllister?

- Jako tako. A pan?

- Podobnie - odparł Josh. - Na pewno jeszcze się zobaczymy. -
Odwrócił się, podał rękę Griffowi i odszedł w stronę wind.

- Ten facet ma na ciebie ochotę - stwierdził Judd. - Kto to jest,
nowy agent Powella?

Zanim Lindsay zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Griff.

- To agent specjalny Friedman. Dołączył do zespołu śledczego przy ostatniej sprawie zabójcy królowych piękności. Pamiętasz Carrie Warren, prawda?

Judd zmrużył oczy i spojrzał gniewnie na Powella.

- Nie pamiętasz jej nazwiska? - prychnął Griff. - No tak, przez większą część listopada i cały grudzień byłeś pijany. Jakim cudem mógłbyś pamiętać cokolwiek z ostatniej sprawy.

- Dla mnie liczy się tylko jedno nazwisko - odparł Judd. - Walker. Griff zacisnął zęby.

Lindsay, chcąc złagodzić narastające napięcie, spytała:

- Co z Gale Ann Cain?

Judd zachichotał, ale jego śmiech był zimny jak lutowa noc.

Griff spojrzał Lindsay w oczy.

- Zmarła około pół godziny temu.

- I zapewne nie opisała zabójcy - domyślił się Judd.

Griff utkwiał wzrok w jego twarzy.

- Masz rację, nie opisała go. Ale przekazała nam pewne ważne informacje.

- Masz całe notesy informacji. - Judd uśmiechnął się kpiąca i pokręcił głową. - Co ci przyjdzie z informacji? Po co ci profil zabójcy? Po co...?

- Mam zostawić tę sprawę? - przerwał mu Griff. - Powiedz tylko słowo, a...

- Daruj sobie te gadki - warknął Judd. - Nie zapominaj, że znam cię nie od dziś. Nie zostawiłbyś tej sprawy, nawet gdyby zależało od tego twoje życie. - Spojrzał na Lindsay. - I ty też nie.

Griff westchnął ciężko.

- Siostra Gale Ann znalazła ją kilka minut po napadzie.

- W takim razie chcę rozmawiać z siostrą - oznajmił Judd.

- Nie dziś - powiedział Griff.

- A niby dlaczego nie dziś?

- Cholera, Judd, ona właśnie straciła siostrę!

- Tak, i jest to ofiara numer który? Dwudziesty dziewiąty? Trzydziesty? Gdybym ja znalazł Jenny kilka minut po napadzie, to... - Judd przerwał. Zacisnął mocno zęby i po chwili spytał: - Czy ona potrafi opisać tego faceta?

Griff ścisnął go za ramię.

- Posłuchaj, Judd. Teraz musisz wyjść ze szpitala. Lindsay zarezerwuje ci pokój w motelu na tę noc albo Carson od razu odwiezie cię

do Tennessee. Postaraj się trochę ochłoniąć, a jutro przyjdź do Przystani Griffina, żeby spotkać się z siostrą Gale Ann, Barbarą Jean.

Lindsay nie wiedziała, że Griff zabrał ze sobą do Kentucky Ricka Carsona. Nie miała też pojęcia, że Barbara Jean Hughes zgodziła się spędzić kilka dni w domu Griffina.

- Więc siostra pani Cain zatrzyma się u nas? - spytała. Jak, do cholery, Griffowi się to udało? Dzięki nieodpartemu urokowi osobistemu, odpowiedziała sobie od razu. Griffin Powell umiał postępować z kobietami.

- Nic Baxter musi być wściekła, że sprzątnąłeś jej sprzed nosa odczynnego świadka - skomentował Judd. - Na pewno zażądała, żebyś się wycofał, a ochronę świadka zostawił FBI.

Kącki ust Griffa uniosły się w pełnym satysfakcji uśmiechu.

- Agent specjalny Baxter przedstawiła pani Hughes korzyści płynące z ochrony FBI. Ale kiedy ja zaproponowałem jej nie tylko mój bezpieczny dom i ochronę, ale również pracę, Barbara Jean stwierdziła, że moja oferta bardziej jej odpowiada.

Ciekawe, jaką pracę Griffin zaproponował Barbarze Jean. Najwyraźniej stanowisko w Powell Agency przeważało szalę na jego korzyść. Lindsay doskonale wiedziała, że Griff utworzyłby dla pani Hughes specjalne stanowisko, byle tylko ją zatrzymać - dzięki temu zyskiwał przewagę nad agentką Baxter. Curtis Jackson nie piał z radości, gdy przez ostatnie trzy lata ciągle wpadał na Powella i jego ludzi, ale Griff i on po prostu się lubili. W przypadku Nic Baxter sympatia nie wchodziła w rachubę. Lindsay zastanawiała się, czy nie zaproponować, by to ona zajęła się Nic, dzięki czemu Griff nie musiałby użerać się z tą kobietą.

- Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie - poprosił Judd. - Czy siostra ofiary widziała zabójcę?

Griff się skrzywił.

- Nie jest pewna.

- Jak to: nie jest pewna?

- To nie pora ani miejsce na dyskusję na ten temat.

Judd wyrwał się z uścisku Griffa. Musiał zdrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy, bo Powell był o dobrych kilkanaście centymetrów wyższy.

- Skoro mnie tu nie chcesz, to dlaczego wysłałeś do mnie Panią Piętaszek? - prychnął.

- Cholera! - zaklął Griff. - Przestań wreszcie stroić fochy. Poskładaj się do kupy, bądź trzeźwy i pamiętaj, że ludzie, którzy usiłują ci pomóc, mają uczucia.

Lindsay oblała się rumieńcem. Griff mówił o niej i wszyscy troje o tym wiedzieli.

- A jeśli już mnie to w ogóle nie obchodzi? - Judd nieco złagodniał.

- Obchodzi cię - odparł Griff. - Gdyby cię nie obchodziło, nie byłoby cię tutaj. Więc przestań się nad sobą użalać i zacznij się zachowywać jak cywilizowany człowiek.

Judd się zjeżył. Lindsay niemal słyszała, jak wrze z wściekłości. Przygotowała się na najgorsze.

Ich uwagę odwrócił odgłos cichego pochlipywania. Przez ułamek sekundy Lindsay czuła ulgę, że coś rozładowało narastające napięcie. Nie miała najmniejszej ochoty rozdzielać Griffa i Judda.

Z poczekalni oddziału intensywnej terapii Nic Baxter wywiozła rudowłosą kobietę na wózku inwalidzkim. Barbara Jean Hughes wycierała zapłakaną twarz chusteczką, którą Lindsay natychmiast rozpoznała jako własność Griffina Powella.

Kiedy agentka FBI i siostra ofiary zbliżyły się, przyjrzała się Barbarze Jean. Była atrakcyjna, ale nie należała do klasycznych piękności. Szczupła, wręcz krucha, prawdopodobnie tuż po czterdziestce.

Nic, o co najmniej dziesięć lat młodsza od kobiety na wózku, była wysoka jak koszykarka i umięśniona jak zapaśniczka. Agentki specjalnej Nicole Baxter nikt nigdy nie opisałby słowem „delikatna”.

- To ta siostra? - odezwał się Judd i zanim ktokolwiek zorientował się, co ma zamiar zrobić, podszedł do wózka Barbary Jean i stanął przed nią. - Widziała go pani? Może pani opisać mężczyznę, który zabił pani siostrę? Tego samego, który zabił Jenny? - Pochylił się i chwycił rączki wózka. - Jeżeli nie pomoże nam pani teraz, zabije kolejną kobietę, zanim zdążymy go powstrzymać. Chce pani tego?

Nic Baxter zareagowała błyskawicznie, ale nim zdążyła dojść do Judda, Griff zacisnął ręce na jego ramieniu i odciągnął go od Barbary Jean. Ta wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w mężczyznę, który na nią naskoczył.

Judd wyszarpnął się i uniósł pięści, chcąc zaatakować Griffa. Lindsay wskoczyła między mężczyzn. Z korytarza niespodziewanie wyłonił się Rick Carson i stanął za szefem.

Judd patrzył gniewnie na Lindsay, ale nie odważył się jej uderzyć.

- Proszę zapanować nad panem Walkerem albo zrobię to ja - oznajmiła Nic.

Griff gestem pokazał Lindsay, żeby się przesunęła, i utkwiał w Judzie ostrze spojrzenie.

- Tego chcesz? Mieć dozór FBI?

Judd nie odpowiedział, ale opuścił zaciśnięte w pięści dłonie. Griff zwrócił się do Lindsay.

- Polecisz ze mną do domu - powiedział. - Juddem zajmie się Carson.

Rick Carson zrobił krok do przodu, ale nie miał zamiaru dotykać Judda, który wyglądał, jakby tylko czekał, żeby wywołać jeszcze gorszą awanturę na szpitalnym korytarzu.

Lindsay podeszła do Griffa i powiedziała cicho:

- Pozwól mi zostać z Juddem. Przecież wiesz, że prędzej pójdziesz ze mną niż z Rickiem.

- Sama widzisz, że jest w gorszym stanie niż ostatnio - odparł. - Stał się niebezpieczny.

- Widzę - przyznała - ale jest niebezpieczny raczej dla siebie samego niż dla innych.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Nigdy dotąd nie okłamała szefa. Nie kłamała i tym razem. Była przekonana, że Judd nie zrobiłby jej fizycznej krzywdy, choć wiedziała, że byłby w stanie zniszczyć ją emocjonalnie.

Griff niechętnie skinął głową.

- Ale uważaj.

- Dobrze.

Griffin odwrócił się do Barbary Jean Hughes, ukucnął i ujął jej dłoń w swoje.

- Przepraszam za to, co się stało. To ten mężczyzna, o którym pani mówiłem, mój dawny przyjaciel. Oszalał z rozpacz, kiedy zabójca królowych piękności zamordował mu żonę.

Gdy opuszczali szpital, Judd był potulny jak baranek. Lindsay niepokoiłaby się znacznie mniej, gdyby w otwarty sposób się stawił. Starła się wymyślić coś, co mogłaby mu powiedzieć, ale miała pustkę w głowie. Na zewnątrz oiało ich mroźne powietrze zimowej nocy. Lindsay zapięła płaszcz i ruszyła w stronę parkingu.

Judd wystawił twarz do wiatru, jakby przenikliwy chłód sprawiał mu przyjemność.

- I co teraz, moja mała wybawicielko? - spytał dziwnie przyjacielskim tonem.

- Najpierw znajdziemy przyzwoitą restaurację i zjemy kolację - odparła. - Później przenocujemy w miejscowym motelu, a rano wrócimy do Tennessee. Mogę cię odwiedzić do leśniczówki, żebyś dalej się nad sobą uzałała... - Zawiesiła głos, spodziewając się zgrzyliwej uwagi, jednak Judd nie zareagował. - A jeżeli jesteś w stanie zachowywać się jak człowiek, zawiozę cię do Griffa i będziesz mógł uczestniczyć w naszym dochodzeniu, tak jak na początku - dokończyła.

- Albo, albo.

- Wybieraj - rzuciła i nie zwalniając kroku, szła do dwupoziomowego parkingu przy zachodnim skrzydle szpitala.

Dogonił ją, zanim dotarła do zaparkowanego na dolnym poziomie trailblazera.

- Mam ochotę na duży, soczysty stek. A ty?

Odetchnęła z ulgą. Nie była pewna, jak Judd zareaguje na to, że ona wydaje rozkazy i stawia mu ultimatum.

- Stek brzmi wspaniale - odpowiedziała.

Wcisnęła guzik centralnego zamka, a Judd podszedł do auta, żeby otworzyć jej drzwi. Zaskoczona tym szarmanckim gestem, spojrzała na niego pytająco.

- Po prostu ci udowadniam, że potrafię być grzecznym chłopcem - wyjaśnił z uśmiechem, ale jego bursztynowe oczy były bez wyrazu.

Skinęła głową.

- Jeżeli zabiorę cię do domu, do Griffa...

- Będę się zachowywał jak człowiek.

- Bo jeśli nie... - Nie, daruj sobie następne ostrzeżenie. Tylko powiedz mi, jak się sprawy mają. - Griff jest twoim przyjacielem, a przynajmniej stara się nim być, choć wcale mu tego nie ułatwiasz. Jeżeli tym razem zawalisz, to będzie koniec waszej przyjaźni. Wykorzystałeś już wszystkie pokłady jego cierpliwości.

- A ty? Ty też odwróciłaś się ode mnie?

Lindsay wsiadła do dzipa i spojrzała na Judda, który stał przy otwartych drzwiach.

- Jeżeli mam ci pomóc jeszcze raz, pomińmy kwestie osobiste.

Skinął głową, zatrzęsął drzwiami, obszedł samochód od tyłu i wsiadł od strony pasażera.

- Nigdy nie powinno było być między nami kwestii osobistych - powiedział. - Jesteś zbyt atrakcyjną kobietą, żeby oglądać się na takiego faceta jak ja. Nie mogę ci nic dać i nigdy nie będę mógł. Wiesz o tym, prawda?

Lindsay włączyła silnik i ścisnęła kierownicę tak mocno, że zbieła jej palec.

- Wiem. Dałeś mi to jasno do zrozumienia.

Wyjechała z parkingu i włączyła się w późnowieczorny ruch.

Rick Carson został w Williamstown. Miał trzymać się blisko Lindsay i być gotowy bronić jej przed Juddem, gdyby zaszła taka potrzeba. Griff nie był pewien, czy jego przyjaciel jest obecnie w pełni poczytamy. Wprawdzie Lindsay, jak na wytrawną policjantkę przystało, dzielnie znosiła wszystko, przez co musiała przejść w ciągu ostatnich trzech i pół roku, jednak Griff wiedział, że jest u kresu wytrzymałości. Ale nie dała za wygraną, kiedy wszyscy inni machnęli już na Judda ręką. I jeszcze raz przekonała Griffa, by dał mu kolejną szansę na to, żeby się pozbierał i zaczął funkcjonować jak człowiek.

Boże, miał nadzieję, że jej wiara w Judda nie jest bezpodstawna.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła Nic Baxter, podchodząc do Griffa z gniewną miną. Miała naprawdę ładną twarz. Szkoda, że tyle kobiecego piękna marnowało się w tej twardej jak stal, niedającej się lubić suce.

Nie odpuściła. Pojechała za nimi na lotnisko. Ciekawe, którego słowa nie zrozumiała z wypowiedzi Barbary Jean: „Jadę z panem Powellem”. Daj jej spokój, upomniał się. Baxter po prostu wykonuje swoją pracę. Curtis Jackson zrobiłby to samo. Staraliby się przekonać Barbarę Jean, żeby zamiast odlatywać w nocy z właścicielem prywatnej firmy detektywistycznej, wybrała ochronę FBI. Dla Curtisa, podobnie jak dla Nic, nie miałyby znaczenia to, że Griff może zapewnić Barbarze Jean całodobową ochronę oraz dać jej pracę, żeby ją czymś zająć i odwrócić jej myśli od tego, że jest kluczowym świadkiem.

- Odupuć sobie, Baxter - powiedział Griff, kiedy Nic do niego podeszła. - Pani Hughes już podjęła decyzję.

Nic z trudem opanowała irytację.

- Rozumiem, że tak samo jak ja chcesz dorwać tego drania, ale winieneś wiedzieć, że twoja ingerencja tylko komplikuje sprawę - burknęła. - Nie podam ci teraz konkretnych przykładów, ale całkiem możliwe, że twoje działania, działania twojej agencji, już utrudniły postępowanie. Dlaczego się po prostu nie wycofasz, żebyśmy mogli spokojnie wykonywać naszą robotę?

- Moja agencja nie zrobiła niczego, co opóźniłoby wasze działania - odparł Griff. - Zadałem o to. Poza tym było kilka sytuacji, w któ-

rych wam pomogliśmy, udostępniając informacje, których nie posiadaliście.

Nic przewróciła oczami.

- Jeśli coś się stanie Barbarze Jean...

- Nic jej się nie stanie.

- Nie masz pewności, że...

- Ty też nie. Ale myślę, że woli zamieszkać w mojej posiadłości i pracować niż dać się zamknąć w jakimś bezpiecznym schronieniu FBI.

- Więc tym ją zwabiłeś! Propozycją pracy... No cóż, pieniądze mogą wszystko, prawda, panie Powell?

- To dlatego tak mnie nie cierpisz... że jestem bogaty?

Nic prychnęła.

- Nie cierpię tego, że wykorzystujesz swoje pieniądze, żeby osiągnąć to, co chcesz.

- Nieprawda. Ty nie znosisz mnie, a nie moich pieniędzy czy wpływów.

- Dobrze, powiem ci, co myślę. Ale niech to zostanie między nami.

- W porządku.

- Myślę, że jesteś wkurzającym, przemądrzałym, aroganckim bydlakiem.

Griff zachichotał.

- A ja myślę, Nicole Baxter, że jesteś zadufaną w sobie, irytującą, zgrywającą się na twardziela suką.

Wpatrywała się w niego przez pełną minutę, a później się uśmiechnęła. Zaskoczyła go. Kiedy się uśmiechała, było w niej coś cholernie pociągającego, coś uderzająco kobiecego.

- Kiedy Barbara Jean będzie gotowa, żeby pracować z rysownikiem...

- Zadzwoń do ciebie.

- Ale najpierw zatrudnisz własnego portrecistę?

- Tak - przyznał. - Oczywiście, gdybyś była skłonna współpracować z mną tak jak ja z tobą nie byłoby to konieczne.

- Wiesz, że to wbrew przepisom.

- A ty nigdy nie łamiesz przepisów?

- Nie. Nigdy.

Griff pochylił się tak, że znaleźli się policzek przy policzku.

- Nigdy nie mów nigdy, skarbie.

Pinkie wynajął starego niepozornego chevroleta w nadziei, że nikomu nie rzuci się w oczy ani on sam, ani jego samochód. Ubrał się w dżinsy, koszulę w kratę i pikowaną kurtkę, którą kupił w markecie Wal-Mart. Miał nadzieję, że wygląda przeciętnie.

Musiał się dowiedzieć, dlaczego w lokalnych i krajowych wiadomościach nie podają żadnych nowych faktów związanych z brutalnym atakiem na Gale Ann Cain. Doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, jeśli sprawdzi to osobiście w Williamstown.

Miejscowe plotki najłatwiej usłyszeć w miejscowej knajpie. Kiedy podjechał przed budynek, zobaczył parkujący nieopodal policyjny samochód. Zastanawiał się chwilę, czy wchodzić. Doszedł do wniosku, że nie ma powodu obawiać się miejscowych stróżów prawa, i wszedł do miejscowej garkuchni jak zwykły facet, który jest w miasteczku przejazdem. Dopisało mu szczęście, bo dostrzegł wolny stolik zaraz za dwoma policjantami jedzącymi późny obiad.

Wysoka koścista kelnerka o krótkich blond włosach z różowymi paśkami dołączyła policjantom kawy i przystanąła obok jego stolika.

- Kawy? - Spojrzała na odwrócony kubek.

Podniósł kubek i uśmiechnął się do niej.

- Poproszę.

Napełniła kubek po sam brzeg.

- Zdecydował pan już, co zamówić? - spytała.

- Jeszcze nie. - Uśmiechnął się do dziewczyny. Zerknął na jej plakietkę z imieniem. - A co pani poleca, Tammy?

- Zależy. Chce pan śniadanie, kanapkę czy zwykły obiad?

- Śniadanie. Może jajka na bekonie.

- Jasne. Tost też? Pszenny czy biały?

- Biały.

Kiedy odeszła, wsypał śmietankę w proszku i cukier do kawy, wsłuchując się w gwar ludzkich głosów, który zlewał się z pobrzękiwaniem naczyń. Nie miał wątpliwości, że tutejsze jedzenie jest paskudne, ale jeżeli dzięki temu zdoła usłyszeć choć strzępy miejscowych plotek na temat niedawnego morderstwa, nie będzie żałował, że musi zniżyć się do poziomu slamsów.

Policjanci rozmawiali o koszykówce, o której Pinkie nie miał zielonego pojęcia. Sportu nienawidził od zawsze. W Szkole Wojskowej Hobart najmniej lubił zajęcia wychowania fizycznego.

Kelnerka podeszła do stolika, przy którym siedzieli policjanci, niosąc dwa talerze. Postawiła dania na stole, ale ociągała się z odejściem.

Wyraźnie flirtowała z jednym z mężczyzn, do którego zwracała się „Mike”.

- Spokojną mieliście noc? - spytała.
- Tak, dosyć spokojną- odpowiedział Mike.
- Ludzie mniej wychodzą od czasu napadu na Cain - dodał jego partner.

Pinkie uśmiechnął się do siebie i podniósł kubek z kawą.

- To było potworne - zagadnęła Tammy. - Wicie, była tu wczoraj pielęgniarka ze szpitala i mówiła, że podobno ten facet odrąbał Gale Ann Cain stopy. To prawda?

- Nie słyszałem pytania - odparł Mike. - Tajemnica służbowa.

- Rozumiem. Tylko wydaje mi się dziwne, że od komunikatu komendanta Mahoneya ani gazety, ani telewizja nie pisnęły na ten temat słowa. Gdyby nie ta pielęgniarka, nie wiedzielibyśmy nawet, że pani Cain przeżyła.

Pinkiemu tak mocno zadrżała dłoń, że oblał sobie kawą palce. Odstawił kubek i wytarł rękę papierową serwetką, mając nadzieję, że nikt tego nie zauważył.

- To już nieaktualne - rzucił Mike.

- Umarła? - Kelnerka westchnęła.

- Cicho siedź, Mike. Nie powinieneś nic mówić o sprawie.

- To nie jest tajemnica - odparł Mike. - Dziś wieczorem komendant wyda oświadczenie.

Serce Pinkiego zamarło na ułamek sekundy. Więc Gale Ann Cain przeżyła? Jak to możliwe? Powinna była wykrwawić się na śmierć. Chyba że ktoś ją od razu znalazł i jakimś cudem utrzymał przy życiu.

Ale to już bez znaczenia. I tak nie żyje.

Podniósł kubek i łyknął kawy.

- Mam nadzieję, że zanim umarła, zdążyła opisać policji tego face-
ta - powiedziała Tammy.

Mike ściszył głos do szeptu.

- Powiem ci coś, ale zachowaj to tylko dla siebie.

Kelnerka skinęła głową. Z jej oczu biło podniecenie.

- Cain nie była w stanie opisać zabójcy, ale podobno widziała go jej siostra i może ona poda jego rysopis FBI.

Pinkie zakrztusił się kawą. Nie spodziewał się, że dowie się czegoś takiego. Siostra? Wysłilił umysł, żeby uporządkować informacje, które właśnie usłyszał. I nagle go olśniło. Siostrą była pewnie kobieta na wózku, którą widział, kiedy wychodził z bloku Gale Ann.

Rozdział 6

Sonya Todd urodziła się i wychowała w Tupelo w Missisipi, było więc całkiem oczywiste, że kiedy skończy studia na uniwersytecie stanowym, wróci do domu. Takie plany mieli wszyscy, łącznie z Sonyą. Ale żeby po ukończeniu studiów zostać nauczycielką w swojej dawnej alma mater - średniej szkole w Tupelo - musiała pokonać drogę, która powinna być krótka i prosta, a okazała się długą, pełną rozczarowań dziesięcioletnią walką. Często zastanawiała się jak potoczyłoby się jej życie, gdyby nie zdobyła tytułu Miss Magnolia. Czy porzuciłaby marzenie o tym, żeby zostać nauczycielką i wybrała karierę skrzypaczki orkiestrowej?

Co stare porzekadło mówi o spoglądaniu w przeszłość? „Gdybanie” nic nie zmieni. Już nigdy nie będzie dwudziestodwuletnią dziewczyną, która nie wie, jak to jest znaleźć się na szczycie. Ale teraz czuła się szczęśliwa, że dostała od losu drugą szansę, i doceniała to, co ma.

Od dwóch lat była dyrygentem szkolnej orkiestry i każdego dnia szła do pracy z pozytywnym nastawieniem i wdzięcznością w sercu. W końcu znów była w domu - tu, gdzie jej miejsce. Mieszkała zaledwie kilka kilometrów od rodziców, w tym samym okręgu co jej dwóch starszych braci z żonami i dziećmi. I po raz pierwszy od rozvodu z Tomem Hardingiem spotykała się z kimś na poważnie.

Spojrzała na trenera szkolnej drużyny baseballowej Paula Dryera i się uśmiechnęła. Paul, tak jak ona rozwiedziony i bezdzietny, miał trzydzieści dziewięć lat i szukał stabilizacji. Sonya również dojrzała do stałego związku, może nawet do powtórnego małżeństwa. Zamierzała mieć też dzieci, ale fakt, że skończyła trzydzieści pięć lat, wcale nie oznaczał, że powinno jej się spieszyć do macierzyństwa. Kobiety po czterdziestce też rodzą, prawda?

- Zespół jazzowy jest znakomity - powiedział Paul, wjeżdżając staroświeckim mustangiem na podjazd domu Sonyi. - Dzisiejszy koncert zagraли jak zawodowcy.

- W zespole jest mnóstwo utalentowanych dzieciaków. Mam nadzieję, że każdy z maturzystów zdobędzie stypendium.

- Oni cię kochają. Chcą, żebyś była z nich dumna.

Paul odwrócił się do Sonyi i spojrzał na nią czule orzechowymi oczami. Kiedy tak patrzyła na niego w półmroku rozproszonym przez światło pobliskiej latarni, pomyślała, że ma całkiem miłą twarz. Nie był

przystojny, w przeciwieństwie do Toma Hardinga, który miał powierchowność amanta.

Paul był wielkim pocziwym misiem, z rzędnącymi brązowymi włosami, policzkami jak pies myśliwski i dużymi, szerokimi ramionami, w których zawsze mogła się schronić. Bez wątpienia był dobrym faceitem. Jak jej tata. I bracia, Charlie i Brady.

- Chcesz wejść na kawę bezkofeinową albo ziołową herbatę? - Wiedziała, że Paul domyśli się, że zaprasza go nie tylko na kawę i rozmowę. Spotykali się od początku roku szkolnego, ale do tej pory nie przespali się ze sobą. Była to jej decyzja. Doceniała cierpliwość Paula, ale zdawała sobie sprawę, że nie będzie czekał w nieskończoność.

- Jesteś pewna? - spytał.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Jestem pewna.

Ucieszył się jak dziecko - wyskoczył z samochodu, obiegnął auto i otworzył drzwi pasażera. Zanim zorientowała się, co się dzieje, wyciągnął ją i postawił na ziemi, po czym złożył na jej ustach delikatny pocałunek.

Odepchnęła go i zadarła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Jeżeli nie chcesz kawy ani herbaty, to mam piwo. Twoje ulubione.

- Piwo zostawmy na później. - Mrugnął do niej, objął ramieniem i poprowadził w stronę ganku.

- Zwolnij, nie nadążam za tobą. Masz o wiele dłuższe nogi ode mnie.

Zachichotał, przystanął, porwał ją na ręce i zaniósł prosto do drzwi.

Czuła się błogo. Przy Paulu. Kochając Paula. Planując przyszłość z Paulem.

Właściwie wiedział, że powinien poczekać jeszcze kilka dni, a nawet tygodni. Ale czas uciekał. Do końca gry zostały niecałe dwa miesiące. Punktów przybywało - ostatnie zabójstwo było warte dwadzieścia.

Ruda. Cholera, ale fart!

Trzydzieści kobiet. Wszystkie były dawnymi królowymi piękności. Wszystkie nadal były atrakcyjne. Blondynki, brunetki i rude.

Westchnął, kiedy w umyśle pojawiły mu się obrazy z ostatniego morderstwa, jak na kolorowej kliszy. Czerwona krew. Mleczna, delikatna skóra. Okazały błękitny dywan.

Co za upojna gra! Plan był genialny od samego początku. Właściwie wcale nie chciał, żeby gra się skończyła. Ale żadna gra nie może ciągnąć się w nieskończoność. Prędzej czy później ktoś musi wygrać. A ktoś inny - przegrać.

Nie miał zamiaru przegrać.

Nie możesz spocząć na laurach, powiedział sobie w myślach. Gdyby udało ci się znaleźć jeszcze jedną rudą... Blondynka też może być. Piętnaście punktów wystarczy. Na razie.

Okręcił się na obrotowym skórzanym fotelu przy swoim jakobińskim biurku, spojrział na monitor komputera i wpisał hasło dające dostęp do ściśle tajnego pliku.

Patrzył, jak dokument się otwiera i na dziewiętnastocalowym monitorze ukazuje się lista dwudziestu nazwisk, adresów i osobistych informacji. Na poszukiwanie idealnych kandydatek poświęcił długie godziny. Szkoda, że nie będzie czasu, żeby zabić je wszystkie.

Wybieraj. Wybieraj.

Który piękny kwiat mam wybrać dzisiaj?

Na liście była tylko jedna ruda.

Zostaw ją na później, w razie gdybyś pod koniec gry potrzebował dwudziestu punktów.

Pięć brunetek i cztery blondynki.

Shelly Hall. Ashley Gray. Sonya Todd. Heather Johnson.

Uderzając wskazującym palcem w brodę, studiowała informacje o czterech blondynkach. Później uniósł palec wskazujący i zaczął odliczać, dotykając ekranu: „ene-due-like-fake”.

Samolot Griffina wylądował tuż przed jedenastą wieczorem. Sanders przyjechał limuzyną i czekał na nich. Griff polegał na Sandersie jak na nikim innym. Powierzyliby mu nawet własne życie, tak był go pewien. Sanders był mu o wiele bliższy niż dawny kumpel z drużyny uniwersyteckiej Jim Norton i dawny przyjaciel od podrywów Judd Walker. Czas spędzony w samym sercu piekła łączy mężczyzn jak nic innego.

- Dobry wieczór, madam - zwrócił się Sanders do Barbary Jean Hughes, kiedy Griff zatrzymał wózek inwalidzki przy tylnych drzwiach.

- Witam. - Barbara Jean z nieskrywaną ciekawością przyglądała się Sandersowi, i nie była to odosobniona reakcja na widok tego wyjątkowego mężczyzny.

- Damar Sanders, madam - przedstawił się.
- Miło mi pana poznać, panie Sanders.
- A to oczywiście pani Hughes - rzucił Griff.
- Proszę mi mówić po imieniu - zwróciła się do Sandersa.

Ten tylko skinął głową.

- Zaniosę panią do samochodu - rzekł Griff. - I proszę się nie przestraszyć. W limuzynie siedzi jedna z moich agentek, Angie Sterling. Angie będzie pani prywatnym ochroniarzem na czas pani wizyty u nas.

Barbara Jean otworzyła oczy szeroko ze zdziwienia. Potem przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Dziękuję. Jestem... wdzięczna za wszystko. Naprawdę. Tylko nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę potrzebowała ochrony. Jestem sparaliżowana, ale nie bezradna. Górną część ciała mam całkiem silną. Mieszkam sama i daję sobie radę, umiem bez pomocy wsiąść na wózek i z niego zejść. Nie straciłam pracy i mogę sobie pozwolić na tak-sówkę, żeby dojechać wszędzie, gdzie muszę.

- Mamy nadzieję, że ochrona nie będzie pani potrzebna długo i niebawem będzie pani mogła wrócić do domu - powiedział Griff. - Ale na razie postaramy się, żeby nie myślała pani cały czas o tym, że pilnuje pani anioł stróż.

Sanders otworzył drzwi. Griff wziął Barbarę Jean na ręce i przeniósł do limuzyny. Zamknął drzwi, a Sanders złożył wózek i wsadził go do bagażnika.

- Możemy jechać? - spytał.

Griff skinął głową.

- Tak. Kiedy wsiądziemy, opuść przesłonę. Muszę wykonać kilka telefonów, a nie chciałybym niepokoić pani Hughes.

Pół godziny później dotarli do posiadłości nazywanej potocznie Kurortem Powella. Oficjalnie posiadłość z częścią Jeziora Douglasa nosiła nazwę „Przystań Griffina”.

Bramę, którą Sanders otworzył elektronicznie z limuzyny, otaczały z obu stron masywne kamienne łuki. Wykuto na nich gryfy z brązu - mityczne postacie z głową, tułowiem i skrzydłami orła, a ciałem, tylnymi łapami i ogonem lwa. Kręta asfaltowa droga od autostrady do domu wiodła przez las, za którym rozpościerał się widok na jezioro. Sam dom nie był olbrzymi, miał trzysta metrów kwadratowych powierzchni i jedno piętro, ale na terenie posiadłości znajdowały się jeszcze inne

budynki: stodoła, stajnie i trzy domki gościnne. Griffin uważał, że jego posiadłość jest w pewnym sensie kurortem. Na pewno była bezpieczna - chroniona przez całą dobę zarówno przez system kamer, jak i strażników.

Tej nocy księżyc przestaniały szare śniegowe chmury, więc drogie oświetlały tylko światła limuzyny. Griffin skontaktował się z Rickiem Carsonem i ze swoim „przyjacielem” z Waszyngtonu, żeby uporządkować wszystkie sprawy przed przyjazdem do domu.

Dom.

Wydawało mu się, że Przystań Griffina jest domem na tyle, na ile męzczyzna jego pokroju może go mieć. Rozległy teren zapewniał mu prywatność i dawał schronienie przed światem, kiedy chciał odciąć się od pracy i życia towarzyskiego. Jeśli chodzi o rodzinę - Sanders był dla niego bratem, chociaż nie łączyły ich więzy krwi, a w ciągu ostatnich lat jak młodszą siostrę zaczął traktować Lindsay.

Kiedy Sanders zatrzymał limuzynę przed piętrowym portykiem, obejrzał się do tyłu i zobaczył, że Barbara Jean śpi. Spojrzał pytająco na Angie, która skineła głową. Griff kazał Sandersowi dodać łagodny środek uspokajający do termosu z gorącą herbatą, który Angie wzięła dla pani Hughes. Chciał, żeby Barbara Jean przespała spokojnie pierwszą noc od czterdziestu ośmiu godzin.

- Pokój pani Hughes jest gotowy - powiedział Sanders. - Mam ją zabrać do domu i położyć do łóżka?

- Tak - odpowiedział Griff, wiedząc, że Sanders dopilnuje, żeby ktoś z obsługi zajął się limuzyną. -I zadbaj o to, żeby Angie wiedziała, że ma pilnować naszego gościa, dopóki nie zmieni jej rano inny agent.

Griff wysiadł z limuzyny, ruszył do drzwi wejściowych i wcisnął kod, który z powodów bezpieczeństwa był co pewien czas zmieniany. Otworzył podwójne drzwi i wszedł do holu, zostawiając je otwarte. Nie skierował się na górę, ale do pokoju po lewej stronie - piętrowego gabinetu z dużym kamiennym kominkiem. Z barku z alkoholem wyjął kryształową szklankę i macallana, dobry rocznik szkockiej whisky. Postawił je na srebrnej tacy, która leżała na stoliku przed skórzaną kanapą koloru leśnej zieleni. Zdjął płaszcz, rękawiczki i szalik, usiadł na sofie i zszedł buty.

Westchnął ciężko i utkwiał wzrok w ogniu buzującym w kominku. Poleciał, żeby zimą w tym kominku paliło się dzień i noc. Często sypiał na tej kanapie, zrobionej dla niego na specjalne zamówienie, bo chciał,

żeby miała dwa metry i dziesięć centymetrów długości. Na górze w sypialni miał wygodne łóżko z pościelą z egipskiej bawełny, ale nie bardzo lubił w nim spać, zwłaszcza gdy był bardzo zmęczony.

Nalał sobie wybornej starej whisky, zanurzył plecy w oparciu kanapy i wziął ze szklanki duży łyk.

Zawsze okazywało się, że życie jest inne, niż się wydaje. Ludzie nigdy nie byli tacy, za jakich się ich miało. Griff oddałby całą swoją fortunę, żeby wymazać z pamięci dziesięć lat, podczas których musiał stawiać czoła śmierci. Został wysłany do piekła i przetrwał, wygrał w diabelskiej grze.

Lindsay myła zęby, gdy usłyszała swoją komórkę. Wybiegła z łazienki i popędziła do sypialni. Sprawdziła, kto dzwoni, i odebrała rozmowę.

- Dzień dobry, Griff.

- Chyba cię nie obudziłem?

- Nie, nie śpię od pół godziny, wzięłam prysznic, jestem ubrana i gotowa zacząć nowy dzień.

- Gdzie Judd?

- W pokoju obok. W każdym razie tam go zostawiłam wczoraj około wpół do dziesiątej, po późnej kolacji.

- W jakim był stanie?

- Trzeźwy.

- To już coś.

- Chcę go przywieźć dzisiaj do Przystani Griffina - oznajmiła. - Nie masz nic przeciwko temu?

- Sam nie wiem. Myślisz, że to dobry pomysł?

- Myślę, że Judd powinien brać udział w dochodzeniu. Niezależnie od tego, jak bardzo się pograżył, a przyznaję, że niewiele brakuje, żeby znalazł się na dnie, nadal chce odnaleźć zabójcę żony. Tylko to trzyma go przy życiu. Nie możemy mu tego odbierać.

- Nikt mu niczego nie odbiera - powiedział Griff. - Za to, w jakim jest stanie, może winić wyłącznie siebie.

- Wiem. Najgorszym wrogiem Judda jest on sam.

- Gdyby miał odrobinę zdrowego rozsądku, otrząsnąłby się i zrozumiał, że ma więcej powodów do życia niż zemsta na zabójcy Jenny.

- Nie zaperzaj się, Griff. To nie ma sensu.

Cisza.

- Mogę go przywieźć do Przystani Griffina? - spytała.

- Jest coś, co powinnaś przekazać Juddowi. Zobaczysz, jak zareaguje, a później sama zdecydujesz, czy powinnaś go tu przywieźć.

- A jeśli zareaguje źle?

- Chyba wiesz, że kazałem Carsonowi cię chronić.

Lindsay przeszła przez pokój, odsunęła brzeg zasłony i wyjrzała przez okno. Obok jej trailblazera stał samochód Carsona. Rick siedział za kierownicą i wyglądał, jakby spał. Przyzwyczała się, że Griff się o nią martwi. Że ją chroni.

Może nie powinna była mu mówić, co zaszło między nią i Juddem w zeszłym roku.

- Wiem, kiedy jestem obserwowana. - Opuściła zasłony. - Rick stoi na dworze. Nie musiał spać w samochodzie.

Griff zachichotał.

- Więc co takiego przekazać Juddowi?

- Barbara Jean twierdzi, że nie jest w stanie rozpoznać mężczyzny, którego widziała, kiedy wchodziła do bloku swojej siostry, bo nie zdążyła mu się dokładnie przyjrzeć. Ale wydaje mi się, że jeżeli będziemy wobec niej cierpliwi, uda nam się wyciągnąć od niej opis na tyle dokładny, żeby zrobić portret pamięciowy.

Lindsay gwizdnęła przeciągle.

- Jak sądzisz, jak Judd zareaguje na tę wiadomość? - spytał Griff.

- Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia - odparła Lindsay. - Nie znam już Judda. Chyba nigdy go nie znałam.

- Na Juddzie świat się nie kończy. Ktoś na pewno doceni, jaką jesteś wspaniałą kobietą.

Słyszając te słowa, poczuła ucisk w żołądku, jak zawsze, kiedy myślała o swoich uczuciach do Judda Walkera.

- Nie robię sobie żadnych nadziei - powiedziała. - Wiem, że Judd kocha tylko Jenny.

- On nie kocha już nawet jej. Nie jest zdolny do żadnych odczuć poza nienawiścią i żądzą zemsty.

- Wiem.

- Nie powinienem był wyznaczać cię do tej sprawy, ale myślałem... Cholera, właściwie nie wiem, co myślałem. Chyba wydawało mi się, że musisz zmierzyć się ze swoimi demonami, pokonać je i wyjść z tego silniejsza.

- Wyhamuj, Griffnie Powellu. Jesteś o krok od tego, żeby ujawnić, jaki jesteś miękki, a tego chyba nie chcesz, prawda?

- Za dobrze mnie znasz.
- Chyba nikt nie zna cię tak do końca.
- Gdybyś zmieniła zdanie, niech Carson przejmie Judda, a ty wróć do domu sama.

- Czy jeszcze coś powinnam wiedzieć albo przekazać Juddowi?

Nie odpowiedział od razu, więc zorientowała się, że nie mówi jej wszystkiego.

- Griff?

- Zabijanie to dla niego gra. Rude są warte dwadzieścia punktów. Tyle zdążyła nam przekazać przed śmiercią Gale Ann.

- Sukinsyn. - Informacje wirowały w umyśle Lindsay. Zweryfikowała niektóre fakty, uporządkowała inne. - Róże! Dla każdej rudej żółta. Różowa dla blondynki, a czerwona dla brunetki. To wiedzieliśmy jakieś dwanaście morderstw temu. Teraz wiemy, że ma system punktowy. Dwadzieścia za rudą. Ile za blondynkę? Za brunetkę? Och, Griff, ile punktów była warta Jennifer Walker?

Judd zamówił duże śniadanie - jajecznicę z trzech jajek, stos naleśników, smażone tarte ziemniaki z cebulą, a do tego bekon i kiełbasę. Jadł łapczywie, jakby umierał z głodu. Lindsay dziobała francuską grzanekę, przyglądając się z fascynacją, jak jej towarzysz pochłania posiłek. Miejscowy Waffle House był najbliższą restauracją, w której serwowano śniadania, a że miejsce to odpowiadało Juddowi, odpowiadało również jej. Najbardziej marzyła o mocnej czarnej kawie. W nocy spała tylko trzy godziny, więc miała dwa wyjścia, żeby utrzymać otwarte powieki - włożyć sobie do oczu wykałaczkę albo rozbudzić się kofeiną.

- Nie jesz. - Judd zmierzył wzrokiem jej talerz.

- Muszę cię o coś zapytać.

Odkroił duży kawałek naleśnika, włożył do ust, pogryzł, przełknął i popił dużym łykiem kawy.

- To pytaj.

- Naprawdę chcesz brać udział w naszym śledztwie w sprawie morderstw królowych piękności?

Judd wzruszył ramionami.

- Pytam poważnie. Jeśli chcesz jechać do Przystani Griffina, musisz mnie przekonać, że nie będziesz szalał.

Judd zachichotał.

Zimny, pozbawiony emocji dźwięk zmroził Lindsay.

- Griffin uważa, że jeżeli Barbarze Jean Hughes da się dość czasu, będzie w stanie opisać mężczyznę, którego widziała, kiedy wchodziła do bloku swojej siostry.

Judd ścisnął widelec tak mocno, że prawie zgiął go na pół. Nagle zdał sobie sprawę z tego, co robi, i otworzył dłoń. Widelec z brzękiem upadł na wyłożoną płytkami podłogę.

- Nie można jej poganiać - ciągnęła Lindsay. - Nie można jej dręczyć. Rozumiesz?

Judd skinął głową. Oczy mu błyszczały, a myśli błędziły Bóg jeden wie gdzie.

- To nie wszystko - dodała Lindsay.

- Mów.

- Przed śmiercią Gale Ann zdołała przekazać Griffowi, że dla tego mężczyzny zabijanie jest grą. - Czekwała na reakcję Judda, ale jego twarz była zupełnie bez wyrazu. - Ona była dla niego warta dwadzieścia punktów, bo miała rude włosy.

Cisza.

Judd wpatrywał się w nią - czy raczej poprzez nią - bo skupiał spojrzenie bursztynowych oczu dzikiego kota na czymś, co widział tylko w swoim umyśle.

- Judd?

Nie odpowiedział.

Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, ale w tej samej chwili podeszła kelnerka z kawą.

- Dolać? - spytała.

Pytanie kelnerki sprowadziło Judda na ziemię. Cofnął dłoń, jakby bał się dotyku Lindsay, i zwrócił się do kelnerki:

- Tak, prosimy. Do pełna.

Kelnerka dolała im kawy i przeszła do klientów przy stoliku obok.

- Wszystko w porządku? - zapytała Lindsay.

- Jasne. Czemu miałoby nie być w porządku?

Nie było i oboje o tym wiedzieli.

- Chcesz jechać do Przystani Griffina i znów stać się członkiem zespołu? Jeżeli tak, musisz mi obiecać, że będziesz zachowywał się jak człowiek.

- Czy Griff tobie pozostawił decyzję?

- Tak.

- Przysięgam, że nie będę świrował i ponaglał pani Hughes. Wierysz mi?

- Tak, ale musisz szczerze odpowiedzieć na jedno pytanie.

- Jakie?
- O czym myślałaś kilka minut temu, kiedy powiedziałam, że dla tego faceta zabijanie to gra i że posługuje się systemem punktów?
- Wiesz, o czym.
- Powiedz to głośno.
- Ile punktów była dla niego warta moja Jenny. - Judd spojrzął na nią gniewnie. - To chciałaś usłyszeć?
- Tak.
- Wytała usta serwetką, zmiała ją w dłoni i rzucił na pusty talerz.
- Możemy jechać?
- Jasne. - Wzięła rachunek i skierowała się do kasy.

Rozdział 7

Spędził noc w tanim motelu w Jackson. Posłużył się fałszywym prawem jazdy i zapłacił gotówką. Jak zwykle w dniu zabójstwa, obudził się wcześniej, nie mogąc się doczekać kolejnego etapu gry. Drogę ze stolicy stanu do Tupelo pokonał bez przygód - autostrada na odcinku między Jackson a Baresville była prawie pusta. W Oxfordzie skręcił na drogę 278, prowadzącą do Tupelo, średniej wielkości miasta w stanie Missisipi.

Dawniej więcej czasu poświęcał na to, żeby przyjrzeć się pięknemu kwiatuskowi, zanim przeciął życiodajną łodygę. Ale to było na początku, kiedy czas nie miał znaczenia, a perspektywa kolejnych lat rozciągała się przed nim w nieskończoność.

Dziwne, że tych pięć lat minęło tak szybko. Przypomniała mu się stara prawda, że kiedy człowiek dobrze się bawi, czas płynie szybko. To, co zaczęło się od żartu, zmieniło się w pasję - bardziej absorbującą niż byłby w stanie sobie wyobrazić. Kto by przypuszczał, że gra w śmierć i życie może się okazać tak emocjonująca?

Udział w tej grze dostarczył mu wrażeń, jakich nigdy wcześniej nie zaznał. I był równie uzależniający jak wszystkie narkotyki, których przez lata zdążył spróbować.

Nie podobało mu się, że gra nieubłaganie dobiega końca. Ale miała się skończyć za niespełna dwa miesiące, a on zamierzał wygrać. Od tego zależało jego życie.

Jadąc wynajętym fordem taurusem ulicą przy której mieszkała Sonya Todd, przypominał sobie informacje, jakie o niej zebrał. Ma trzydzieści pięć lat, jest rozwiedziona, bezdzietna i mieszka sama. Prowadziła orkiestrę w miejscowej szkole średniej, ale dziś była sobota, miał więc spore szanse, że zastanie ją w domu.

Czy powinien skontaktować się z nią w ciągu dnia? Pojawić się w jej życiu jako niegroźny nieznajomy? A może lepiej tylko ją poobserwować i poczekać na idealny moment wieczorem?

Podczas długiej drogi rozważył kilka scenariuszy. W końcu zdecydował, że po prostu zadzwoni do jej drzwi, przedstawi się i spyta o domy na sprzedaż w sąsiedztwie. Jeżeli na czymkolwiek się znał, i to dobrze, to właśnie na aktorstwie. Jako chłopiec zabawiał swoje siostry występami, żeby nie zdręzczały go, nazywając Pulpetem, Tłuszciochem i Parową.

Nauczył się obracać docinki Mary Ann i Marshy w żarty z samego siebie, którymi je rozśmieszał. Uważały go za ucieśznego braciszka, którym łatwo można manipulować. Mary Ann nigdy się nie dowiedziała, że to on otruił jej kota, a Marsha nadal jest przekonana, że suknię balową którą matka kupiła jej w Paryżu - ukradła jedna ze służących.

Ostatnio rzadko widywał siostry, tylko na ślubach, pogrzebach i sporadycznie podczas wakacji. Obie dobrze wyszły za mąż, wydały na świat kilka małych smarkul podobnych do nich samych i obracały się w tym samym towarzyskim świątku, w którym kiedyś brylowała matka.

Na ulicy Sonyi Todd zwolnił niemal do zera, kiedy dojechał do numeru 322. Na ganku stali kobieta w jaskraworóżowym dresie i facet w ciężkiej kurtce. Trzymali się za ręce i z rozmarzeniem patrzyli sobie w oczy. Zwalisty mężczyzna pocałował kobietę i zszedł po schodach na chodnik. W połowie drogi do dżipa zaparkowanego na podjeździe obejrzał się przez ramię, uśmiechnął promiennie i pomachał jej. Kobieta posłała mu pocałunek i również pomachała.

Facet miał szczęście tej nocy, pomyślał Pinkie.

Nieładnie, moja mała różyczko.

Trzydziestokilkuletnia Sonya Todd była zdumiewająco podobna do Miss Magnolia z fotografii sprzed lat, którą ze sobą zabrał. Nadal szczupła i zgrabna, i wciąż była blondynką chociaż nieco ciemniejszą. Ale blondynka to blondynka, nieważne - ciemna czy platynowa. A każda blondynka jest warta piętnaście punktów. Kiedy zabije Sonyę, wyjdzie na prowadzenie i będzie o krok bliżej zwycięstwa.

Przejechał obok domu, rozglądając się na lewo i prawo, jakby szukał właściwego adresu. Później powoli okrążył całe osiedle, dając narzeczonemu czas, żeby odjechał. Kiedy wrócił pod numer 322, miał szczęście, bo Sonya właśnie wyszła do ogrodu po poranną gazetę. Zatrzymał taurusa, opuścił szybę i zawołał:

- Dzień dobry pani!

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Dzień dobry.

- Mogę zająć pani chwilę?

- Jasne, w czym mogę pomóc?

- Jestem w Tupelo w podróży służbowej. - Nie wysiadł z samochodu, zachował dystans, żeby jej nie spłoszyć. - Wygląda na to, że się tu przeprowadzę, więc pomyślałem, że warto obejrzeć kilka nowszych domów w okolicy. Ta dzielnica na pewno spodobałaby się mojej żonie i dzieciom.

- W Tupelo żyje się bardzo miło, a Świerkowe Wzgórze jest wymarzoną dzielnicą dla młodej, dobrze sytuowanej rodziny.

- A co ze szkołą? - spytał. - Mam dziesięcioletnie bliźniaki.

Sonya się uśmiechnęła. Co za słodki uśmiech. Miło patrzeć na kobietę, która nie zapuściła się mimo trzydziestki na karku.

Taka miła, przyjacielska kobieta. Ufna. Nie ma pojęcia, że rozmawia z mężczyzną, który przyjechał do tego miasta tylko po to, żeby dołączyć ją do swojej kolekcji pięknych kwiatów. Pięknych martwych kwiatów.

Zatarła dłonie, bo widocznie było jej chłodno na rześkim powietrzu, i podeszła do skraju podjazdu. Kiedy mówiła mu, że prowadzi orkiestrę w średniej szkole i że ta szkoła jest jedną z najlepszych w okolicy - o ile nie najlepszą w całym stanie - zauważył, że ma smukłe palce i zadbane różowe paznokcie.

Nic dziwnego, była przecież skrzypaczką. Miała nawet ambicje, żeby zostać solistką. Niestety, nie starczyło jej talentu i nigdy nie wzniosła się na wyżyny sukcesu, o jakim kiedyś marzyła.

Przeglądając się pięknym, szczupłym dłońmi, którymi z ożywieniem gestykułowała, myślał o tym, że dziś wieczorem pozbawi ją palców, których używała do tak miernej gry na skrzypcach. Właściwie od-rąbie jej całe ręce.

Judd lekko odchylił siedzenie pasażera, przymknął oczy i zapadł w sen, ledwo przekroczyli granicę stanu Tennessee. Kiedy się obudził,

wyjrzał przez okno i zorientował się, że przejeżdżają przez Knoxville. Rozbudowujące się miasto było rozkopane - rozwój zawsze powoduje konieczność ulepszania i powiększania. Odważył się rzucić krótkie spojrzenie Lindsay. Skupiała się na prowadzeniu samochodu, bo ruch był intensywny. Nie spojrzała na niego.

Znów zamknął oczy.

Niech Lindsay myśli, że nadal śpi. Dzięki temu żadne z nich nie będzie musiało silić się na rozmowę. Napięcie, które panowało od początku ich związku, teraz było jeszcze większe.

Związku? Czy to, co ich łączyło, można nazwać związkiem? Nie byli przyjaciółmi ani kochankami. Nie byli też wrogami, choć gdyby miał być wobec siebie całkiem szczerzy, musiałby przyznać, że chwilami nienawidził Lindsay. Sam nie wiedział, dlaczego, bo przecież nie zrobiła nic, żeby wywołać tak ostrą reakcję z jego strony. A ponieważ w ogóle niewiele był w stanie odczuwać, sam fakt, że Lindsay wzbudziła w nim jakiegokolwiek emocje, poważnie go niepokoił.

Każde nowe zbrodniczo - w sumie dwadzieścia dziewięć, o których wiedzieli - przywoływało wspomnienie pierwszych kilku tygodni po śmierci Jennifer. Ostatniej nocy w motelu w Williamstown nie mógł zasnąć. Myślał o Jenny.

I o Lindsay.

Tak, myślał o Lindsay McAllister.

Przez prawie cztery lata wmawiał sobie, że wspomnienia tych pierwszych kilku potwornych tygodni po śmierci Jennifer miały tyle wspólnego z Lindsay, bo była bezpośrednio zaangażowana w sprawę - jako partnerka głównego detektywa.

Była na miejscu zbrodni, kiedy wtargnął tam jak szaleniec. Zapamiętał tamten wieczór jako jeden wielki koszmar. Jeszcze teraz czuł ciężar szczupłego ciała Jenny, kiedy siedział na podłodze i trzymał ją w ramionach. Czas nigdy nie wymaże z jego umysłu tej krwawej sceny. Wciąż widział odrąbane dłonie Jenny, z paznokciami pomalowanymi lakierem w kolorze koralowej czerwieni. Kochał jej dłonie i długie palce, którymi z łatwością wirtuoza uderzała w klawisze pianina.

Dziwne, ale teraz potrafił myśleć o niej, a nawet o brutalnym morderstwie, nie czując ucisku w żołądku ani w gardle. Kiedyś kochał ją do szaleństwa, a teraz nie czuł praktycznie nic. Tylko czasami dopadały go słodko-gorzkie wspomnienia. A jeszcze dziwniejsze, że jedyną oso-

ba, spośród żywych i martwych, która sprawiała, że w ogóle cokolwiek czuć, była Lindsay.

W tych pierwszych dniach nie odstępowała go na krok. Była na pogrzebie Jennifer, w jego domu, na komisariacie, gdzie bez przerwy wzywano go na przesłuchania. Zawsze w tle, zawsze z sierżantem Danem Blakiem. Ignorował jej obecność aż do pewnego dnia, miesiąc po śmierci Jenny, kiedy po raz kolejny został wezwany na komisariat. Prawnik wyjaśnił mu wcześniej, że mąż zawsze jest uważany za podejrzanego. Sam był prawnikiem, więc powinien był to rozumieć, ale jako wdowiec w żałobie, który z rozpaczy odchodzi od zmysłów, nie mógł pojąć, jak ktoś może podejrzewać, że zrobiłby krzywdę swojej pięknej Jennifer. Ubóstwiał ją, kochał nad życie, a policja ciągle wzywała go na przesłuchania. Z perspektywy czasu rozumiał ich desperację - nie mieli żadnych podejrzanych poza tajemniczym „klientem”, którego nikt nie widział, a z którym Jennifer podobno spotkała się tamtego wieczoru.

Podczas tamtego przesłuchania po raz pierwszy tak naprawdę zauważył Lindsay. Nie jako cień sierżanta Blake'a, nie jako kobietę, której twarz ledwie pamiętał, ale jako osobę.

Przez miesiąc po śmierci Jenny nie przespał spokojnie ani jednej nocy. A każda chwila na jawie była istną torturą. Pamiętał jej śmiech, jej ciepło, kiedy leżała obok niego, pamiętał ją martwą z rękami związanymi nad głową bez dłoni. Ilekroć zapadał w sen, widział jej powleczonej śmiertelną białością twarz na bladuróżowej satynie, którą wyłożona była jej trumna. Wyciągała do niego ręce bez dłoni, błagając, by ją uratował.

Wyczerpany bezsennością i rozpaczą, zjawił się tego dnia na komisariacie w towarzystwie swojego wieloletniego przyjaciela i prawnika Camdena Hendrixa. Poznali się na studiach i choć różniło ich niemal wszystko - Cam wychowywał się w biedzie, bez ojca i postanowił sobie, że pewnego dnia będzie bogaty - szybko się zaprzyjaźnili. Cam był drużbą na jego ślubie.

- Jesteś największym szczęściarzem, jakiego znam. - Poklepał przyjaciela po plecach i pogratulował, kiedy Judd powiedział mu, że Jennifer przyjęła jego oświadczenia.

Cam uwielbiał Jenny -jak każdy, kto jąznał.

Podczas tamtego przesłuchania sierżant Lindsay McAllister jak zwykle była obecna. Cam wspomniął nawet, że młoda policjantka jest całkiem, całkiem, i że chętnie by się z nią umówił. Judd pozostawał obojętnym na uroki Lindsay. Prawie na nianie patrzył.

Porucznik Blake zadawał kolejne pytania, ten same co podczas poprzednich przesłuchań. Przez pierwsze pół godziny Judd odpowiadał spokojnie, ale detektyw nagle zaczął na niego naskakiwać.

- Nie ma pan alibi na czas zamordowania pańskiej żony - powiedział. - I mamy dwóch świadków, którzy widzieli, że kłócił się pan z żoną dzień przed zabójstwem. O co się państwo pokłócili?

- Cholera, mówiłem to panu setki razy - odparł Judd. - O bzdurę. Chciałem pojechać do rodzinnej leśniczówki na weekend, a ona nie. Nie lubiła wsi. Chciała iść na przyjęcie, które urządzali nasi przyjaciele. Stańmo na tym, że damy sobie spokój z jednym i z drugim i po prostu zostaniemy w domu.

To wyjaśnienie - choć zgodne z prawdą i wcześniejszymi zeznaniami Judda - nie zadowoliło Blake'a.

- Pańska żona była piękną kobietą i mężczyźni ją uwielbiali. Musiało to pana niepokoić. Świadomość, że żona jest taką kokietką...

- Moja żona nie była kokietką! - Judd zerwał się z krzesła i doskoczył do detektywa, który zareagował gwałtownie, czym jeszcze bardziej go rozjuszył.

Cam wyciągnął rękę, żeby powstrzymać przyjaciela. Chwycił go za ramię w chwili, kiedy Lindsay McAllister rzuciła się na stół dokładnie przed swoim partnerem, tworząc barykadę między Juddem a porucznikiem.

- Dan, opanuj się! Co za dużo, to niezdrowo! Pan Walker nie powinien przez to wszystko przechodzić. - Broniła Judda, jakby nie miała cienia wątpliwości, że jest niewinny. - Każdy widzi, że kochał żonę i że strasznie cierpi.

Judd pozwolił Camowi zaciągnąć się z powrotem na krzesło. Przez cały czas nie spuszczał wzroku z Lindsay.

- Wystarczy, sierżant McAllister- powiedział Blake spokojnym tonem.

Lindsay cofnęła się od stołu i stała w milczeniu, z zarumienioną twarzą i zacisniętymi zębami.

Nie była ani piękna, ani bardzo zgrabna, ale Cam miał rację - naprawdę mogła się podobać. Patrząc na nią, Judd pomyślał, że pewnie lubi wielkie przestrzenie, wyprawy pod namiot, łowienie ryb i...

Nagle uświadomił sobie, że myśli o niej w sposób, w jaki mężczyzna myśli o kobiecie, którą chce poznać. Zaledwie miesiąc temu stracił żonę, a już inna kobieta wydała mu się atrakcyjna i interesująca.

Boleśnie ścisnęło go w żołądku.

Nienawidził Lindsay McAllister. Nienawidził jej, bo przez nią czuł coś więcej niż żal.

Judd wrócił do rzeczywistości. Otworzył oczy i wyjrzał przez okno trailblazera. Wyjechali z Knoxville i byli teraz na międzystanowej 40, niedaleko zjazdu do jeziora Douglas. Spojrzał na zegar na desce rozdzielczej: za dziesięć dwunasta. Około wpół do pierwszej powinni się znaleźć w Przystani Griffina.

- Kiedy ostatnio widziałaś Cama? - spytał. Przez ostatnie pół roku nawet nie pomyślał o dawnym przyjacielu, a nie kontaktował się z nim przez prawie rok. Jak wszyscy inni, łącznie z Griffem, Cam spisał go na straty.

Lindsay westchnęła.

- Myślałam, że śpisz.

- Nie.

- Widziałam Cama jesienią. Spędził w Przystani Griffina kilka dni. Chodziliśmy na ryby.

- Dziwi mnie, że nie jesteście razem. Zawsze mu się podobałaś.

Lindsay milczała.

- Nie chcesz omawiać ze mną swojego życia prywatnego, co?

Nadal milczała, on jednak nie odpuszczał.

- Skoro nie pieprzysz się z Griffem, a Cam nie został twoim kochankiem, w takim razie pewnie ciągle...

- Wzdycham do ciebie - dokończyła za niego.

- A wzdychasz?

- Spotykam się z pewnym facetem z Knoxville. Jest lekarzem.

- Traktujesz go poważnie?

- Możliwe.

- To dobrze. Zasługujesz na to, żeby być szczęśliwa.

- Dzięki, Judd - mruknęła z przekąsem. - Cieszę się, że tak myślisz.

Zachichotał.

- To zawsze będzie, co? To napięcie między nami?

Cisza.

- Właśnie dlatego cię nienawidzę, wiesz? - oznajmił.

Zaskoczyło go, że na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Kiedyś bez trudu potrafił ją rozdrażnić i zranić. Widać uodporniła się, przynajmniej na niego.

- Chyba powinnam się cieszyć, że jesteś w stanie czuć do mnie cokolwiek, nawet jeśli jest to nienawiść - odparła.

- Nie chcę czuć nic.

- Za bardzo boli?

- Naprawdę mam nadzieję, że ułoży ci się z tym lekarzem.

- Dzięki.

Kłameczuch. Nie chcesz, żeby Lindsay zależało na innym mężczyźnie. Żeby kochała innego mężczyznę.

Nie kochał jej, ale nie chciał, żeby miał ją ktoś inny.

Barbarze Jean trudno było pogodzić się z tym, co wydarzyło się w jej życiu w ciągu kilku ostatnich dni. Wszystko wydawało się nierealne, a najbardziej to, że straciła jedyną siostrę. Od dzieciństwa były z Gale Ann bardzo zżyte, mimo różnicy wieku łączyła je nie tylko siostrzana miłość, ale i przyjaźń. Barbara Jean, starsza o siedem lat, opiekowała się siostrą do czasu wypadku pięć lat temu. Wtedy role się odwróciły.

- Dzień dobry, pani Hughes - powiedział Sanders, wchodząc do kuchni.

- Dzień dobry. - Próbowała się do niego uśmiechnąć, ale jej wysiłki spełzły na niczym.

Krzepki, śniady Sanders skinął grzecznie głową. Przyglądała mu się przez chwilę. Zeszłego wieczoru prawie spała, gdy niósł ją po schodach na górę do niewiarygodnie pięknego pokoju gościnnego. Pomyślała wtedy, że jest bardzo silny, skoro dźwiga sześćdziesiąt kilo żywej wagi bez kropli potu na czole i nawet nie jest mu trudniej oddychać.

Nie znosiła, kiedy jej nadszkakiwano albo robiono zamieszanie z powodu jej kalectwa, ale w silnych ramionach Sandersa czuła się bezpiecznie i po prostu dobrze.

Na funkcjonalnym elektrycznym wózku inwalidzkim bez trudu mogła się poruszać po wszystkich pomieszczeniach posiadłości Griffina Powella na parterze, ale w tym wielkim domu wszystkie sypialnie znajdowały się na piętrze. Rano musiała więc poprosić umięśnionego jak atleta agenta nazwiskiem Shaughnessy Hood, żeby zniósł ją na dół.

Angie Sterling uprzedziła Barbarę Jean, że na dziennej zmianie zastąpi ją Hood, a ona znów zjawi się wieczorem.

- Na razie nie mamy do dyspozycji innej agentki - powiedziała. - Griff wezwał jedną, ale dojedzie tu dopiero jutro.

Pomyślała, że to miło, że Griffin Powell stara się ułatwić jej życie, wyznaczając do jej ochrony kobiety, choć nie martwiła jej płeć ochroniarza, tylko fakt, że naprawdę potrzebuje ochrony przez całą dobę.

- Co ma pani ochotę zjeść na śniadanie? - spytał Sanders.

Rozejrzała się po przestronnej, gustownie urządzonej kuchni.

- Czy pan jest kucharchem, panie Sanders?

- Po prostu Sanders, madam. - Utkwił w niej ciemne oczy, ale nie było to litościwe spojrzenie, jakim często obdarzali ją ludzie, widząc jej kalectwo. - Owszem, w pewnym sensie jestem kucharchem. Jednym z wielu. Często robię śniadanie dla pana Powella i gości, którzy przebywają w Przystani Griffina. Pozostałe posiłki, a czasem też śniadania, przygotowuje zawodowa kucharka.

- Od dawna pracuje pan dla pana Powella?

- Jesteśmy razem od prawie osiemnastu lat.

„Jesteśmy razem”, nie „pracuję dla niego”. Barbara Jean wychwyciła subtelną różnicę między tymi określeniami. Czyżby chciał jej dać do zrozumienia, że jest kimś więcej niż zwykły pracownik?

Dotarło do niej, że uporczywie przygląda się Sandersowi.

- Griffin ma dar przekonywania, prawda? - rzuciła szybko. Sanders nie przestawał się w nią wpatrywać, więc odkaślnęła. - To znaczy jest czarujący, wyrozumiały i...

- Jest dobrym człowiekiem. Chce, żeby była pani bezpieczna, i zrobi wszystko, żeby pani pomóc.

- Mam wrażenie, że on i agentka Baxter uważają, że zabójca będzie mnie szukał. Ale nie jestem w stanie go rozpoznać, więc nie sędzę, żeby ryzykował, usiłując zabić mnie tylko dlatego, że mogłam go zobaczyć kątem oka.

- Ma pani ochotę na naleśniki? - spytał Sanders, jakby nie usłyszał, co powiedziała. - Zostało jeszcze trochę ciasta.

- Nie chcę sprawiać kłopotu.

- Żaden kłopot. - Wskazał ekspres na blacie. - Kawa jest zaparowana. Woli pani obsłużyć się sama czy...

- Poradzę sobie - odpowiedziała. - Dziękuję.

Podjechała na wózku do blatu, sięgnęła po dzbanek i nalała kawy do jednego z kubków stojących obok ekspresu. Ujęła kubek w dłoń, podniosła do ust i wypija łyk. Pyszna.

- Kawa jest naprawdę świetna.

- Hm... - Sanders wyjął z lodówki plastikową miskę.

- Gdzie jest Griffin... pan Powell?
- W biurze.
- Czy mogłabym się z nim zobaczyć? Muszę omówić przygotowania do pogrzebu mojej siostry i...
- Jestem pewien, że już się tym zajął. Na pewno porozmawia z panią przed południem. Teraz jest bardzo zajęty.

Sanders miał specyficzny akcent: brytyjski, ale z jakąś obcą domieszką - może ślad tego, że dorastał w dwujęzycznej rodzinie.

- Czy wie pan, jakiego rodzaju pracę miałabym wykonywać dla Agencji Powella?

- Nie, madam, nie mam pojęcia.

Czyżby się pomyliła, przyjmując propozycję Griffina Powella? Pewnie powinna była zgodzić się na ochronę FBI, ale nie mogła znieść myśli, że ją gdzieś zamkną i będą trzymać w ukryciu. Musiała pochować siostrę. Musiała pracować. I musiała być gdzieś, gdzie będzie nie tylko chroniona, ale gdzie nikt nie będzie jej naciskał, żeby opisała mężczyznę, którego widziała, wchodząc do bloku siostry.

- Czy mogę sama przygotować sobie śniadanie? - spytała. - Lubię być samodzielna, na ile to tylko możliwe.

- Oczywiście - odparł Sanders. - Jestem tu po to, żeby pani pomóc. Proszę mi tylko powiedzieć, czego pani potrzeba, a dopilnuję, żeby pani to dostała.

- Nie jestem bardzo głodna. - Od chwili, kiedy znalazła umierającą siostrę, nie była w stanie nic zjeść. - Chciałabym zrobić sobie dwie grzanki. I poprosiłabym o szklankę soku pomarańczowego, jeśli można.

Sanders pokazywał po kolei, gdzie się co znajduje - spizarnia, lodówka, toster. Kiedy upuściła na podłogę kromkę chleba, podniósł ją i podał jej z uśmiechem. Nie nadmiernie przyjacielskim, ale też nie litościwym. Po prostu z serdecznie uniesionymi kącikami szerokich ust.

Gdy brała kromkę, jego ciemna dłoń otarła się o jej palce. Starła się na niego nie gapić, ale wydał jej się fascynujący. I przystojny w bardzo egzotyczny sposób. W jej umyśle pojawił się obraz Yula Brynnera ze starego filmu *Król i ja*.

Pospiesznie odwróciła wzrok i zajęła się przygotowywaniem śniadania. Kilka minut później, kiedy położyła na talerzu posmarowaną masłem grzankę i podjechała do blatu, żeby postawić go obok kawy i szklanki z sokiem, Sanders odsunął jedno z kuchennych krzeseł tak, żeby mogła ustawić wózek przy stole.

- Mogę się przyłączyć? - spytał, nalewając sobie kawy do kubka.

- Oczywiście.

Usiadł naprzeciw niej i przez kilka minut oboje milczeli. Ona skubała grzanekę i sączyła kawę.

- Tutaj nie musi się pani o nic martwić - zapewnił Sanders. - Załatwimy wszystko, co będzie pani potrzebne.

- Zna pan pana Powella od dawna, więc może jest pan w stanie coś mi o nim powiedzieć?

Nie odezwał się, więc ciągnęła dalej:

- Zgodziłam się przyjechać z nim tu wbrew radom agentki Baxter, bo uwierzyłam, że nie będzie mnie zmuszał, żebym opisała mężczyznę, którego widziałam, wchodząc do domu mojej siostry w dniu, kiedy została... - Z trudem przełknęła ślinę. - Co zrobi, jeżeli nie będę w stanie opisać tego mężczyzny dokładnie, niż to zrobiłam?

- Jest pani pod ochroną Griffina Powella i będzie pani chroniona tak długo, jak długo będzie pani grozić niebezpieczeństwo. Griffin wie, że jeśli będzie pani w stanie opisać tego mężczyznę, zrobi to pani, bo chce pani pomóc znaleźć mordercę pani siostry i powstrzymać go, zanim zabije następną ofiarę.

- A jeśli nie będę potrafiła go opisać?

- To go pani nie opisze.

Nie potrafię. Przysięgam, że nie potrafię.

Nie przyjrzała się temu mężczyźnie, ale prawda - cała prawda - była taka, że wcale nie chciała pamiętać, jak on wygląda, ani przypominać sobie żadnych szczegółów jego twarzy. Griffin nigdy nie zrozumie, jak przerażająca jest myśl, że ten szaleniec może ją zabić, tak jak zabił jej siostrę. Do końca życia nie zdoła zapomnieć widoku Gale Ann związanej i zakneblowanej, z nogami kończącymi się na kostkach.

Nagle poczuła dużą, ciepłą dłoń na swojej drżącej ręce. Przeniosła zamglony od łez wzrok z dłoni Sandersa na jego twarz. Bez słowa wyjął z kieszeni płócienną chusteczkę i delikatnie otarł jej łzy.

Rozdział 8

Judd był ostatnio w Przystani Griffina na początku zeszłego roku, wkrótce po tym, jak została zamordowana dwudziesta trzecia królowa piękności.

Nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska. Cholera, nie pamiętał nazwiska żadnej z nich.

Tylko Jenny.

Była miss Tennessee Jennifer Mobley Walker, lat dwadzieścia dziewięć, żona znanego prawnika z Chattanooga Judsona Walkera V.

Dziwne, ale nie pamiętał dokładnie jej twarzy. Wyobrażenie Jenny zamazywało się stopniowo i zorientował się, że coś takiego się dzieje, dopiero kilka miesięcy temu, kiedy o niej pomyślał i nie był w stanie przywołać obrazu kobiety, którą kiedyś tak bardzo kochał. Przekopał starą leśniczówkę w poszukiwaniu jej zdjęcia - wszystkie biurka, szafki, szuflady. Ale dopiero gdy rozwalił ścianę w jednym z napadów pijackiej furii, uświadomił sobie, że w leśniczówce nie ma zdjęć Jenny.

Po zaledwie jednej wizycie w domku myśliwskim Walkerów oznajmiła kategorycznie, że nie cierpi tego miejsca.

- Boże, Judd, to stara rudera, w dodatku na takim zadupiu.

Ludzie myśleli, że on i Jennifer stanowili idealną parę, i rzeczywiście pod wieloma względami tak było. Na pewno ładnie się razem prezentowali. Złota para Chattanooga. Ulubieńcy towarzystwa.

I byli zakochani. Szalenie zakochani.

Ale ich zainteresowania często kłóciły się ze sobą i najczęściej kończyło się tak, że Judd robił to, co chciała Jenny. Ona uwielbiała przyjęcia, on ich nie cierpiał. On uwielbiał weekendy za miastem, ona nie znosiła przyrody. On lubił spokojne wieczory w domu, tylko we dwoje, ją ciągnęło do ludzi.

- Minęło trochę czasu, prawda?

Pytanie Lindsay ściągnęło Judda z powrotem na ziemię, odrywając go od myśli, które lepiej zostawić w przeszłości... z Jenny. Dopiero niedawno odważył się przyznać, że gdyby jego żona żyła, musieliby ciężko pracować nad swoim małżeństwem. Czasami sama miłość to za mało.

- Tak, trochę minęło, odkąd byłem u Griffa.

- Wiele się nie zmieniło - powiedziała.

- Domyślam się, że wszystkim nadal zajmuje się Sanders.

- Griff ufa mu bezgranicznie. - Lindsay podjechała pod dom. - Jeśli chcesz, możesz wysiąść i wejść do środka. Ja muszę odstawić auto do garażu.

- To nawet masz własne miejsce w garażu?

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków - odparła. - To garaż na dziesięć samochodów. Parkuje tam każdy agent, który przyjeżdża do Przystani Griffina.

- Ale tylko ty tu mieszkasz.
Zatrzymała trailblazera przed schodami prowadzącymi na ganek.
- Griff będzie chciał cię od razu zobaczyć - rzuciła, ignorując zaczepkę Judda.

- Wielki człowiek chce mnie nauczyć porządku?
- Coś w tym rodzaju.

Judd otworzył drzwi, wysiadł i pochylił się tak, żeby wsadzić głowę do dziupa.

- Ile Griff wie o tym, co zaszło między nami pół roku temu?
- Tyle, ile musiał wiedzieć.

Judd prychnął.

- Chyba nie powiedziałaś mu wszystkiego?

Spojrzała na niego z bólem w niebieskich oczach. Chciał jej powiedzieć, że bardzo mu przykro. Ale nie zdobył się na to.

- Jeżeli powiedziałaś mu wszystko, to mi się dostanie - rzekł tylko.

- Tego właśnie chcesz? Żeby ci się dostało od Griffa? Dlatego to zrobiłeś?

- Nie. O tym pomyślałem później. Wtedy chodziło mi tylko o to, żeby skutecznie cię od siebie odstraszyć.

Odsunął się, wyprostował i zatrasnął drzwiczki. Zanim zdążył się odwrócić, Lindsay odjechała.

I odstraszył ją, tyle że nie na dobre. Ale mieli półroczną przerwę. Po tych sześciu miesiącach on powinien mniej jej nienawidzić i mniej się jej bać, a ona powinna zrozumieć, że miłość do niego jest najbardziej niszczącą rzeczą w jej życiu.

Judd wszedł po schodach na ganek i zadzwonił do drzwi. Czekał, zacierając dłonie, żeby je rozgrzać. Wiatr wiejący od pobliskiego jeziora sprawiał, że temperatura w tym regionie była o kilka stopni niższa niż w Knoxville. A w lutym w północno-wschodnim Tennessee pogoda bywa nieprzewidywalna. Jednego dnia deszcz, następnego słońce. Jednego dnia mogło być piętnaście stopni, a następnego zimny front przynosił opady śniegu.

Kiedy zaczęła chuchać na zmarznięte dłonie, drzwi otworzyły się. Sanders skinął mu głową.

- Dzień dobry, panie Walker. Proszę wejść do gabinetu Griffina. Zna pan drogę. Powiem mu, że pan przyjechał.

- Dzięki. - Judd wszedł do holu. - Jak leci, Sanders?
- Dość dobrze, dziękuję, sir.

- Powiesz mi, co szykuje Griff? - spytał Judd. - Będzie łatać mnie kołem czy tylko ma wypiąć tyłek i wymierzy lekkiego kopniaka?

Sanders powstrzymał uśmiech.

- Nie mam pojęcia, sir. Ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że zamierza z panem porozmawiać na temat tego, jak zachowywać się w obecności pani Hughes. A...

- A?

- A reszta to nie moja sprawa.

- Wydawało mi się, że wszystko, co wiąże się z Griffinem, jest twoją sprawą, zwłaszcza Lindsay McAllister, bo obaj macie na jej punkcie lekkiego bzika.

Sanders uniknął wzroku Judda i ruszył w stronę gabinetu.

- Powiem Griffiniowi, że pan jest.

Judd znał drogę do gabinetu Griffa. Był w tym domu wiele razy, zarówno przed ślubem, jak i po śmierci Jennifer.

Ale ani razu w trakcie małżeństwa.

Drzwi gabinetu były uchylone. Judd pchnął je i wszedł do pokoju. W kamiennym kominku z trzaskiem paliły się drewniane szczapy. Staroświecki zegar na gzymsie wybił jedenastą.

Zawsze lubił ten pokój - z drewnianą boazerią, solidną skórzaną kanapą i fotelami - właśnie dlatego, że nie było w nim nic kobiecego. Każdy mężczyzna potrzebuje w swoim domu jednego pomieszczenia, które byłoby tylko jego. W rodzinnej posiadłości Judda w Lookout Mountain, wzniesionej przez jego dziadka, był podobny pokój. Judd uwielbiał go i spędzał w nim dużo czasu zarówno w dzieciństwie z dziadkiem, jak i później, gdy odziedziczył dom. Ale Jennifer nie chciała mieszkać w „zagraconym mauzoleum” i uparła się, żeby kupić luksusowy apartament w centrum miasta, który urządzili w jej ulubionym nowoczesnym, minimalistycznym stylu.

- Powinieneś się ostrzec - oznajmił Griffin.

Judd spojrzął na starego przyjaciela.

- W dzisiejszych czasach wielu mężczyzn nosi długie włosy. Podobno kobiety uważają, że to pociągające.

Griff prychnął.

- Masz gdzieś, jak wyglądasz. To dlatego nosisz siano na głowie, te stare ciuchy i nie ogoliłeś się rano.

- Ale przynajmniej jestem czysty. Przynic wziąłem.

- Powiniem ci podziękować?

- Słuchaj, jeżeli nie chcesz mnie tu widzieć, pojedę - obruszył się Judd. - Wiem, że dałeś mi szansę więcej razy, niż powinien. Jeśli wykorzystam całą twoją cierpliwość, po prostu mi to powiedz.

- Możesz zostać, ale pod pewnymi warunkami. Będziesz w stanie je spełnić?

- Jeżeli te warunki mają coś wspólnego z Lindsay...

Griffin obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- Jak mogłeś zranić ją w ten sposób? Wiedziałeś, co do ciebie czuje.

- Przecież jej nie prosiłem, żeby się we mnie zakochała, prawda?

Nie moja wina, że...

- Brednie! Zależało ci na jej trosce, chciałeś tego, zabiegałeś o to.

Judd chciał zaprzeczyć tym zarzutom, ale nie był w stanie się odezwać. Czyżby naprawdę wykorzystywał Lindsay? Czyżby naprawdę zabiegał o troskę, jaką mu okazywała?

- Nie zdawałem sobie sprawy, że być może podświadomie potrzebowałem jej troski - przyznał. - Słuchaj, przeszłości nie cofnę, ale mogę ci przyrzec, że nigdy więcej jej nie zranię.

- Więc zostaw ją w spokoju.

- Próbowałem, pół roku temu.

Złość w stalowoniebieskich oczach Griffina była niewątpliwie ostrzeżeniem.

- Powinieneś dostać baty za to, co zrobiłeś.

- Podobno nic ci nie powiedziała.

- Bo nie powiedziała.

- To skąd...

- Znam Lindsay - odparł Griff. - I wiem, że stałeś się bydlakiem bez uczuć. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, że mało brakowało, żebyś ją zgwałcił.

- Gwałt to mocne słowo. Ja nie... - Judd odkaślił. Nie chciał myśleć o tym, jak ohydnie zachował się wobec Lindsay, jaki był wobec niej okrutny. - Pohamowałem się i do niczego nie doszło.

- Poniżyłeś ją. Złamałeś jej serce. To, że jesteś wdowcem, któremu zamordowano żonę, wcale nie usprawiedliwia tego, jakim człowiekiem się stałeś. Myślisz, że jesteś pierwszym mężczyzną, który stracił ukochaną kobietę?

- Rozumiem, że na twoje współczucie nie mam co liczyć.

- Bardzo dobrze rozumiesz. Jeśli chcesz brać udział w dochodzeniu, będziesz musiał mi udowodnić, że na to zasługujesz. I pamiętaj, że jeśli

o mnie chodzi, jest to twoja ostatnia szansa. - Griff spojrział Juddowi w oczy. - Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Więc uwolnij Lindsay ze swoich emocjonalnych więzów. Ale jest jeszcze kilka innych spraw...

- Za wszelką cenę chcesz postawić na swoim, prawda? - Judd zdobył się na niepewny uśmiech.

- W stu procentach. - Napięcie Griffa ustąpiło. - Barbara Jean Hughes przebywa tutaj pod moją ochroną. Nie będziesz jej zadreślał pytaniami ani niepokoił w żaden sposób. Inaczej osobiście cię stąd wyrzucę.

- Powiedziała ci coś więcej? Podała rysopis faceta, którego widziała w bloku siostry?

- Nie. Jeszcze nie. I nie mam zamiaru jej naciskać. Jeżeli nie będzie czuła presji, może przestanie się tak bać i zdoła zmierzyć się z prawdą, którą zna.

- Będę się trzymał z daleka od pani Hughes. - Judd uniosł dłoń jak do przysięgi. - Dwa warunki mamy z głowy, ile jeszcze zostało?

- Czy przesadzę, jeżeli cię poproszę, żebyś ściął włosy, ubrał się w coś porządne i codziennie się golił?

Judd zauważył, że kącki ust Griffa uniosły się w lekkim uśmiechu, i zrozumiał, że jeszcze jest nadzieja na przyjaźń między nimi. Starych przyjaciół, takich jak Griffin czy Camden, traktował przez ostatnie lata okropnie. Wykorzystywał ich zaufanie. Wystawiał na próbę ich cierpliwość. Odsunął ich od siebie. Wszystko przez to, że się nad sobą użalał.

- Może pójdziemy na kompromis - zaproponował. - Będę się codziennie golił.

Griff skinął głową.

- Jeszcze jedno. Chcę, żebyś przeprosił Barbarę Jean.

- Dobrze - zgodził się Judd i spojrzął na Griffa pytająco.

- Zastanawiasz się, czemu nie każę ci przeprosić Lindsay?

- Tak.

- Bo na to już raczej za późno.

Delikatne pukanie do uchylonych drzwi gabinetu przerwało im rozmowę.

- Pani Hughes do ciebie.

Judd i Griff odwrócili się i zobaczyli Sandersa, a przed nim kobietę na wózku. Judd, który poprzedniego dnia nie przyjrzał jej się dobrze, teraz zauważył, że jest bardzo atrakcyjna. Pod czterdziestkę, z krótkimi

rudymi włosami i ciepłymi orzechowymi oczami, w których dostrzegł smutek - taki sam, jaki kiedyś sam poznał.

- Proszę do środka - powiedział Griff.

Sanders wszedł za Barbarą Jean, która wjechała do gabinetu, ale zatrzymała się nagle, dostrzegłszy Judda.

- Nazywam się Judd Walker. - Nie miał zamiaru do niej podchodzić. - Chcę panią przeprosić za moje wczorajsze zachowanie. Proszę mi wybaczyć, że panią przestraszyłem.

Zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów, po czym utkwiała wzrok w jego twarzy.

- Ten sam mężczyzna - powiedziała - który zamordował moją siostrę, zabił wcześniej pańską żonę. Rozumiem, że zależy panu na tym, żeby go odnaleźć i postawić przed sądem.

- Dziękuję pani za wyrozumiałość - odparł Judd.

- Proszę do środka - powtórzył Griff i spojrzął na Judda. - Może pójdziesz z Sandersem. Pokaże ci twój pokój. Lunch będzie o pierwszej. Chciałbym, żebyś zjadł z nami.

Judd skinął głową, uśmiechnął się do Barbary Jean i wyszedł z gabinetu, a Sanders podążył za nim.

- Gdzie Lindsay? - spytał go.

- Na spotkaniu z agentami Powella.

- Wielka narada wojenna?

- Ustalają sprawy związane z całodobową ochroną pani Hughes i przygotowują się do spotkania z Griffinem dziś po południu - wyjaśnił Sanders. - Domyślam się, że pan również weźmie w nim udział.

- Tylko jeżeli będę grzeczny i spełnię warunki.

- Tak powinno być. - Sanders okrążył Judda i stanął przed nim. - Proszę tędy.

- Powiedz mi tylko, który to pokój. Nie musisz mnie odprowadzać.

- Gdzie pański bagaż? - spytał Sanders.

- Nie mam bagażu.

- Rozumiem. Proszę zrobić listę potrzebnych rzeczy, a ja...

- Na pewno przybory do golenia - wszedł mu słowo Judd. - Obiecałem Griffowi, że będę się codziennie golił.

- Bardzo dobrze, proszę pana. Proszę za mną.

Judd wzruszył ramionami i ruszył po schodach za Sandersem.

- Coś mnie ostatnio nie lubisz, prawda?

- Tak, sir.

Judd zachichotał.

- Przez Lindsay?

- Tak, sir.

- Nie wiem, czemu zawracała sobie mną głowę, skoro ma ciebie i Griffa i owinięła was sobie wokół małego palca.

Sanders zignorował tę zjadliwą uwagę i otworzył drugie drzwi z prawej strony.

- Przyniosę zestaw do golenia, żeby mógł się pan ogolić przed obiadem. A co z ubraniami?

- Przyślą mi parę rzeczy z Chattanooga. - Judd stuknął obcasami i zasalutował.

Sanders rzucił mu miazdzące spojrzenie, po czym odwrócił się i odszedł.

Judd kiedyś spytał Griffa, jak się poznali i jakim sposobem tak szybko się zaprzyjaźnili. Odpowiedź go zaskoczyła.

- Poznaliśmy się w piekle i połączyliśmy siły, żeby walczyć z diabłem.

Griffin postawił wózek Barbary naprzeciwko sofy i usiadł tak, żeby byli zwrócenii twarzami do siebie. Siedziała z lekko pochyloną głową i wzrokiem utkwionym w podłogę. Odkasznęła parę razy.

- Podoba się pani pokój? - zagadnął.

- Tak, bardzo, dziękuję.

- Nie ma pani nic przeciwko temu, żeby dzisiaj ochraniał panią Shaughnessy?

Pokręciła głową.

- Nie, jest bardzo miły.

- Jeżeli czegoś pani potrzebuje, proszę powiedzieć.

- Sanders wspomniał, że zajął się pan przygotowaniami do pogrzebu Gale Ann. Czy to prawda? - Spojrzała na niego z tysiącem pytań w zażawionych oczach.

- Pozwoliłem sobie zadzwonić do zakładu pogrzebowego w Williamstown - odpowiedział Griff. - Ciało pani siostry zostanie wydane dopiero po sekcji zwłok, mamy nadzieję, że w miarę szybko, ale nie ma wielkiego pośpiechu. Może pani podjąć wszelkie decyzje, które uzna pani za stosowne. A jeżeli chce pani, żebym czymś zajął się ja, chętnie to zrobię.

- Dziękuję. Było mi ciężko po śmierci rodziców, kiedy Gale Ann i ja musiałyśmy się wszystkim zająć, ale nigdy nie sądziłam, że... - głos

uwiązał jej w gardle. - Jestem starsza, więc byłam pewna, że to ja umrę pierwsza.

Griff wyciągnął ręce i ujął drżące dłonie Barbary Jean.

- Proszę nie liczyć się z kosztami pogrzebu. Judd i ja zapłacimy za wszystko.

- Pan i pan Walker? Nie... nie rozumiem.

Do tej pory Judd nie płacił za pogrzeb żadnej z ofiar, ale Griff zamierzał go skłonić do pokrycia części kosztów pogrzebu Gale Ann. Był to jeszcze jeden sposób, żeby przywrócić starego przyjaciela do świata żyjących.

- Zarówno Judd, jak i ja jesteśmy bardzo bogaci - wyjaśnił Griff. - Pogrzeb pani siostry nie będzie pierwszym, za który płacimy. - Małe kłamstwo. On sfinansował dziesięć pogrzebów. Dla Judda ten będzie pierwszy.

- Ale dlaczego miałyby pan...

- Ze względu na pamięć żony Judda, Jennifer, która była również moją przyjaciółką. - I dlatego, że mam tyle forsy, że nie wydałbym jej, choćbym żył tysiąc lat, dodał w myślach.

- To bardzo miłe z pana strony... i ze strony pana Walkera. - Spojrzała Griffowi w oczy, jakby chciała sprawdzić, czy nie ma jakiegoś tajemniczego powodu, który skłania go do takiej hojności.

Ścisnął jej dłonie, po czym uwolnił z uścisku.

- Nie ma w tym żadnych podtekstów.

- Nie chciałam, żeby pan pomyślał, że panu nie ufam. Jest pan taki miły i hojny, a ja... nie potrafię opisać tamtego mężczyzny. Naprawdę nie potrafię. On mi tylko mignął przed oczami i...

- I nie będziemy już do tego wracać. Chyba że przypomni sobie pani coś więcej. Tutaj, w Przystani Griffina, nikt pani nie będzie naciskał, Barbaro Jean. Jest tu pani po to, żeby odreagować i dojść do siebie po druzgocącym doświadczeniu. A kiedy będzie pani gotowa zacząć pracę, proszę dać znać.

Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze, wzdychając z ulgą.

- Zwariuję, jeżeli nie będę miała nic do roboty. Mogę zacząć, jak tylko będzie pan w stanie coś mi zlecić.

- Nie musi się pani śpieszyć. Potrzebuje pani czasu, żeby uporać się z tym, co stało się z Gale Ann.

- Praca bardzo by mi pomogła. Chciałabym zacząć od jutra rana. Griff skinął głową.

- Dobrze. W takim razie od jutra zacznie pani szkolić Sandersa.

Przechyliła głowę i spojrzała Griffowi w oczy.

- Zatrudnił mnie pan, żebym szkoliła Sandersa? W jakiej dziedzinie?
- Obsługi komputera. Jest kompletnym ignorantem, jeśli chodzi o komputery.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumie pani.

Otworzyła szeroko oczy.

- Sanders nie jest moim służącym. Jest moją prawą ręką. Chcę, żeby radził sobie z informatyką. Przez lata nie chciał nawet podejść do komputera, ale w końcu zdołałem mu wytłumaczyć, że jeżeli chce mi pomagać lepiej niż do tej pory, musi się przełamać.

- Cóż, w Honeywell pracowałam jako informatyk i programistka, więc wydaje mi się, że dość szybko zdołam zapoznać Sandersa z podstawami obsługi komputera. Sprawia wrażenie bardzo inteligentnego.

- Jest naprawdę bystry - zapewnił Griff. - Tylko trochę staroświecki, no i ma swoje nawyki.

- Z przyjemnością zostanę jego nauczycielką.

- Świetnie. - Griff wstał. - Teraz przekażę panią Shaughnessy'emu. Może się pani poruszać po całej posiadłości, o ile będzie z panią ochroniarz. - Podeszedł do drzwi, otworzył je i przywołał Hooda, który czekał w końcu korytarza. - Jeżeli będzie pani czegoś potrzebować, proszę dać znać.

- Dziękuję, panie Griffin. Jest pan dla mnie bardzo miły.

Griff patrzył, jak jechała korytarzem w stronę solarium, a Shaughnessy szedł kilka kroków za nią. Kiedy zniknęli mu z pola widzenia, odszukał Sandersa, którego zastał przy jednym z trzech komputerów w profesjonalnie wyposażonym domowym biurze.

Sanders chciał wstać z obrotowego krzesła, ale Griff pokazał mu gestem, żeby się nie podnosił.

- Rozmawiałeś z panią Hughes? - spytał Sanders.

- Tak, rozmawiałem.

- I?

- I od jutra rana zaczynasz lekcje obsługi komputera, więc staraj się udawać, że nie masz o tym zielonego pojęcia.

- Przecież mogłeś jej zlecić cokolwiek innego... Dlaczego ma uczyć akurat mnie i w dodatku czegoś, co doskonale umiem?

- Bo musiałem jej dać pracę, a w agencji ani w domu żadnej pracy nie ma, więc wymyśliłem coś, na czym się zna.

- Postaram się nie zdradzić - zapewnił Sanders.

- Wierzę ci bezgranicznie.
 - A ja tobie.
- Griff skinął głową.
- Mamy pod naszym dachem troje zranionych ludzi. Chciałbym wierzyć, że zdołamy jakoś im pomóc.
 - Walkera zostawiam tobie - oznajmił Sanders. - Dla mnie to, co zrobił Lindsay, jest niewybaczalne. A jeśli chodzi o naszą Lindsay... Sama musi sobie pomóc i pogodzić się z tym, że Walker jest, jaki jest, a nie taki, jakim chciałaby go widzieć.
 - A co z Barbarą Jean?
 - Zrobię wszystko, co mogę, żeby pomóc jej przetrwać kilka następnych tygodni. Jestem pewien, że to wspaniała kobieta.
- Griff obrzucił przyjaciela badawczym spojrzeniem.
- Podoba ci się.
 - Jest sympatyczna.
- Griff się uśmiechnął. Pierwszy raz widział, żeby Sanders zainteresował się kobietą inną niż Lindsay. Ale Lindsay traktował jak córkę, a zainteresowanie Barbarą Jean nie wyglądało na ojcowskie.

Rozdział 9

Domowe biuro Griffina mogło konkurować z każdą profesjonalnie wyposażoną firmą. Znajdowały się tam wszelkie najnowocześniejsze urządzenia, a umeblowano je, nie licząc się z kosztami. Imponujące pomieszczenie było odbiciem natury właściciela. Judd podziwiał Griffina Powella, gdy ten był gwiazdą drużyny uniwersyteckiej, ale wtedy jeszcze go nie znał. Poznali się dopiero osiem lat temu na jakimś przyjęciu, kilka miesięcy po tym, jak Griff wrócił po tajemniczej dziesięcioletniej nieobecności. W okolicy wrzało od plotek na temat tego, gdzie się podziewał i jak dorobił się fortuny tak ogromnej, że dorównał majątkiem najbogatszym ludziom w kraju. Judd i Griff mieli wiele wspólnych zainteresowań i obu uważano za najbardziej rozchwytywanych kawalerów w stanie, nic więc dziwnego, że zostali serdecznymi przyjaciółmi.

Gdy w pogodne dni Judd spacerował po lesie wokół rodzinnej leśniczówki, wracał myślami do starych dobrych czasów, kiedy on, Griff

i Cam Hendrix byli niemal nierozłączni. Często uganiali się za tą samą dziewczyną, czasami tylko po to, żeby się przekonać, który pierwszy zdoła się z nią umówić. Jedną z tych dziewczyn była Jennifer Mobley, piękna i świadoma swojej urody. Judd nie wiedział, dlaczego najpierw zgodziła się na randkę z Griffinem. Nie był zazdrosny o żadnego ze swoich przyjaciół, dopóki do ich życia nie wkroczyła Jenny. Na drugą randkę umówiła się z Camem, co jeszcze bardziej zaostrzyło apetyt Judda. Nie wiedział, czy z którymś uprawiała seks. I nie chciał wiedzieć. Nigdy nie spytał o to ani ich, ani Jennifer. Z nim poszła do łóżka dopiero na piątą randkę. Do tego czasu odchodził od zmysłów, bo pragnął jej tak, że poszedłby do niej po rozżarzonych węglach.

- Proszę wszystkich, żeby weszli i zajęli miejsca. - Polecenie Griffina sprowadziło Judda na ziemię.

Środek pomieszczenia zajmował wielki stół, a za nim na ścianie zabudowanej półkami umieszczono dwa telewizory plazmowe, odtwarzacz DVD i odtwarzacz CD. Lindsay i Rick Carson usiedli naprzeciw siebie na skórzanych obrotowych krzesłach. Griff zajął miejsce przydzielone. Judd chciał podejść do pustego krzesła obok Lindsay, ale widząc wyraz dezaprobaty na twarzy Griffa, cofnął się o kilka kroków i wysunął krzesło na drugim końcu stołu.

Powell uniósł plik teczek, które wcześniej położył przed nim Sanders, i powiedział:

- W tych teczkach znajdują się wszystkie informacje dotyczące zabójstw królowych piękności, które nasza Agencja zgromadziła w ciągu ostatnich trzech i pół roku.

Odłożył plik, otworzył teczkę znajdującą się na wierzchu i wyjął z niej kilka zdjęć z miejsca zbrodni. Przekazał fotografie Lindsay, która podała je przez stół Juddowi. Ten z kolei wręczył zdjęcia Rickowi Carsonowi, ledwie rzuciwszy na nie okiem. Każde przedstawiało inną rudowłosą ofiarę. Jedna miała poderżnięte gardło, drugiej odrąbano nogi tuż pod kolanami, a trzeciej odcięto język i wbito nóż w serce.

- Dla naszego zabójcy każda z tych kobiet była warta dwadzieścia punktów - powiedział Griff. - Wiemy to dzięki ostatniej ofercie, Gale Ann Cain, która zdołała nam przekazać, że wycenił ją na dwadzieścia punktów, bo miała rude włosy. - Rozejrzał się dookoła stołu, przenosząc wzrok z Lindsay na Judda, a później na Ricka. - Co wynika z tej informacji?

- Że facet posługuje się systemem punktowym - powiedział Rick.

- Że skoro rude są warte dwadzieścia punktów, to blondynki i brunetki też są warte ileś punktów. - Lindsay pokręciła głową. - Ten męczyzna gra w jakąś chorą, perwersyjną grę.

- I co z tego wynika? - spytał Judd.

Griff spojrzał mu w oczy.

- Nie wiem.

- Ale im lepiej poznamy zabójcę, tym większe szanse, że dowiemy się, kto nim jest - uznała Lindsay.

Judd chrząknął.

- Masz coś do powiedzenia? - zapytał go Griff.

- Tylko tyle, że po trzech i pół roku Agencja Powella i FBI są dokładnie w tym samym miejscu, co wtedy, kiedy ten psychopata zabił Jennifer.

- Niezupełnie. - Griff spojrzał na zdjęcia leżące na stole. - Czy znamy nazwisko tego mężczyzny? Nie, nie znamy. Czy wiemy, gdzie go szukać? Nie, nie wiemy. Ale wiemy o nim sporo, a Derek Lawrence, który tworzył profile przestępców dla FBI, skorygował profil naszego zabójcy.

- I co z tego? - rzucił rozgoryczony Judd, ale po chwili zreфлекtował się. - Przepraszam. - Popatrzył na Griffa, a potem na Lindsay, która nawet nie spojrzała w jego stronę. - Chodzi o to, że - znów spojrzał na Griffa - masz tu kobietę, która mogłaby opisać tego faceta.

- Nie mamy stuprocentowej pewności, że mężczyzna, którego widziała, wchodząc do bloku siostry, to morderca - odparł Griff. - A poza tym możliwe, że Barbara Jean nie będzie w stanie powiedzieć nam o nim więcej niż to, co już powiedziała: średniej budowy, średniego wzrostu, w kapeluszu, płaszczu i okularach przeciwsłonecznych, być może brunet.

- Gówno - burknął Judd. - No dobra, przepraszam. Będę się zachowywał porządnie, ale nie możecie oczekiwać, że nie będę kwestionował waszych decyzji.

- Jeżeli Barbarę Jean zostawi się w spokoju, żeby mogła poczuć się bezpiecznie i pewnie, może przypomni sobie więcej szczegółów związanych z tym mężczyzną. - Griff zebrał zdjęcia rudowłosych ofiar i schował je z powrotem do teczki.

- Ale ile będziemy czekać, aż ona sobie coś przypomni? - drażył Judd.

- Tyle, ile będzie trzeba.

- Ty się z nią cackasz, a zabójca królowych piękności wybiera następną ofiarę.

- Bardzo prawdopodobne - przyznał Griff.
- Szkoda, że nie jesteśmy w stanie rozszyfrować, jak wybiera ofiary - stwierdził Rick Carson. - Chodzi mi o jakieś inne kryteria niż tylko to, że wszystkie były kiedyś laureatkami konkursów piękności, nie skończyły jeszcze czterdziestki i zachowały atrakcyjny wygląd.

- Zanim uzyskaliśmy informację od Gale Ann, nie wiedzieliśmy, dlaczego wybiera tylko dawne królowe piękności - przypomniała Lindsay. - Zastanawialiśmy się, czy w przeszłości łączyło go coś z kobietą, która została miss, i oczywiście nadal nie wykluczamy takiej ewentualności. Ale teraz wiemy, że to jest dla niego gra, w której stosuje system punktowy, według koloru włosów kobiety.

- Nasuwa się pewne pytanie. - Griff zmierzył wzrokiem salę, zatrzymując spojrzenie na każdym z uczestników spotkania, ale nikt nie zabrał głosu. - Czy to jest jedyny gracz w tej śmiertelnej grze?

Cisza.

Mrożąca krew w żyłach cisza.

Po raz pierwszy od wejścia do biura Lindsay spojrzała Juddowi w oczy.

- Mój Boże, myślisz...?

- Jak dotąd, nie ma dowodów, że mamy do czynienia z więcej niż jedną osobą - przypomniał im Rick.

- Może zabójca ma rozdwojenie jaźni i gra z samym sobą - zasugerował sarkastycznie Judd.

- A może walczy z przeciwnościami, pokonuje własne słabości i chce się zmierzyć z FBI - spekulował Rick. - Do niektórych gier wystarczy tylko jeden gracz: do pasjansa, rosyjskiej ruletki, wielu gier wideo.

- Trafna uwaga. - Griff wziął kolejną teczkę i przejrzał zawartość. - Na chwilę obecną trzymajmy się założenia, że zabójca królowych piękności działa sam, że gra w swoją śmiertelną grę, w której za każde morderstwo zdobywa punkty. W takim razie pojawia się pytanie: czy ustalił liczbę punktów, którą zamierza osiągnąć, i wtedy w końcu przestanie zabijać?

- Nie sądzę, żeby seryjni mordercy byli w stanie przestać zabijać - powiedziała Lindsay. - Instynkt zabijania nie zanika, pragnienie mordu musi być zaspokajane wciąż na nowo.

- Przecież nie wiemy, czy to jego pierwsza gra, a jeżeli nawet pierwsza, to czy ostatnia. - Griff czekał na reakcję innych.

- Nie wzięliśmy... - Lindsay przerwała - ...w każdym razie ja nie wzięłam pod uwagę takiej możliwości. Jeżeli rzeczywiście tak jest, po zdobyciu określonej liczby punktów skończy tę grę i zacznie następną.

- I co, teraz będziemy zgadywać, jaki jest jego wymarzony rezultat? - wtrącił Judd. - Co zyskamy, jeżeli stwierdzimy, że jest to, dajmy na to, pięćset punktów? Czy to nas do niego przybliży? - Odsunął krzesło, wstał i włożył ręce do kieszeni znoszonych dzinsów. - Macie tu jakąś kawę? Napiłbym się czegoś mocniejszego, ale zadowolę się dawką kofeiny.

Griff wskazał Juddowi ekspres do kawy.

- Sanders zaparza dzbanek kawy, kiedy wie, że będziemy korzystać z biura.

Judd podszedł do ekspresu, uciekając od jałowej dyskusji. Był zaangażowany w dochodzenie od dnia, kiedy wynajął Agencję Powella. Przez prawie trzy lata żył tylko tym, wierząc, że każdy nowy strzęp informacji przybliży ich do zabójcy Jennifer. Dał sobie spokój w połowie zeszłego roku, krótko po kolejnym morderstwie. Nie pamiętał nazwiska ofiary ani szczegółów, pamiętał tylko, że po jej zamordowaniu upił się i był pijany przez wiele dni. A później napadł na jedyną osobę, która nigdy nie machnęła na niego ręką.

Judd wynajął Griffina Powella dwa miesiące po zabójstwie Jennifer. Dał mu prawo dysponowania całym swoim majątkiem i poprosił, by użył wszystkich wpływów i powiązań, żeby śledzić to, co robi FBI. Kazał poruszyć niebo i ziemię, by schwytać człowieka, który zabił Jenny.

Doskonale wiedział, że sierżant Lindsay McAllister uważała go za pogrążonego w rozpaczyny wdowca, który kochał żonę i chce odnaleźć jej zabójcę. Ale tylko Griff, dzięki intuicji i bacznej obserwacji, zorientował się, że Lindsay się w nim zakochała. Sam Judd nawet nie podejrzewał, że to ze względu na niego rzuciła pracę w wydziale dochodzeniowym policji w Chattanooga i przeniosła się do Agencji Powella.

Pamiętał, jak kilka lat temu Griff podzielił się z nim swoim przypuszczeniem na temat przyczyn decyzji Lindsay.

- Jest w tobie zakochana - powiedział.

- Co?

- Lindsay chce pracować dla mnie, żeby uczestniczyć w sprawie zabójcy królowych piękności.

- To chyba jasne. To było jej pierwsze zadanie jako detektywa, ale szybko się zorientowała, że policja i FBI działają nieporadnie i nie są

w stanie odnaleźć mordercy Jenny, więc postanowiła zająć się tą sprawą razem z Agencją Powella.

Griff pokręcił głową.

- To tylko połowa prawdy. Jak myślisz, dlaczego to dla niej aż tak ważne? Dlatego, że zrobiła coś nie do pomyślenia: zakochała się w mężu - czyżnie, który nadal kocha swoją zmarłą żonę.

- Chyba oszalałeś. Lindsay nie jest...

- Jest. I prędzej czy później oboje będziecie musieli zmierzyć się z tym faktem.

- Nie ma się z czym mierzyć - odparł Judd. - Lubię Lindsay. Przez cały czas stała po mojej stronie i doceniam to, ale jeśli chodzi o coś więcej... Nie teraz. Nigdy. Ja chcę tylko odnaleźć zabójcę Jenny, żeby zapłacić za to, co jej zrobił. Nie liczy się nic innego ani nikt inny.

- Ty to wiesz i ja to wiem, ale zakochana kobieta widzi to, co chce widzieć i wierzy w to, w co chce wierzyć. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale przez ostatni rok szukałeś wsparcia Lindsay, oczekiwałeś od niej pomocy, kiedy znalazłeś się na dnie. Jej pewnie się wydaje, że gdy zabójca Jennifer zostanie schwytyany i ukarany, będziesz w stanie zacząć wszystko od nowa, być może z nią.

- Nie sądzę, żeby była na tyle głupia - powiedział Judd. - Przecież wie, że moje życie skończyło się w dniu, kiedy umarła Jennifer.

Griff prychnął.

- Głupi jesteś ty. Nie umarłeś razem z Jennifer. Twoje życie się nie skończyło. Tylko zmieniło. Na gorsze. Chęć zemsty rozumiem doskonale, wierz mi. Ale prędzej czy później będziesz musiał zrobić krok do przodu, zbudować nowe życie i...

- Daruj sobie kazania! Nie będziesz mi dyktował, co mam myśleć i czuć. - Chwycił Griffina za kłapy marynarki i spojrział mu gniewnie w oczy. - Nie rozumiesz? Ja poza złością nie czuję nic. Jestem martwy.

- No to mi cię żal, przyjacielu. Wiem aż za dobrze, że nienawiść i pragnienie zemsty utrzymują cię na nogach tylko do pewnego momentu, a później będziesz musiał zacząć żyć na nowo. Jeśli nie...

Judd puścił marynarkę Griffina i wygładził kłapy.

- Porozmawiaj z nią, dobrze? Daj jej do zrozumienia, że nie powinien stracić czasu, czekając, aż zacznie mi na niej zależeć.

Dotyk dłoni Lindsay przywołał go do rzeczywistości.

Jej uścisk był delikatny, a zarazem stanowczy.

- Nic ci nie jest? - spytała.

Nie odwracając się, strącił jej dłoń z ramienia i sięgnął po dzbanek.

- Chcesz kawy?

- Nie, dziękuję.

Nalał kawy do jednego z kubków stojących na stole, uniósł go do ust i wziął łyk.

- Jeśli nie chcesz, nie musisz uczestniczyć w początkowych sesjach, mogę ci je później streścić - powiedziała Lindsay. - Przejrzymy wszystkie znane informacje, dodamy nowe i zobaczymy, czy pojawi się jakiś pomysł.

Judd popatrzył ponad jej ramieniem na prostokątny stół, przy którym siedzieli pogrążeni w rozmowie Griff i Rick.

- Właściwie nie wiem, co ja tu w ogóle robię. Powiniennem być zostać w leśniczówce.

- Nie wracaj tam - poprosiła. - Zostań. Pomóż nam. Pomóż sobie.

- Przestań być tak cholernie troskliwa - wycedził przez zęby.

- A ty przestań być dupkiem.

Judd uśmiechnął się szeroko.

- Jesteś o wiele twardsza niż kiedyś. Czy to moja zasługa?

- Możesz ją sobie przypisać.

Skinał głową w stronę stołu konferencyjnego.

- Może babranie się w starych faktach i mieszanie ich z nowymi zostawimy im? Ja wkładam kurtkę i idę na spacer. Chcesz iść ze mną?

Przyjrzała mu się badawczo, jakby chciała ocenić, czy może mu ufać.

- Zapomnij o tym pytaniu - mruknął. - To chyba zły pomysł.

- Nie, tylko mnie zaskoczyłeś. Chcesz kogoś, żeby porozmawiać, czy potrzebujesz milczącego towarzystwa?

- Gadanie jest przereklamowane. A w tej sytuacji na pewno w niczym nie pomoże.

- Idź - powiedziała. - Ja muszę uprzedzić Griffina, że wychodzę, i cię dogonię.

Judd skierował się do drzwi.

- Do zobaczenia na kolacji! - krzyknął do Griffa, zanim wyszedł.

Griff uniósł głowę, wpatrywał się w niego przez chwilę i wrócił do rozmowy z Rickiem. Judd zamknął za sobą drzwi i przeszedł przez kuchnię do tylnych schodów. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego zaproponował Lindsay spacer. Słowa wymknęły mu się z ust, zanim zorientował się, że naprawdę pragnie jej towarzystwa.

W motelowym pokoju przebrał się w niepozorny szary dres, szarą wełnianą czapkę i białe adidasy, a później wrócił na Świerkowe Wzgórze. Zaparkował samochód kilka przecznic od alei Wschodu Słońca i pobiegł chodnikiem, pozdrawiając po drodze tych, którzy pozdrowili jego. Przypuszczał, że ludzie biorą go za nowego sąsiada, którego jeszcze nie zdążyli poznać. Większość nawet go nie zapamięta. Nie zwolnił, mijając dom numer 322, ale zauważył, że chłopak Sonyi Todd znów jest u niej. Jeżeli ten niedźwiedź zostanie na noc, będzie musiał zmienić plany. Nie cierpiał, kiedy sprawy toczyły się nie po jego myśli. Ale nie miał zamiaru wyjechać z Tupelo bez tych piętnastu punktów, których tak rozpaczliwie potrzebował.

Jeżeli nie dziś wieczorem, to jutro.

Po zmierzchu wróci, rozejrzy się wokół jej domu i obmyśli plan działania.

Wsiadł do samochodu, otarł spoconą twarz ręcznikiem, który zabrał z motelu, i uruchomił silnik. Kiedy sięgał do dźwigni biegów, zabrzączała jego komórka.

Kto to, do cholery?

Tylko jedna osoba ma ten numer.

Wyjął telefon ze stojaka na napoje, do którego go wrzucił.

Po co on do mnie dzwoni?

Nie odbieraj.

Dźwięki piosenki, która stała się sławna kilka lat temu, kiedy Bert Parks prowadził konkurs Miss Ameryka, rozbrzmiewały nadal, a on wpastrywał się w telefon w swojej dłoni. W umyśle powtarzał słowa: „Oto jest, Miss Ameryka”. Wybrał tę właśnie melodię jako dzwonek swojej komórki po pierwszym zabójstwie, gdy niemal pięć lat temu zaczynała się gra. Idealnie dobrana piosenka. Za kilka miesięcy gra dobiegnie końca i wybierze inny dzwonek - może taki, którym uczci swoje zwycięstwo.

Lindsay szła obok Judda wysypaną zwirem ścieżką, która wiodła przez las do starej przystani nad jeziorem. Wałacy się hangar na łodzie stał bezużytecznie, ale Griff nie zwracał sobie głowy rozbiieraniem go. Zostawił też starą, zniszczoną stodołę. Poza nową drogą prowadzącą od autostrady do domu i poza samym domem niewiele zmieniono, od kiedy nabył te tereny.

Mroźny zimowy wiatr poruszał konarami drzew i szczypał Lindsay w blade policzki. Pewnie zaróżowiły się od zimna - było to przekleń-

stwem każdego, kto miał wyjątkowo jasną karnację. Wydawało jej się, że jest około czterech stopni, ale kiedy zajdzie słońce, temperatura szybko spadnie i pewnie do rana będzie mróz.

Zawsze lubiła przebywać na dworze i spędziła wiele szczęśliwych godzin na łowieniu ryb i biwakach z ojcem. Kilka razy w Chattanooga spadło tyle śniegu, że udało im się ulepić bałwana. Co roku wyciągali ze strychu sanki pamiętające jeszcze dzieciństwo jej taty i zjeżdżali na nich ze wzgórza koło domu.

Szczęśliwe wspomnienia.

Rodziców straciła wcześniej, ale przynajmniej dorastała w domu pełnym miłości i śmiechu. Chciałaby mieć kiedyś własne dzieci i podarować im takie szczęśliwe dzieciństwo, jakiego sama zaznała.

Ale zanim będzie w stanie myśleć o małżeństwie i dzieciach, musi przestać kochać Judda Walkera.

Od kwadransa żadne z nich nie odezwało się słowem. Próbując naśladować długimi krokami Judda, od czasu do czasu ukradkiem spoglądała na niego. Dlaczego żaden inny mężczyzna nie wywarł na niej takiego wrażenia? Nie była piękną jak Jennifer Mobley Walker, ale zawsze cieszyła się powrotem u płci przeciwnej. Narzeczonych miała już od przedszkola, lecz dopóki w jej życiu nie pojawił się Judd, nigdy nie była szalenie zakochana.

„Szalenie” to właściwe słowo, pomyślała.

Jej miłość do Judda ocierała się wszak o szaleństwo.

Gdyby jakkolwiek mężczyzna zrobił jej to, co on zrobił, nie tylko znienawidziłaby go na zawsze, ale prawdopodobnie wpakowałaby go za kratki. Judda kochała tak, że wybaczyła mu, że okazał się dupkiem. I w pewnym sensie rozumiała, dlaczego tak ją potraktował. Chciał ją od siebie odsunąć - co mu się udało, przynajmniej na chwilę.

Przez ostatnie pół roku starała się wymazać to zdarzenie z pamięci, udawać, że nic się nie stało. W końcu uporała się z samą sobą i nawet zaczęła się umawiać z doktorem Nathanem Klyce'em. Wiedziała, że powinna zakończyć związek z Nathanem, zanim sprawy zabną za daleko. Była nieuczciwa, robiąc mu nadzieję, chociaż cały czas kochała innego mężczyznę.

Idiotka!

Każda rozsądna kobieta uciekałaby co sił w nogach od kogoś takiego jak Judd, który balansował między normalnością a szaleństwem, i budowałaby związek z facetem takim jak Nathan - ustatkowanym, dobrym mężczyzną, na którym można polegać.

Doszła do wniosku, że nie jest rozsądna. Ani zrównoważona emocjonalnie.

Ale co ma zrobić, skoro nie może się uwolnić od chorej miłości?

Chyba nic nie przyniesie jej otrzeźwienia, skoro nie otrzeźwiło jej to, co wydarzyło się pół roku temu. Pod koniec lata, kiedy Judd spędził w Przystani Griffina dwa tygodnie, poprosił, żeby odwiozła go do leśniczówki. Robiła to już wcześniej wiele razy. I tak jak wcześniej, spędziła tam noc. Ale ta noc stała się dla niej przekleństwem - prześladowała ją, dręczyła i złamała jej serce.

Nie myśl o tym.

- Można wejść do środka? - spytał Judd, przystając przed hangarem na łodzi.

- Co? - Odezwał się po tak długim milczeniu, że się przestraszyła.

- Szedłem tą drogą już kilka razy, ale nigdy nie zająrzałem do środka. Chyba się na nas nie zawali? - Wskazał głową rozpadający się budynek.

- Nie sądzę - odparła. - Ale po co chcesz tam wchodzić?

Wzruszył ramionami.

- Tak sobie.

Przeglądała mu się, kiedy odsuwał ciężki drewniany skobel. Otworzył skrzypiące drzwi i wszedł do ciemnego wnętrza. Ona zawahała się. Kiedy ostatnim razem byli sami w ciemności...

- Wchodzisz? - spytał.

- Jasne. - Zebrała się na odwagę i weszła do hangaru. Przystanąła kilka kroków za wejściem.

Łagodne popołudniowe słońce sączyło się do środka przez liczne szpary w rozeschniętych drewnianych ścianach i popękanych cedrowych klepkach na dachu. Lindsay przyjrzała się pustemu wnętrzu oblepionemu niezliczoną ilością pajęczyn. Powietrze było przesiąknięte zapachem wilgoci i stęchlizny.

- Chyba od wielu lat nikt tu nie zaglądał - zauważył Judd.

- Trochę przerażające, nie sądzisz? - Lindsay poczuła dziwny dreszcz.

Odwrocił się i spojrzał na nią.

- Przeraza cię miejsce, czy może to, że jesteś ze mną sam na sam?

- Nie boję się być z tobą sam na sam.

Podszedł do niej, a ona całą siłą woli włożyła w to, żeby nie uciec. Kiedy zatrzymał się niecały krok przed nią, uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

Roześmiał się.

- Przypominasz mi małego chihuahue, któremu się wydaje, że jest rottweilerem.

Lindsay się obruszyła.

- Niech cię nie zwiedzie mój niski wzrost.

Judd zmniejszył i tak niewielką przestrzeń między nimi, podchodząc tak blisko, że prawie się dotykali.

Spokojnie, dziewczyno, ostrzegła się w myślach.

Pochylił głowę tak nisko, że jego oddech łaskotał ją w usta i mieszał się z jej własnym.

- Przyrzekam, że nigdy więcej nie zrobię nic, czym mógłbym cię zranić. - Podniósł głowę i cofnął się o krok.

Lindsay wypuściła wstrzymywany do bólu oddech. Starając się powstrzymać łzy, które popsułyby wizerunek twardej kobiety, z trudem przełknęła ślinę i skinęła głową. Na nic więcej w tej chwili nie potrafiła się zdobyć.

- Jestem podłym bydlakiem i nie zasługuję na takich przyjaciół jak ty i Griff.

Odpowiedz mu, do cholery!

- Masz rację, nie zasługujesz. Ale potrzebujesz nas.

- Tak, chyba tak.

- Griff z tobą rozmawiał, prawda? Te przeprosiny to jego pomysł? - spytała. - Postawił ci to jako jeden z warunków, żebyś mógł zostać w Przystani Griffina i brać udział w dochodzeniu?

Wyciągnął rękę i grzbietem dłoni pogładził ją po policzku.

- Przeprosiny były szczere. - Odsunął dłoń. - Ale nie doszukuj się w tym niczego więcej. To były tylko przeprosiny, nie wyznanie miłosne.

Myślała, że Judd już niczym nie może jej zranić, ale właśnie się przekonała, że jest inaczej. Tyle że tym razem rana została zadana nieświadomie.

- Rozumiem - powiedziała. - Nie liczyłam nawet na przeprosiny.

Rozdział 10

Następnego dnia Judd znów siedział na naradzie. Tym razem starał się sprawiać wrażenie, że jest skupiony, jakby rzeczywiście wierzył, że

kolejna analiza starych informacji może okazać się owocna. Griff nie był winny, że zabójca królowych piękności nie został jeszcze ujęty. Agencja Powella wykorzystała wszelkie dostępne środki - legalne i nielegalnie legalne - żeby ustalić, kto zabił Jenny. Jednak ani Powell, ani FBI nie zdołali wpaść na trop szaleńca, chociaż dysponowali profilem przestępcy, który zawęził krąg podejrzanych. Problem tkwił właśnie w tym, że żadnego podejrzanego nie mieli.

W ciągu ostatnich trzech i pół roku Judd dowiedział się o seryjnych mordercach więcej, niż kiedykolwiek zamierzał. Bez trudu potrafił wyrecytować podręcznikową teorię, pamiętał fakty i statystyki. Osiemdziesiąt pięć procent amerykańskich seryjnych zabójców to mężczyźni, osiemdziesiąt dwa procent - biali, osiemdziesiąt siedem procent - samotni, a większość mieściła się w przedziale wiekowym od dwudziestu dwóch do pięćdziesięciu lat.

Judd robił, co mógł, żeby skupić się na toczącej się rozmowie. Griff właśnie wyjaśniał, że trzech jego agentów w Williamstown śledzi każdy krok miejscowych organów ścigania i FBI.

- Nawiązali kontakt z wydziałem policji. Komendant okazał się skory do współpracy, mimo niechęci Nic Baxter.

- Czy w sprawie Gale Ann Cain jest choć jeden najmniejszy ślad? - spytał Judd. - Poza Barbarą Jean, która nie potrafi, albo nie chce, podać szczegółów wyglądu domniemanego zabójcy?

- Już to przerabialiśmy - skwitował Griff. - Nasz zabójca się przemieszcza. Po dokonaniu morderstwa wyjeżdża z miasta. Co oznacza, że często się przeprowadza albo dużo podróżuje. Trudniej schwytać zabójcę, który nie zabija na jednym obszarze, niż takiego, który popełnia zbrodnię w okolicy miejsca zamieszkania.

- A ten nasz do tej pory był niewidzialny - powiedziała Lindsay. - Udawało mu się zabić i zniknąć tak, żeby nikt go nie zauważył. Dopiero ostatnim razem powinęła mu się noga, bo zobaczyła go Barbara Jean.

- Nam się wydaje, że go zobaczyła - poprawił ją Griff. - Nie ma pewności, że mężczyzna, którego widziała, jest zabójcą.

Judd oparł się łokciem o blat i pochylił.

- Dobrze, załóżmy, że jest go w stanie opisać i w końcu zgodzi się współpracować przy sporządzaniu portretu pamięciowego. Co wtedy?

- Przekażemy portret FBI - odparł Griffin. - Zostanie rozesłany do każdej jednostki organów ścigania w kraju. Prędzej czy później znajdzie się ktoś, kto rozpozna zabójcę.

- Więc, na miłość boską, zrób użytek ze swojej siły perswazji i przekonaj Barbarę Jean. - Judd spojrział Griffowi w oczy. - Ty dajesz jej czas, żeby sama do tego dojrzała, a facet planuje kolejne morderstwo. Wytlumacz jej, że jej strach i niepewność może przypłacić życiem kolejną kobietą.

Nienawidził tanich moteli, ale było to jedyne sensowne rozwiązanie, bo mógł płacić gotówką, a recepcjonista prawdopodobnie następnego dnia nie będzie go pamiętał. Głupotą byłoby afiszować się z pieniędzmi albo robić cokolwiek, czym zwróciłby na siebie uwagę, bo ktoś mógłby go zapamiętać. Unikanie rozgłosu było w grze zasadą numer jeden. Zwycięstwa nie są po to, żeby się z nimi obnosić. Zwycięstwami należy się rozkoszować w samotności.

Długo przed nastaniem świtu, kiedy Sonya zabawiała się w najlepsze z swoim chłopakiem, skorzystał z okazji, żeby rozejrzeć się po posesji. Obszedł podwórko. Nieogrodzone, bez żywopłotu, ze wszystkich czterech stron otwarte dla wścibskich oczu sąsiadów. Postanowił zakraść się do niej późnym wieczorem, bo wtedy jest mniejsze prawdopodobieństwo, że któryś z sąsiadów będzie podglądał zamiast spać. Przypuszczał, że dom nie jest chroniony alarmem - nie zauważył żadnych znaków ostrzegawczych, a dziewięćdziesiąt pięć procent ludzi posiadających prywatny system bezpieczeństwa umieszcza stosowne ostrzeżenia na bramie i drzwiach. Oznaczenia takie, dla odstraszenia złodziei, umieszczają czasem również ci, którzy alarmu nie mają.

Do środka dostanie się bez najmniejszego wysiłku - Sonya, podobnie jak cała rzesza kretynek, „chowała” klucz pod kamieniem w ogródku. Wyjął go około pierwszej w nocy, kiedy badał okolice domu i ogrodu.

Jadąc do centrum, ścisnął miedziany klucz w dłoni i się uśmiechnął. Poszuka przyzwoitej, pełnej ludzi restauracji. Zje dobrą kolację, wróci do motelu i przemyśli szczegóły nocy, która go czeka - nocy potwornego bólu dla Sony i niezapomnianej rozkoszy dla niego.

Czasami odpowiednią broń znajdował w domu kobiety, ale wolał nie liczyć na przypadek. Zawsze był przygotowany. W supermarkecie Wal-Mart w Monroe w Luizjanie zaopatrzył się w lśniącą nową siekierę - leżała pod plastikowym brezentem malarskim w bagażniku wypożyczonego samochodu.

Judd krążył w tę i z powrotem po salonie biegnącym na całą szerokość domu. Tylna ściana była przeszklona od podłogi do sufitu, a potrójne drzwi balkonowe wychodziły na taras z widokiem na jezioro.

Kiedy Griffin był w domu, obiad zwykle podawano o siódmej, ale było już pięć po, a Sanders nie wołał na posiłek. Po popołudniowej naradzie Lindsay została w gabinecie Griffa i zajęła się najnowszymi raportami agentów z Williamstown. Od tamtej pory nie widziała go. Nie widziała też Judda - dopiero dziesięć minut temu spotkali się w salonie.

Judd krążył po pokoju jak spłoszone zwierzę, które szuka drogi ucieczki. Od czasu do czasu przystawał, wkładał ręce do kieszeni marynarki i wpatrywał się w ciemność za oknem, a potem - jakby rażony prądem - zaczynał chodzić znowu. Niespokojnie. Nerwowo. Jakby go roznosiło.

Lindsay знаła te objawy. Widziała je aż nazbyt często. Judd się niecierpliwił. Niecierpliwy był z natury - oczekiwał natychmiastowych rezultatów i należał do ludzi, którym się wydaje, że wszyscy powinni skakać na każde jego skinienie. Po części wynikało to z tego, że wychował się w luksusie i przywykł do wydawania poleceń, które inni musieli natychmiast wykonywać.

Griff i FBI niestrudzenie gromadzili informacje na temat każdego kolejnego morderstwa. Większość tych informacji nie wносиła do śledztwa nic nowego, ale niektóre pomagały im poszerzyć lub skorygować profil zabójcy królowych piękności. Juddowi wszystko to wydawało się bez znaczenia, bo gromadzenie informacji i tworzenie profilu nie przynosiło rezultatów. Dochodzeniem zajmowały się Agencja Powella, wydziały policji w różnych miastach i FBI, a mimo to morderca Jennifer Walker zabijał nadal. Kobieta za kobietą.

- Chcesz po obiedzie zagrać w karty, szachy albo obejrzeć film? - Lindsay wymieniła wszystkie doraźne leki na niecierpliwość Judda, które przyszyły jej do głowy.

- Nie musisz mnie niańczyć - odpowiedział. - Nie mam zamiaru robić żadnych głupot. Nie utopię się w jeziorze... i nie będę dręczyć Barbary Jean.

- Dałeś Griffowi słowo, że nie będziesz na nią naciskał. Mnie to wystarczy.

Judd prychnął.

- Jesteś zbyt łatwowierna. Kiedyś faktycznie dotrzymywałem słowa. Ale tamtego Judda Walkera już nie ma.

Nie zdążyła pomyśleć nad odpowiedzią, bo do pokoju wszedł Griffin, ale nie sam. Była z nim kobieta o egzotycznej urodzie. Miała błyszczące czarne oczy i kruczoczarne włosy do ramion obcięte na boba. Ubrana była w kremowobiałe spodnie i luźny sweter pod kolor, a w jej małych uszach lśniły złote kolczyki z diamentami w kształcie kół.

- Doktor Meng. - Lindsay przemierzyła pokój, żeby przywitać się z dawną przyjaciółką Griffa. - Cudownie znów panią widzieć. - Podała rękę kobiecie, którą szef przedstawił jej pół roku temu. Nie miała pojęcia, w jakim wieku jest Yvette Meng, ale pewnie miała pod czterdziestkę, chociaż wyglądała młodziej.

- Jak się masz, Lindsay? - spytała doktor Meng.

- Dobrze, dziękuję.

Judd podszedł do nich, ale przystanął w bezpiecznej odległości, jakby się obawiał, że doktor Meng jest jego wrogiem.

- Judd, poznaj Yvette Meng - powiedział Griff. - Yvette, to Judd Walker. Lindsay i ja wspominaliśmy ci o nim.

- Miło mi, panie Walker. - Yvette skinęła głową, ale uszanowała powściągliwość Judda i nie zrobiła nic, żeby się do niego zbliżyć.

- Pani angielski jest doskonały, więc domyślam się, że urodziła się pani i wychowała tutaj - stwierdził Judd. - Yvette Meng. - Przyjrzał się jej jak okazowi pod mikroskopem. - Eurazja? - spytał.

- Bardzo trafnie, panie Walker. Mój ojciec był Chińczykiem, a matka Francuzką.

Judd zerknął na Griffa.

- Czy pani Meng zjawiała się z towarzyską wizytą, czy przywiozła ją tutaj służbowo? - Przeniósł wzrok na Yvette. - Jest pani lekarzem czy ma po prostu doktorat?

- Jestem lekarzem - odpowiedziała łagodnym głosem, słodkim jak miód.

Ale Lindsay przekonała się na własnej skórze, że słodycz w jej głosie jest zwodnicza. Wyglądała jak delikatna i uległa gejsza, lecz miała serce tygrysa i odwagę lwa.

- A ktoś tu choruje? - spytał sarkastycznie Judd.

Griff nie zdążył odpowiedzieć, bo w drzwiach pojawił się Sanders, który oznajmił, że obiad gotowy. Yvette wzięła Griffina pod rękę, a on poprowadził ją do jadalni.

Judd spojrzął na Lindsay i zaferował jej ramię.

- Pani pozwoli?

Kiedy ujęła go pod rękę, przystanął.

- Czy Griff sprowadził ją tu dla mnie? - spytał.

- A jeśli tak, będziesz z nią rozmawiał?

Zachichotał szyderczo.

- Za żadne skarby świata.

Lindsay wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze.

- Griff przywiózł ją żeby porozmawiała z Barbarą Jean - wyjaśniła. - Możliwe, że pani Hughes cierpi na zespół stresu pourazowego, a doktor Meng specjalizuje się w tej dziedzinie.

- No, no... Muszę przyznać, że Griff staje na głowie, żeby odnaleźć zabójcę Jenny. Robi wszystko, co może.

- Może powinienes mu to powiedzieć? - Lindsay pociągnęła Judda za rękę.

Nie drgnął.

- Kiedy poznałaś doktor Meng?

Powiedz mu prawdę, nakazała sobie w myślach. Nie ma powodów, żeby to przed nim ukrywać. Najwyżej przy kolacji będzie się czuł nieswojo, mając świadomość, że doktor Meng wie o nim wszystko.

- Griff sprowadził ją żeby pomogła mi poradzić sobie z problemem. ... jakieś pół roku temu.

- Cholera! Aż tak ci dowaliłem, że potrzebowałaś psychiatry?

- Tak. Niestety. - Wyswobodziła rękę i odeszła. Z uniesioną głową.

Sonya odprowadziła Paula do drzwi, pocałowała go i powiedziała mu „dobranoc”. Uważała, że choć ich związek jest stabilny, nie są jeszcze gotowi do następnego kroku - do małżeństwa. A tutaj, w Tupelo, nie było mowy, aby zamieszkali razem bez ślubu, zwłaszcza że oboje pracowali w szkolnictwie. Na razie będą musieli tak się organizować, żeby Paul czasem mógł zostać na noc. Nie za często, żeby ludzie nie gadali.

- Do zobaczenia jutro - powiedział i pocałował ją po raz ostatni.

Stała w otwartych drzwiach w przenikliwym wieczornym chłdzie i patrzyła, jak Paul wsiada do samochodu i odjeżdża. Westchnęła z rozmarzeniem na wspomnienie wspaniałych chwil, które właśnie spędziła, zamknęła drzwi i przekreśliła klucz w zamku.

Jutro musi wstać o szóstej, bo idzie do pracy. Powinna wziąć prysznic i się kłaść. Ale nie była śpiąca. Przespała całe przedpołudnie z Pauliem, który spędził u niej poprzednią noc. Opuścili niedzielne nabożeństwo, jak najgorsi grzesznicy.

Sonya zachichotała i zaczęła wirować po pokoju. Poły pikowanego szlafroka rozchyliły się, odsłaniając nogi. Ocierająca się o ciało tkanina przypomniała jej dotyk warg Paula, które wędrowały w górę po wewnętrznej stronie jednego uda, schodziły w dół po drugim, a potem przemierzały tę samą ścieżkę w odwrotną stronę. Wiedział, jak pieścić kobietę. Ile razy miała orgazm?

Trzy!

Podśpiewując radośnie, weszła do kuchni, wyjęła z lodówki butelkę białego zinfandela, wyciągnęła korek i nalała sobie kieliszek wina.

Nagle domem wstrząsnęło potworne uderzenie pioruna, od którego zadrzały szyby w oknach, a Sonyi serce podskoczyło do gardła. Dłoni, w której trzymała kieliszek, drżała jej tak mocno, że kilka kropel wina wylało jej się na palce.

Nienawidziła zimowych burz. Niosły przeraźliwy chłód i świat stawał się przez nie jeszcze bardziej ponury. Ale z dwojga złego wolała deszcz niż śnieg. W Tupelo śnieg padał rzadko, lecz niektóre rejony Tennessee kilka dni temu zasypał biały puch.

Idąc z kieliszkiem przez salon, sięgnęła po pilota. Włączyła telewizor i usiadła wygodnie, żeby obejrzeć wiadomości. Błyskawice rozdzierały niebo, pioruny wstrząsały ziemią, a ona drżała, siedząc samotnie w półmroku. Dziwne. Przecież nie bała się burzy, więc nie powinna być zdenerwowana.

Wypiła wino i natychmiast zrobiła się senna. Powinna wziąć prysznic, zanim sen zmorzy ją jeszcze bardziej.

W łazience zdjęła szlafrok, powiesiła go na wieszaku na drzwiach, ustawiła prysznic i odkręciła wodę. Kiedy weszła pod ciepły strumień, zaczęło mrugać światło. Raz. Drugi. A później wszystko załała czarna jak smoła ciemność.

Cholera!

Nie panikuj.

W kuchni ma świece, a w szufladzie nocnej szafki latarkę. Ale woda jest na prąd, ogrzewanie też.

Wyjdź ostrożnie spod prysznica, wytrzyj się, włóż szlafrok i weź latarkę, a później dokładnie sprawdź frontowe i tylne drzwi.

Prądu prawdopodobnie nie będzie godzinę, góra dwie. Najlepiej zrobi, jeżeli się położy, przykryje po uszy i zaśnie. Za kilka godzin w domu zrobi się chłodno, ale do rana na pewno zdąży się nagrzać i będzie miała gorącą wodę, żeby wziąć prysznic i umyć głowę.

Wychodząc po omacku spod prysznic, sięgnęła po ręcznik, który po chwili udało jej się znaleźć. Wytarła się pośpiesznie. Dlaczego w tej łazience nie ma okna? Przynajmniej od czasu do czasu trochę światła dałaby jej błyskawica.

Włożyła szlafrok i ruszyła do sypialni. Szała powoli i ostrożnie, ale i tak uderzyła się palcem o krawędź szafy. Zakłęta pod nosem, podeszła do nocnej szafki, wysunęła szufladę i zaczęła ją przekopywać w poszukiwaniu latarki.

Jest!

Westchnęła z ulgą, kiedy sypialnię rozświetlił strumień światła. Miała nadzieję, że baterie są pełne, bo chyba nie ma innych na wymianę.

Najpierw sprawdziła frontowe drzwi - zamknięte. Później przeszła do kuchni. Kiedy mijała podwójne okno nad zlewem, niebo przeszła błyskawica. Spojrzała na nią i krzyknęła. Czyżby zza okna gapiła się na nią jakaś twarz?

Skierowała latarkę na szybę. Nikogo nie zobaczyła. W ziemię znów uderzył piorun. Drżąc od stóp do głów, wzięła głęboki oddech. Co się z nią dzieje? Widocznie rozszalała jej się wyobraźnia. Ale przecież nie należy do histeryczek.

Pośpiesznie sprawdziła, czy tylne drzwi są zamknięte.

Podeszła do zlewu i znów wyjrzała na dwór. Zupełna ciemność. Nic. Na pewno nie patrzyły na nią żadne twarze.

Niebo rozdarł kolejny zygzak błyskawicy. Wyjrzała przez okno, ale nie zobaczyła nic oprócz swojego podjazdu i trójkołowego rowerka syna sąsiadów. Cody zawsze zostawiał zabawki porozrzucane w swoim ogrodzie, a nierzadko i w jej.

Weź się w garść, Sonya. Nikogo tam nie ma.

Z nieznaney przyczyny była podenerwowana niczym kot w pokoju pełnym bujanych foteli.

Judd jadł tylko po to, żeby przeżyć, ale czasami - tak jak tego wieczoru - dobry obiad sprawiał mu prawdziwą przyjemność. Inez, gospodyni Griffina, nie była wprawdzie światowej klasy kucharką, lecz potrafiła wyśmienicie przyrządzić zwykłe, proste potrawy- pieczonego kurczaka, smażone ziemniaki i chleb z mąki kukurydzianej, który i dziś znalazł się na stole. Posiłek zakończyło przepyszne ciasto z jagodami. Z dzikimi jagodami, nie tymi z upraw. Judd skomplementował deser,

a Inez pochwaliła mu się, że jagody zbierała własnoręcznie i sama robiła z nich przetwory.

Przy stole siedziało sześć osób: on, Griffin Powell, Lindsay McAllister, Sanders, doktor Yvette Meng i Barbara Jean Hughes. Trzech mężczyzn i trzy kobiety, niemal do pary. Sanders był wyraźnie zainteresowany panią Hughes, co wprawiało Judda w zakłopotanie, bo nigdy nie widział w nim zwykłego mężczyzny, który - jak każdy inny - ma prawo interesować się płcią przeciwną. Cichego, zamkniętego w sobie Sandersa traktował jak cień Griffina. Z kolei podejście Griffa do Yvette Meng intrygowało go. Nie miał wątpliwości, że przyjaźnią się od dawna, może nawet są kochankami - lub byli nimi w przeszłości. Podejrzewał, że cudowna Yvette zna mroczne sekrety Griffa.

No i była jeszcze Lindsay. Jego Lindsay. Dziwne, że myśli o niej w ten sposób. Jakby do niego należała. Oczywiście, wcale tak nie jest.

Obserwował ją przez cały obiad, zerkając od czasu do czasu, i miał wrażenie, że widzi ją po raz pierwszy. Dopiero teraz zauważył, że jest urocza, zabawna i seksowna. Nie tak jak Yvette, ale na swój własny, o wiele bardziej subtelny sposób.

Dawniej bez skrupułów wykorzystywał jej dobroć i był przekonany, że nie odsunie się od niego, nawet gdyby chciał się jej pozbyć. Kiedyś pewnie go kochała, ale wtedy nie chciał jej miłości.

Po obiedzie Sanders zawiózł Barbarę Jean do domowego biura, żeby „pokazać jej teren”, jak to określił. Chyba miała go uczyć podstaw obsługi komputera. Biorąc pod uwagę, że Sanders potrafiłby nawet złożyć komputer, był to pewnie podstęp Griffina, który chciał dać odpowiednie zajęcie swojemu gościowi.

Griff wyszedł, tłumacząc, że musi skontaktować się z agentami w Williamstown, i zabrał ze sobą Lindsay. Judd został więc w salonie sam na sam z doktor Meng.

- Mam plamę na swetrze albo jedzenie między zębami? - spytała Yvette.

- Nie - odpowiedział. - Przyglądam się pani, bo staram się wymyślić, jak w kulturalny sposób dać pani do zrozumienia, że nie jestem zainteresowany psychoanalizą.

Posłała mu zagadkowy uśmiech, odwróciła się i podeszła do barku.

- Ma pan ochotę na drinka, panie Walker?

- Jasne. Napiję się tego samego co pani.

- Whisky. Czysta. - Nalała do dwóch szklanek.

Judd uśmiechnął się szeroko.

- Nie zgadłbym, że należy pani do kobiet, które piją whisky.

Podała mu jedną szklanke, stuknęła swoją o jej brzeg i wzięła solidny łyk. Nie syknęła ani nie zakaszła. Najwyraźniej była przyzwyczajona do mocnych trunków.

- Nie jestem tu po to, żeby poddawać pana psychoanalizie - wyjaśniła. - Griffin poprosił mnie, żebym pomogła pani Hughes.

- Zapewne, ale czy nie wspomniał przypadkiem, żeby przy okazji przyjrzała się pani jego stukniętemu staremu przyjacielowi?

- A jest pan stuknięty? - Przemierzyła pokój niczym zwinna czarna kotka, która wie, że jest piękna i o wiele sprytniejsza niż przeciętny osobnik jej gatunku.

Usiadła na jednej z dwóch miękkich kanap stojących naprzeciwko siebie. Judd zajął miejsce na drugiej, założył nogę na nogę i napił się whisky.

- Nie słyszała pani? Mam kompletnego fioła. Z rozpacz. Ze złości i żądy zemsty.

- Chce pan, żeby schwytano i ukarano zabójcę pana żony, ale to wcale nie znaczy, że ma pan fioła.

Dokończył drinka i postawił pustą szklanke na podłodze przy swoich nogach.

- A to, że sam chcę załatwić sprawę? Śni mi się, że ćwiartuję gościa na kawałki.

Yvette przyjrzała mu się badawczo, jakby wychodząc poza obszar zmysłowego postrzegania. Judd wyczuł, że wtargnęła do jego mrocznej duszy, i zadrzał mimowolnie.

Spojrzał w jej czarne oczy spod przymrużonych powiek.

- Czy ktoś powiedział pani, że jest pani przerażająca?

Uśmiechnęła się.

- Mam dar, który niewielu rozumie, a wielu wyśmiewa.

- Proszę mi tylko nie mówić, że jest pani jasnowidzem - mruknął cynicznie.

- Dobrze, nie powiem.

Judd nie wierzył w żadne bzdurne „czary-mary”. To, czego nie mógł doświadczyć pięcioma zmysłami, po prostu dla niego nie istniało. Owszem, raz czy dwa, kiedy był pijany, wydawało mu się, że czuje obecność Jenny. Zapach jej perfum Chanel No. 5. Jej szept. Delikatny, czuły dotyk jej dłoni. Ale nie były to prawdziwe doznania, tylko pijackie majaki.

- Skąd, u licha, Griff panią wystraszał?
- Jeżeli naprawdę chce pan wiedzieć, powinien pan spytać Griffina.

- Dobrze, w takim razie kiedy się poznaliście?

- Wiele lat temu, gdy oboje byliśmy bardzo młodzi. - Dopiła whisky i odstawiła szklankę na ławę z żelaza i mahoniu stojącą między sofami. - O resztę musi pan zapytać Griffina. O to, czy kiedyś byliśmy kochankami, czy wiem, gdzie spędził dziesięć tajemniczych lat swojego życia, i czy wiem, jak doszedł do takiej fortuny.

- Widzę, że pani dar polega po części na czytaniu w cudzych myślach.

Kąciki jej pełnych warg uniosły się w uśmiechu.

- Stwierdzam, że jest pan intrygujący, panie Walker, zwłaszcza wiedząc o panu to, co wiem.

- Jest mi niezmiernie miło, że Griff i Lindsay zadali sobie trud zaznajomienia pani z tak beznadziejnym przypadkiem jak mój.

- Griffin powiedział mi, że potrzebuje pan pomocy, niedługo po tym, jak została zamordowana pańska żona, ale wiedział, że nie zgodzi się pan na spotkanie ze mną ani na wizytę u psychiatry. A Lindsay poznałam pół roku temu. Przez krótki czas byłam jej terapeutką. Zdradzam to panu tylko dlatego, że wiem, że sama już panu o tym wspominała.

- Opowiedziała pani o wszystkim, prawda?

Yvette milczała, więc przesunął się na brzeg kanapy, pochylił i spojrział jej prosto w oczy.

- Nie zamierzam się przed panią otwierać i wywnętrzać. Jeżeli zdołała pani przekonać Lindsay, że nie jestem dla niej odpowiedni i powinna dać sobie ze mną spokój, to bardzo pani dziękuję. I na tym koniec, jeśli o mnie chodzi.

Wstał, trącając nogą pustą szklankę po whisky.

- Życzę miłego wieczoru, pani doktor. Do zobaczenia.

Udało mu się. Prawie. W chwili, kiedy wychodził z pokoju, dobiegł go hipnotyzujący głos Yvette Meng:

- Nie powinien się pan bać swoich uczuć do Lindsay. Niech pan sobie pozwoli na miłość. Jest dla pana wybawieniem.

Judd zamarł na ułamek sekundy, po czym puścił się biegiem przez korytarz, jakby goniło go stado wilków.

Rozdział 11

Uwielbiał burze. Były potężne i porażające, tak jak on. W groźnej nawałnicy czuł się sobą. W jednej ręce trzymał siekiere, a w drugiej - klucz do domu Sonyi Todd. Rozejrzał się dookoła. Kto przy zdrowych zmysłach włóczyłby się w środku nocy w taką ulewę po dworze? Jemu nie przeszkadzało, że ubranie miał przemoknięte, a ciało wyziębione. To tylko potęgowało jego podniecenie. Przekręcił klucz w tylnych drzwiach i ostrożnie je otworzył. Wszedł do środka i cicho zamknął za sobą drzwi. Nasłuchując, czy Sonya nie zorientowała się, że ktoś wszedł do domu, oparł siekiere o ścianę i poklepał się po kieszeni kurtki. Tak, jest, zroszona deszczem, ale niezniszczona. Wyciągnąwszy długą różową różę, z drugiej kieszeni wyjął mały breloczek z latarką którą oświetlił pokój. Ostrożnie stawiał kroki, żeby na nic nie wpaść i nie narobić hałasu. Mijając kuchenny stół, przystanął i położył na nim różę. Będzie mu potrzebna później. Jako hołd. Jeden piękny kwiat w zamian za inny.

Pomacał ręką kieszeń spodni, żeby się upewnić, czy ma mały cyfrowy aparat. Sfotografowanie zabójstwa było ważną częścią gry.

W domu panował spokój. Nocną ciszę zakłócały jedynie szmer elektrycznej pompy ciepłej i tykanie zegara. Sonya prawdopodobnie śpi jak zabita. Aż za bardzo ułatwiała mu sprawę, wręcz się prosiła o swój los. Ale przecież nie podejrzewała, że do domu, posługując się kluczem, który jej zdaniem tak sprytnie schowała, wejdzie tajemniczy nieznajomy. W środku nocy. Żeby ją zabić.

Chyba będzie zaskoczona?

Zachichotał na tę myśl.

Cii... Bądź cicho. Nie chcesz, żeby zaczęła krzyczeć. Musisz uważać, żeby nie zadzwoniła po pomoc.

Oświetlając sobie drogę małą latarką, zakradł się do salonu i dalej, na korytarz, po którego obu stronach znajdowały się drzwi. Jedne były zamknięte, drugie otwarte.

Serce zaczęło mu szybciej bić, oddech stał się nierówny. Przez otwarte drzwi wszedł prosto do sypialni Sonyi. Ledwie dostrzegł ciemny cień pod pościelą w łóżku. Prądu nie było ponad godzinę, ale teraz już wystarczyło jedno pstryknięcie, żeby zalać pokój światłem. Nie, nie chciał tego. Gdy już nad nią zapanuje, włączy lampkę nocną - da dość

światła, żeby Sonya widziała, co ma zamiar jej zrobić, i żeby on mógł wiedzieć przerażenie w jej oczach, kiedy będzie odrąbywał jej ręce.

Najwyraźniej zostawiła światło w łazience, bo spod zamkniętych drzwi sączył się błądź strumień.

Na palcach podszedł do łóżka i oparł na brzegu kolano.

Spała jak zabita.

Uśmiechnął się do siebie.

Prościzna.

Wsunął się do łóżka obok niej. Mruknęła i przewróciła się z boku na plecy. Oparł się na łokciu i przyglądał się jej. Cudowna, mimo trzydziestu pięciu lat. Długie do ramion blond włosy okalały owalną twarz. Ledwie oparł się pokusie, żeby owinać sobie kosmyk wokół palca.

Od pasa w dół okrywała ją kpłdra, ale górna część ciała była wystawiona na nocny chłód i na jego wzrok. Kiedy oczy oswoiły mu się z ciemnością, dostrzegł, że nie ma nic pod jedwabnym szlafrokiem, który rozchylił się, ukazując krągłości bujnych piersi.

Penis uniósł mu się i zeszywniał.

Nie musi w nią wejść, żeby doznać rozkoszy. Na to przyjdzie pora później, kiedy już dokona dzieła, zrobi zdjęcia i znajdzie się w bezpiecznej odległości.

Jednym zwinnym ruchem zarzucił nogę na jej biodro i dosiadł jej, jednocześnie zakrywając dłonią jej usta. Przycisnął ją swoim ciałem, wiążąc pod sobą.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego z przerażeniem.

W pierwszej chwili Sonya myślała, że śpi i śni jej się koszmar. Ale szybko dotarło do niej, że przygniatający ją mężczyzna, którego gorący oddech czuła na twarzy, a ciepłą, wilgotną dłoń na ustach, jest realny. Próbowała go zrzucić, lecz on tylko przyłożył usta do jej ucha i wyszeptał:

- Nie ruszaj się i bądź bardzo cicho.

Starała się odezwać, chciała go błagać, żeby nie robił jej krzywdy, ale spod jego dłoni wydobywało się tylko zduszone mamrotanie.

- Cii... mój piękny kwiatuśzku. Nie walcz ze mną.

Ma zamiar ją zgwałcić. Przez cienką kołdrę czuła kształt jego wzwiedzonego penisa, który się o nią ocierał.

Dobry Boże, pomóż mi!

Nie był wysoki i postawny jak Paul, ale i nie mikry. Sądząc po wadze leżącego na niej ciała, raczej ciężki. Musi to zapamiętać, żeby powiedzieć policji. Później. Gdy już będzie po wszystkim. Gdy już go nie będzie.

Kiedy otarł się policzkiem o jej policzek, poczuła, że jest starannie ogolony. Kolejny szczegół, który musi zapamiętać.

Obrócił się, ale trzymał ją uwięzioną pod sobą. Chwycił poduszkę leżącą po drugiej stronie łóżka i przycisnął jej do twarzy, równocześnie odrywając dłoń od jej ust.

Próbowała krzyczeć, ale nie było sensu. Poduszka tłumiła głos.

Czyżby zamierzał ją udusić?

Poczuła, że wyciąga coś z kieszeni spodni. Chwilę później złapał ją za nadgarstek i unióś rękę nad głowę.

Nie. Proszę, nie. Szamotała się, kiedy ciągnął nad głowę najpierw jedną, potem drugą rękę.

Łokciem przytrzymywał poduszkę, skutecznie odcinając jej dopływ powietrza. Dopiero gdy zdjął z niej poduszkę, dotarło do niej, co zrobił. Łapczywie nabrała powietrza, ale nim zdążyła krzyknąć, zakrył jej usta dłonią.

Nadgarstki miała przywiązane sznurkiem do przeciwległych brzośców misternie rzeźbionego zagłówka.

Teraz ją zgwałci.

Serce Sonyi biło jak szalone. Krew dudniła jej w skroniach.

Brutalnie wepchnął jej do ust szmatę, a później kawałkiem materiału obwiązał głowę, żeby knebel trzymał się na miejscu.

Unióś się i zsunął z niej. W półmroku usiłowała przyjrzeć się jego twarzy, ale wstając, odwrócił się do niej tyłem.

Co on robi? Rozbiera się? Rozpina spodnie?

Szarpnęła się, sprawdzając siłę sznurka, którym była związana. Sznur nie chciał się poddać. Nie ucieknie, o ile on jej nie rozwiąże.

Włączył nocną lampkę, odwrócił się i uśmiechnął do niej. Chciała krzyknąć, ale uniemożliwił jej to bawełniany knebel.

Przyglądała mu się uważnie. Im więcej zapamiętasz, powtarzała sobie, tym bardziej pomożesz policji, kiedy...

Ale on wcale nie przejmował się tym, że ona widzi jego twarz.

To zły znak?

- Witaj, Sonyu. Jesteś takim pięknym blond kwiatuszkiem. Wartym dla mnie piętnaście punktów.

O czym on mówi?

Dobry Boże - czyżby gwałt stanowił element chorej gry, w jaką wciągał ofiary? Czyżby swoje podboje oceniał według jakiejś punktacji?

Odsunął kołdrę w nogi łóżka, poluźnił pasek szlafroka i rozchylił go, odsłaniając jej nagie ciało.

Dlaczego nie włożyła piżamy albo przynajmniej koszuli? Dlaczego położyła się spać w samym szlafroku?

- Jesteś tak samo piękna jak wtedy, kiedy odbierałaś koronę Miss Magnolia.

Przyjrzała mu się najdokładniej, jak mogła w tej dziwnej pozycji - pół siedząc, pół leżąc. Miał jakiś metr siedemdziesiąt, krępa sylwetkę z wydatnym brzuszkiem i okrągłą, pełną twarz. Rzeczywiście był starannie ogolony, a gładkie policzki wyglądały na miękkie. Krótkie ciemne włosy, modnie przystryżone, były lekko wilgotne.

Przyglądał się jej wielkimi orzechowymi oczami.

- Nie ruszaj się, moja słodka różowa różyczko. Zaraz wrócę i wtedy zaczniesz się zabawa.

Dokąd on się wybiera?

Szarpnęła związanymi nadgarstkami tak mocno, że aż jęknęła z bólu.

Po kilku minutach wpadł do pokoju, ciężko tupiąc. Zadrzała z przerażenia, widząc siekiere w jego dłoniach.

Boże jedyny, on ma zamiar mnie zabić!

- Której chcesz się pozbyć najpierw? - spytał, spoglądając na nią z wyrazem rozbawienia na twarzy. - Lewej czy prawej ręki?

Pokręciła głową. W myślach pobrzmiwało jej echo własnych krzyków.

- Do gry na skrzypcach potrzebne są obie dłonie, prawda? Więc nie mam wyjścia, muszę odrąbać obie. - Uniósł siekiere. - Hm... Chyba najpierw prawą. Odpowiada ci?

Boże, pomóż mi! Modliła się gorączkowo, kiedy oprawca podchodził coraz bliżej z uniesioną siekiere gotową do ciosu.

Zamknęła oczy, kiedy się zamachnął.

Ból był potworny.

Straciła przytomność, zanim uderzył drugi raz.

Stał pod strumieniem ciepłej wody, zmywając z siebie słodką czerwoną krew Sonyi Todd. Purpurowa woda ściekała do odpływu w podłodze. Westchnął z niewystawioną rozkoszą. Odbieranie życia dawało poczucie boskiej władzy, z którym nic nie mogło się równać. Żadne przeżycie ani żaden narkotyk nie były w stanie dać mu oszałamiającego wrażenia, że to on decyduje, kto umrze, kiedy i jak.

Każde kolejne zabójstwo dostarczało silniejszych przeżyć, ale satysfakcję czuł tylko przez chwilę, bo zaraz rodziło się w nim pragnienie nowego wyzwania.

Wytarł się, ubrał w jedwabną pizamę i szlafrok, i wszedł do swojego pokoju w motelu na przedmieściach. Nie znosił tanich hoteli dla klasy robotniczej, gdzie nie było obsługi ani puchowych kołder.

Położył się na paskudnym prześcieradle w kwiaty i wpatrzył w sufit barwy prażonej kukurydzy. Ciszę wczesnego poranka przesyłał zabłąkany gwizd pociągu, a po kilku minutach po torach nieopodal przetoczyła się pędząca lokomotywa.

Sonya, tak jak wiele innych ofiar, była łatwym celem. Zostawiając klucz pod kamieniem w ogrodzie, sama go zaprosiła do swojego domu.

Uwielbiał zaskakiwać swoje ofiary i radość sprawiał mu już sam widok miny przerażonej kobiety, do której docierało, że chodzi mu o coś innego, niż sądziła. W przypadku Soni przeżycie było jeszcze bardziej rozkoszne, bo gdy się obudziła, zobaczyła go w swoim łóżku, i to na niej. Zadrżał na wspomnienie dotyku jej szczupłego, dygoczącego ze strachu ciała. Zamknął oczy i pozwolił myślom wrócić do tej cudownej chwili, kiedy Sonya zobaczyła w jego ręce siekiere i uświadomiła sobie, że ma zamiar ją zabić. Jego ręka bezwiednie się uniosła, a palce zacisnęły, jakby trzymały trzonek siekiery, którą zamierzył się, żeby zadać cios.

Jego członek zeszczywniał.

Jęknął gardłowo.

Sonya wtedy zemdlała, więc musiał poczekać, aż odzyska przytomność, żeby odciąć jej lewą rękę. Wiedziała, że wykrwawi się na śmierć. Wpatrywała się w niego, a on triumfalnie obserwował wyraz bólu i bezradności w jej oczach.

Przypomniał sobie, jak umierała, i rozkoszował się tą chwilą, mając świadomość, że będzie mógł przeżywać to od nowa, kiedy wywoła zdjęcia, które zrobił aparatem cyfrowym. Włożył rękę w spodnie i z obrazem umierającej Soni pod powiekami szczytował.

Ożywiony tak, jak bywał tylko tuż po zabójstwie.

Rozdział 12

Lindsay szła do kuchni, niepewna, czy perspektywa dzisiejszego spotkania z Juddem przeraża ją czy cieszy. Chyba i jedno, i drugie. Będąc bliżko niego, przeżywała słodkie tortury. To określenie chyba najlepiej od-

dawało jej uczucia. Kochała Judda i nienawidziła jednocześnie. Kochała, bo nie potrafiła przestać go kochać. I nienawidziła z tego samego powodu. Nie jest winny temu, że jej nie kocha i że nie potrafi kochać nikogo. Ale ponosi winę za to, jak ją potraktował. Może mu wybaczyć, lecz nigdy nie będzie w stanie zapomnieć.

Przestań myśleć o tamtej nocy!

Przez pół roku zmagala się ze wspomnieniami. Poddała się terapii doktor Meng, z której wyszła z silniejszym niż kiedykolwiek postanowieniem, że powinna przestać wdychać do Judda Walkera. Byłoby jej łatwiej, gdyby nie musiała spędzać z nim czasu. Ale co się z nim stanie, jeśli ona całkiem się od niego odsunie?

Postanowiła, że przywita się z Juddem po przyjacielsku, i weszła do kuchni. Na widok sporej gromadki tam zebranej zatrzymała się w jednej chwili. Przy kuchence Inez smażyła naleśniki. Uśmiechnęła się do Lindsay i skinęła głową. Inez była tęgą, opiekuńczą blondynką pod sześćdziesiątkę. Zaprzyjaźniły się niemal od dnia, w którym się poznały. Dookoła stołu krążył z dzbankiem Sanders, napełniając kawą kubki. Chyba jej nie zauważył - ale to właśnie był cały Sanders, całkowicie skupiony na wykonywanej czynności.

Lindsay zwróciła uwagę na ciepły ton, jakim Barbara Jean powiedziała do niego „dziękuję”, i na jej promienny uśmiech. Sanders zatrzymał na niej wzrok, jakby jej widok sprawiał mu przyjemność.

Byłoby wspaniale, gdyby zakochali się w sobie...

Na Boga, Lindsay Leigh McAllister, jesteś niepoprawną romantyczką, zgaśniła się w duchu.

Podeszła do stołu, przy którym czekało na nią miejsce.

- Dzień dobry - pierwsza odezwała się Yvette Meng. - Dobrze spałaś?
- Nieźle - odparła Lindsay. - A pani?
- Dobrze, dziękuję. Zawsze dobrze śpiam w Przystani Griffina.

Lindsay była ciekawa, co łączy doktor Meng z Griffinem i Sandersem - najwyraźniej obu znała od dawna - ale nigdy o to nie zapytała. Domyślała się, że Yvette Meng pojawiła się w życiu Griffina podczas dziesięciu tajemniczych lat, o których nikt nic nie wiedział.

- Ile chcesz naleśników? - spytała Inez. - Postawiłam na stole jajecznicę na kielbasie i babeczki bananowo-orzechowe, a teraz smażę naleśniki.

- Dziękuję za naleśniki - powiedziała Lindsay. - Jajecznicę i babeczki w zupełności mi wystarczą. - Zanim zdążyła poprosić o kawę, Sanders okrążył stół i napełnił jej kubek.

- Griffin jest w gabinecie - szepnął, pochylając się. - Rozmawia przez telefon. A pan Walker jeszcze nie zszedł na dół.

Skinęła głową.

Nikt nie zwrócił uwagi, że Sanders coś do niej powiedział. Wszyscy byli zajęci jedzeniem albo rozmową.

Wczesnym rankiem w domu pojawili się trzej inni agenci Powella. Angie Sterling i Maleah Perdue miały na zmianę czuwać nad bezpieczeństwem Barbary Jean, a Rick Carson - zajmować się ochroną posiadłości. Griff co dwa tygodnie wyznaczał do tego zadania innego agenta, dzięki czemu każdy mógł się oderwać od zadań zewnętrznych i jednocześnie zaznajomić się z funkcjonowaniem Przystani Griffina. Powell zatrudniał na stałe od piętnastu do dwudziestu agentów. Pracowali w centrum Knoxville w biurowcu należącym do Griffina. Od czasu do czasu zdarzało się, że któryś znajdował inną pracę, a dwóch otworzyło własne agencje detektywistyczne w innych stanach, ale rotacja w Agencji Powella była niewielka, a współczynnik śmiertelności agentów bardzo niski. W ciągu siedmiu lat działalności jeden agent zginął na służbie, a drugi w wypadku samochodowym, który nie miał związku z pracą. Każde zlecenie miało inny stopień ryzyka. Płace były wysokie, a dodatkowe świadczenia lepsze niż gdziekolwiek indziej. Griff zapewniał nawet program emerytalny tym, którzy przepracują w firmie minimum dwadzieścia lat. Jedna trzecia jego agentów miała rodziny, a jedna trzecia była w poważnych związkach. Lindsay, Maleah i Rick należeli do ostatniej części - samotnych. Angie była zaręczona z Jasonem Blaine'em, który również pracował u Powella. Datę ślubu wyznaczono na czerwiec.

Lindsay łyknęła kawę. W tej samej chwili odezwała się jej komórka.

- Przepraszam - powiedziała, choć nikt z siedzących przy stole nie zwracał uwagi na dzwoniący telefon.

Odstawiła kubek na blat, wyjęła komórkę z kieszeni i zauważyła na wyświetlaczu numer Griffina. Dziwne. Dlaczego nie zadzwonił z wewnętrznego domowego telefonu?

Odebrała połączenie.

- Tak?

- Przyjdź do gabinetu. Natychmiast - polecił Griffin. - Przepraszam, ale nic nie tłumacz.

- Dobrze. - Wsunęła telefon z powrotem do kieszeni, odsunęła krzesło i wstała. - Przepraszam na chwilę.

Wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Sandersem i wyszła z kuchni. Sanders wiedział, że dzwonił Griffin. Nie miała pojęcia, skąd, ale wiedział. Czasami odnosiła wrażenie, że Griff i Sanders porozumiewają się telepatycznie.

Dwie minuty później znalazła się pod zamkniętymi drzwiami gabinetu. Zapukała.

- Wejść - powiedział Griff. - Zamknij za sobą drzwi - dodał, gdy znalazła się w środku.

Zamknęła drzwi.

- O co chodzi? - Z jego miny wynioskowała, że nie ma dobrych wieści.

- Zaatakował znowu. W Tupelo w Missisipi. Późno w nocy albo wcześniej rano.

Lindsay poczuła skurcz w pustym żołądku. Zaczęło jej się zbierać na wymioty.

- Za szybko, prawda?

- Chyba dzieje się to, czego się obawialiśmy. Skraca przerwy między zabójstwami, realizując plan gry.

- Kim ona była? Jak ją...?

- Sukinsyn odrębał jej ręce.

Lindsay czuła, że do gardła podchodzi jej słońca kula. Znała szczegóły zbrodni popełnionych do tej pory przez zabójcę królowych piękności, a mimo to za każdym razem ogarniała ją obrzydzenie i złość.

- Nic ci nie jest? - spytał Griff. - Chyba trochę zbladłaś.

- Nic mi nie jest. Po prostu nie zdążyłam jeszcze wypić kawy.

Skinął głową.

- Nazywała się Sonya Todd, była Miss Magnolia. Skrzypaczka. - Ułożył ręce jak skrzypek trzymający instrument. - Sposób morderstwa zawsze zależy od tego, jaki talent prezentowała w konkursie kobieta. Dla zabójcy to po prostu część gry. Wydaje mu się, że to sprytnie. Wydaje mu się, że sam jest sprytny.

- Bo jest - powiedziała Lindsay. - Ta kobieta jest trzydziestą znaną nam ofiarą, a on wciąż pozostaje na wolności.

Griff walnął pięścią w biurko.

- Dopadnę tego bydlaka. Żywego albo martwego.

- Mówisz jak Judd.

Spojrzał Lindsay w oczy.

- Tak?

- Tak. I to mnie martwi.
- Co dokładnie? To, że jestem w stanie zabić kogoś gołymi rękami, czy to, że masz wrażenie, że przestałem nad sobą panować?
- Nie wiem. Wszystko naraz. Samozwańcze wymierzanie sprawiedliwości. To wbrew wszystkim zasadom, jakich się nauczyłam. Od taty, w akademii policyjnej i w pracy.
- Teoretycznie masz rację: karanie przestępców należy zostawić stróżom prawa. Ale czasami nie ma wyjścia i trzeba wziąć sprawy w swoje ręce,
- Jedziemy do Tupelo? - spytała.
- Tak, zadzwoniłem do Jonathana i kazałem mu przygotować samolot.
- Kto jedzie z nami?
- Griff uśmiechnął się szeroko.
- A na jakiej podstawie zakładasz, że ty jedziesz?
- Pracuję z tobą nad tą sprawą od samego początku. Wyjazd do Tupelo to dla mnie rzecz oczywista, nie muszę robić żadnych założeń.
- Jedzie z nami Judd.
- Nic Baxter będzie gnać na złamanie karku, żeby dotrzeć tam przed nami - zauważyła Lindsay.
- Więc trzeba się zbierać - oznajmił Griff. - Chcesz powiedzieć Juddowi czy ja mam...
- Powiem mu. Jest jeszcze na górze.
- Odwróciła się do wyjścia, ale Griff wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię.
- Stara się być miły, ale to wcale nie znaczy, że się zmienił. Pamiętaj. Przełknęła z trudem ślinę, skinęła głową i szybko wyszła z gabinetu.

Judd stał przy oknie i wpatrywał się w ponury zimowy krajobraz. Spał najwyżej cztery godziny - choć to i tak dużo jak na niego. Bywało, że nie spał wcale, tylko snuł się po starej leśniczówce albo odbywał nocny spacer po lesie. Zdarzały się też noce, kiedy zasypiał o drugiej czy trzeciej nad ranem i spał do świtu. A czasami morzył go pijacki sen.

Czyżby rzeczywiście w ciągu ostatnich lat stał się alkoholikiem? Pił, żeby utopić smutki, a to chyba nic groźnego? Kiedy ból staje się nie do zniesienia, każdy chwytą się wszelkich możliwych sposobów, żeby trochę go złagodzić, choćby na chwilę. Oczywiście. I w taki sposób ludzie stają się narkomanami albo alkoholikami.

Ale co to ma za znaczenie? Jego życie nie miało znaczenia ani dla niego samego, ani dla innych.

Nieprawda, upomniał się. Ma znaczenie dla Lindsay McAllister.

Jego życie było dla niej ważne.

Chyba jest stuknięta, że marnuje na niego czas. Usiłował ją zmusić, żeby wybiła go sobie z głowy. Tego chciał.

Czyżby?

W myślach pobrzmiwały mu słowa Griffa. Byłeś zależny od jej troski, chciałeś jej, zabiegałeś o nią.

Wcale nie miał ochoty przyznać przyjacielowi racji, ale rzeczywiście był zależny od Lindsay. Potrzebował jej troski. Przez prawie cztery lata wykorzystywał ją i nadużywał jej dobroci, a ona nigdy się do niego nie zraziła. Dopiero pół roku temu. Jednak nawet po tym, co między nimi zaszło, nie skreśliła go całkowicie.

Ty jej pragniesz. Pragniesz jej tak bardzo, jak umierający z pragnienia wody.

Tamtego wieczoru pół roku temu, kiedy prawie ją zgwałcił, wmawiał sobie, że robi to, bo chce ją przestraszyć i zmusić, żeby uznała go za żalosnego sukinsyna, jakim faktycznie jest. Ale to nie był jedyny powód.

Chciałeś uprawiać z nią seks.

Żadnych półprawd, powiedział sobie. Nie oszukuj się. Chciałeś się z Lindsay kochać. I to cię cholernie przerażyło. Przeraża cię to, jak się przy niej czujesz.

Do licha, nienawidził jej za to, że przez nią w ogóle cokolwiek czuł. Chyba przywołał ją myślami. Zapukała delikatnie do drzwi sypialni.

- Judd? Śpisz? Muszę z tobą porozmawiać.

- Wejdz - mruknął, nie przejmując się tym, że nie jest ubrany

Otworzyła drzwi i stanęła w nich z szeroko otwartymi oczami i lekko rozchyłonymi ustami.

- Widziałś mnie już w większym neglizżu - rzucił, ale schylił się i podniósł z podłogi znoszone dżinsy.

Odezwała się dopiero, kiedy włożył i zapiął spodnie.

- Znowu zabił. Była Miss Magnolia, w Tupelo w Missisipi.

Judda ścisnęło w żołądku.

- Kiedy?

- W nocy albo nad ranem. - Wpatrywała się chwilę w jego nagi tors, ale szybko się zreflektowała, odkaslnęła i spojrzała mu w oczy. - Griff zamówił dla nas samolot. Musimy natychmiast lecieć.

Popatrzył na nią i zauważył, że ma na sobie strój do joggingu.

- Dasz mi dziesięć minut? Nie wyglądasz na gotową do drogi.
- Idę do pokoju przebrać się i spakować. Za pół godziny wyjeżdżamy na lotnisko.

Judd przejechał dłonią po policzku.

- Muszę się ogolić. Griff powiedział, że mam się golić, jeżeli chcę brać udział w dochodzeniu.

Kąciki warg Lindsay uniosły się lekko.

- Spotykamy się na dole za pół godziny.

Gdy Judd ruszył w jej stronę, uświadomiła sobie, że wszedłszy do jego pokoju, przystanąła tuż za progiem i tam została. Zanim dotarł do drzwi, ona już była na zewnątrz, zachowując między nimi odległość kilku kroków.

- Blondynka, brunetka czy ruda? - spytał Judd.
- Nie wiem.
- Jaki miała talent?
- Była skrzypaczką.
- Jak ją zabił? Odciał jej dłonie czy...
- Odrąbał jej obie ręce.

Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy, ale żadne się nie odezwało. Wreszcie Lindsay odwróciła się i odeszła. Judd zamknął drzwi i oparł głowę o futrynę. Zalała go fala wspomnień. Jenny siedząca na kuchennej podłodze, z rękami związanymi nad głową i odrąbanymi dłońmi.

Boże wszechmogący, czy nigdy nie zdoła wyrzucić z pamięci tego koszmaru?

Samolot Powella wylądował na okręgowym lotnisku w Tupelo tuż przed południem. Na parkingu stała limuzyna, którą zarezerwował Sanders, a w terminalu czekał na nich szofer - wysoki, tyczkowaty czarny mężczyzna nazwiskiem Devin Chamness, właściciel firmy, która zajmowała się wożeniem bogatych turystów i polityków. Lindsay wiedziała, że skoro Sanders zdecydował się na Chamnessa, jest on najlepszy w swoim fachu i potrafi mieć oczy i uszy otwarte, a usta zamknięte, jeśli chodzi o poufne sprawy klientów.

Krótką trasę z lotniska do centrum Tupelo pokonali w ciągu kilkunastu minut.

- Zanim wyjechaliśmy z Knoxville, rozmawiałem z komendantem Wintersem - powiedział Griff jeszcze podczas lotu. - Sprawę Sonyi

Todds prowadzi sierżant Bobby Skillman z wydziału dochodzeniowego. Komendant zapewnił mnie, że wydział będzie z nami współpracował, oczywiście w pewnych granicach.

Określenie „w pewnych granicach” było pojemne - mogło oznaczać, że od miejscowej policji dowiedzą się tylko tyle co prasa, ale równie dobrze mogło znaczyć, że wydział będzie przekazywał im niemal wszystkie informacje. Podczas śledztw po poprzednich zabójstwach Lindsay miała do czynienia zarówno z policjantami, którzy wściekali się z powodu obecności agentów Powella i byli do nich wrogo nastawieni, jak i z funkcjonariuszami, którzy bardzo chętnie udzielali informacji - dopóki do akcji nie wkraczało FBI, które przejmowało sprawę. Jeżeli Nic Baxter już jest na miejscu, zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby wykluczyć Griffa z kręgu wtajemniczonych.

Griff, który siedział z przodu obok kierowcy, odwrócił się i spojrzał na Lindsay i Judda.

- O dwunastej porucznik Skillman ma wydać oświadczenie dla mediów.

Lindsay spojrzała na zegarek.

- Jest za pięć.

- Jeszcze tylko jedna przecznica - powiedział Devin, nie spuszczając wzroku z drogi.

Na chodniku przy Court Street 324 kłębił się tłum dziennikarzy. Kamery ekip telewizyjnych były skierowane na stojącego na prowizorycznym podeście detektywa w cywilu, mężczyznę dobrze po czterdziestce, o rzędnych czarnych włosach i lekko przygarbionych szerokich ramionach.

Devin zwolnił, ale nie zatrzymał limuzyny. Griffin opuścił szybę, żeby mieć lepszy widok. Do samochodu dostało się chłodne powietrze. Dzień był słoneczny, ale temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni. Z głośnika dobiegał niski głos Skillmana, który mówił z charakterystycznym akcentem południowca.

- Niech pan stanie kawałek dalej - polecił szoferowi Griff. - Podejrzemy tu pieszo.

Chwilę później Devin znalazł miejsce parkingowe. Zanim wyłączył silnik, Griffin otworzył drzwiczki i wysiadł. Lindsay i Judd dopiero po chwili zdążyli go dogonić. Z dala od tłumu słuchali wypowiedzi porucznika, zamierzając podejść do niego, kiedy zakończy konferencję prasową.

- Nikt nie został aresztowany - poinformował Skillman. - Na chwilę obecną nie mamy żadnych podejrzanych. - Wziął głęboki oddech. - Panie i panowie, teraz odpowiem na kilka pytań, ale proszę, żeby były krótkie. Mają państwo pięć minut.

Dziennikarze zaczęli bombardować porucznika pytaniami, które najwyraźniej zbijały go z tropu. Nic dziwnego. Brutalne morderstwa nie zdarzały się w Tupelo codziennie. W końcu Skillman wskazał mężczyznę stojącego najbliżej podium.

- Proszę, panie Mitchell.

- Jak zamordowano Sonyę Todd? Podobno została poćwiartowana na kawałki? - spytał Joe Mitchell.

- Nie jestem upoważniony, żeby udzielać takiej informacji - odpowiedział Skillman.

Wśród dziennikarzy rozległ się pomruk rozczarowania.

W gęstym tłumie drogę ku podium torowała sobie niska rudowłosa kobieta. Była drobna, ale głos miała donośny.

- Czy to prawda, że policja podejrzewa, że śmierć Sonyi Todd należy przypisać seryjnemu zabójcy królowych piękności?

- Bez komentarzy. - Porucznik Skillman zaczerwienił się, a na jego czole, mimo zimowego chłodu, pojawił się pot.

Agencja Powella wiedziała więcej niż prasa. Griff znał szczegóły, których nie ujawniono dziennikarzom. Lindsay pomyślała, że jakimś cudem musiał przekonać miejscowego komendanta, żeby podzielił się z nim poufnymi informacjami.

- Co zrobiłeś, żeby się dogadać z komendantem? - krzyknęła Griffowi do ucha, by usłyszał ją mimo gwaru. - Powiedziałeś mu, że kiedyś byłeś gwiazdą drużyny piłkarskiej?

Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi.

- Zapominasz, że jestem znanym prywatnym detektywem. Komendanta Wintersa zaintrygował fakt, że do prowadzenia prywatnego śledztwa w sprawie zabójcy królowych piękności wynajął mnie mąż jednej z ofiar.

- Cóż, jestem pełna podziwu. A nie musiałeś przypadkiem dać mu łapówki?

Zanim Griff zdążył odpowiedzieć, pytanie zadał kolejny dziennikarz, któremu udało się przekrzywić pozostałych.

- Czy komendant Winters wezwał FBI?! - Obok wysokiego, chudego reportera stał kamerzysta, który wszystko nagrywał.

Porucznik Skillman wyglądał jak jeleń oślepiiony światłami samochodu.

- Jak na razie... eee... my... - zaczął się jękać - to znaczy komendant Winters... już... eee... już...

- FBI zostało poinformowane - dobiegł z tłumu donośny kobiecy głos.

Dziennikarze rozstapili się przed kroczącą dumnie Nic Baxter niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem.

- Nazywam się Baxter, jestem agentem specjalnym FBI. Porucznik nie będzie odpowiadał na dalsze pytania. Sprawę przejmuje biuro federalne.

- Cholera - mruknął Griff.

- Nie dopuści nas do Skillmana - stwierdziła Lindsay.

- Pewnie nie - przyznał Griff. -Ale wszyscy wiemy, że do celu prowadzi niejedna droga.

Rozdział 13

Yvette Meng zetknęła się z cierpieniem zarówno w życiu osobistym, jak i w wieloletniej praktyce dyplomowanego psychiatry. Rozumiała też lęk, jakiego doświadcza ofiara okrucieństwa czy wykorzystywania. Wiedziała, co człowiek czuje, kiedy jego życie wisi na włosku i bez żadnego powodu jest zdany na czyjąś łaskę.

Barbara Jean Hughes była pogrążona w żałobie po siostrze, którą bardzo kochała, ale jej rozpacz znajdowała się dopiero w pierwszym stadium, w którym do człowieka nie do końca dociera, że bliska osoba odeszła na zawsze. Sama natura chroni w ten sposób kruchą ludzką psychikę. Inaczej można byłoby oszaleć z rozpacz.

Tak jak Judd Walker?

Zetknęła się z tym już wcześniej u silnych, agresywnych ludzi, zwłaszcza mężczyzn, przyzwyczajonych do tego, że w najdrobniejszych szczegółach kontrolują swoje życie i życie innych. Nie chodziło o szaleństwo w literalnym tego słowa znaczeniu, ale o złość i pragnienie zemsty, które ocierały się o szaleństwo.

Ponad trzy lata temu Griffin poprosił ją, żeby pomogła Juddowi. Lecz człowiek musi chcieć pomocy, a Judd odpychał każdą pomocną dłoń. Nawet teraz nie był gotowy na uwolnienie się od przeszłości. Poczul się z bólem wygodnie i uchwycił się go bardziej niż czegokolwiek innego.

- Dolać pani herbaty? - spytał Sanders, trzymając czajniczek nad filiżanką z chińskiej porcelany.

- Tak, dziękuję. - Yvette kochała Damara Sandersa, tak jak Griffina Powella, siostrzaną miłością. - A do herbaty poprosiłabym kilka przepysznych ciasteczek Inez.

Sanders zrozumiał, że ma wyjść.

- Zobaczę, czy jeszcze są. Jeśli nie, to na pewno mamy owsiane ciasteczka z rodzynkami. - Skinął głową, okazując w ten sposób szacunek jej i Barbarze Jean.

Sanders wyszedł, a Yvette całą uwagę skupiła na kobiecie, która bez słowa obserwowała wymianę zdań między nią i Sandersem.

- Zastanawia się pani, co nas łączy?

- Nie, ja... To nie moja sprawa, co państwa łączy - odpowiedziała Barbara Jean.

Yvette uśmiechnęła się i położyła dłoń na jej ramieniu.

- Sanders jest dla mnie jak brat. Znamy się od lat.

- Jest... dobrym człowiekiem? To znaczy, wydaje się bardzo miły.

- Miły to mało powiedziane.

W pokoju zapadła cisza. Barbara Jean unikała wzroku doktor Meng.

Czasami najlepiej nie owijać w bawełnę, myślała Yvette. Ona nie jest głupia. Na pewno się domyśla, po co Griffin ściągnął do posiadłości psychiatrę.

- Zostanę tu kilka tygodni - oznajmiła. - Jestem do pani dyspozycji w dzień i w nocy, kiedy tylko będzie mnie pani potrzebować. Jeżeli będzie chciała pani rozmawiać, będziemy rozmawiać, jeżeli woli pani, żebym...

- Nie potrafię go opisać - przerwała jej Barbara Jean. - Powiedziałam Griffiniowi wszystko, co pamiętam. Przysięgam, że...

Yvette poklepała ją po ramieniu.

- Niepotrzebnie się pani denerwuje. Nie jestem tu po to, żeby wywierać na panią presję, ale żeby pani pomóc, jeżeli będzie pani tego potrzebować.

Barbara Jean przyglądała się doktor Meng sceptycznie, najwyraźniej niepewna, czy powinna jej ufać.

- Nie przypominę sobie nic więcej. Jestem tego absolutnie pewna. - Uśmiechnęła się i sięgnęła po filiżankę.

- Sanders robi przepyszną herbatę. Najbardziej lubię earl grey. Pamiętam, że pijała ją moja mama, kiedy byłam małą.

Barbara Jean wyraźnie się rozluźniła.

- Gale Ann lubiła sasafrasową herbatkę naszej babci Hughes. Babcia parzyła ją nam, kiedy byliśmy małe. Ja jej nie cierpiałam. Smakowała jak lukrecja, a nie znoszę lukrecji.

- Ja nie znałam swoich babć - wyznała Yvette. - Byłam jedynaczką, jak moja matka, a siostra mojego ojca zmarła jako młoda dziewczyna. Po śmierci rodziców zostałam całkiem sama.

- Gale Ann i ja byliśmy szczęściami, że miałyśmy siebie. - W oczach Barbary Jean zalśniły łzy. - To takie niesprawiedliwe, że ona... - Zniosła się szlochem. - To powinnam być ja. Jestem starsza i - spojrzała na swoje bezwładne nogi - jestem kaleką. Jeśli któraś z nas musiała umrzeć, to powinnam być ja.

Po twarzy Barbary Jean popłynęły łzy.

- Oddałaby pani życie za siostrę, gdyby pani mogła. - Yvette mówiła miękko, ze współczuciem. I posiadała wyjątkowy dar: lepiej niż inni potrafiła wczuć się w położenie drugiego człowieka.

- Tak, oddałabym. Żałuję... tak bardzo żałuję, że nie mogłam. - Barbara Jean łkała, uwalniając emocje, które do tej pory tłumiła w sobie.

Trzeba stawić czoła rzeczywistości, chociaż to czasem przeraźliwie bolesne doświadczenie. Ale pogodzenie się z rzeczywistością oczyszcza i pozwala przejść na drugi poziom żalu.

- Pani siostra na pewno wiedziała, że oddałaby pani za nią życie - powiedziała Yvette. - I jestem pewna, że gdyby sytuacja była odwrotna, czułaby się teraz tak jak pani.

Barbara Jean nie przestawała płakać.

Yvette wyczuła obecność Sandersa, zanim spojrzała na drzwi i zobaczyła go w progu z tacą pełną herbatników i ciasteczek owsianych. Gdy pokręciła głową wycofał się i zniknął w korytarzu. Wróci za pięć minut, kiedy Barbara Jean przestanie płakać.

Griffin przyglądał się Nic Baxter, która zakończyła konferencję prasową jednym krótkim zdaniem.

- Od tej chwili zabójstwo Sonyi Todd jest sprawą federalną - oznajmiła. - Jutro rano wydam komunikat dla prasy. Do tego czasu proszę nie zadawać lokalnym ani federalnym funkcjonariuszom żadnych pytań.

W tłumie dziennikarzy rozległ się pomruk niezadowolenia. Wszyscy z wyjątkiem ognistej rudowłosej dziennikarki, której nie onieśmieliło oświadczenie

Nic. A może po prostu nie miała dość rozsądku, żeby wyczuć, kiedy należy się wycofać.

- Skoro sprawę przejmuje FBI, domyślam się, że morderstwo należy przypisać zabójcy królowych piękności? - spytała.

Nic wbiła wzrok w rudowłosą kobietę.

- Jak się pani nazywa?

- Brigit Henson, „Memphis Commercial Appeal”.

- Cóż, pani Henson, sugeruję, żeby niczego się pani nie domyślała. Koniec. Kropka. Trafiony, zatopiony.

Brigit otworzyła usta, żeby znów się odezwać, ale nie zdążyła, bo wtrącił się Griffin Powell.

- Agentko Baxter! - Baryton Griffa podziąłał na pierzchających dziennikarzy niczym uderzenie pioruna. Wszyscy zamarli w jednej chwili.

Nic przemierzyła wzrokiem morze głów i odnalazła go w tłumie, co zresztą nie było trudne, bo miał ponad metr dziewięćdziesiąt i ważył dobre dwadzieścia pięć kilo więcej niż wtedy, kiedy grał w drużynie piłkarskiej. Spojrzała na niego gniewnie.

- Dlaczego każe im pani czekać? - spytał. - Za godzinę i tak wszyscy będą wiedzieć, że zajmuje się pani zabójstwami królowych piękności, a nawet idiota potrafi dodać dwa do dwóch.

Nic zjeżyła się. Z jej brązowych oczu biła złość.

- Już nie muszą czekać, panie Powell. Bo pan przekazał tę informację wszystkim zebranym.

Wiedział, że ją wkurzył, ale nie przejmował się tym. Uwielbiał doprowadzać Nic Baxter do szału, stało się to jedną z jego ulubionych rozrywek. Ona wykorzystałaby każdą możliwość, żeby się go pozbyć. Rozumiał, że należało to do jej zadań. Ale miał jej za złe to, jak go traktowała.

- A może wyda pani oświadczenie teraz? - Igrał z ogniem i dobrze o tym wiedział. Mogła go aresztować za utrudnianie dochodzenia federalnego. Zrobiłaby to bez najmniejszych oporów.

Byłby dla niej najmilszym facetem, jakiego w życiu poznała, gdyby miał choć cień nadziei, że cokolwiek tym wskóra. Początkowo starał się ją oczarować, ale to nie podziąłało. I nie podziąła. Najwyraźniej była obojętna na jego urok. Mało tego, miała do niego awersję.

Tłum dziennikarzy zastępnął, czekając na reakcję agentki Baxter, ale ona zignorowała sugestię Griffa. Odwróciła się, chwyciła porucznika

Skillmana za ramię i poprowadziła go do drzwi laboratorium kryminalistyki. Za nimi podążył asystent Nic, agent specjalny Josh Friedman, który kilka razy obejrzał się przez ramię na Griffa.

Troje dziennikarzy - dwaj mężczyźni i Brigit Henson - zaczęło pytać Powella o jego związek ze sprawą.

- Mój klient, Judd Walker, prawie cztery lata temu stracił z rąk zabójcy żonę - wyjaśnił Griff. - Pan Walker zlecił mi prowadzenie prywatnego śledztwa. Niestety, podobnie jak miejscowe i federalne organa ścigania, do tej pory byłem w tej sprawie bezradny. Ale w zeszłym tygodniu morderca był widziany, kiedy wychodził z budynku, w którym mieszkała jego poprzednia ofiara.

- Chce pan powiedzieć, że jest naoczny świadek, który może opisać zabójcę? - spytała Brigit.

- Tak.

- Kto to jest? - zainteresował się jeden z mężczyzn.

- To siostra ofiary morderstwa.

Dziennikarze zadali kolejne pytania, ale Griff oznajmił, że nie może im udzielić dalszych informacji.

- Innym razem - rzekł Griff i wrócił do Judda i Lindsay.

- Właśnie dałeś zabójcy sygnał, żeby ścigał Barbarę Jean Hughes - powiedział Judd.

- To prawda.

- Zapomniałeś tylko wspomnieć, gdzie teraz przebywa - zauważyła Lindsay.

- Zrobię to. - Griff się uśmiechnął. O ile się nie mylił, w jego stronę zmierzała Brigit Henson.

W Przystani Griffina Barbara Jean była bezpieczna jak złoto w Fort Knox. Griff bez skrupułów posłużył się nią, żeby sprowokować szaleńca do fałszywego ruchu, chociaż był prawie pewien, że facet nie jest na tyle głupi, by dać się nabrać. Na takie szczęście liczyć raczej nie mogli. Ale teraz zabójca nie będzie spał spokojnie, wiedząc, że jest naoczny świadek, który może go rozpoznać.

- Mogłeś przynajmniej spytać mnie o pozwolenie, zanim podałeś prasie moje nazwisko. - Judd spojrzął na Griffa z wyrzutem. - Leci do ciebie twoja gołąbeczka, namierzyła cię.

- Wszyscy wiedzą, że jesteś moim klientem. - Griff nie spuszczał wzroku z Judda, jakby nie miał pojęcia, że pani Henson stoi tuż za nim. - Ale nie zaszkodzi powtórzyć: odziedzyczyłeś ogromną fortunę

Walkerów i nadajesz się na pierwsze strony gazet. Znacznie ciekawsza jest jednak informacja, że Barbara Jean Hughes przebywa w moim domu pod Knoxville.

Brigit Henson odkaszlnęła.

Griff odwrócił się, okazując jedynie niewielkie zaskoczenie. Nie chciał przesadzić.

- Pani Henson, wierzę, że nie powtórzy pani tego, co pani przed chwilą usłyszała.

W jej oczach koloru leszczynowej zieleni błysnęły figlarnie ogniki.

- Jeżeli da mi pan wyłączenie na informację, możemy porozmawiać o warunkach.

- Proszę mówić mi Griff. - Posłał jej uwodzicielski uśmiech, taki, którym mężczyzna składa kobiecie niewypowiedzianą obietnicę. A w przypadku tej kobiety obietnica dotyczyła zarówno kwestii zawodowych, jak i osobistych. Griff nie miał nic przeciwko łączeniu pracy z przyjemnościami.

Brigit wzięła go pod rękę.

- W takim razie, Griff, może pójdziemy gdzieś na kawę, żeby obgadać temat?

Griffin spojrzął na Judda.

- Weźcie samochód. Zobaczymy się później w Wingate.

Przeszedł Front Street i skręcił w Barnes Street, gdzie zaparkował swojego forda taurusa. Otworzył drzwiczki, zdjął kapelusz i płaszcz i rzucił je na tyle siedzenie. Dzięki temu, że wmieszał się w tłum dziennikarzy, usłyszał informacje, jakie przekazał prasie główny detektyw prowadzący dochodzenie w sprawie morderstwa Sonyi Todds. Nie powiedział nic ważnego, to fakt. Ale tego można było się spodziewać. Policja lubi trzymać wszystko w tajemnicy.

Kiedy pojawili się agentka Baxter i Griffin Powell, poczuł się jak w domu. Nie zawsze mógł zostać na miejscu do następnego dnia po zabójstwie, ale coraz częściej opóźniał wyjazd na tyle, żeby rozkoszować się zwycięstwem. Miejscowi gliniarze nie mieli o niczym pojęcia. Nawet FBI nie wiedziało, że to on.

Zadowolony, uruchomił silnik i włączył się w popołudniowy ruch uliczny. Wrócił do domu bez pośpiechu. Po drodze zatrzyma się w kilku miejscach, lecz nie zostanie nigdzie na noc. W domu czeka go dużo roboty. Musi wywołać zdjęcia i dołączyć je do galerii. Wspomnieniami

należy się rozkoszować, kiedy jeszcze są świeże. Poza tym ma do wykonania najważniejszy telefon.

Może powinienem zadzwonić też do Nicole Baxter?

Już wcześniej miał ochotę zadzwonić do słodkiej agentki FBI, choćby po to, żeby usłyszeć jej głos. Fascynowała go od chwili, kiedy ją zobaczył. Wtedy pracowała z Curtisem Jacksonem, zanim odszedł na emeryturę.

Szkoda, że nigdy nie została miss...

Nie daj się zwieść. To prawda, że Nicole jest wyjątkowo atrakcyjną kobietą, ale nie jest pięknym kwiatem, który trzeba zerwać, zanim zacznie więdnąć. W tej grze agentka Baxter odgrywa rolę godnego przeciwnika, nie ofiary.

Ale kiedy gra dobiegnie końca...

Nie mógł uwierzyć, że zbliża się koniec gry. Za kilka miesięcy minie pięć lat, a wtedy zwycięzca ogłosi ostateczny triumf. On i jego kuzyn byli pokojowymi rywalami. Dzielili radość z każdego zwycięstwa, początkowo nie zdając sobie sprawy, że gra stanie się sensem ich życia. A najśmieszniejsze było, że nikt nie miał pojęcia, że jest ich dwóch - dwóch zabójców królowych piękności.

Będzie mu brakowało gry, rywalizacji i wyzwania, żeby zdobyć jak największą liczbę punktów. Będzie mu też brakowało kuzyna. Lecz zwycięzca może być tylko jeden, a on chciał, żeby ten zaszczyt przypadł właśnie jemu. Inaczej musiałyby pożegnać się nie tylko z podium, ale i z życiem.

Po drodze do hotelu Lindsay i Judd kupili burgery w restauracji fast food. Sanders zarezerwował dla Lindsay mały apartament, a dla Judda i Griffa przyległy dwuosobowy pokój. Chociaż zjawili się o wpół do drugiej, a hotel przyjmował gości od trzeciej, pokoje były już przygotowane i dostali klucze.

- Czy pan Powell zjawi się niebawem? - spytał recepcjonista.

- Tak, późniejszym popołudniem - odparła Lindsay.

Kiedy znaleźli się na górze, zaprosiła Judda do siebie.

- Może zjemy razem lunch - zaproponowała, otwierając drzwi.

Wszedł do środka i położył torebki z jedzeniem na ławie przed jasnobrązową kanapą. Lindsay zaciągnęła podróżną torbę na kółkach w róg pokoju. Judd zdjął z ramienia swoją i postawił przy bagażu Lindsay.

- Nie wiem, po co tu przyjechałem. - Z papierowej torebki wyjął duże duże cole z lodem. - Już tyle razy wydawało mi się, że nasza obecność do czegoś doprowadzi.

- Możesz mnie uważać za niepoprawną optymistkę - odparła Lindsay - ale ciągle wierzę, że prędzej czy później zabójca coś schrzani i się wyda.

Poszła do łazienki umyć ręce. Kiedy wróciła, Judd zdążył rozpakować burgery i wysypać frytki na tekturowe tacki. Podał jej jedną nie wstając z kanapy.

- Ketchup obok, zgadza się?

Skinęła głową. Otworzył dwie małe saszetki i wycisnął zawartość jednej obok frytek dla niej, a ketchupem z następnej polał swoje.

Jedli w milczeniu. Lindsay wydawało się, że nie mają o czym rozmawiać, bo nie są w stanie sobie powiedzieć nic nowego.

Kiedy sięgała po szarlotkę, zaczęła wibrować jej komórka. Wyłączyła dźwięk na konferencji prasowej i później zapomniała włączyć. Wyjęła telefon z kieszeni i sprawdziła numer dzwoniącego.

Griff.

- Cześć.

- Jak tam? - spytał.

- Dobrze. Właśnie jemy z Juddem burgery z frytkami.

- Mniam.

- Czy muszę pytać, gdzie jesteś?

Dostrzegła „ten błysk” w oczach Griffa i wiedziała, że Brigit Henson będzie jego kolejną zdobyczą. Szanowała Griffina, lubiła z nim pracować i darzyła go ogromną sympatią, ale zdawała sobie sprawę, że jest jak drapieznik. Pod maską uprzejmego dżentelmena krył się zajadły, nieprzejednany wojownik. Griffin Powell był wojownikiem zarówno w życiu zawodowym, jak i osobistym.

- Jestem z panią Henson w miejscowym Olive Garden - powiedział. - Poszła do toalety.

- Przyjedziesz do nas później?

- Werdykt nie jest znany. Jury jeszcze obraduje.

Lindsay się roześmiała.

Griff przeszedł do spraw służbowych.

- Sonya Todd miała chłopaka. Nazywa się Paul Dryer i jest trenerem baseballa w gimnazjum w Tupelo.

- Masz zamiar...

- Nie, chcę, żebyś ty się z nim skontaktowała. Przed kobietą prędzej się otworzy.

- Dobrze. Kiedy?

- Nie dzisiaj. Za wcześnie. - Griff zawiesił głos. - Skontaktuj się z nim jutro. Rozegraj sprawę Juddem Walkerem. Mężczyźni w tym samym położeniu. I postaraj się, żeby Judd się zaangażował.

- A może jednak się zamienimy?

- Raczej nie. Brigit to istna kopalnia informacji, ale nie sądzę, żeby miała ochotę dzielić się nimi z tobą. Nie jesteś w jej typie.

- Lubi wielkich, przysadzistych facetów z owłosioną klatą?

- Tak, a ja do nich należę.

- Co ma nam dać przesłuchanie chłopaka? - spytała Lindsay.

- Znalazł ciało - wyjaśnił Griff. - I tak jak Judd naruszył miejsce zbrodni.

- Cudownie - mruknęła.

Dopadły ją strzępy wspomnień.

Judd trzymający w ramionach zmarłą żonę. Czule głaszczący ją po twarzy. I jego rozdzierający krzyk.

- Lindsay? - zawołały jednocześnie dwa męskie głosy.

Wspomnienie nocy, kiedy zamordowano Jennifer Mobley Walker, ulotniło się równie nagle, jak się pojawiło.

Lindsay spojrzała na Judda, a później rzuciła do słuchawki:

- Tak, jestem.

- Dzwonił do mnie Sanders - powiedział Griff. - Wygląda na to, że udało się znaleźć w miejscowej policji kandydata na współpracownika.

- Jakoś mnie to nie dziwi.

- Nie bądź taka święta. Może trochę naginamy prawo, ale przecież cel uświęca środki.

- Powtarzasz mi to, ilekroć dajesz komuś łapówkę.

- To technik z laboratorium kryminalistyki. Sanders skontaktuje się z nim dziś wieczorem i postara przekonać, żeby jutro poświęcił mi pięć minut.

- Jeżeli Nic Baxter zwietrzy...

- Nic Baxter zajmę się ja - uciał Griff.

- Jasne, ale jeżeli cię dorwie, to szukaj się na własny pogrzeb.

Griff zachichotał, po czym się rozłączył.

Lindsay odwróciła się do Judda.

- Griff chce, żebym skontaktowała się z chłopakiem Sonyi Todds i umówiła się z nim jutro na spotkanie.

Wpatrywał się w nią bez słowa.

- To on znalazł ciało dziś rano - dodała.

- Chce, żebym z tobą poszedł na rozmowę z tym facetem?

- Tak.
- Judd spojrział w przestrzeń poza nią.
- Przypomniało ci się, prawda? Kiedy rozmawiałaś z Griffem i na chwilę się wyłączyłaś, przypomniała ci się ta noc, kiedy zginęła Jenny.
- Tak.
- Dziwne, ale nie pamiętam, co było, zanim przyjechałem do tego domu, ani co się stało później. Pamiętam tylko widok Jenny z odrąbanymi dłońmi... - Zamknął oczy i zacisnął zęby. - Ten obraz wrył mi się w głowie. Nie wymazałaby go żadna lobotomia. To właśnie ci się przypomniało, prawda? Widok Jenny...
- Tak.
- Widok Jenny w twoich ramionach.
- I twój rozdzierający krzyk.

Rozdział 14

Już w chwili, kiedy zobaczył Brigit Henson, Griffin wiedział, że będzie nieżyła w łóżku. Ogromne doświadczenie w kontaktach z płcią przeciwną nauczyło go, że wszystkie kobiety pod wieloma względami zupełnie się od siebie nie różnią tylko drobne szczegóły sprawiają że jedne są warte zachodu, a inne nie. Nie szukał miłości. Nie chciał jej. Nie potrzebował.

Ale chciał i potrzebował seksu. Regularnie.

Odkąd skończył piętnaście lat, nigdy nie miał problemu ze znalezieniem sobie kogoś do łóżka. W liceum był kapitanem drużyny piłkarskiej i spotykał się z wieloma cheerleaderkami. Na studiach, jako gwiazda drużyny uniwersyteckiej, mógł przebierać w dziewczynach. I kobietach. Starszych kobietach, które wiele go nauczyły. Złamał kilka serc, składając obietnice, których od początku nie miał zamiaru dotrzymać. Napaleni młodzi faceci są bezduszni i bezwzględni, bo tylko jedno im w głowie.

Później, jako dojrzały mężczyzna, nie składał swoim seksualnym partnerkom żadnych obietnic.

Teraz leżał obok Brigit i rozmyślał, wpatrując się w sufit. Mógł wyjść, gdy tylko skończyli się kochać, ale nie zrobił tego, bo wiedział, że kobiety tak samo jak gry wstępnej, potrzebują odrobiny czułości po wszystkim.

Brigit wtuliła się w niego i westchnęła z zadowolenia.

- Nie musisz iść, prawda? Jest jeszcze wcześniej... - Uniosła się i spojrzała na cyfrowy budzik. - Dopiero wpół do jedenastej.

Przesunął dłońią po jej nagim biodrze i uśmiechnął się szeroko.

- Spróbuj mnie przekonać, żebym został.

Odsunęła kołdrę i zaczęła przesuwac opuszkami palców od torsu do ud, a później znów w górę. Chwyliła jego członek, opuściła głowę i pocałowała go w brzuch. Griff ujął jej głowę w dłonie, niecierpliwie naprowadzając w odpowiednim kierunku. Językiem znaczyła wilgotną ścieżkę w dół. Powoli. Doprowadzając go do szaleństwa.

Lizała go od czubka do trzonu, powtarzając ruch kilkakrotnie, a później wzięła go do ust.

Griff jęknął gardłowo.

W kilka minut Brigit udowodniła, że nie pomylił się co do niej. Była kobietą z ogromnym doświadczeniem i wiedziała, jak zadowolić mężczyznę. Ostatnią trzeźwą myślą, jaka przyszła mu do głowy, zanim cały świat zawęził mu się do fiuta, było pytanie: ilu mężczyzn ujawniło tajne informacje tej utalentowanej kobiecie, kiedy im dogodziła?

Doszedł w jej ustach i poluźnił silny uścisk na jej głowie. Przełknęła kilka razy, a później uniosła się nad nim i oblizała wargi, jakby rozkoszowała się każdą kroplą jego nasienia.

Pocałowała go, dając mu posmakować samego siebie.

- Lubię przepłukać sobie usta dobrym alkoholem - wyszeptwała, kładąc się na nim tak, że jej małe, sterczące piersi rozpląszczyły się na jego torsie.

- Teraz też chcesz? - Klepnął ją w pupę.

Ze śmiechem stoczyła się z niego.

- Mam butelkę jacka danielsa w walizce. - Znów zaczęła błądzić palcami po jego torsie. - A whisky najbardziej lubię z lodem.

- Czyżbyś sugerowała, żebym poszedł po lód?

- To właśnie problem z motelami. Nie ma obsługi. - Usiadła na łóżku, nie krępując się swoją nagością. - Moglibyśmy wypić parę kolejek, pogadać, trochę się jeszcze popieprzyć. - Westchnęła teatralnie. - Szkoda, że nie mamy lodu.

- Jestem skłonny zrobić wyprawę na korytarz. - Wstał z łóżka, chwycił swoje spodnie ze stojącego nieopodal krzesła i wskoczył w nie. - Podoba mi się pomysł z piciem i pieprzeniem...

- Ale nie z gadaniem?

- Zależy na jaki temat. - Włożył koszulę, nie zapinając guzików.

- Moglibyśmy wymienić informacje na temat zabójcy królowych piękności.

- A czemu sądzisz, że ja wiem więcej niż ty? - Idąc do drzwi, wzięła puste wiaderko na lód.

- Prowadzisz śledztwo w tej sprawie od prawie czterech lat. Zaangażowałaś się po morderstwie Jennifer Mobley Walker w Chattanooga, bo wynajął cię jej mężulek. To oczywiste, że o zabójcy wiesz tyle samo co FBI, a może nawet więcej.

- Może i tak. - Otworzył drzwi i obejrzał się przez ramię. - Ale to, co wiem, nie jest na sprzedaż, nawet za cholernie dobre obciaganie.

Z twarzy Brigit zniknął uśmiech.

- Podaj cenę. Mamy całą noc.

Griff puścił do niej oko, ustawił zamek tak, żeby drzwi się nie zatrzasnęły, i pomaszerował korytarzem do maszyny z lodem. Zauważył ją - przy barze w małej niszy - kiedy odprowadzał Brigit pod drzwi pokoju, do którego w końcu go zaprosiła.

Gdy podszedł do wnęki, usłyszał trzask lodu i domyślił się, że ktoś właśnie korzysta z maszyny.

Skreślił za róg, zamierzając skinąć głową facetowi nabierającemu lód, tymczasem stanął twarzą w twarz z wysoką brunetką w dresie koloru fukcji. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, po czym spojrzął jej prosto w oczy.

- Dobry wieczór, agentko Baxter - powiedział.

Tańczyli w takt łagodnej jazzowej muzyki. Jennifer poddawała się jego prowadzeniu, a on muskał nosem jej szyję. Pachniała Chanel No. 5, jedynymi perfumami, jakich używała. Tych samych, co jej matka i babka.

Kiedy zsunął dłoń z jej talii na biodro, chwyciła go za rękę i położyła z powrotem w pasie.

- Ludzie na nas patrzą-zganiła go.

- To co? Przecież jesteś moją żoną- odpowiedział.

Posłała mu ten słynny uśmiech, dzięki któremu - zdaniem wielu - zdobyła kilka lat wcześniej tytuł Miss Tennessee, i przywarła do niego.

- Zachowuj się, jesteśmy w miejscu publicznym. Później będzie dość czasu na to, co ci chodzi po głowie.

Przystanął i chwycił ją za rękę.

- Chodźmy już. Wystarczy, że się pokazaliśmy. Nikt nie będzie z nami tęsknił.

Spojrzała na niego z nadąsaną miną.

- Jeszcze pół godziny.

Bardzo chciał zabrać żonę do domu i kochać się z nią przez całą noc, ale nie potrafił jej niczego odmówić.

Nigdy wcześniej nie kochał nikogo tak jak Jennifer. Cały jego świat zaczynał się na niej i na niej kończył.

Przez te pół godziny przyglądał się, jak jego żona tańczy z burmistrzem, senatorem stanowym i jego starym przyjacielem Camem Hendrixem, i cały czas myślał o tym, żeby się z nią kochać.

Leżała pod nim, a jej pełne, wilgotne ciało przyjmowało go, unosząc się przy każdym pchnięciu, wijąc się z rozkoszy, błagając go o więcej.

Tuż przed szczytem spojrzał głęboko w jej niebieskie oczy i dostrzegł w nich miłość, głębszą niż kiedykolwiek wcześniej.

Niebieskie oczy? Jak to niebieskie? Przecież Jennifer miała brązowe.

Ciało leżące pod nim nie należało do Jennifer. I to nie w oczach Jennifer dostrzegł miłość.

- Lindsay-jęknął.

Nagle Lindsay zniknęła. Z jego umysłu odpłynęły myśli o miłosnych uniesieniach i znów znalazł się na przyjęciu, na którym był z Jennifer. Tyle że wszystko zaczęło się zmieniać. Parkiet zrobił się czerwony. Czerwony od krwi. Jennifer leżała na podłodze, wyciągając w górę ręce bez dłoni. Ku niemu? Próbował do niej dojść, ale nie był w stanie się ruszyć. Stał nieruchomo w ciemnościach, które otaczały Jennifer i oddziaływały go od niej. Usiłował jej dotknąć, rozproszyć mrok, który ją ogarniał, ale coś go powstrzymywało, nie pozwalając podejść do żony.

- Judd, pomóż mi! - krzyczała Jennifer, wyciągając zakrwawione ręce bez dłoni.

W pasie z całej siły trzymała go Lindsay. Przez nią nie mógł pomóc Jenny.

Puść mnie. Muszę ją uratować. Nie rób tego. Nie trzymaj mnie.

Jennifer... Jennifer!

- Nie miałam pojęcia, że zatrzymałeś się w tym motelu. - Oczy Nic Baxter ciskały gromy.

- Bo się nie zatrzymałem - odpowiedział.

Uniosła brwi.

- Niech zgadnę... Mała ruda dziennikarka?

Griff uśmiechnął się i zmierzył wzrokiem pełen pojemnik na lód, który trzymała w ręce.

- Drink z przyjacielem późnym wieczorem?

- W odróżnieniu od pana, panie Powell, niektórzy z nas umieją oddzielić pracę od rozrywek.

Griff zachichotał.

- I bardzo źle. Chętnie udzieliłbym ci kilku lekcji, jak uwolnić się od stresu. Gdybyś pozbyła się tego całego napięcia, zniknęłyby ci zmarszczki wokół oczu... - Wycelował palec wskazujący w stronę jej oczu, zatrzymując go zaledwie kilka centymetrów przed twarzą. - I może zrzuciłabyś parę zbędnych kilogramów. - Oceniał wzrokiem jej krągłe kształty.

- Prędej mnie piekło pochłonie, niż pozwolę, żebyś dawała mi jakiegokolwiek lekcje - odparła. - Ale jestem pewna, że pani Henson nie może się doczekać kolejnej. Nie powinieneś kazać jej czekać.

- Wytrzyma tych kilka minut.

Dlaczego po prostu nie nabierze lodu i nie wróci do pokoju? Dlaczego nie potrafi przepuścić okazji, żeby wkurzyć Nic Baxter?

Bo to takie proste. Wystarczy, że na nią spojrzy, i już doprowadzają do szału.

Przysunął się bliżej, aż jego wiaderko na lód uderzyło o jej pojemnik, ale żadne nie usunęło się drugiemu.

- Próbujesz mnie onieśmielić, a to na mnie nie działa.

- Próbowałem cię czarować, tłumaczyć i onieśmielać: bezskutecznie. Więc powiedz mi, Nicole - ściszył głos do szeptu i pochylił się tak, że niemal stykali się nosami - co na ciebie działa?

Wzięła głęboki oddech i cofnęła się o krok.

- Działa na mnie szacunek.

- Szanuję cię - zapewnił.

- Zwisa mi, co czujesz do mnie osobiście. Chodziło mi o szacunek dla prawa i do mnie jako agentki FBI.

- Szacunek musi być obustronny. Jeśli przestaniesz uważać mnie za wroga i zaczniesz traktować jak przyjaciela...

- Może i spoglądałabym na ciebie inaczej, gdybyś nie wtrącał się w dochodzenie przy każdym nowym zabójstwie. W ogóle nie powinno cię tu być.

- Gdybyś zgodziła się ze mną współpracować, nie musiałbym być taki namolny. Przecież wiesz, że jesteśmy po tej samej stronie.

- Nie, nie jesteśmy. Ja jestem agentem federalnym. Stoję po stronie prawa i porządku. Ty jesteś prywatnym detektywem, wynajętym przez faceta ogarniętego żądzą zemsty.

- Czy naprawdę nie możesz pojąć, dlaczego Judda trawi pragnienie, żeby odnaleźć mężczyznę, który zabił jego żonę, i doprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości?

- On nie chce sprawiedliwości. On chce zemsty.

- Więc twoje pobudki różnią się od pobudek Judda - skwitował Griff. - Ale najważniejsze jest to, że wszyscy mamy ten sam cel: znaleźć tego zaleńca i powstrzymać przed dalszym zabijaniem.

Kiedy Nic otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, usłyszeli donośny kobiecy szept.

- Griff, kochanie, gdzie jesteś?

Wyjrzał za róg niszy i dostrzegł Brigit - szła przez korytarz w szlafroku luźno przewiązanym w talii.

- Najwyraźniej nie była w stanie wytrzymać bez ciebie tych kilku minut - powiedziała Nic.

- Najwyraźniej. - Griff uśmiechnął się promiennie.

Nic odwróciła się na pięcie i wyszła z wnęki, kierując się prosto do swojego pokoju.

Brigit podeszła do Griffa i wsunęła mu rękę pod ramię.

- Czy to była agentka Baxter?

- Tak.

- Dziwię się, że cię nie ustrzeliła.

Zdobył się na uśmiech.

- Sama dostała kilka strzałów podczas rozmowy - zażartował.

- Dobrze ją znasz?

- Kogo?

- Nicole Baxter, głuptasie.

- Na tyle, na ile muszę.

- No to wiesz o jej mężu.

Mężu? Jakim mężu?

- Tak, oczywiście.

Brigit wzięła od niego puste wiaderko.

- Daruj sobie ten lód, skarbie. - Uwodzicielsko otarła się biustem o jego tors. - Mogę zlizywać whisky z twojego pępka... albo z twojego płaskiego brzucha... albo...

Po wspólnej kolacji Judd wyszedł. Lindsay próbowała o nim nie myśleć, ale kilka razy złapała się na tym, że wpatruje się w drzwi łączące jej apartament z pokojem, który dzielił z Griffem. Wzięła ciepły prysznic, obejrzała jakiś bzdurny program w telewizji, przeczytała kilka rozdziałów najnowszej powieści Lindy Howard i zadzwoniła do Sandersa.

Dochodziła jedenasta, a ona od pół godziny przewracała się w łóżku z boku na bok. Wreszcie odrzuciła kołdrę, wstała i podeszła do okna. Odsunęła brzeg zasłony i spojrzała na ciemną pustą ulicę. Dlaczego wyrzuciła resztkę tabletek nasennych, które przepisała jej doktor Meng? Pół roku temu przez kilka tygodni nie potrafiła bez nich zasnąć.

Należała do osób, które nie lubią faszerować się lekami dłużej, niż to konieczne. Zażywanie tabletek nasennych uważała za oznakę słabości, ale doktor Meng przekonała ją, że czasem nawet najsilniejsi ludzie potrzebują pomocy.

- Bądź dla siebie tak dobra i wyrozumiała, jak byłabyś wobec przyjaciela, na przykład Griffina albo Sandersa - tłumaczyła.

Lindsay położyła się na kanapie i wpatrzyła w małe światelko alarmu przeciwpożarowego nad drzwiami.

Ciekawe, czy Griff już wrócił. Pewnie nie. Zwlecze się nad ranem.

Uśmiechnęła się do siebie. Brigit Henson spotkało dziś szczęście. Ze wszystkich kobiet Griff wybrał akurat ją.

Gdyby Lindsay należała do kobiet akceptujących przelotne romanse bez zobowiązań, pewnie zaryzykowałaby swoją pracę za jedną noc z Griffem. Ale ona była kobietą jednego mężczyzny. I tym mężczyzną nie był Griffin Powell.

Jej rozmyślenia przerwał przeraźliwy krzyk. Usiadła na kanapie i zaczęła się przysłuchiwać.

Cisza.

Po chwili następny krzyk, ale nie tak głośny. Żałosny, przerażony głos dochodził z pokoju obok.

Judd!

Zerwała się z sofy i podbiegła do drzwi łączących pokoje. Nacisnęła klamkę i ku jej zaskoczeniu, otworzyły się. Najwidoczniej Judd nie przekreślił klucza w zamku od środka. Weszła do ciemnego pokoju, stanęła w nogach zajętego łóżka - drugie było puste, a pościel nienaruszona - i zobaczyła Judda rzucającego się w pościeli, jakby walczył z kimś przez sen.

Krzyknął jeszcze raz, lecz tym razem było to imię.

- Jenny!

Lindsay zamarła.

Judd wymamrotał kilka niezrozumiałych słów.

Pewnie śni mu się koszmar, pomyślała Lindsay. Powinna go obudzić czy raczej pozwolić podświadomości zmagać się z myślami o Jenny?

- Nie, Boże, nie! -jęknął Judd i zaczął łkać przez sen.

Było jej go żal.

I siebie również.

Jak mogła się łudzić, że on kiedyś otrząśnie się z uczuć do Jenny i będzie potrafił pokochać na nowo?

Od tamtej tragicznej nocy minęły prawie cztery lata, a Judd nie pozbywał się po stracie żony.

- Lindsay.

Kiedy wypowiedział jej imię, zadrżała. Nogi, zupełnie jakby żyły niezależnym życiem, niosły ją przez ciemny pokój. Znalazła się przy łóżku, usiadła i pogłaskała go po twarzy.

- Judd. Obudź się. Masz żyły sen.

Uniosł rękę z prędkością światła i chwycił ją za nadgarstek. Lindsay, przestraszona, nabrała gwałtownie powietrza i usiłowała się wyszarpnąć.

Otworzył oczy i spojrzał na nią.

- Pozwól mi odejść, Lindsay.

O czym on mówi? Przecież to on ją trzyma, nie ona jego.

- Judd, nic ci nie jest?

Pociągnął ją na siebie, tak że leżeli twarzą w twarz. Zaczęła oddychać szybciej.

- Cholera, dlaczego nie chcesz mnie puścić?

- Nie rozumiem... O czym ty...

Chwycił ją za szyję i zacisnął dłonie, zgniatając jej krtań. Zabrakło jej tchu.

Co w niego wstąpiło, do diabła? Chce ją udusić?

Śmiertelny uścisk na szyi zelżał. Przesunął jedną dłoń na jej kark i przyciągnął jej głowę do swojej. Drugą rękę położył jej na plecach i przycisnął ją do swojej wzbudzonej męskości.

- Judd?

Zachłannie wpił się w jej usta.

Nie pozwól mu na to. Przerwij to, zanim zabrniesz dalej.

Ale nie była w stanie powstrzymać swojej reakcji, tak jak nie byłaby w stanie powstrzymać słońca przed wschodem o świcie. Zawładnął nią czysty kobiecy instynkt. Rozchyliła wargi, przyjmując jego pocałunek.

Całował ją, aż zabrakło jej tchu. Wtedy odsunął ją na bok, niemal zrzucając z łóżka. Wstał i przeszedł przez pokój.

- Idź stąd - powiedział, stojąc do niej tyłem, nagi.

- Judd?

- Przepraszam. - Opuścił szerokie ramiona. - Miałem zły sen. Kiedy mnie dotknęłaś, byłem zaspany. Myślałem, że to Jenny.

Nie, nie myślałeś, chciała krzyknąć. Zawołałeś mnie po imieniu. Dobrze wiesz, że całowałeś się ze mną. Dlaczego kłamiesz?

- Tak, jasne. - Odwróciła się, pobiegła do swojego pokoju i pośpiesznie zatrasnęła drzwi, zamykając je na klucz.

Dojechał z Tupelo do Jackson i tam zatrzymał się na noc. Wypożyczony samochód zaparkował na lotnisku, przebrał się w męskiej toalecie i taksówką dojechał do najbliższego Holiday Inn Express. Nikt nie zwrócił uwagi na jednego z wielu biznesmenów. Za pokój zapłacił gotówką, wyjaśniając recepcjonistce, że kartę kredytową mu skradziono i czeka na wydanie nowej.

Nastawił dzbanek paskudnej hotelowej kawy, a później wziął prysznic. Po zabójstwie wołał nie spać. Lubił przez całą noc przywoływać w pamięci każdy rozkoszny moment. Rzecz jasna, zabawa we wspomnienia polegała po części na dzieleniu się nimi z kuzynem.

Nagi i świeżo ogolony zdjął narzutę z wielkiego łoża i położył na fotelu przy oknie. Z kieszeni marynarki leżącej w nogach łóżka wyciągnął telefon komórkowy. Usiadł na krześle i wybrał numer domowy Pinkiego.

Odebrał po drugim sygnale.

- Halo?

- Oddzwonź do mnie na ten numer. - Podyktował mu numer komórki.

Informacje o ostatniej ofercie zawsze przekazywali sobie, używając jednorazowych telefonów na kartę. Prawdopodobieństwo, że ktoś wpadnie na ich ślad, było bliskie zeru. Komórka zadzwoniła po niecałych dwóch minutach.

- Blondynka - powiedział kuzynowi. - Sonya Todd. Skrzypaczka.

- Piętnaście punktów dla ciebie - odparł Pinkie.

- Idziemy łeb w łeb, co, kuzynie?

- Wygląda na to, że tak.

Zachichotał.

- Wybrałeś już swój następny kwiatusek? Pamiętaj, nie może być ruda. W tym roku rudą już miałeś.

- Mnie nie będzie potrzebna, ale tobie jak najbardziej, co, Pudge?

Usłyszał kpinę w głosie Pinkiego. Niech się teraz śmieje, ale to ja będę się śmiał ostatni. Za żadne skarby nie pozwolę mu wygrać.

- Rzeczywiście, mój następny piękny kwiatusek będzie musiał być rudy.

- Mnie potrzebna jest jeszcze tylko jedna brunetka i jedna blondynka.

Pudge nie odpowiedział. Jego kuzyn miał rację, więc jeżeli chce wygrać, musi jak najszybciej znaleźć rudowłosą byłą miss i być gotowym do zabójstwa kilka godzin po tym, jak Pinkie wykona swój ruch.

- I co, opowiesz mi o niej? Bardzo się stawiała? Porządnie się nacierpiała? No, opowiadaj. I niczego nie pomini. Chcę znać każdy szczegół.

Rozdział 15

Griffin przyszedł do apartamentu Lindsay na kawę. Nie pytała, o której wrócił, bo uważała, że to nie jej sprawa. Nie widać było po nim najmniejszych oznak zmęczenia. Krótkie jasne włosy miał lekko wilgotne, pewnie po niedawnym prysznicu. Jak zwykle wyglądał nienagannie: biała llniana koszula i krawat w brązowo-granatowe paski do granatowego garnituru, który pewnie kosztował więcej, niż wynosiła jej miesięczna pensja. I był świeżo ogolony. Wiedziała, że goli się dwa razy dziennie; zastanawiała się nawet, czy nie jest to swego rodzaju nałogiem.

- Nie mam czasu na śniadanie - powiedział. - Umówiłem się z Johnsonem Riversem.

- Z laboratorium kryminalistyki?

- Tak. Denerwował się, że ktoś nas razem zobaczy, więc zgodziłem się na spotkanie za miastem.

Lindsay podała Griffowi filiżankę czarnej kawy i usiedli naprzeciw siebie. Ona piła już drugą kawę tego ranka. Przypuszczała, że Griff spał równie mało, choć z zupełnie innych powodów. Wyglądał promiennie. Nowy podbój zawsze dobrze na niego wpływał. Ona natomiast miała

sine cienie pod oczami, nie zdążyła wziąć prysznic ani się umalować. Ciekawe, czy Griff się domyśli, że płakała w poduszkę?

Łyknął kawy i spojrzał na zegarek.

- Samochód przyjedzie po mnie za dziesięć minut. Zdasz mi opowiedzieć, co się wydarzyło zeszłej nocy.

- A skąd wiesz, że coś się wydarzyło? Jesteś jasnowidzem?

Pokręcił głową.

- Nie, czytanie w myślach to specjalność Yvette.

- Rzeczywiście, jest w tym niezła. - Uśmiechnęli się do siebie i Lindsay odkaszlnęła. - No to skąd wiesz? Zgadłeś?

- Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, że coś zaszło między tobą a Juddem. Kiedy przyjechałem godzinę temu, on akurat wychodził pobiegać. Minęliśmy się, ale nie odezwał się do mnie. A po tobie widać, że miałaś ciężką noc.

- To nie tak, jak myślisz...

- Nie musisz mi zdradzać szczegółów - uciął Griff. - Chcę tylko wiedzieć, czy mam odesłać Judda do domu.

- Nie, nie musisz tego robić. - Lindsay wzięła kolejny łyk kawy i wyjaśniła: - Mówiąc w skrócie, Juddowi śnił się koszmar. Poszłam sprawdzić, co się dzieje, kiedy usłyszałam, że krzyczy, a on mnie wywalił z pokoju.

Griff spojrzał na nią z niedowierzaniem i zmienił temat.

- Na którą umówiłaś się z chłopakiem Sonyi Todd?

- Ma się zjawić w Wingate o dziesiątej.

- Jeżeli Judd będzie się dobrze czuł, ale naprawdę dobrze, to go zabierz na spotkanie. Przedstaw go temu Dryerowi i powiedz, że przez tego samego zabójcę stracił kobietę, którą kochał. Łatwiej nawiązać rozmowę z kimś, kto jest w podobnym położeniu.

- Po południu zamierzam porozmawiać z sąsiadami Sonyi - rzekła Lindsay. - Może ktoś z nich wie więcej, niż przypuszcza.

Griff skinął głową w stronę łazienki.

- Może wzięłabyś prysznic? A kiedy Judd wróci, poszlibyście na śniadanie.

- Sugerujesz śniadaniową randkę? - Zdobyła się na uśmiech.

Przyjrzał jej się badawczo, dopijając kawę, i odstawił kubek.

- Judd jest skończonym kretynem.

- To prawda. Ale ten skończony kretynek nadal kocha swoją zmarłą żonę i o ile nie wydarzy się jakiś cud, to się nigdy nie zmieni.

- Cuda się zdarzają.

- No proszę, panie Powell, jaki z pana mędrzec.

Roześmiał się.

Lindsay postawiła swój kubek obok kubka Griffa i podeszła do otwartej walizki leżącej na półce na bagaż.

- Jak długo zostaniemy w Tupelo?

- Jeszcze nie wiem. Ale najwyżej dwa dni. Jeśli nie wydarzy się nic nowego w związku ze sprawą, nie będzie sensu siedzieć tu dłużej.

- Naprawdę możemy go tym razem dopaść.- Wyjęła z walizki zmianę świeżej bielizny i ruszyła do łazienki.

- To prawda. Ja będę się cieszył, nawet jeżeli dopadnie go Nic Baxter, choć coś mi mówi, że jeżeli to nam się uda, ona nie będzie zachwycona.

- A może? Skąd wiesz?

Lindsay weszła do łazienki i dopiero po chwili zorientowała się, że zapomniała kosmetyczki. Kiedy otworzyła drzwi, usłyszała głos Griffa, który rozmawiał przez komórkę.

- Co słychać? - spytał. Słuchał chwilę, a potem powiedział: - To dobrze, że Barbara Jean oswaja się z Yvette.

Już miała wejść do pokoju, ale zamarła, słysząc dalsze słowa.

- Sprawdź Nicole Baxter. Kop tak głęboko, jak się da. Chcę wiedzieć wszystko na temat jej męża.

Męża? Lindsay nie miała pojęcia, że Nic jest mężatką.

- Tak, ja też byłem zaskoczony - mówił Griff. - Słuchaj, niech to zostanie między nami, jasne?

Lindsay zamknęła drzwi łazienki. Skąd Griff dowiedział się, że Nic ma męża? I dlaczego tak go interesują informacje na jego temat? Chyba nie chce posłużyć się nimi jako kartą przetargową?

Nie, nie zrobiłby tego. Szantaż nie jest w stylu Griffa.

Czy aby na pewno?

Wprawdzie nie widziała, żeby kiedykolwiek uciekał się do szantażu, ale nie oznaczało to, że nie był do tego zdolny. Pracowała z nim długo i czuła, że skrywa coś na dnie serca. Prawdopodobnie w ciągu tych tajemniczych dziesięciu lat między dwudziestym drugim a trzydziestym drugim rokiem życia przeżył coś potwornego. Coś, co nieodwracalnie go zmieniło. Wzmocniło i uczyniło twardym.

Judd nie zapałał sympatią do Paula Dryera, ale doskonale rozumiał, przez co teraz przechodzi, i po raz pierwszy od dawna szczerze komuś

współczuć. Paul Dryer nadal znajdował się w stanie oszołomienia, kiedy człowiek wciąż nie potrafi uwierzyć, że osoba, którą kochał, nie żyje. Czuł ból, lecz ten ból był niczym w porównaniu z męczarniami, jakie zacznie przeżywać za kilka tygodni. Judd nigdy wcześniej nie rozmawiał z bliskim żadnej z ofiar. Dopiero po tej rozmowie nabrał wyobrażenia, jak się czuli policjanci i agenci FBI, którzy pracowali nad kolejnymi sprawami, jak się czuli Griff, Lindsay i każdy, kto widział, jakie spustoszenie morderstwo powoduje w psychice tych, którzy zostali.

Potwornie cierpiał jako mąż ofiary. Ale teraz zrozumiał, co przeżywają ludzie, którzy ścigają zabójców.

Lindsay odprowadziła Dryera do drzwi pokoju. Paul spojrział na nią oczami pełnymi łez.

- Mam nadzieję, że go znajdziecie. A wtedy...

Cholera, facet, nie rycz, pomyślał Judd.

Lindsay ujęła dłoń Dryera i uściśnęła ją.

- Dziękuję, że zechciał pan z nami porozmawiać.

Skinał głowę.

- Przykro mi, że nie mogłem pomóc.

- Zrobił pan wszystko, co pan mógł.

Dryer odwrócił się do Judda i podał mu rękę.

- Proszę mi powiedzieć, że później jest łatwiej - rzekł. - Że ból stopniowo maleje.

Co, do diabła, mam mu odpowiedzieć? - zastanawiał się Judd. Prawdę, że ból nigdy nie zniknie?

Ale czy to rzeczywiście jest prawda? Teraz już nie był niczego pewny.

Milczał.

- Znajdzie pan sposób, żeby poradzić sobie z tym, co się wydarzyło - pocieszała Dryera Lindsay. - Trochę to potrwa i nigdy nie zapomni pan Sonyi, ale...

- Jeżeli zacznie pan żyć wściekłością i nienawiścią, to pana zniszcza - przerwał jej Judd. - A Sonya by tego nie chciała, prawda?

Skąd, u licha, wzięły mu się te mądrości? Z głębi twojej poranionej duszy, odpowiedział sobie.

Dryer z trudem przełknął ślinę i zacisnął zęby, żeby się nie rozpląkać. Skinał głowę i pośpiesznie wyszedł na korytarz.

Lindsay, wbrew obawom Judda, nie powiedziała: „Jenny też by tego dla ciebie nie chciała, prawda?”

- Śniadanie przeszło nam koło nosa, więc wybieram się na wczesny lunch - rzuciła po prostu. - Później Devin zawiezie mnie do dzielnicy Sonyi. Możesz pójść ze mną albo...

- Niezły pomysł.

- No to chodźmy. - Sięgnęła po torebkę.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko, chciałbym pojechać z tobą po południu.

- Jasne. - Skierowała się do drzwi. - Obawiam się, że nic tam nie zwojujemy, ale nie można wykluczyć, że jakiś wścibski sąsiad coś zauważył.

- Lindsay?

- Co?

- To, co powiedziałem Dryerowi...

Zamarła z ręką na klamce.

- Dobrze mu poradziłeś. - Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Tylko tyle miała do powiedzenia? Żadnych kazań? Żadnych morałów? Dagoniła ją w połowie drogi do wyjścia.

- Nie pędź tak! - zawołał. - Chyba naprawdę jesteś strasznie głodna - dodał łagodniej, kiedy zwolniła.

Poczekwała, aż do niej dołączy, a później od razu ruszyła przez hol do czekającej na zewnątrz limuzyny. Devin Chamness przywitał ich z uśmiechem, a kiedy wsiedli, zamknął za nimi drzwi.

Judd czekał, aż Lindsay odezwie się pierwsza, spodziewając się stałej śpiewki - że ma się pozbierać i zacząć żyć na nowo. Przez prawie cztery lata powtarzała mu w kółko jedno i to samo kazanie. Ale jej mądrości trafiały w próżnię. Dopiero kiedy spędził z dala od niej pół roku, zrozumiał, jak bardzo mu jej brakuje. Brakowało mu jej troski i współczucia. Cholera, brakowało mu nawet jej zarządzenia, żeby wziąć się w garść.

- Wczoraj w nocy... - zaczął.

Patrzyła przed siebie, najwyraźniej unikając wzrokowego kontaktu.

- Śnił ci się koszmar. Nie spodziewałeś się mnie. Myślałeś, że to Jenny. Koniec tematu.

Splotła palce i położyła dłonie na kolanach. Judd obserwował ją, zastanawiając się, o czym tak naprawdę myśli. Miała wygląd typowej amerykańskiej dziewczyny - niebieskooka blondynka o szczupłej sylwetce. Nie należała do piękności, ale była ładna. Ubierała się skromnie. Zbyt skromnie. Nigdy seksownie.

Ale była seksowna i bez prowokującego stroju.

- Wiedziałem, że to ty, kiedy cię pocałowałem - powiedział.

Gwałtownie odwróciła głowę i spojrzała na niego gniewnie.

- Śniła mi się Jenny - przyznał. - Ale ty też. Jak zawsze w koszmarach, wszystko było poplątane. Nie miało żadnego sensu.

- Zapomnijmy o tym, dobrze?

- Tak, jasne. Nie ma sprawy.

Znów cię zraniłem? Ale tym razem nie chciałem. Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro.

Pinkie delectował się zupą z krabów i wyśmienitym ciastem, które przygotował mu kucharz. Jedną z zalet posiadania fortuny jest to, że wykwintnym jedzeniem można się rozkoszować na co dzień, nawet w domu. Wziął opróżnioną do połowy butelkę Stella artois, pierwszorzędnego belgijskiego piwa, które wyjątkowo lubił, i przeszedł z jadalni do gabinetu. Zaniknął za sobą drzwi i przekreślił klucz w zamku. Skierował się do biblioteczki, wyjął jedną z książek i wcisnął guzik, za pomocą którego regał odsuwał się, otwierając wejście do tajemnego pomieszczenia. Przycisnął włącznik i światło zalało jego „pokój trofeów”.

Nie przyszedł tu upajać się dawnymi zwycięstwami. Zjawił się, żeby wybrać następny piękny kwiat, który zostanie ścięty, zanim zwiędnie. Tym razem wolałby blondynkę, chociaż brunetka też ujdzie. Za Gale Ann zarobił dwadzieścia punktów - to ona została jego rudowłosą.

Na rok mogła być tylko jedna ruda. Tak postanowili z Pudge'em, kiedy ustalali zasady gry niemal pięć lat temu. Rude były warte najwięcej, bo są najrzadsze. Blondynka to piętnaście punktów, a brunetka dziesięć. Za niecałe dwa miesiące podsumują rezultaty. On potrzebował jeszcze tylko dwudziestu pięciu punktów - jednej blondynki i jednej brunetki. Wszystko jedno, w jakiej kolejności. Pudge'owi, nawet jeśli w następnej kolejce znajdzie rudą, dużo jeszcze brakuje, by wyjść na prowadzenie.

Pinkie wziął laptopa z biurka i rozsiadł się w wygodnym fotelu pokrytym brązową szenilą. Stopy w kapciach od Cole'a Haana, rozmiar czterdzieści dwa, położył na otomanie od kompletu. Włączył komputer. Uwielbiał nowoczesne udogodnienia, takie jak bezprzewodowy Internet.

Przeglądając różne strony w poszukiwaniu odpowiedniej kobiety, cofnął się myślami w przeszłość. Rodzinnych spotkań nie cierpiał od zawsze, uważał je za bezwartościową rozrywkę plebsu. Ale wtedy miał szesnaście lat i był na utrzymaniu rodziców, więc nie miał wyjścia - musiał pójść. Rodzina matki spotykała się co pięć lat, żeby uczcić pamięć

przodków, którzy postawili stopę w Nowym Świecie pod koniec XVIII wieku. Jeden z nich, prapradziad sprzed czterech pokoleń, żył w czasach Waszyngtona, Franklina i Jeffersona i był bohaterem rewolucji.

We wspomnieniach zanurzyły się wszystkie zmysły Pinkiego, przywołując widoki, zapachy i dźwięki weekendu spędzonego z krewnymi, których prawie nie znał i w większości nie lubił. Kwiecień w Luizjanie jest zwykle znośny, ale tamtej wiosny panowały okropne upały. Pinkie przypomniał sobie wrażenie, jakie wywarła na nim posiadłość dalekiego kuzyna matki. Budynek nie był niezwykły - stary dom, jakich wiele, zamieszkiwany przez dalekich krewnych. Matka uwielbiała składać wizyty ciotkom, wujom i kuzynom i nigdy nie opuściła żadnego spotkania. Jemu starsze pokolenie wydawało się gromadą zramolałych głupków, pokolenie rodziców - bandą pnących się po drabinie społecznej plotkarczy, a jego rówieśnicy - zbieraniną kompletnych idiotów.

Z wyjątkiem kuzyna Pudge'a, wnuka właściciela starej rezydencji w Luizjanie. Tęgi, ciemnooki szesnastolatek ocenił Pinkiego równie krytycznie, jak on jego. Ale po pięciu minutach rozmowy wiedzieli, że zostaną przyjaciółmi na całe życie.

Hmm...

Na całe życie.

Dziwne, że pomyśleli o sobie w ten sposób, biorąc pod uwagę zasady ich śmiertelnej gry. Zwycięzca bierze wszystko. Przegrany...

Pinkie wolał nawet nie myśleć o tym, że może przegrać.

Przegrana była nie do pomyślenia.

Jeśli przegra...

A jeżeli wygra? Czy będzie w stanie sięgnąć po ostateczną nagrodę?

Może lepiej zastanowić się, czy jeśli przegra, Pudge nie zawaha się przed tym, żeby odebrać wygraną?

Naprzeciwko Sonyi Todd mieszkała Janice Nix, wysoka siwowłosa kobieta, krucha jak wróbelek. Lindsay rozmawiała już z kilkoma sąsiadami, ale dopiero Janice wspomniała, że w dniu morderstwa Sonyi zauważyła nieznanego mężczyznę uprawiającego jogging w alei Wschodu Słońca.

- Nigdy wcześniej go pani nie widziała? - spytała Lindsay.

- Nie, nie widziałam go ani wcześniej, ani później. A znam wszystkich, którzy mieszkają na Świerkowym Wzgórzu. - Ciemne, świdrujące oczy spoglądały zza druczanych oprawek okularów. - Jestem

przewodniczącą Stowarzyszenia Właścicielei Domów, więc orientuję się, kto się wprowadza, a kto wyprowadza.

- Potrafi pani opisać tego mężczyznę? - Lindsay wstrzymała oddech. Może pani Nix widziała zabójcę królowych piękności?

- Oczywiście. - Janice prychnęła. - Był taki sobie. Nie można powiedzieć, że brzydki, całkiem przeciętny.

- Co pani rozumie pod pojęciem „przeciętny”? - dociekał Judd.

Lindsay ostrzegła go spojrzeniem, żeby nie naciskał na kobietę, bo tylko ją przestraszy, tak jak przestraszył Barbarę Jean.

- No, przeciętny. Ani wysoki, ani niski. Nie gruby, ale i nie chudy. Może trochę przysadzisty. - Janice spojrzała na Judda, potem na Lindsay i znowu na Judda. - Trudno ocenić, bo był w luźnym dresie. Jeśli chodzi o wiek, miał około trzydziestki.

- Mogłaby go pani opisać dokładniej? - Nawet jeżeli poda szczegółowy opis, nie wiadomo, czy to ten mężczyzna zamordował Sonyę, studiowała swoje podniecenie Lindsay.

- Nie widziałam go z bliska, tylko przez to okno. - Wskazała głową podwójnie przeszklone okno, które wychodziło na ulicę. - Nie wiem, jakie miał oczy ani włosy. Był w czapce i w dresie. Miał czerwoną twarz, może od wiatru, i pulchne, rumiane policzki.

- Rozpoznałaby go pani? - drążył Judd.

- Nie jestem pewna. Może. Gdyby był tak samo ubrany.

Lindsay wstała z kanapy.

- Dziękujemy, pani Nix, że chciała nam pani opowiedzieć o tym mężczyźnie.

Judd też wstał. Zachowywał się jak normalny, zrównoważony człowiek. Lindsay nie była do tego przyzwyczajona.

Janice podniosła się z fotela.

- To on zabił Sonyę?

- Nie wiemy - odparła Lindsay. - Ale to możliwe.

- Powiedziała pani policji o tym mężczyźnie? - spytał Judd, kiedy Janice odprowadzała ich do drzwi.

- Nie. Nikt z policji o nic mnie nie pytał. Ale z samego rana była u mnie agentka FBI. Bardzo miła kobieta o nazwisku Baxter. Interesowała się tym, co mam do powiedzenia, tak samo jak państwo.

Lindsay i Judd spojrzeli po sobie. Nie zdziwiło ich, że Nic dotarła do Janice przed nimi.

Kiedy pięć minut później wyjeżdżali ze Świerkowego Wzgórza, Lindsay wysłała Griffowi sms-a.

„W dniu morderstwa ulicą Sonyi biegł jakiś obcy mężczyzna. Opis sąsiadki podobny do opisu B JH. Nic już wie”.

- Do Griffa? - spytał Judd.

- Tak. - Zamknęła komórkę i odwróciła się do niego. - Opis Janice Nix pasuje do mężczyzny, którego Barbara Jean widziała w bloku siostry.

- I jest równie bezużyteczny- odparł Judd.- Biały mężczyzna o przeciętnym wyglądzie, średniego wzrostu i wagi. Żadna wskazówka.

- Więcej niż mieliśmy do tej pory.

- Ale za mało, żeby go dorwać.

Lindsay chciała wziąć Judda za rękę. Chciała mu obiecać, że w końcu schwytają zabójcę Jennifer i postawią go przed obliczem sprawiedliwości. Ale jakie to ma właściwie znaczenie? Czy Judd uwolni się od przeszłości, kiedy zabójca znajdzie się za kratkami? Czy kiedykolwiek pozbera się po stracie żony?

- Dobrze ci poszło u pani Nix - pochwaliła go.

Judd sapnął.

- Chcesz powiedzieć, że mi dziękujesz, że nie zacząłem się dogmaczać dokładnego rysopisu, potrząsając nią, aż zaczęłaby dzwonić zębami.

Lindsay zdobyła się na błądy uśmiech.

- Szkoda, że nie podała nam więcej szczegółów, bo może ten biegacz to rzeczywiście nasz zabójca, ale świadek może opisać tylko to, co zapamiętał.

- A co z Barbarą Jean? Czy naprawdę nie pamięta nic więcej, czy raczej wymazała to z pamięci, bo się boi, że jest w niebezpieczeństwie?

- Nie mam pojęcia. Ale jestem pewna, że jeżeli się zgodzi, żeby pracowała z nią doktor Meng, w końcu przypomni sobie wszystko, co wie.

- Masz dobre zdanie o doktor Meng?

O co tak naprawdę pyta ją Judd?

- Jest dobra w tym, co robi. I jest miłą, wyrozumiałą osobą.

- Pomogła ci, prawda? Po... - Judd zmarszczył brwi. Na jego twarzy odmalował się ból. - Naprawdę jestem gnojem. Zrobiłem rzecz niewybaczalną.

- A chcesz wybaczenia?

- Co?

- Pytałam, czy chcesz mojego wybaczenia.

Pospiesznie odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć jej w oczy.

- A uwierzyłabyś, gdybym powiedział, że tak?
- Jest ci wybaczone.

Skinał głową.

Cisza.

Lindsay oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy. Nie doszukuj się w tym niczego. To nie jest miłosne wyznanie. To tylko sumienie, które nie daje Juddowi spokoju. Kiedy w końcu dotarło do niego, że pół roku temu osiągnął wymarzony cel, może pożałował, że wyrzucił mnie ze swojego życia. Beze mnie jest na tym świecie sam jak palec. Nawet Cam dał sobie z nim spokój. I gdyby nie moja interwencja, Griff zrobiłby to samo.

Griff wjechał wypożyczonym samochodem na hotelowy parking o piętnastej czterdzieści dwie. Kiedy zgasił silnik i zamierzał otworzyć drzwiczki, odezwała się jego komórka. Dzwonił Sanders.

Griff odebrał połączenie.

- Tak?
 - Otrzymaliśmy wiadomość z policji w Williamstown, że jutro zostanie wydane ciało Gale Ann Cain - powiedział Sanders. - Wszystko jest przygotowane do pogrzebu. Muszę znać tylko datę i godzinę, żeby powiadomić zakład pogrzebowy, na kiedy mają planować nabożeństwo.
 - A jak chce Barbara Jean?
 - Wolałaby, żeby pogrzeb odbył się jak najszybciej.
 - Pojutrze? - spytał Griff.
 - Tak, sądzę, że może być.
 - A jak ona się czuje?
 - Na tyle dobrze, na ile można się spodziewać w tych okolicznościach.
 - Jest z nią Yvette?
 - Tak, poszły na popołudniowy spacer, oczywiście z Angie.
 - Czy Barbara Jean wie, że ujawniłem prasie, że jest naocznym świadkiem i widziała zabójcę siostry?
 - Nie. Zrobiliśmy, jak prosiłeś, i dopilnowaliśmy, żeby nie dotarły do niej informacje z mediów.
- Griff usłyszał w głosie Sandersa ton nagany.
- W Przystani Griffina jest bezpieczna - zapewnił go. - Przecież wiesz, że nie naraziłbym jej na niebezpieczeństwo.
 - Wiem, że tak ci się wydaje.

- Jeżeli istnieje choćby cień szansy na to, że zwabimy zabójcę... Sanders przerwał mu w pół zdania, zmieniając nagle temat.
- Mam informacje o mężu agentki Baxter, o które prosiłeś. Griff wiedział, że nie powinien drażnić tematu Barbary Jean ani starać się udobruchać Sandersa.
- Dobra. Słucham.
- Po pierwsze, mąż Nicole Baxter nie żyje.

Rozdział 16

Zakład Pogrzebowy Pilkertona w Williamstown zorganizował Gale Ann Cain okazały i drogi pogrzeb. Na niczym nie oszczędzano, bo kosztą pokrywali Griffin Powell i Judd Walker. Oprawę muzyczną podczas nabożeństwa w kaplicy zapewnił chór kościoła baptystycznego, a w drodze na miejsce pochówku tłumowi żałobników towarzyszył śpiew solistki z akompaniamentem skrzypiec. Lindsay zastanawiała się, ilu z tych kilkuset ludzi to dziennikarze i gapie, a ilu rzeczywiście znało Gale Ann.

Po obu stronach Barbary Jean stali Griffin i Sanders, tuż za nią Angie Sterling, a pięciu innych agentów Powella wmieszało się w tłum. Lindsay stała na pagórku, obok starego cyprysu, który wzbijał się na dobre dziewięć metrów w niebo. Widziała stamtąd doskonale nie tylko nabożeństwo, ale też żałobników i dużą część niewielkiego cmentarza.

Obok niej stał Judd, sztywny jak pogrzebacznik, ze wzrokiem utkwionym w metalową trumnę.

Trumna Jennifer Walker była biała, wyłożona różową satyną.

Lindsay przestraszyła się, kiedy Judd poprosił, żeby zabrali go na pogrzeb. Odkąd pochował żonę, nie uczestniczył w pogrzebie żadnej z ofiar. Pogrzeb Jennifer Mobley Walker, na którym pojawiły się wszystkie ważne osobistości Tennessee, była to okazała uroczystość zaplanowana i zorganizowana przez Camdena Hendriksa. Cam, przyjaciel Judda, podobnie jak ona i Griff wiele dla niego zrobił w ciągu ostatnich kilku lat. Ale w końcu miał dość i dał za wygraną. Judd odsunął Cama, tak jak innych przyjaciół, choćby ją i Griffa.

Wiatr zawodził niemiłosiernie i chociaż zza chmur wyglądało słońce, zanosiło się na deszcz. Lindsay zerknęła dyskretnie na Judda. Nie

chciała, żeby się domyślił, że się o niego martwi. Golił się wprawdzie codziennie, ale do fryzjera nie poszedł. Dziś przynajmniej zaczesał za uszy gęste, sięgające ramion włosy w odcieniu miodowego brązu. Miał na sobie ciemne spodnie, piaskowy sweter z golfem i skórzaną kurtkę. Nikt by nie uwierzył, że jest jednym z najbogatszych mężczyzn na Południu.

W złotych oczach Judda dostrzegła ból. Wiedziała, że przypomina sobie pogrzeb Jenny. Po co tu przyszedł? Po co naraził się na tę męczarnię?

Chwytające za serce dźwięki skrzypiec niosły na wietrze melodię, którą pamiętała z pogrzebu swojej matki: *Czułe pożegnanie*. Sopran solistki rozbrzmiewał na cały cmentarz, przynosząc obietnicę, że w odległej, niebiańskiej przyszłości ukochani znów będą razem.

Do oczu Lindsay napłynęły łzy. Cholera, dlaczego to musiała być akurat ta piosenka? Z trudem przełknęła ślinę, zamrugnęła, żeby nie dać spłynąć łzom, i wzięła głęboki oddech. Nieoczekiwanie Judd chwycił ją za rękę i ścisnął. Zaskoczona, utkwiała w nim wzrok. Spojrzała na nią i mocniej ścisnął jej dłoń. Nie była przyzwyczajona do odruchów czułości z jego strony, więc nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć. Odwróciła od niego wzrok i odwzajemniła uścisk. Stali, trzymając się za ręce, kiedy pieśń dobiegła końca i pastor zaczął czytać psalm dwudziesty trzeci.

Griff nienawidził pogrzebów. W ciągu kilku ostatnich lat uczestniczył w zbyt wielu, a niemal wszystkie były pogrzebami ofiar zabójcy królowych piękności. Zawsze się zastanawiał, czy zabójca jest wśród żałobników. Spojrzała nad zamkniętą trumną w stronę pastora i dostrzegł Nic Baxter, która stała w drugim rzędzie po przeciwnej stronie namiotu, pod którym siedział on z Barbarą Jean.

O czym może myśleć Nicole? Czy wspomina pogrzeb męża sprzed sześciu lat? Przypomina sobie, jak zmarł? Czy ma poczucie winy? Może się zadręcza? A może zastanawia się nad tym samym co on - czy jest tu dziś zabójca, czerpiąc swego rodzaju perwersyjną przyjemność z uczestniczenia w pogrzebie kobiety, którą śmiertelnie okaleczył?

Barbara Jean łkała cicho. Jej szczupłe ramiona drżały. Dyskretnie trzymała za rękę Sandersa. Niemal dotykali się udami, ramionami i biodrami. Sanders od dawna nikomu nie okazywał czułości. W ostatnich latach największym przejawem uczuć, na jaki sobie pozwolił, była troska o Lindsay. Griff podejrzewał, że staremu przyjacielowi zaczyna zależeć na łagodnej i delikatnej Barbarze Jean. Dlaczego akurat na tej ze wszystkich kobiet na świecie? A niby dlaczego nie? Griff nie był ekspertem

w sprawach miłości. Dwa razy wydawało mu się, że jest zakochany, ale oba związki, oparte głównie na seksie, zakończyły się dość szybko.

Czy Sanders martwi się o bezpieczeństwo Barbary Jean? Pewnie tak. On lubi się zamartwiać. Choć nigdy tego nie okazuje.

Nawet jeśli morderca znajduje się gdzieś w tłumie, nie jest tak głupi, żeby tu i teraz usiłować zabić Barbarę Jean. Człowiek na tyle sprytny, aby dokonać niemal trzydziestu morderstw i nie dać się złapać, nie pozwoliłby sobie na bezsensowne ryzyko. Ale z drugiej strony, skoro tyle razy mu się powiodło, mógł poczuć się zbyt pewnie i może ta śmiałość go zgubi.

Gdyby spróbował szczęścia, natychmiast zostanie otoczony. Na pogrzebie oprócz agentów Powella byli też funkcjonariusze policji i agencji FBI. Wprawdzie Nic mu o tym nie powiedziała, ale wiedział, co się dzieje i bez jej wskazówek.

Przemierzył wzrokiem cmentarz, przyglądając się tłumowi, po czym przeniósł spojrzenie na pagórek, na którym stali Lindsay i Judd, a obok nich co najmniej dziesięć innych osób, w tym komendant Mahoney.

Jak się czuje Judd? Griff był zaskoczony nie mniej niż Lindsay, kiedy poprosił, żeby pozwolili mu pojechać do Kentucky na pogrzeb. Może ta prośba to znak powrotu do normalności. Na pewno myśli teraz o Jenny. Przypomina sobie jej pogrzeb.

Griff myślał o żonie Judda za każdym razem, kiedy uczestniczył w pogrzebie kolejnej ofiary. I po każdym nowym zabójstwie kwestionował istnienie Boga, który pozwala, żeby działy się takie rzeczy. Dwadzieścia lat temu, gdy skończył studia, wierzył w Boga i był Mu wdzięczny za błogosławieństwa, jakich w życiu doświadczył. Nietrudno było wierzyć, skoro z każdym dniem, tygodniem i rokiem jego życie stawało się coraz lepsze. Matka Griffa, gorliwa chrześcijanka, co tydzień prowadziła go do kościoła i do szkoły niedzielnej.

Jego ojciec zginął w wypadku w tartaku, kiedy Griff miał dziesięć lat, a matka umarła - zdaniem niektórych ze zgrzyoty - gdy zaginął, mając dwadzieścia dwa lata.

Tak mi przykro, mammo. Zawiadomiłbym cię wtedy, że żyję, gdybym miał jak.

Ale czy poczułaby się lepiej, gdyby wiedziała, gdzie jest i co się z nim dzieje? Jeżeli istnieje niebo, to matka na pewno w nim jest. Chodzi po ulicach wybrukowanych złotem i słucha anielskich chórów. Jeśli ktośkolwiek zastrzyżył na wieczny pokój i szczęście, to właśnie ona.

Pastor zakończył nabożeństwo żałobne modlitwą, a śpiewaczka i skrzypaczka zaczęły ostatnią pieśń. Sanders wstał, wywiózł Barbarę Jean spod baldachimu i przystanął nieco dalej od grobu. Angie stanęła przy nich. Wielebny złożył pani Hughes kondolencje, a w jego ślady poszło kilkoro stojących obok ludzi, którzy znali Gale Ann lub Barbarę Jean. Tłum zaczął powoli rzednąć. Niektórzy witali się i rozmawiali ze sobą, inni kierowali się prosto do samochodów.

Griff zauważył, że kilka osób robi zdjęcia. Domyślał się, że to dziennikarze. W porannych gazetach zapewne ukaże się zdjęcie siostry ofiary.

- Poczekaj tu - szepnął do Sandersa. - Powiem reszcie, żeby do nas dołączyli, a wtedy zabierzesz Barbarę Jean do samochodu. Wrócę za parę minut z Lindsay i Juddem.

Barbara Jean spojrzała na Griffa i wyciągnęła rękę.

- Dziękuję. Bez pana pomocy nie mogłabym wyprawić Gale Ann takiego pogrzebu. O piękniejszym nie mogłabym marzyć. - Obejrzała się na otwarty grób, wokół którego ułożono wieńce i wianki.

Griff ujął jej dłoń.

- Cieszę się, że mogłem być przydatny.

Łzy popłynęły po jej twarzy. Otarła oczy i policzki chusteczką, którą podał jej Sanders.

Griff nigdy nie nosił chusteczek, zanim nie poznał Sandersa. Jak być dżentelmenem w każdym calu, nauczył się właśnie od niego.

Zadzwoił do Ricka Carsona i powiedział, że wszyscy agenci mają osłaniać Angie, kiedy będzie odprowadzać Barbarę Jean do limuzyny. Później przez rzednący tłum ruszył w stronę pagórka, na którym czekali Lindsay i Judd.

Juddowi nie podobało się to, co się z nim dzieje, ale intuicja podpowiadała mu, że to dobrze, że znów jest w stanie cokolwiek odczuwać. Zainteresowanie drugim człowiekiem cholernie bolało, lecz teraz przynajmniej wiedział, że zostało w nim coś więcej niż ogarnięta żądza zemsty resztką jego dawnego „ja”. Nie zmienił się z dnia na dzień. I nie zmienił się diametralnie.

Pół roku temu nie obchodziło go, że zranił Lindsay i śmiertelnie przestraszył. Tego właśnie chciał. A w każdym razie tak mu się wtedy wydawało. Wmówił sobie, że ona nic dla niego nie znaczy. Że nikt dla niego nic nie znaczy. Ale w ciągu ostatnich sześciu miesięcy kilka razy dopadały go myśli o Lindsay i nie dawały spokoju. Zastanawiał się, co

robi, z kim jest. W takich chwilach przeklinał ją w duchu i robił, co się da, żeby nadal go nie obchodziła i żeby nic nie czuł.

Spytał, czy może pójść na pogrzeb Gale Ann, pod wpływem impulsu. I dwie sekundy później chciał się wycofać. Mógł to zrobić.

Griff nie spytał Judda o pobudki, chociaż prośba kompletnie go zaskoczyła.

- Podczas pogrzebu będziesz musiał stać z Lindsay- uprzedził go. - A jeżeli powiesz albo zrobisz coś niestosownego, wylecisz stamtąd, zanim się zorientujesz.

- Będę się zachowywał nienagannie.

- Mam nadzieję.

Judd ani przez chwilę nie wątpił, że przyjaciel groził mu nie na żarty. Griff kierował się w życiu zbiorem własnych zasad, ale zawsze dotrzymywał słowa. W ciągu minionych czterech lat Judd nieustannie wykorzystywał troskę Griffa, a on mimo wszystko pozostał lojalny i oddany. Tak jak Lindsay.

Spojrzał na nią. Właśnie sięgnęła do kieszeni po komórkę i odezwała się tak cicho, że ledwie słyszał, co mówi.

- Poczekamy na ciebie.

- Griff? - spytał.

Skinęła głową, ale unikała jego dotyku i wzroku.

Nie miała wątpliwości, że podczas nabożeństwa w kaplicy i teraz na cmentarzu myślał o Jenny. O jej pogrzebie. Chociaż niewiele mógł pamiętać. Cam i Griff nafaszerowali go tabletkami uspokajającymi, był więc nie tylko ogłuszony bólem, ale i otepiały od leków. Pamiętał jedynie fragmenty nabożeństwa, o którego zorganizowanie - jak się później dowiedział - zadbał Cam. Kiedyś będzie musiał mu podziękować, że się tym zajął i zrobił za niego to, czego on nie był w stanie zrobić.

Cam i Griff przez kilka tygodni po zabójstwie Jennifer nie zostawiali go samego. Zawsze któryś z nim był, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kiedy wyszedł z początkowego oszołomienia, zrozumiał, że jego dwaj najlepsi przyjaciele obawiali się, że się zabije.

I rzeczywiście myślał o samobójstwie, ale powstrzymała go rozsądkująca go wściekłość. Pragnienie zemsty nadało sens jego życiu. Zawładnęła nim nienawiść, pogrążył się w męczarniach tęsknoty za Jenny, zapadał się w otchłani niesłabnącego żalu.

Nie powinnaś była umrzeć, kochanie. Ani żadna z jego ofiar. To potworna niesprawiedliwość.

Jak rodziny innych ofiar uporały się z tragedią? Jak radzili sobie mężczyźni, którzy kochali te kobiety? Utonęli w złości i zgorzknieniu jak on czy odnaleźli inny sens życia?

Gdyby miał z Jenny dziecko...

Chciała urodzić dziecko. Kiedyś w przyszłości.

A on pragnął tego, czego chciała Jenny.

- Chodźmy - rzekła Lindsay, odrywając Judda od nostalgicznych myśli. - Griff jest gotowy do odjazdu.

Spojrzał na nią, a później kilka metrów dalej, gdzie Griff rozmawiał z przysadzistym szatynem w policyjnym mundurze.

- Z kim rozmawia Griff? - spytał.

- Z komendantem Mahoneyem.

Judd obserwował wymianę zdań między mężczyznami i domyślił się, że komendant Mahoney nie podziela niechęci, jaką wobec Griffa żywiła agentka Baxter. Podali sobie ręce, po czym komendant odszedł, a Griff skinął na nich.

Gdy dogonili go w połowie drogi do samochodu, rozejrzał się dookoła i powiedział szeptem:

- Ktoś jeszcze widział naszego tajemniczego mężczyznę, jak wychodził z bloku Gale Ann w dniu zabójstwa.

- Co?! - Lindsay zareagowała odrobinę za głośno.

- Któryś z sąsiadów wynosił śmieci i widział, jak do klatki wchodzi Barbara Jean i wychodzi facet.

- Kiedy zgłosił się ten świadek? - spytała Lindsay.

- Dwa dni temu - odparł Griff. - Musiał zebrać się na odwagę, żeby pójść na policję.

- Potrafi opisać tego faceta?

- Nie bardzo. Jego opis jest jeszcze mniej szczegółowy niż opis Barbary Jean. Ale jeśli jej powiem, że ktoś oprócz niej widział tego faceta, może przestanie czuć taką presję.

- To nam w niczym nie pomoże, prawda? - Judd wiedział, że jego pytanie zostanie odebrane jako retoryczne, i nie oczekiwał odpowiedzi.

- Zostajemy w Williamstown, żeby przesłuchać tego świadka? - spytała Lindsay.

- Nie możemy go przesłuchać - rzekł Griff. - Znajduje się pod ochroną Nic Baxter.

Pinkie nie był na pogrzebie żadnej z ofiar. Aż do dziś. Nie mógł się oprzeć pokusie i przyjechał do Kentucky, żeby popatrzeć, jak chowają

Gale Ann. Była cudowną kobietą. I tak łatwo dała się zabić. Nigdy jej nie zapomni, podobnie jak żadnej innej. Wszystkie były dla niego cenne, zwłaszcza rudowłose.

Stanął w tłumie i przyglądał się agentom Powella, zlatującym się niczym szarańcza do Barbary Jean, którą wywoził z cmentarza człowiek Griffina Powella, Sanders.

Czy ci kretyni naprawdę myśleli, że będzie próbował ją zabić?

Wiedział, że Griffin celowo ujawnił informację o tym, że siostra Gale Ann widziała mężczyznę, który mógł być zabójcą.

Czyżby miał nadzieję, że wytrąci mnie tym z równowagi i skłoni do próby zamordowania Barbary Jean? Nie, po blisko czteroletniej grze Griffin musi wiedzieć, że jestem zbyt inteligentny, żeby wpaść w zasadzkę. Nie dałem się złapać do tej pory i nie zamierzam dać się złapać nigdy.

Cały dowcip polegał na tym, że udawało mu się wodzić za nos nie tylko miejscowych policjantów oraz FBI, ale i słynnego prywatnego detektywa Griffina Powella.

Pinkie dobrze się bawił na nabożeństwie w kaplicy i na cmentarzu. Gdyby wiedział wcześniej, jak zabawne są pogrzeby, chodziłby na wszystkie. I zabierałby ze sobą mały aparat fotograficzny, żeby robić zdjęcia i dołączyć je do swojej kolekcji.

Następnym razem.

Nie będzie długo czekał. Już wybrał następny piękny kwiat. Brunetkę. Tylko za dziesięć punktów, ale te punkty pozwolą mu utrzymać nad Pudge'em taką przewagę, żeby nie musiał się o nic martwić.

Mógł dalej szukać blondynki, lecz gdy tylko zobaczył LaShae, wiedział, że to ta. Zdjęcie na stronie internetowej prawdopodobnie nie oddawało w pełni jej urody. Dawna Miss Birmingham, która w wieku dwudziestu lat zaczęła pracować jako modelka, była wysoka, szczupła i elegancka. Teraz miała trzydziestkę, prowadziła w lokalnej telewizji ciesząc się sporą oglądalnością talk show, była szczęśliwą żoną przedsiębiorczego prawnika z aspiracjami politycznymi i matką czteroletniego syna.

Życie nie umierać. Pinkie westchnął.

Ale dla kogoś takiego jak ty, moja piękna LaShae, lepiej umrzeć młodo i zostawić po sobie wspomnienie swojego piękna. Nie zniosłabyś tego, że zaczynasz się starzeć, że dostajesz zmarszczek i więdniesz.

Pinkie, trzymając się tłumu, pośpiesznie szedł z cmentarza na parking. Był przebrany, ale wolał nie ryzykować, że ktoś zwróci na niego uwagę. A już na pewno nie chciał spotkać się twarzą w twarz z Powellem i narażać się na to, że Griff go rozpozna.

Rozdział 17

LaShae Goodloe kochała swój piękny dom w Mountain Brook. Stanowił oczywisty dowód tego, że jej się w życiu powiodło, że z nizin wspięła się na wyżyny. Nigdy nie wstydziła się, że pochodzi z biednej rodziny, często nawet wspominała o tym w mowach, jakie wygłaszała na różnych imprezach charytatywnych. Jej ojciec był szkolnym woźnym, a matka kucharką w innej szkole w ich rodzinnej miejscowości Bessemer. Choć sami niewykształceni, zadbali, by zarówno LaShae, jak i jej brat Tony ukończyli studia podyplomowe na Uniwersytecie Alabama.

Westchnęła ciężko, wchodząc na piętro, zmęczona długim dniem w studiu telewizyjnym i późniejszą kolacją z mężem, na której omawiali warunki oficjalnej separacji. Rodney wyprowadził się zaledwie tydzień temu, po kolejnej burzliwej kłótni. Do rozvodu im się nie spieszyło. Chcieli ratować swoje małżeństwo z wielu powodów. Najważniejszym, oczywiście, był Martin. Oboje ubóstwiali syna. Poza tym Rodney miał zamiar startować w wyborach na senatora stanowego i wiedział, że rodzina przemawiałaby u wyborców na jego korzyść. LaShae kierowały egoistyczne pobudki: chciała pozostać żoną Rodneya Goodloe'a, bo dzięki jego pieniądзом mogła wieść wygodne życie. Jej program w lokalnej telewizji był wprawdzie popularny, ale nie łudziła się, że kiedyś zostanie drugą Oprah Winfrey. I tak miała szczęście, że trafiła jej się praca w lokalnej stacji w mieście tak dużym jak Birmingham.

Mijając otwarte drzwi pokoju syna, przystanęła i zajrzała do środka. Martin spał smacznie na bujanym łożku, które kiedyś należało do jego dziadka Goodloe'a. LaShae nie bardzo lubiła antyki, natomiast Rodney je uwielbiał. Jedną z wielu rzeczy, które ich różniły. Kiedy pięć lat temu brali ślub, różnice wydawały się nieistotne, ale teraz nawet drobne różnice nabrały gigantycznych rozmiarów.

LaShae weszła na palcach do pokoju i stanęła przy łożku. Spojrzała na syna i uśmiechnęła się. Martin był pięknym dzieckiem. Po niej miał gęste czarne włosy, a po ojcu okrągłą twarz z pełnymi policzkami.

Dopiero kiedy urodziła tego idealnego chłopczyka, przekonała się, że jest zdolna do miłości, o jaką nigdy się nie podejrzewała. Kolejna rzecz, za którą mogła dziękować Rodneyowi. Tyle jej dał. Powinna go kochać.

I kochała. Tylko nie tak bardzo, jak powinna. I nie w ten sposób, w jaki powinna.

Co z tobą będzie, maluszk, jeśli tata i ja weźmiemy rozwód?

Leżał sobie niewinnie i spał, nie mając pojęcia o małżeńskich problemach rodziców. Kiedy Rodney się wyprowadził, powiedzieli Martinowi, że tata przez jakiś czas musi pracować nocami. Rodney był współwłaścicielem jednej z najbardziej prestiżowych kancelarii prawniczych w Birmingham, co pochłaniało mu dużo czasu i LaShae nierzadko miała wrażenie, że zaniedbuje zarówno syna, jak i ją.

- Nie podejmę decyzji egoistycznie - wyszeptwała. - Obiecuję, że zrobię to, co uznam za najlepsze dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla ciebie.

Wymykając się z pokoju, nie usłyszała kroków ciotki Carol. Niemal krzyknęła, kiedy stanęła twarzą w twarz z siostrą matki.

- Nie chciałam cię przestraszyć, dziecko - powiedziała ciotka.

- Wcale mnie ciocia nie przestraszyła - skłamała LaShae.

Siedemdziesięcioletnia ciotka Carol wprowadziła się do nich wkrótce po narodzinach Martina. LaShae i Rodney nie chcieli oddać syna do żłobka ani zatrudnić obcej osoby do opieki nad nim. Ciotka Carol w roli niani okazała się błogosławieństwem dla całej rodziny.

- Jak się udała kolacja? - spytała.

LaShae objęła filigranową staruszkę, niższą od niej o prawie dwaście centymetrów.

- Kolacja była bardzo miła. I nie musisz pytać. Nie rozwodzimy się. Ale mamy zamiar wystąpić o oficjalną separację.

- Separacja nie jest dobra. On zacznie się rozglądać i zanim się zorientujesz, znajdzie sobie inną kobietę.

LaShae nie mogła powiedzieć ciotce, że to nie Rodney się rozgląda. To ona miała romans. Seksualne napięcie między nią a prezydentem porannych i południowych wiadomości w WBNN Benem Thompsonem eksplodowało kilka miesięcy temu.

Sfrustrowany do granic Ben zaczął szukać pracy w innych ośrodkach telewizyjnych - w Nashville, Knoxville, Mobile, nawet w Louisville.

- Nie martw się o mnie i Rodneya - powiedziała, odprowadzając ciotkę do pokoju. - Po prostu musimy trochę od siebie odpocząć, zastanowić się nad naszym małżeństwem i ustalić, co jest najlepsze dla wszystkich.

- Najlepsze dla wszystkich jest to, żebyście nadal byli małżeństwem. Zwłaszcza dla małego Martina. Dzieci potrzebują obojga rodziców. Pomyśl o swojej drogiej mamie i kochanym tacie.

LaShae pocałowała ciotkę w oba policzki.

- Czy mówiłam ci ostatnio, że bardzo cię kocham?
Staruszka uśmiechnęła się promiennie i uściskała siostrzenicę.

- Ja też cię kocham, dziecko. Jak własną córkę.

LaShae życzyła ciotce dobrej nocy i przeszła do głównej sypialni, w której królowało ogromne mahoniowe łóżce. Po jednej jego stronie stały komoda i kufer do kompletu, a po drugiej był kącik wypoczynkowy. Pokój urządziła sama, bez pomocy projektanta wnętrz, którego wynajął Rodney. Chciała, żeby ich małżeńska sypialnia odzwierciedlała jej osobowość.

Zrzuciła z nóg szpilki, zdjęła zakiet i rozpięła sukienkę. Kiedy ściągała ją przez głowę, zadzwonił telefon. Rzuciła sukienkę na łóżko i sprawdziła numer na wyświetlaczu przy łóżku.

Serce podskoczyło jej do gardła. Podniosła słuchawkę.

- Cześć, Ben.

- Jak się masz?

Uwielbiała jego głos.

- Dobrze, a ty?

Cisza.

- Ben?

- Ja... hm... zaproponowano mi pracę prezentera wieczornych wiadomości w WMMJ w Mobile.

- Och.

- Omówiliśmy to z Cherrie i postanowiliśmy, że się przeprowadzimy. To odpowiedni moment, dopóki dziewczynki są w przedszkolu.

- Kiedy?

- W poniedziałek złożę wypowiedzenie, ale najpierw zadzwonię, że przyjmuję nową pracę.

Cisza.

- LaShae?

- Jestem.

- Tak będzie lepiej dla nas obojga. Przecież wiesz.

Przełknęła łzy ściskając ją za gardło.

- Tak, wiem.

- Chciałbym, żeby mogło być inaczej.

- Wiesz, co mówi ciotka Carol? Na jedną kupkę zbieraj spełnione marzenia, a na drugą gówno, i zobacz, czego będzie więcej.

Roześmiał się cicho i westchnął.

- Kocham cię.

Łzy napłynęły jej do oczu. Boże, jeżeli natychmiast nie zakończy tej rozmowy, rozpłacze się jak dziecko.

- Ja też cię kocham. - Odłożyła słuchawkę.

Nazajutrz po pogrzebie Gale Ann Cain Judd wymknął się z domu o świcie. Spał może trzy godziny i czuł się fatalnie. Żałował, że poszedł na ten pogrzeb, bo to przywołało bolesne wspomnienia. Wspomnienia, które wciąż w nim tkwiły i od czasu do czasu dawały o sobie znać.

Tej nocy, kiedy zamordowano Jenny, stracił wszystko. Przez prawie cztery lata miał wrażenie, że jego życie legło w gruzach na zawsze.

Ileż to razy żałował, że nie zginął razem z nią?

Teraz biegał po niezliczonych ścieżkach na terenie Przystani Griffina, próbując zagłuszyć wspomnienia, nawet te szczęśliwe. Ale w głowie wciąż pobrzmiwał mu śmiech Jenny.

Była bardzo żywiołowa, tryskała humorem i energią. Typowa ekstrawertyczka. Uwielbiał patrzeć na nią i jej słuchać.

Jednak czasem przesadzała z żywiołowością.

Nie myśl o tym!

Czemu? Przecież Jennifer nie była święta. Popełniała błędy. Jak każdy.

To nie jej wina. Kokieterię miała we krwi, dlatego mężczyźni zawsze do niej lgnęli.

Ale to sprawiało jej przyjemność. Dobrze o tym wiesz.

Judda piekło w płucach. Nie miał pojęcia, ile kilometrów przebiegł. Dwa? Pięć? Siedem? Więcej?

Choćby przebiegł nawet tysiąc, i tak nie zdoła uciec od przeszłości. Spacer i biegi dawały mu tylko tyle, że robił się zmęczony i przesypiał kilka godzin z rzędu.

Zatrzymał się w przystani, przy której po raz pierwszy był z Lindsay, usiadł na pniaku i wpatrywał się w zeschnięte liście pod stopami. Przez korony drzew przebijały się promienie słońca, tworząc na ziemi mozaikę światła i cienia.

Kiedy posiedział chwilę i odpoczął, wyrównał mu się oddech, a umysł rozjaśnił. Próbował skupić się na tej chwili - cieszyć się samotnością i podziwiać słoneczne światło i nieruchomą tafłę jeziora.

Od jak dawna nie pozwalał sobie na radość z czegoś tak prostego jak dotyk promieni słońca na twarzy?

Szelest liści uprzedził go, że ktoś się zbliża. Lindsay? Ile razy ma jej powtarzać, żeby przestała się o niego martwić?

Chciał, żeby zostawiła go w spokoju.

Nieprawda.

Obejrzał się przez ramię, ale zamiast Lindsay zobaczył Yvette Meng. Była piękną kobietą o ponętnych kształtach, teraz ukrytych pod grubym dressem w kolorze mchu.

Wbił wzrok w ziemię i czekał, aż odezwie się pierwsza.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Dobry - mruknął.

- Spodziewał się pan kogoś innego. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Nie spodziewałem się nikogo - odparł. - Po prostu usłyszałem hałas i odwróciłem się, żeby sprawdzić, co to.

- Cały czas tak się pan okłamuje?

Uniósł głowę i spojrzął w jej czarne oczy. Miał wrażenie, że ta kobieta jest w stanie przejrzeć go na wylot, że potrafi czytać w jego myślach.

- Staram się nikogo nie osądzać - powiedziała.

- Błdy świt, a pani już w formie - rzucił, chcąc zmienić temat.

Uśmiechnęła się, nieznacznie unosząc kąciki ust.

- Widziałam, że pan wychodzi, i poszłam za panem.

- Mogę wiedzieć, po co? - zapytał, wstając.

- Pomyślałam, że po wczorajszym dniu chciałby pan porozmawiać o...

- Kto panią za mną wysłał? Grifficy Lindsay?

- Jeszcze ich dzisiaj nie widziałam. Po prostu chciałam spytać, czy mogę panu jakoś pomóc.

Przyjrzał się jej z niedowierzaniem.

- Nie mam powodów, żeby pana okłamywać - zapewniła.

Jeszcze chwilę wpatrywał się w jej twarz, po czym skinął głową.

- Jasne.

- Griffin ma piękną posiadłość.

- To prawda. - I co dalej? Pogawędka o niczym, żeby poczuł się swobodniej?

- Pan też jest bardzo bogatym człowiekiem.

- Stare pieniądze. Pokolenia milionerów.

- Co pan robi z pieniędzmi?

- Słucham?

- Dzieli się pan swoim bogactwem? Robi z niego dobry użytek, dając na cele dobroczynne?

- Nie, od dłuższego czasu mam prawników, księgowych i zarządców, którzy za mnie prowadzą interesy Walkerów.

- Od śmierci żony?

- Tak.

- Widziałam zdjęcia Jennifer. Była piękna. I z tego, co wiem, była też utalentowaną pianistką.

- Czy to nasza pierwsza sesja, doktor Meng?

Podeszła do jeziora i wpatrzyła się w taflę wody, po której tańczył poranny wietrzyk, delikatnie ją marszcząc.

- To zależy od pana - odparła.

- Więc może zrobimy próbę?

- Jaka?

- Pani mi da radę, a ja zobaczę, czy mi się spodoba.

- A jeśli moja rada się panu nie spodoba?

Wzruszył ramionami.

- Zobaczymy.

- No dobrze. Radzę, żeby zrobił pan coś dobrego dla kogoś innego.

- Ma pani na myśli konkretną osobę?

Pokręciła głową.

- To bez znaczenia.

- Nie znam się na dobrych uczynkach.

- Pytał mnie pan o radę, więc ją panu dałam. A jaki z niej pan zrobi użytek, to już pańska sprawa.

Podszedł do niej.

- Powie mi pani coś?

- Tak? - Nie spuszczała wzroku z jeziora.

- Czy z Lindsay naprawdę już jest wszystko w porządku? Mam na myśli to, co między nami zaszło, co jej zrobiłem. Doszła już po tym do siebie?

- Nie ujawniam poufnych informacji moich pacjentów.

Yvette wyciągnęła rękę i położyła mu na ramieniu. Przez grubą kurtkę poczuł ciepło jej dotyku. Dziwne.

- Żałuje pan, że ją pan skrzywdził - stwierdziła. - Zależy panu na niej. Pan...

Judd odskoczył od Yvette i spojrział na nią gniewnie.

- Już pani mówiłem. Nie obchodzi mnie nikt ani nic. Zależy mi tylko na tym, żeby znaleźć zabójcę żony.

- Znowu się pan okłamuje.

Odwrócił się i odszedł, prawie pewien, że Yvette za nim pójdzie. Nie ruszyła się.

Tego ranka Griff był jeszcze w szlafroku, kiedy Sanders zapukał do drzwi jego sypialni.

- Wejź. Nie śpię.

Sanders wszedł, niosąc na małej srebrnej tacy termos z kawą i filiżankę z chińskiej porcelany na spodku. Postawił tacę na wielkiej skórzanym otomanie.

- Jak się dziś czuje Barbara Jean? - spytał Griff.

- Dość dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności- odpowiedział Sanders. - Martwiłem się, że wczorajszy dzień będzie dla niej zbyt ciężkim przeżyciem, ale ona jest wyjątkowo silną kobietą.

- Podziwiasz ją.

- Tak.

- A lubisz?

- Nie da się jej nie lubić.

- To prawda.

- Coś jeszcze?

- Jak wpłynęło na nią to, że jej powiedziałem o drugim świadku?

- Chyba poczuła ulgę, że ktoś oprócz niej może podać rysopis tego mężczyzny.

- Nie powinna wiedzieć, że jego opis jest tak samo ogólny jak jej.

- Tak, sir. Rozumiem.

Sanders skinął głową i zanim zdążył wyjść na korytarz, w drzwiach minął go Judd, który wpadł do pokoju Griffa i spytał:

- Masz chwilę?

- Jasne. Właśnie będę pił pierwszą kawę. - Griff usiadł na kanapie w części wypoczynkowej, otworzył termos i nalał sobie parującego czarnego płynu do filiżanki.

Judd usiadł na fotelu z lewej strony sofy.

- Rozmawiałem rano z doktor Meng.

- Hmm...

- Interesująca kobieta.

Griff wziął łyk kawy. Była przepyszna. Każdy dzień zaczynał od filiżanki kawy. Jako nastolatek, a później dwudziestoparolatek nie cierpiał kawy. Wolał colę i piwo. To Sanders nauczył go cenić czarny napój, kiedy był dla nich rarytasem.

- Tak. Yvette jest interesująca, intrygująca, niepokojąca.
- Jak ją poznałeś?
- Dawno temu, daleko stąd.

Judd prychnął.

- To, co powiedziałeś, nadaje się na początek dobrej bajki.
- Zapewniam cię, że to nie bajka.
- Poznałeś ją, kiedy nie było cię w kraju, tak?
- Tak.
- Nigdy nikomu nie powiesz, gdzie byłeś ani co się wydarzyło?
- Nie. - Griff dokończył kawę i napełnił filiżankę po raz drugi.

Obaj milczeli.

- Pewnie z nią porozmawiam - odezwał się Judd po kilku minutach. - Tylko porozmawiam. Zobaczę, jak pójdzie.

Nie reaguj zbyt szybko, pomyślał Griff. Jeżeli Judd uzna, że go po-naglasz, wycofa się.

- Yvette potrafi słuchać.
- Rano dała mi pewną radę.
- Masz zamiar z niej skorzystać?
- Być może.

Griff skinął głową.

- Nie zapytasz mnie, jaka to rada?
- Myślę, że sam byś mi powiedział, gdybyś chciał.
- Zasugerowała, że powinienem zrobić coś dobrego dla kogoś-oznajmił Judd.

- Masz na myśli coś konkretnego?

- Nie. Nie wiem nawet, czy chcę cokolwiek zrobić. Nie jestem pe-wien, czy potrafię.

- Nie będziesz wiedział, dopóki nie spróbujesz- rzekł Griff.- Trochę wyszedłeś z wprawy. Ale przecież kiedyś byłeś porządnym fa-cetem.

- Tak, ale to był całkiem inny Judd Walker. Wtedy myślałem, że mam cały świat u stóp.

Mimo swojego obecnego bogactwa Griff najszczęśliwszy był wtedy, kiedy grał w drużynie uniwersyteckiej. Był młody, niczego się nie bał i tak jak Judd myślał, że ma cały świat u stóp.

- Myślisz, że tylko raz dostaje się szansę od losu?
- Chyba tak - odpowiedział Judd.
- Tak przypuszczałem.

- Nie wiem, co się z tobą działo, ale mam wrażenie, że wyszedłeś z tego bez szwanku.

- Daj sobie szansę, a niedługo może to samo powiem o tobie.

- Co? Że wyszedłem bez szwanku?

- Że takie odnoszę wrażenie.

Judd zmrużył oczy i przyjrzał się Griffowi.

- Że wszystko jest jak dawniej?

- Nic nigdy nie będzie jak dawniej. Pogódź się z tym. Ale możesz pozbiierać się na tyle, żeby znów stać się pożytecznym członkiem społeczeństwa. Możesz cieszyć się życiem. Możesz nauczyć się tego, jak zostawić przeszłość za sobą.

- Nie wiem, czy bym potrafił.

- W każdym razie zaczynasz o tym myśleć. - Griff chciał spytać, skąd ta nagła zmiana. Co skłoniło Judda, żeby rozmawiać z Yvette. Ale podejrzewał, że przyjaciel i tak nie powie mu prawdy, a poza tym znał odpowiedź.

Odpowiedzią była Lindsay.

Rozdział 18

Lindsay wpatrywała się w dzwoniącą komórkę i zastanawiała się, czy odebrać. Ostatnio unikała telefonów Nathana. Spotykali się od paru miesięcy i w jego towarzystwie czuła się naprawdę dobrze, ale obawiała się, że nigdy go nie pokocha. Nathan Klyce był przystojny, inteligentny i sympatyczny. Niestety, poznała go, kiedy już była zakochana w Juddzie. Jednak Judd jest dla niej nieosiągalny. A Nathan - owszem.

Odebrała po szóstym sygnale.

- Cześć, Nathan.

- Witam cię. - Jak zwykle szczerze się cieszył, że słyszy jej głos. - Już myślałem, że wyjechałaś za granicę.

- Byłam bardzo zajęta.

- Rozumiem, że praca pochłania ci dużo czasu, ale nie odbierasz moich telefonów... Słuchaj, chciałbym wiedzieć, na czym stoimy.

No ładnie! I co ma mu odpowiedzieć? Nie może przecież oznajmić, że niestety, nadal jest zakochana w Juddzie Walkerze. Nie może też

prosić Nathana, żeby był cierpliwy i wyrozumiały i że potrzebuje jego wsparcia, bo usiłuje się uporać z uczuciami do Judda.

- Jeśli o mnie chodzi, nic się nie zmieniło - powiedziała.
- To znaczy, że nadal jesteśmy razem?
- Tak, jeśli tego chcesz.
- A ty chcesz?

- Nathan, wiesz, że nie jestem gotowa na nic poważnego. Jeszcze nie. Ale bardzo bym chciała nadal się z tobą spotykać.

Wyobraziła sobie, że Nathan się uśmiecha. Miał bardzo miły uśmiech, który zawsze dodawał jej otuchy.

- W takim razie chciałbym cię prosić, żebyś poszła ze mną na bal charytatywny na rzecz bezpłatnej kliniki, którą mamy zamiar otworzyć w przyszłym roku. Będą kolacja i tańce, a później aukcja. To już w ten weekend. Wiem, że późno cię zapraszam, ale...

- Chętnie z tobą pójdę.
- Wspaniale.

Słyszac radość w głosie Nathana, poczuła się winna. Czy go wykorzystuje? Spotykając się z nim, daje mu fałszywe nadzieje na przyszłość. Ale przecież jasno postawiła sprawę. Żadnych kłamstw, żadnych pretensji.

Nie okłamuje Nathana.

A siebie samej?

- Powiedz, kiedy dokładnie, żebym mogła wziąć wolne. - Potrzebowała tej randki, pragnęła być z mężczyzną, który ją docenia. Musiała uciec od Judda.

- W sobotę o wpół do ósmej. Przyjadę po ciebie około wpół do szóstej.
- Nie, nie trzeba. Spotkamy się w Knoxville.
- Dobrze. - Zamilkł na chwilę. - Czy przesadzę, jeżeli poproszę, żebyś została na noc?

Wiedziała, że prędzej czy później nadejdzie ta chwila. Może nie powinna od razu odmawiać. Może powinna się nad tym zastanowić. Przecież nie będzie wiecznie żyła w celibacie.

- Zobaczymy - odpowiedziała. - Jeżeli oboje uznamy to za stosowne, zostaną.

- W takim razie zrobię wszystko, żeby był to dla ciebie najpiękniejszy wieczór.

- Jesteś słodki.

Nathan rzeczywiście był miłym, oddanym facetem. Niemal doskonałym. Naprawdę powinna się w nim zakochać.

- Podaj mi adres i wszystkie potrzebne informacje.

Kiedy się pożegnali, zapisała wszystko w notesie, który trzymała na biurku: sobota wieczór, siódma trzydzieści, Willows Country Club, 1018 Bonaventure Avenue. Strój wieczorowy.

Co, do licha, na siebie włoży? Suknie miała dwie - jedną czarną do ziemi, a drugą beżową, koktajlową. Kupiła je, kiedy zaczęła pracę w Agencji Powella, na wypadek gdyby jakieś zadanie wymagało stroju wieczorowego.

Otworzyła szafę, wyjęła obie sukienki i powiesiła obok siebie na otwartych drzwiach. Obie były świeżo wyczyszczone, gotowe do włożenia. Przyjrzała się im i stwierdziła, że wszystko jedno, którą włoży. Do każdej miała szpilki i torebkę wieczorową.

Bardziej powinnam się przejmować bielizną, pomyślała. Jeżeli mam spędzić noc z Nathanem...

Ale to był wielki znak zapytania.

Griff przejrzał swój kalendarz na najbliższe dwa tygodnie i przypomniał sobie, że w sobotę wieczorem musi wziąć udział w balu charytatywnym w Willows Country Club. Jedną z niedogodności wynikających z posiadania obrzydliwego bogactwa było to, że każdy chciał uszczknąć coś dla siebie. A kiedy już człowiek zasłynął z tego, że chętnie daje, jego nazwisko automatycznie pojawiała się na każdej liście gości. Niekiedy po prostu wystawiał czek i dziękował za zaproszenie. Czasem, gdy po sprawdzeniu okazywało się, że organizacja charytatywna defrauduje pieniądze, kontaktował się ze swoimi prawnikami i przekazywał im sprawę.

Zbiórka pieniędzy na bardzo potrzebną bezpłatną klinikę przemówiła do Griffa ze względów osobistych. Sam był kiedyś biednym dzieckiem, zależnym od dobroczynności innych. Dorastał w wynajmowanych mieszkaniach, niewiele lepszych od slumsów, ubierał się w to, co dostał po innych, i często chodził spać głodny. Gdyby nie lokalne kościoły, łoża masońska i poczciwi sąsiedzi, na Gwiazdkę wiele razy nie znalazłby nic pod choinką. Dobrze wiedział, jak to jest potrzebować pomocnej dłoni.

Bal był już w tę sobotę. Zostało tylko kilka dni, ale bez trudu powinno udać mu się zaprosić jakąś kobietę. Problem w tym, że nie przychodziła mu do głowy żadna, z którą miałby ochotę spędzić cały wieczór.

Sara Burcham? Była dobra w łóżku, ale poza tym beznadziejna. Żywiółowa brunetka miała zbyt donośny śmiech.

W grę wchodziła też Candance Ragsdale. Atrakcyjna pięćdziesięcioletnia wdowa z ciałem trzydziolatki. Ale niedawno słyszał, że spotyka się na poważnie z Bradfordem Hernem, dyrektorem banku w Tennessee.

Jego rozmyślania przerwało pukanie do drzwi.

- Tak?

- Mogę z tobą porozmawiać? - spytała Yvette Meng.

- Wejdz. - Wstał zza biurka i przeszedł przez pokój.

Yvette weszła do środka.

- Napij się czegoś? - spytał. - Poproszę Sandersa, żeby przyniósł herbatę.

- Nie, dziękuję.

- Siadaj, proszę.

Zajęła jeden z dwóch foteli stojących przy kominku, położyła splecione dłonie na kolanach i czekała, aż Griff usiądzie naprzeciwko niej.

- Wydaje mi się, że Barbara Jean będzie niedługo w stanie sobie przypomnieć wszystko, co się zdarzyło tego dnia, kiedy zamordowano jej siostrę - powiedziała. - Może już za kilka dni.

- Według jakiej metody to obliczyłeś?

Uśmiech Yvette miał w sobie głębię tajemnic, którymi nie dzieliła się z nikim. Ale Griff znał te tajemnice, a ona znała jego sekrety, bo ich życie splotło się tak, że niewielu ludzi byłoby w stanie to zrozumieć.

- Jeżeli oczekujesz, że powie ci to, co musisz wiedzieć, możesz czekać latami. Ale wydaje mi się, że niedługo sobie przypomni, choćby w podświadomości.

- Czy ona wie, że jesteś w stanie wyczuć, co myśli?

Yvette pokręciła głową.

- Ale nie będziesz miała oporów, jeżeli będziemy musieli uzyskać informacje, wykorzystując twoje wyjątkowe zdolności? - spytał Griff.

- Wolałabym, żeby Barbara Jean wiedziała, że potrafię odczytać jej myśli. Ale obawiam się, że gdyby wiedziała, zamknęłaby się przede mną.

- Więc zrobisz to, co należy zrobić.

- Tak, oczywiście. Przecież zawsze robię, prawda?

Siedzieli w milczeniu przez kilka minut. W końcu Yvette wstała.

- Porozmawiamy później.

- Poczekaj. - Griff zaszedł jej drogę, stając przed nią. - W tę sobotę muszę być na balu charytatywnym. Miałabyś ochotę pójść ze mną?

- Jeżeli chcesz.

- Bardzo chcę.

Zauważył błysk w jej oczach, jakby nagle wpadła na genialny pomysł.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Miałbyś coś przeciwko temu, żebym zaprosiła kogoś jeszcze?

Zbiła go z tropu tym pytaniem.

- Jak to?

- Ten bal nie jest przecież randką, więc chciałabym, żeby poszedł z nami jeszcze ktoś. Masz coś przeciwko temu?

- Nie, skąd. Ale kto?

- Jeśli się zgodzi, to ci powiem.

Nie mówiąc nic więcej, ulotniła się niczym srebrzysta mgła. Poruszała się z niezwykłą wręcz gracją. Griff żywił dla Yvette Meng najgłębszy podziw i szacunek i uważał jej przyjaźń za wyjątkowy dar.

Zamknął drzwi i usłyszał, że dzwoni jego komórka. Leżała na biurku, gdzie zostawił jarano, kiedy telefonował w parę miejsc. Korzystając z jednej z opcji aparatu, zaprogramował różne dzwonki dla różnych osób, zwłaszcza tych, których czasem wołał unikać. Natychmiast rozpoznał dźwięk przypisany agentce Nicole Baxter.

Miał zamiar poczekać, żeby włączyła się skrzynka głosowa, ale przemożliła go ciekawość. Kilkoma długimi susami doskoczył do biurka i odebrał połączenie.

- Czym mogę służyć, agentko Baxter? - spytał przyjacielskim tonem.

- Pozwolić mi porozmawiać z Barbarą Jean Hughes.

- Przecież nie bronię ci z nią rozmawiać.

- W takim razie bądź łaskaw przekazać swojemu asystentowi, żeby mnie połączył z panią Hughes następnym razem, kiedy będę usiłowała się z nią skontaktować.

- Zapewniam, że jeśli Sanders cię z nią nie połączył, to tylko dlatego, że nie miała ochoty z tobą rozmawiać.

Nic jęknęła.

- Prawdopodobnie zgłupiała od tego twojego męskiego uroku.

Griff zachichotał.

- Mam to odebrać jako obelgę czy komplement?

- Ode mnie komplementu nie usłyszysz nigdy.

- No, no, nie bądźmy tacy niemili. Nie wiesz, że więcej można osiągnąć po dobroci?

- Powiedz mi tylko jedno, czy Barbara Jean podała rysopis mężczyzny, którego widziała w dniu morderstwa w domu siostry?

- A co? Twój naoczny świadek nie opisał szczegółowo jego wyglądu?

- Do diabła, skąd o nim wiesz?
- Mam swoje sposoby.
- Tak, i któregoś dnia wpadniesz, wykorzystując jeden z tych swoich bezprawnych sposobów - skwitowała. - Mam nadzieję, że będę wtedy w pobliżu, żeby osobiście zakuć cię w kajdanki.

- Nie miałem pojęcia, że lubisz takie rzeczy. Gdybym wiedział, zaprosiłbym cię do siebie, pobawiłabyś się moimi. Ale nigdy nie jest za późno. Jeżeli masz ochotę...

Nic prychnęła zde gustowana.

- Daj spokój, nie znasz się na żartach? - spytał.
- Jeśli chodzi o sprawę zabójcy królowych piękności, to nie widzę w niej nic zabawnego.

- Ja też nie. Ale nie żartowałem ze sprawy. Żartowałem z ciebie.

- Cha, cha. Bardzo śmieszne - wycodziła przez zęby. - A teraz powiedz, czego będziesz ode mnie chciał w zamian za odpowiedź.

- W odróżnieniu od ciebie, agentko Baxter, ja chętnie dzielę się informacjami. Jeżeli pani Hughes poda nam szczegółowy rysopis domniemanego sprawcy, będziesz pierwszą osobą, do której zadzwonię.

Cisza.

- Jesteś tam? - spytał, doskonale wiedząc, że się nie rozłączyła.
- Tak.
- Chcesz wiedzieć coś jeszcze?
- Chcę wiedzieć, kogo wybrał na następną ofiarę, żebyśmy mogli go powstrzymać.

- Ja też.

- Griffin?

- Co?

- Dzięki.

Znów cisza. Tym razem się rozłączyła.

Griff wyłączył telefon i odłożył na biurko.

Zastanawiał się, co kieruje Nic. Wyczuwał jej niechęć od chwili, kiedy się poznali. Momentalnie poczuła do niego awersję. A sprzeciwiając mu się we wszystkim, bynajmniej nie zaskarbiła sobie jego sympatii.

Gdyby wiedział wcześniej o jej mężu, o tym, jak żył i w jaki sposób umarł, może potraktowałby ją łaskawiej. Może. A może nie. Ale odkąd wiedział, jak wyglądały ostatnie dni Gregory'ego Baxtera, do pewnego stopnia rozumiał zachowanie Nic.

Pudge jednocześnie czuł miłość i nienawiść do stusześcdziesięcioletniego domu, który odziedziczył po dziadku. Jako jedyny męski potomek jedynego męskiego potomka został dziedzicem pokaźnej fortuny. Dorastał, pławiąc się w luksusie. Był rozpieszczonym dzieckiem, rzadko słyszał słowo „nie” i tak zostało do dziś - zawsze musiał postawić na swoim. Przywilej bycia bogatym. Na ogół unikał tego, nad czym nie miał kontroli i czego nie mógł kupić za pieniądze.

Służących zatrudniał i zwalniał regularnie. Niewielu było w stanie sprostać jego wymaganiom, a nie zamierzał płacić dużych pieniędzy za niechlujną robotę. Obecnie nie miał żadnej służby na stałe, tylko sprzątaczkę w dni robocze i kucharkę, która przychodziła o ósmej rano i wychodziła o piątej po południu. Kiedy wyjeżdżał, gotowała mu i zamrażała posiłki. I nie pracowała w weekendy.

Idąc wzdłuż werandy, pomyślał o kuzynie Pinkiem i o grze, którą prowadzili od niemal pięciu lat. Była to ich ostatnia wspólna zabawa, ale nie pierwsza. Poznali się, kiedy mieli po szesnaście lat, i po pewnym czasie - listów, telefonów i odwiedzin - zostali najlepszymi przyjaciółmi. Wiedział, że Pinkie kocha go na tyle, na ile był w stanie kochać kogokolwiek. A jemu zależało na Pinkiem.

Będzie mu brakowało drogiego kuzyna, kiedy gra dobiegnie końca. Ale wszystko, co dobre, kiedyś się kończy.

Pudge westchnął ciężko.

Usiadł w ulubionym miejscu na werandzie - w wielkim wiklinowym bujanym fotelu, który kiedyś należał do jego babki. Zmarła, gdy miał dwa lata. Utonęła w jednym ze stawów na terenie posiadłości. Rodzinną plotkę głosiła, że popełniła samobójstwo.

Otulony w dekadentki kożuch, który kupił podczas ostatniej podróży do Nowego Jorku, kołysał się miarowo w tył i w przód. Podziwając zachód słońca, wdychał ożywcze powietrze Luizjany, pełne zapachów natury. Mimo zimy czuć było zapowiedź obfitości, jaką przyniesie wiosna.

Kołysząc się w fotelu i rozkoszując orzeźwiająjącym chłodem, zastanawiał się nad tym, co musi się wydarzyć w najbliższej przyszłości. Pinkie z pewnością już wybrał następną ofiarę. Obaj wiedzieli, że teraz, pod koniec gry, nie mają wyjścia i muszą skrócić czas między zabójstwami. Za cztery tygodnie jeden z nich zwycięży.

W Prima Aprilis.

Zadowolony z własnego sprytu, przypomniał sobie, że to on zdecydował, że powinni grę zacząć i skończyć pierwszego kwietnia. Rzucali

moneta, żeby ustalić, kto pierwszy będzie wybierał swój piękny kwiat z ogrodu dawnych królowych piękności. To on wygrał.

Nigdy nie zapomni swojego pierwszego zabójstwa.

Blondynka. Warta piętnaście punktów.

Brooke Randolph. Dawna Miss Baton Rouge.

Nigdy nie zapomni przerażenia na jej twarzy, kiedy dotarło do niej, że zamierza ją zabić.

Dobry Boże, co za uczucie!

Chociaż uzgodnili z Pinkiem, że najcenniejsze będą rudowłose, jako najrzadsze, on najbardziej lubił brunetki. Wysokie, egzotyczne, ciemnokokie piękności.

Ale jedna z jego dwóch ostatnich ofiar będzie musiała być ruda. Już wybrał pierwszą - Sandi Ford, była Miss Nastolatek, która teraz mieszka w pobliskim Parsons. Oczywiście nie mógł się przyznać kuzynowi, że tak się spieszył. Kolejną ofiarę powinien wybrać dopiero wtedy, gdy Pinkie zrobi swój ruch.

Nucąc cicho, naciągnął poły kożucha, żeby osłonić się przed chłodnym wiatrem, i zaczął się zastanawiać, jak będzie wyglądało jego życie bez kuzyna. Pewnie mogliby zmienić zasady nawet na tym etapie, żeby przegrany nie musiał płacić tak wysokiej ceny. Przez piętnaście lat rywalizował z Pinkiem - jedyną osobą, która dorównywała mu inteligencją i sprytem. Godny przeciwnik.

Co zrobisz, kiedy gra się skończy? Bez Pinkiego zanudzisz się na śmierć.

Ale są przecież inne zabawy. Inni przeciwnicy.

Ostatnio obmyślał intrygującą grę, której uczestnicy byłiby jednocześnie ofiarami.

Judd znalazł doktor Meng na oszklonej werandzie z widokiem na jezioro, dokładnie tam, gdzie skierował go Sanders. Cały dzień zastanawiał się nad jej radą, ale nic mądrego nie wymyślił. Mógłby polecić swoim księgowym, żeby wypisali czek na taki czy inny zbożny cel, co nie wymagałoby zaangażowania z jego strony. A najlepiej się czuł, kiedy nie musiał mieć obowiązków do czynienia z innymi ludźmi.

Może powinien wynająć samochód, pojechać do leśniczówki i zostać tam na zawsze? Trzymać się z dala od Lindsay. To chyba byłby dobry uczynek?

Nie mógł pozwolić, żeby sprawy toczyły się dalej tak jak teraz. To nie było wobec niej uczciwe. Skoro ona nie jest w stanie przeciąć więzów, powinien zrobić to on. Dla niej.

Ale nie tak, jak pół roku temu.

Istniał łagodniejszy sposób na to, żeby zakończyć ich związek.

Bo owszem, w końcu przyznał, że są ze sobą związani. Co - rzecz dziwna - miało na niego zbawienny wpływ. Ale zły dla Lindsay.

Zasługiwała na coś o wiele lepszego, czego on nigdy nie będzie jej w stanie ofiarować.

Nie możesz jej dać zupełnie nic poza cierpieniem.

Wchodząc na werandę, odkaszlnął.

- Niech pan wejdzie, Judd - powiedziała Yvette, nie oglądając się, żeby sprawdzić, kto poszedł.

Skąd, do licha, wiedziała, że to właśnie jego ma za plecami?

- Jak pani mnie poznała?

- Po chodzie. Po zapachu. Po aurze.

Czyżby powiedziała, że on ma aurę?

- Jakim cudem widzi pani aurę ludzi?

Obejrzała się przez ramię i spojrzała mu w oczy.

- Aurę, jaka pana otacza, nie tylko widzę, ale również wyczuwam.

Podszedł do niej i usiadł obok na wiklinowej sofie.

- Na czym miałyby polegać terapia? - spytał, patrząc na jezioro.

Kąciki jej ust uniosły się w ledwie dostrzegalnym uśmiechu.

- Na czymś, czego wy, mężczyźni nienawidzicie robić.

Teraz na nią spojrzał.

- Na rozmowie - wyjaśniła.

- Och-jęknął.

- W pana tempie. Nigdy nie poganiam pacjenta.

- Pacjenta? No ładnie. W takim razie jeśli się zgodzę, przyznam, że potrzebuję pomocy.

Skinęła głową.

- Mało tego. Przyzna pan, że chce pan pomocy.

- Nie jestem pewny, czy chcę, żeby ktoś mi pomagał.

- A może zrobimy próbę, żeby się przekonać?

Judd odsunął się na brzeg sofy i wpatrywał się w Yvette, zastanawiając się, jaką próbę ma na myśli.

- Rano podsunęłam panu pomysł - przypomniała. - Zastanawiał się pan nad nim?

- Tak. Chyba nawet za bardzo.
- Uśmiechnęła się poważnie.
- Doceniam, że jest pan ze mną szczerzy. Szczerość jest podstawą efektywnej więzi z terapeutą.
 - Czy to działa w obie strony? Pani też będzie wobec mnie szczerą?
 - Tak. Zawsze.
 - Dobrze. Więc na czym polega próba?
 - To odpowiedz, jak może pan skorzystać z mojej rady i zrobić coś dobrego dla kogoś, a jednocześnie przekonać się, czy naprawdę z czyścica, który sam sobie pan stworzył, chce pan wrócić do świata żyjących.
 - Nie ma w tym żadnego podstępu?
 - Szczerość, pamięta pan?
 - Dobrze. Więc co mam zrobić? Przejść po rozżarzonych węglach? Zjeść szkło?
 - Chciałabym, żeby poszedł pan ze mną na bal charytatywny w tę sobotę.
- Roześmiał się.
- Doktor Meng, proponuje mi pani randkę?
 - Niezupełnie. Proszę, żeby poszedł pan ze mną i z Griffinem na bal połączony z aukcją, z której dochód zostanie przeznaczony na szczytny cel.
 - A nie mogę po prostu wypisać czeku?
- Pokręciła głową, a on się skrzywił.
- Tak, tak, wiem, to byłoby za proste.
 - Od śmierci żony nie pojawiał się pan w towarzystwie - powiedziała Yvette. - Wiem, że nie będzie to dla pana łatwe. Ale jeżeli przyjmie pan zaproszenie, oboje będziemy wiedzieli, że naprawdę chce pan mojej pomocy.

Rozdział 19

W czwartek wieczorem Pinkie wynajął domek nad jeziorem Guntersville w Alabamie. O tej porze roku niemal wszystkie domki w okolicy były puste. Wolał zatrzymać się tu niż w hotelu w Birmingham, bo miał więcej prywatności. Do miasta było niedaleko, a z lotniska w Birmingham

mógł dolecieć wszędzie. Rezerwację zrobił na sfałszowany dowód osobisty na nazwisko John Chapman. Całkiem ładne. I jak zwykle zapłacił gotówką.

- Zostanę tydzień - powiedział po przyjeździe, ale nie podał żadnych innych informacji, bo też o żadne go nie proszono.

Kiedy poszedł się zameldować, miał na sobie czapkę, szalik i zimowy płaszcz. Zapamiętał też kilkudniowy zarost, a na nos założył okulary w czarnych oprawkach. Nie było to wyszukane przebranie, ale nie sądził, by ktokolwiek skojarzył mężczyznę z domu nad jeziorem z mężczyzną, który zabił LaShae Goodloe w motelu w Birmingham.

Rzecz jasna nie zabił LaShae. Jeszcze nie. Ale już niebawem to zrobi. Czas ucieka. Cztery tygodnie. Jeżeli Pudge zdecyduje się na ruda w kolejnym ruchu, on następnym razem będzie musiał zabić blondynkę, żeby wygrać.

Ułożywszy się wygodnie w łóżku z kilkoma poduszkami pod głową, włączył telewizor i sięgnął do nocnej szafki po kubek z kawą, który wcześniej tam postawił. Nie znosił taniej kawy. Tym razem pamiętał, żeby zabrać jeden ze swoich ulubionych, najlepszych gatunków.

„Dzień dobry, Birmingham - oznajmił spiker. - Zapraszamy na poranny program gwiazdy WBNN LaShae Goodloe. Jest szósta rano, pierwszy piątek marca”.

Obiektyw kamery skoncentrował się na pięknej brunetce prowadzącej poranny talk show. Pinkie zwrócił uwagę na modny strój LaShae. Purpurowa wełniana sukienka podkreślała jej krągłości, ale nie była zbyt opięta. W uszach połyskiwały małe złote kółka, a na prawym nadgarstku miała ciężką złotą bransoletę.

LaShae była doskonała, począwszy od długich do ramion gęstych włosów, a na smukłym, zgrabnym ciele skończywszy. Skórę miała niczym marmur - gładką i bez skazy. Jednak najpiękniejsze były jej oczy - jasnobrązowe jak mleczna czekolada, tak blade, że niemal przezroczyste.

Taka kobieta powinna być warta więcej niż dziesięć punktów. LaShae była wyjątkowa jak każda rudowłosa, a może nawet bardziej.

Ale zasady są zasadami - za brunetkę należy się tylko dziesięć punktów.

Zorientował się, że nie słucha rozmowy LaShae z gościem - terapeutą zajmującym się pomaganiem dorosłym, którzy w dzieciństwie byli wykorzystywani seksualnie. Zrobił głośniejsze i łyknął kawę.

„Od poniedziałku tygodniowy cykl będzie prowadzić doktor Woodrow Landers - zwróciła się LaShae do widzów. - Poszukujemy osób skłonnych podzielić się swoją historią. Jeżeli się zgodzą, wystąpią przed kamerą. Jeżeli zaś będą woleli zachować anonimowość, zapewnimy im ją, zmienimy głos i nie ujawnimy wyglądu”.

Kamera ukazała zbliżenie twarzy LaShae.

„Jeżeli masz takie doświadczenia, chcemy je poznać. Jeśli wiesz, kto wykorzystywał cię w dzieciństwie, i teraz, po latach, chcesz złożyć skargę, pomożemy ci, dając do dyspozycji prawnika, który będzie reprezentował twoje interesy. Po programie czekam na telefon w WBNN. Dziś do południa będę dyżuruować w studio, żeby osobiście z państwem rozmawiać”.

Pinkie się uśmiechnął. Dlaczego one zawsze tak mu ułatwiają sprawę?

Zasmiewali się z Pudge'em do łez z naiwności kobiet, które zabijali. Miały „skrytki” na klucze. Otwierały drzwi listonoszom, serwisantom telefonów, pracownikom komunalnym. Zawsze brały Pudge'a i Pinkiego za tych, za których się podawali. Nie mogli się nadziwić, jak głupie były te kobiety. Jak ufne.

Bardzo często on i Pudge wabili ofiarę, wykorzystując jej pracę.

Jennifer Walker, agentka nieruchomości, skakała ze szczęścia, że idzie na spotkanie z potencjalnym klientem i jego nieistniejącą żoną - sama, późnym wieczorem, do domu na odludziu.

Erin Murphy, prywatna pielęgniarzka, pozwoliła Pinkiemu przyjechać do siebie na rozmowę w sprawie opieki nad jego nieistniejącą starą matką.

No a teraz LaShae Goodloe zaprasza, żeby do niej zadzwonił, umówił się na spotkanie i opowiedział jej zmyśloną historię o tym, jak go molestowano w dzieciństwie.

Raczej nie otworzy przed nim drzwi domu, w którym mieszka rodzina, bo nie wpuszcza tam nikogo. Lecz bez problemu zwabi ją w inne miejsce. Musi tylko mieć żłosny, bezradny głos, rozmawiając z nią przez telefon.

Przez ostatnie trzy godziny do LaShae zadzwoniły tylko dwie osoby mające ochotę wystąpić w jej programie w przyszłym tygodniu - dwudziestoletnia dziewczyna, która jako dziesięciolatka była molestowana przez starszego chłopaka z sąsiedztwa, i pięćdziesięcioletnia kobieta, którą w dzieciństwie molestował ojciec. Żadna nie chciała podać

prawdziwego nazwiska. Pozostałe telefony pochodziły od dowcipnisiów, od osób protestujących przeciwko nadawaniu tego rodzaju „śmieci” i od widzów, którzy po prostu chcieli porozmawiać z LaShae.

- Odbierz ten - powiedziała jej asystentka Mindy. - Brzmi prawdziwie.

LaShae skinęła głową i odebrała telefon.

- Witam, mówi LaShae Goodloe.

- Pani Goodloe, oglądałem... oglądałem panią dziś rano. - Głos bez wątplenia należał do mężczyzny. - Wydaje mi się, że panią naprawdę obchodzą ludzie. Nie jest pani nadęta, jak wiele innych gwiazd telewizji.

- Tak, obchodzą mnie ludzie - zapewniła. - Zwłaszcza ci, których dotyczy ten temat. W dzieciństwie miałam koleżankę, którą zgwałcił i zabił kuzyn.

- Mężczyzna, który... ufałem mu. Wszyscy mu ufali. On... on był diakonem w naszym kościele - odezwał się w słuchawce ledwie słyszalny szept. - Zgwałcił mnie, kiedy miałem dwanaście lat.

- Tak mi przykro.

Biedny człowiek.

LaShae do końca życia nie zapomni bólu, jaki przeżyła, kiedy w szóstej klasie dowiedziała się, że jej przyjaciółka została zgwałcona i zamordowana przez dwudziestopięcioletniego kuzyna, którego wszyscy znali od zawsze.

- Nie wiem, czy mam dość odwagi, żeby wystąpić u pani w programie - powiedział rozmówca.

- Zapewnimy panu anonimowość. Nikt nie zobaczy pana twarzy i nie usłyszy prawdziwego głosu.

- Chciałbym to zrobić, ale... boję się.

- Pański dręczyciel jeszcze żyje?

- Tak. Teraz jest duchownym w dużym kościele.

- Chyba jest pan świadomy, że skoro molestował pana, to molestował też innych chłopców? Jeżeli ujawni pan jego dane i pozwie go do sądu, może pan uchronić wielu młodych mężczyzn przed takim cierpieniem, jakie spotkało pana.

- Wiem, ale... Możemy się spotkać na rozmowę w cztery oczy?

- Tak, oczywiście.

- Mogę przyjechać do Birmingham w niedzielę wieczorem. Moglibyśmy się spotkać w jakimś publicznym miejscu? Opowiedziałbym pani moją historię.

- Tak, możemy to załatwić. - LaShae całym sercem współczuła mężczyźnie. Słysząc było, że robi, co może, żeby się nie rozpłakać. To straszne, że wspomnienia krzywdy sprzed lat bołą go do dziś.

- Nazywam się... Sammy. Zadzwoń, kiedy przyjadę do Birmingham.

Połączenie zostało przerwane.

LaShae odłożyła słuchawkę i spojrzała na Mindy.

- Wydaje mi się, że on wniesie pozew przeciwko oprawcy.

- Mam połączyć panią z mężem? - spytała Mindy.

- Tak, zadzwoń do Rodneya i spytaj, czy znajdzie teraz czas, żeby ze mną porozmawiać. Będzie udzielał konsultacji prawniczych uczestnikom programu w przyszłym tygodniu, więc muszę go na bieżąco o wszystkim informować.

Mindy wybierała numer biura Rodneya, a LaShae starała się zapanować nad nerwami i przygotować do rozmowy z mężem. Niestety, nie potrafiła pozbyć się potwornego poczucia winy z powodu romansu z Benem. Wprawdzie Rodney nie dał po sobie poznać, że podejrzewa ją o zdradę, ale zastanawiała się, czy rzeczywiście nie wyczuł, że w jej życiu jest inny mężczyzna.

Pogoda zepsuła się w ciągu zaledwie kwadransa. Rozpętała się burza, z nieba lał się zimny deszcz, a ciemny firmament raz po raz przecinały błyskawice. Lindsay zatrzymała trailblazera przed zadaszonym wejściem do Willows Country Club, wysiadła i podziękowała Bogu za obsługę parkingową odstawiającą samochody.

Pierwszy raz miała się znaleźć w ekskluzywnym prywatnym klubie, w którym spotykała się śmietanka towarzyska. Słyszała, że za roczne członkostwo trzeba było zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów - równowartość rocznych zarobków większości ludzi.

Kiedy mijała rząd lusterek na całą wysokość ściany, z trudem powstrzymała się, żeby się nie zatrzymać i nie sprawdzić, jak wygląda. Wybrała czarną suknię. Prosta i subtelną. Po długim namyśle, co zrobić z włosami, postanowiła zaczesać je do tyłu, żeby wyeksponować diamentowe kolczyki. Wtedy pojawił się dylemat, co począć z twarzą. W końcu zdecydowała się na lekki makijaż. We wszystkim zachowała swój styl.

Trzy dni temu poprosiła Griffina o wolną sobotę i niedzielę.

- Mam randkę z Nathanem - powiedziała.

- To dobrze. - Wyglądał na zadowolonego, ale przyglądał jej się z troską.

- Nie, nie wspomniałam o tym Juddowi i nie mam zamiaru.

- Przecież o nic nie pytam.

- Nie, nie pytasz.

Na tym rozmowa się skończyła, bo żadne nie zrobiło następnego kroku. Szanowali swoją prywatność. Rozumiała, że Griff po prostu martwi się o jej stosunki z Juddem.

Ostatnich kilka dni spędziła w Przystani Griffina. Była odpowiedzialna za wszystkie informacje związane ze sprawą zabójcy królowych piękności. Do długiej listy doszły dwa nowe morderstwa, więc miała dużo pracy z wprowadzeniem nowych danych. Odbyła rozmowę z Derekiem Lawrence'em, który kiedyś sporządzał profile przestępców dla FBI. Przekazała mu najnowsze informacje, żeby mógł uaktualnić profil zabójcy.

- Przerwa między dwoma ostatnimi zabójstwami była krótsza niż między wcześniejszymi - powiedział Derek. - Wydaje mi się, że wkrótce należy się spodziewać kolejnego.

Przekazała Griffowi prognozy Dereka i doszli do wniosku, że zabójca znajduje się w morderczym szale.

- Skoro wiemy, że prowadzi grę, musimy przyjąć, że z jakiegoś powodu zmieniły się zasady - podsunęła.

- Możliwe - odparł Griff. - A może wyznaczył sobie termin końca gry i ta data właśnie się zbliża, a on jeszcze nie osiągnął celu.

- Myślisz, że zaplanował, że zabije określoną liczbę kobiet w wyznaczonym przez siebie czasie?

- To tylko teoria - rzekł Griff.

Cholernie prawdopodobna teoria, pomyślała Lindsay.

Była tak pochłonięta pracą, że choć nie unikała Judda, od powrotu z Tupelo prawie go nie widywała. Raz czy dwa na śniadaniu i co wieczór na kolacji, ale poza tym ich ścieżki się nie przecinały. Nie miała pojęcia, jak Judd spędza czas, i usiłowała sobie wmówić, że ją to nie obchodzi. Ważne, żeby dał jej święty spokój; poza tym może robić, co mu się żywnie podoba.

Właściwie była zdziwiona, że jeszcze nie uciekł do swojej pustelni w leśniczówce.

Dlaczego akurat dzisiaj zaczęła myśleć o Juddzie? Powinna się skupić na Nathanie. Jeżeli nie wyrzuci Judda z umysłu, zmarnuje szansę na

to, żeby przeżyć udany wieczór. Nie wspominając już o tym, że była by nieuczciwa wobec Nathana, gdyby na randce z nim myślała o innym mężczyźnie.

Kierując się dyskretnymi strzałkami umieszczonymi na stojakach w różnej odległości, przemierzała kolejne wyłożone dywanami korytarze, zapewne do sali balowej. Gdy znalazła się za ostatnim zakrętem, na korytarzu dostrzegła Nathana. Rozmawiał z dwoma mężczyznami, jednym w jego wieku - może również lekarzem? - a drugim koło sześćdziesiątki - może bogatym współorganizatorem? Jak tylko ją zobaczył, uśmiechnął się ciepło, przeprosił towarzystwo i podszedł do niej, wyciągając ręce.

Ujął jej dłonie, pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Wyglądasz przepięknie.

- Dziękuję. Nie jestem przyzwyczajona do takiego stroju.

- Czuję się wyróżniony, że jesteś tu dziś ze mną. Każdy mężczyzna będzie mi zazdrościł.

Uśmiechnęła się, słysząc komplement, ale poczuła się niezręcznie. Nathan oczekuje, że spędzi z nim noc. Spakowała wprawdzie małą podręczną torbę, tak na wszelki wypadek, ale nie wiedziała, jak skończy się ten wieczór.

- Chciałbym cię przedstawić paru osobom. - Pociągnął Lindsay za rękę i zaprowadził do mężczyzn, z którymi rozmawiał, zanim się pojawiła.

Przedstawił jej obu panów. Młodszy, Davies Carlton, był dyrektorem generalnym Carlton Pharmaceuticals, a sześćdziesięcioletni dżentelmen, doktor James Stafford - miejscowym kardiologiem.

Na korytarzu zrobiło się tłoczno, goście zaczęli zalewać salę balową, szukając wyznaczonych miejsc.

Nathan - wraz z kilkoma innymi osobami - pełnił obowiązki gospodarza.

A Lindsay, jako jego partnerka, miała mu towarzyszyć. Kiedy weszli do sali, w końcu dostrzegła znajomą twarz. Odetchnęła z ulgą i wymieniła spojrzenia z Markiem Crosbym. Od razu do niej podszedł, ujął jej dłoń i pocałował, promieniając z radości, jakby spotkał dawno niewidzianą przyjaciółkę.

- Lindsay, kochanie, wyglądasz zjawiskowo - powiedział.

- Dziękuję. Ty też wyglądasz świetnie.

Projektant wnętrza Girffina, ubrany w nienagannie skrojony smoking, białą koszulę i muchę, miał króciutko ostrzyżone ciemne włosy, czym

maskował fakt, że zaczyna łyścić. Na małym palcu lewej dłoni połyskiwał sygnet z dwukaratowym rubinem - jedyny przejaw jego ekstrawaganckiej osobowości.

- Griff nie wspominał, że tu będziesz - powiedział, trzymając dłoń Lindsay w swoich.

- A Griffin jest? - zdziwiła się. - Nie wiedziałam, że się wybiera. Od paru dni rozmawiamy wyłącznie o sprawach służbowych.

- Sama praca, zero zabawy. - Pogroził jej palcem. - Tak, Griffin gdzieś tu jest. Z najbardziej egzotyczną kobietą, jaką w życiu widziałem.

- Doktor Meng?

- Tak, Yvette Meng. Już samo nazwisko brzmi tajemniczo i romantycznie, nie uważasz?

- To cudowna osoba.

- Griffin długo ją ukrywał. Są ze sobą na poważnie? Czy może ona jest z tym drugim facetem?

Lindsay ścisnęło w dole brzucha.

- Jakim drugim facetem?

- Z Juddem Walkerem - odparł Mark. - Nie do wiary, co? Prawie cztery lata żył jak pustelnik i nagle znów się pojawia w towarzystwie.

- Judd?

- Tak, we własnej osobie. I muszę przyznać, że żałoba mu posłużyła. Oglądają się za nim wszystkie kobiety i paru mężczyzn.

Lindsay zrobiło się niedobrze. Żołądek podszedł jej do gardła.

- Przepraszam na chwilę...- Odwróciła się i ruszyła w kierunku najbliższej toalety.

Nathan dogonił ją, zanim opuściła salę. Chwycił ją za ramię.

- Coś nie tak? Pan Crosby zasugerował, że może jesteś chora. - Zdobyła się na sztuczny uśmiech i spojrzała mu w oczy.

- Nie, nic mi nie jest. Mark wspominał, że jest tutaj Griff, więc chciałam go znaleźć i się przywitać.

- Nie możesz z tym poczekać? Zaraz podadzą kolację, a ja przemawiam prawie na samym początku. Chyba chcesz posłuchać?

- Tak, oczywiście, że tak.

Pozwoliła zaprowadzić się Nathanowi do ich stolika.

Dlaczego Judd tu przyszedł? Przecież unikał kontaktu z ludźmi. Założyłaby się o wszystko, że żadna siła na niebie i ziemi nie skłoni go do porzucenia pustelniczego życia choćby na jeden wieczór.

LaShae jęknęła głośno, kiedy Ben doprowadził oboje na szczyt rozkoszy.

Doszli jednocześnie.

Drżąc w falach orgazmu, przywarła do kochanka, chcąc zatrzymać tę chwilę - i jego - na zawsze.

- Kocham cię - szepnął. - Boże, jak ja cię kocham.

- Ben, och, Ben... - Całowała go zachłannie, tak jak w chwili, gdy spotkali się w motelu pół godziny temu.

Przewrócił się na plecy i zamknął oczy.

Wtuliła się w niego.

- Nie chcę, żeby to był nasz ostatni raz... - powiedziała, a ona położyła mu na ustach palec wskazujący.

- Musi być. Przemysłiliśmy to, omówiliśmy, przecierpieliśmy i w końcu wiemy, co musimy zrobić.

Odwrócił się do niej, wsunął jej rękę pod głowę i przyciągnął do siebie, żeby ją pocałować. Leżeli objęci, a ona wsłuchiwała się w bicie jego serca, pewna, że nigdy żadnego innego mężczyzny nie będzie kochała tak jak Bena.

- Może kiedyś... - szepnął. - Gdy nasze dzieci dorosną...

- Miła myśl.

- Mogę do ciebie dzwonić, kiedy wyjadę? Niezbyt często, tylko od czasu do czasu, żeby usłyszeć twój głos.

Napreżyła się, reagując każdym mięśniem.

- LaShae?

Znał ją aż za dobrze i rozumiał tak, jak nigdy nie rozumiał jej mąż.

- Nie. Musimy to zakończyć radykalnie. - Odsunęła się od niego i wstała z łóżka. - Nie ma innego wyjścia.

- Nie wiem, czy będę potrafił. Nigdy więcej cię nie zobaczyć. Nigdy z tobą nie rozmawiać. - Wstał, podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Uwielbiała być blisko niego, czuć siłę jego dotyku. Pociągnął ją do tyłu i oboje znaleźli się w łóżku. Nie protestowała. Pragnęła go znowu, tak bardzo, jak on pragnął jej.

- To musi być nasz ostatni raz - powiedziała, kiedy położył się na niej.

Kilka minut później początkiem i końcem świata stał się dla niej Ben.

Lindsay przez całą kolację udawało się unikać kontaktu z Griffem, Yvette Meng i Juddem, a podczas aukcji spozrzała w ich stronę tylko

dlatego, że Griff licytował i kupił kilka przedmiotów. Oczywiście za wszystkie zapłacił horrendalne sumy - był to w końcu bal charytatywny. Jediną osobą, która częściej niż Griff wygrywała licytację, był mężczyzna nazwiskiem Cary Maygarden. Nathan wspomniał, że Maygarden nie mieszka w Nashville, ale często przyjeżdża do Knoxville w interesach.

Lindsay wolałaby być gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj. I nie tylko z powodu Judda. Nie lubiła brylować w towarzystwie i czuła się niezręcznie, ocierając się o znane osobistości. W zimną, dżdżystą sobotę jak ta wolałaby skulić się przy kominku z filiżanką gorącej czekolady.

Gdyby Nathan nie był jednym z organizatorów imprezy, już godzinę temu poprosiłaby go, żeby wyszli. I pewnie pojechałaby z nim do domu. Wszystko, byle uciec od nieuniknionej chwili, kiedy stanie twarzą w twarz z Juddem Walkerem.

Niech go szlag!

Kiedy ona porzuciła jakąkolwiek nadzieję na to, że Judd się kiedyś pobiera, on wyskakuje z czymś takim.

Co to znaczy?

Aukcja zakończyła się, kiedy Henry Lewis kupił ostatni przedmiot, przepłacając za niego trzykrotnie. Lindsay nie znała profesora, ale słyszała, jak Griff nazywał go nadętym dupkiem. Nie zdziwiło jej, że Griff raz po raz podbijał stawkę - robił to celowo, wiedząc, że Lewis zrobi wszystko, by go przebić.

Orkiestra zaczęła grać łagodną jazzową melodię i Nathan poprosił Lindsay do tańca. To, na szczęście, lubiła. Niestety, po kilku minutach zorientowała się, że jej partner ma dwie lewe nogi. Bez przerwy deptał jej po palcach.

- Przepraszam. Chyba powinnaś dać mi kilka lekcji tańca - powiedział.

- Nie szkodzi. Naprawdę. Możemy usiąść, jak skończy się ten kawałek.

Nathan nie zdążył wyrządzić żadnych poważniejszych szkód jej palcom, ale była pewna, że szpilki są zniszczone.

Griff pojawił się obok niej, kiedy schodzili z parkietu. Skinął głową Nathanowi.

- Witam, doktorze Klyce. Czy mogę porwać Lindsay do następnego tańca?

- Dobry wieczór, panie Powell - odpowiedział Nathan. - Lindsay na pewno się ucieszy z innego partnera. Mamy ze mnie tancerz.

Nathan odszedł, a Griff poprowadził Lindsay na środek parkietu, gdy tylko orkiestra zaczęła grać następną melodię.

- Nie wiedziałam, że tu będziesz - powiedziała.

- A ja nie miałem pojęcia, że jednym z organizatorów jest twój doktor Klyce. Zorientowałem się dopiero, jak przyszedł.

- Nie konsultujemy ze sobą kalendarza towarzyskiego, więc chyba należy to przypisać zbiegowi okoliczności? - Musiała odchylić głowę, żeby widzieć twarz Griffa, bo była niska, a on bardzo wysoki.

- Gdybym wiedział, to bym cię uprzedził.

- Chodzi ci o obecność Judda?

- To Yvette wpadła na pomysł, żebyśmy go zabrali. I szczerze mówiąc, nie wiem, jak go na to namówiła.

- Może to koniec świata?

- Może. - Griff się uśmiechnął.

- Myślisz, że to coś znaczy? Że to pierwszy krok albo...

Przerwał jej niski głos Judda.

- Mogę odbić partnerkę?

Griff przystanął, czekając na reakcję Lindsay, a gdy skinęła głową, oddał ją Juddowi i odszedł.

Kiedy Judd objął ją w pasie, zadrżała, jakby rażona prądem. Był niewiarygodnie przystojny, a długie do ramion włosy jeszcze bardziej podkreślały jego szelmowski wdzięk.

Przez lata marzyła, żeby znaleźć się w ramionach Judda. Ale po tym, co zaszło między nimi pół roku temu, nie ufała mu. Co się dzieje w tej jego zakreconej głowie? - zastanawiała się.

Gdy taniec dobiegł końca, chciała się odsunąć, ale przytrzymał ją. Spojrzała na niego pytająco.

- Wyjdźmy stąd - powiedział.

- Co?

- Jesteś tak samo znudzona jak ja. Po co mamy tu tkwić?

- Bo tak się składa, że jestem na randce - odparła.

- Z doktorem Nathanem Klyce'em - mruknął. - To miły facet.

Odpowiedzialny. Bezpieczny.

- Tak, rzeczywiście taki jest.

- Kochasz go?

- Chyba nie powinno cię to interesować.

Zaczęła się następna melodia i Judd znów porwał ją ramiona. Podała się bez oporów, nie chcąc robić sceny. Zauważyła, że przygląda im się sporo

ludzi, starając się podsłuchać, o czym rozmawiają. Wszyscy byli zaintrygowani pierwszym od śmierci żony publicznym pojawieniem się Judda.

Przytulał ją o wiele za mocno, a ona rozkoszowała się jego bliskością.

To były chwile nie z tej ziemi. Nierealne.

Przysunął usta do jej ucha.

- Nie zadowolaj się doktorem Doskonałym tylko dlatego, żeby ode mnie uciec - wyszeptał miękko. - Zaslługujesz na coś lepszego. Zaslługujesz na coś prawdziwego.

Zamknęła oczy, oparła głowę na jego piersi, a on przyciągnął ją jeszcze bliżej, tak blisko, że słyszała bicie jego serca. Niech cię, Judd. Niech cię licha!

Kiedy skończył się dragi taniec, pozwolił jej odejść. Odchodząc, obejrzała się przez ramię i spojrzała na niego. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę. Wróciła do stolika, przy którym Nathan rozmawiał z gośćmi. Kiedy ją dostrzegł, zerwał się na równe nogi i uśmiechnął.

Objęła go w pasie i pocałowała w policzek.

- Możemy wyjść? - spytała szeptem.

Na jego twarzy odmalowało się zmieszanie.

- Nic ci nie jest?

Odciągnęła go kilka kroków od stołu i spojrzała mu w oczy.

- Nadal chcesz, żebym została na noc?

- Tak.

- Więc jedźmy do ciebie.

Rozdział 20

Za piętnaście druga Judd wszedł na górę do swojego pokoju w Przystani Griffina, zdjął smoking, który w ciągu jednego dnia dostarczono mu z domu w Chattanooga, i wziął szybki prysznic. Położył się do łóżka i przez pół godziny wpatrywał się w sufit, próbując nie myśleć o Lindsay McAllister. Niestety, wciąż miał przed oczyma obraz Lindsay w ramionach doktora Nathana Klyce'a. Im bardziej się starał o niej nie myśleć, tym żywszy stawał się ten obraz.

Lindsay w skromnej czarnej sukience. Elegancka i zmysłowa, zupełnie się na to nie siląc. Pewnie nawet nie ma pojęcia, jak atrakcyjny jest

jej świeży, zdrowy wygląd. Nie było w niej nic fałszywego, nic przesadzzonego. Była naturalna. Właśnie tak - Lindsay miała w sobie naturalne piękno.

Piętnaście po drugiej Judd wstał, wyciągnął dzinsy i sweter ze swojej nadal nierozpakowanej torby, włożył je i bosy zszedł na dół, prosto do barku w gabinecie Griffa. Nalał sobie szklaneczkę burbona i usiadł przy kominku. Ciepło bijące od dogasających polan było przyjemne, a żar wczorajszego ognia tlił się złocistą czerwinią.

Judd powąchał burbona. Przez ostatnich kilka lat alkohol był jego nieodłącznym kompanem - ani przyjacielem, ani wrogiem, po prostu był, kiedy go potrzebował. W zeszłym roku przestał panować nad piciem i coraz bardziej się uzależniał, tak jak w ciągu kilku pierwszych miesięcy po śmierci Jennifer.

Po tym, co zaszło z Lindsay pół roku temu, przez wiele tygodni nie pił, bo usiłował sobie udowodnić, że nie jest alkoholikiem. Ale nie wytrzymywał długo w trzeźwości. Przy pierwszym lepszym problemie uciekał się do swojego zaufanego kompana.

Spójrz prawdzie w oczy. Nie możesz pić. Nie powinieneś pić.

Drżały mu dłonie. Bourbon chlupotał w szklance.

Zaklął pod nosem.

Uniósł szklankę do ust. Wpatrywały się w niego błękitne oczy Lindsay. Oczy pełne łez i cierpienia.

Wrzucił szklankę do kominka. Bourbon zaskwierczał, wylewając się na rozżarzone drewno, a szklanka rozbiła się w drobny mak.

Założył splecione dłonie za głowę i przez kilka minut kołysał się w tył i w przód, aż w końcu poderwał się z fotela.

Dlaczego pozwolił, żeby odeszła? Dlaczego za nią nie pobiegł?

Ale co miał jej niby powiedzieć? Nie umawiaj się z doktorem Klyce'em. Nie umawiaj się z nikim. Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy, żeby uprawiać seks z miłym doktorkiem ani w ogóle z żadnym facetem.

Była teraz z Nathanem Klyce'em, leżała w jego łóżku, w jego ramionach.

Nie mógł znieść myśli o Lindsay i innym mężczyźnie.

Należała do niego. Była jego.

Właściwie kiedy zaczął ją traktować jak swoją własność? Kiedy stał się na jej punkcie tak zaborczy?

Nie możesz dać jej tego, czego pragnie i potrzebuje. Byłbyś wobec niej nie w porządku, gdybyś wykorzystywał ją tak jak inne kobiety. Kobiety bez imion, bez twarzy. Lindsay nie jest kobietą na jedną noc.

Wyszedł z gabinetu Griffina i zaczął krążyć po korytarzach. Żeby wyładować frustrację. I wyrzucić z głowy myśli o Lindsay.

Zjeżdżając z I-40 o wpół do trzeciej nad ranem, Lindsay zastanawiała się, czy ma dobrze w głowie. Nathan starał się ją przekonać, żeby przemocowała u niego, ale wiedziała, że nie może się na to zgodzić po tym, jak go potraktowała.

- Będę spał na sofie - powiedział. - Ciagle pada, a w dodatku deszcz pewnie zamarza. Poza tym nie powinnaś wracać do domu o tej porze. W twoim stanie.

W jej stanie?

W ten sposób chciał jej dać do zrozumienia, że jest emocjonalnym wrakiem.

Nathan był miłym facetem. Wyrozumiiałym. Boże, każdy inny byłby na nią zły i miałby do tego wszelkie prawo.

Pokręciła wtedy głową, uniosła rękę i pogłaskała go po policzku, zastanawiając się nad jego propozycją.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Nie chciałam cię zwodzić ani kusić na próżno. - Przełknęła łzy. - Ja... ja... muszę jechać. Proszę cię, nie martw się o mnie. Czuję się całkiem dobrze.

Tak, jasne.

Okłamała go i okłamała samą siebie.

Wcale nie czuła się dobrze.

Piękny wieczór miłości z cudownym mężczyzną okazał się katastrofą. A wszystko przez nią. Nathan był cierpliwy, nie ponaglał jej do seksualnej bliskości. To ona podjęła decyzję, że spędzi z nim noc, że wyjadą poza przyjaźń i zostaną kochankami.

Teraz czuła się jak największa kretynka pod słońcem.

Jedną rękę trzymała na kierownicy, a drugą uniosła do twarzy i otarła łzy z policzków. Od ponad godziny co chwila zaczynała płakać. Wystarczy. Co się stało, to się nie odstanie. Nie cofnie przeszłości. Ale gdyby mogła...

Cofnęłaby się do chwili, kiedy uciekała z parkietu przed Juddem. Co, do diabła, pchnęło ją do tego, żeby pobiec prosto w ramiona Nathana i niemal go błagać, by zabrał ją do domu i się z nią kochał?

Przerażenie.

Była przerażona uczuciami do Judda. Bała się, że może ją wykorzystać i porzucić. Była zdezorientowana - pojawił się na balu w Willows Country Club, chociaż od czterech lat unikał ludzi jak zarazy.

No i co ma teraz zrobić? A jeżeli w domu będzie czekał na nią Judd?

Ale niby dlaczego miałyby na nią czekać? Żeby facet przejął się tym, że kobieta uprawia seks z innym, musi mu na niej zależeć.

Och, Nathan. Gdyby tylko...

Gdy dotarli do domu Nathana, doszła tylko do tego, że znalazła się w majtkach i staniku. Kiedy Nathan rozpiął jej biustonosz, wzdrygnęła się. Pocałował ją w szyję, gładząc po biodrze, i nie od razu zorientował się, że ona się od niego odsuwa. Chciała z nim być, chciała się z nim kochać, ale coś ją powstrzymało, kiedy nastąpiła chwila prawdy.

Nathan poczuł się sfrustrowany i zraniony. Ale nie był zły.

Kochany, dobry Nathan.

Nie będzie się z nim więcej spotykać. Nie ma sensu narażać ich obojga na drogę przez mękę, siląc się na podtrzymywanie związku, który donikąd nie doprowadzi.

Dopóki będzie zakochana w Juddzie Walkerze.

Ilekcroć Pinkie nie mógł zasnąć, brał gorącą kąpiel i siedział w wannie, dopóki woda nie ostygła. Dzisiaj miał tyle wrażeń, że jeszcze długo po wszystkim adrenalina nie dawała mu spokoju. Na szczęście kąpiel pomogła mu się odprężyć i wyciszyć na tyle, że może zdoła się przespać kilka godzin, zanim pojedzie na lotnisko na niedzielny południowy lot do Birmingham. Podniecała go sama myśl o tym, że ma się spotkać z LaShae w restauracji na przedmieściach. Wybrał bardzo proste przebranie: perukę w kolorze ciemnego blondu i błękitne szkła kontaktowe. Ale przecież kiedy będzie z LaShae, nikt nie zwróci na niego uwagi. To na nią będą patrzeć.

Zadbał o to, żeby dokładnie zmylić przeciwnika. John Chapman, mężczyzna, za którego się podał, wynajmując domek w Guntersville, nadal przebywa w Guntersville. Prawdziwego Pinkiego widziały setki ludzi na aukcji charytatywnej dziś wieczorem w Knoxville. Podróż do Birmingham pochłonie trochę czasu, ale warta jest wysiłku. Pinkie nie sądził, żeby FBI albo Griffin Powell kiedykolwiek wpadli na to, kto jest prawdziwym zabójcą, ale na wszelki wypadek... Poza tym tkanie

misternej pajęczyny kłamstw sprawiało mu prawdziwą przyjemność. Dodawało grze pikanterii.

Im bardziej skomplikuje i utrudni sprawę władzom, tym lepiej. Johna Chapmana nie było w Birmingham, Pinkiego też nie. Ale będzie tam zabójca LaShae. Dziś wieczorem.

Podczas lotu z Knoxville do Birmingham gdy inni będą spać, czytać albo rozmawiać, on zamknie oczy i przemyśli nie tylko to, co powie LaShae, ale też to, w jaki sposób jej to powie. Będzie pokorny. Lekko zakłopotany. Wzruszający. Godny współczucia. Odegra biednego młodego mężczyznę, którego życie legło w gruzach, dlatego że zgwałcił go duchowny, któremu ufali on i jego rodzina.

Uśmiechając się, owinał się białym szlafrokiem i rozkoszował się cudownym ciepłem.

Na pierwszym spotkaniu z LaShae położy grunt pod drugie. Dziś wieczorem oceni, czy potrzebne będzie jeszcze jedno czy dwa potajemne spotkania, by zaufała mu na tyle, żeby przyjść do jego motelowego pokoju.

Jego ciałem wstrząsnął dreszcz niecierpliwości, kiedy wchodził do przyległej sypialni. Oczami wyobraźni widział LaShae w swoim pokoju w podrzędnym motelu. Będzie robiła wszystko, żeby mu pomóc, coraz bardziej brnąc w zasadzkę.

Wszystko dla niej przygotuje. Jeżeli nie wypije doprawionej coli, to oszołomi ją zapach eteru z chusteczki. Powinien zapanować nad nią bez najmniejszego hałasu.

Zdjął szlafrok, zwinął go starannie i odłożył na stojące obok krzesło, po czym wskoczył do łóżka. Naciągając kołdrę pod samą brodę, westchnął z zadowolenia.

Jak zabić LaShae?

Wiele ładnych kobiet ma wdzięczny głos, a sposobów na odebranie go jest niemało: można poderznąć gardło, wyciąć struny głosowe, odciąć język, odrąbać głowę. On wybrałby któryś z pierwszych trzech, ale jego kuzyn Pudge bez oporów ścinał głowy. Ostatni raz w zeszłym roku - dawnej Królowej Cotton, która mieszkała w Cullman w Alabamie.

Może i on powinien spróbować? Jeżeli ma zamiar, to teraz nadarza się najlepsza okazja. Po LaShae czeka go jeszcze tylko jedno morderstwo i być może wygra. Chociaż różnica punktów jest tak niewielka, że wynik trudno przewidzieć. Jeżeli coś pójdzie nie tak...

Nic już nigdy nie będzie tak samo, kiedy gra się skończy. Pudge'a nie będzie, a on zostanie sam.

Co ich podkusiło, żeby wymyślić tak bezwzględny koniec gry - dla jednego z nich? To był pomysł Pudge'a. A może jego? Za cholerę nie mógł sobie przypomnieć. Zasady omawiali już w trakcie gry, po kilku pierwszych zabójstwach. A ten jeden ostatni warunek dodali dopiero po roku.

- Żebyśmy się mobilizowali. - Pamiętał, że on to powiedział.

- Żeby gra nie stała się nudna - dodał Pudge.

Pinkiemu zaczęły ciężać powieki. Ziewnął. Sen. Potrzebował snu.

Ale jak ma zasnąć, skoro jego umysł nie chce się wyłączyć, skoro nie może przestać myśleć? Jeżeli już musisz myśleć, myśl o przyjemniejszych rzeczach, nie o tym, że pięcioletnia gra dobiega końca. Przypomnij sobie, jaki ubaw miałeś na balu. Brylowałeś wśród ważnych osobistości Knoxville, a kilku z nich to twoi dawni przyjaciele z miasta i ze stanu. Rozmawiałeś nawet z Griffinem.

Zachichotał. Uwielbiał ironię. Griffin Powell przez cztery lata bezskutecznie poszukiwał zabójcy królowych piękności. Gdyby tylko wiedział, ile razy ich ścieżki się skrzyżowały, ile razy podawali sobie ręce i prowadzili jałowe pogawędki.

Szkoda, że nigdy się nie dowiesz, że to ja jestem facetem, którego szukasz. Byłbyś zaskoczony.

Lindsay zostawiła trailblazera w garażu, otworzyła kluczem tylne drzwi i pośpiesznie wpisała kod bezpieczeństwa. Znalazłszy się w środku, włączyła system alarmowy i ostrożnie weszła do kuchni. Nocna cisza upewniła ją, że wszyscy śpią w najlepsze i nie będzie się musiała tłumaczyć ani Griffowi, ani Juddowi. Gdzie byłaś, młoda damo? Dlaczego wracasz do domu o tej godzinie?

Idąc korytarzem w stronę schodów, odetchnęła z ulgą. Pusto. Jeżeli zdoła niepostrzeżenie wejść na górę do sypialni, nikt się nie dowie, o której wróciła.

Griffem się nie przejmowała, chociaż wiedziała, że się o nią martwi. Jak starszy brat. Sam ją zachęcał, żeby zaczęła się spotykać z Nathaniem, i zaakceptował go. Ale też przestrzegał, żeby była ostrożna ze zobowiązaniami, nawet tymczasowymi. Teraz rozumiała, że troska Griffa nie była bezzasadna.

Jeżeli zdoła dotrzeć do swojego pokoju, nikt nie będzie wiedział, że nie spędziła nocy z Nathanem.

Przyznaj się, nie chcesz, żeby Judd wiedział.

Ale dlaczego?

Dlatego że nic mu do jej prywatnego życia.

Czyżby?

Dobrze. Chce, żeby Judd myślał, że kochała się z Nathanem, że spędziła noc w łóżku innego mężczyzny.

Zaledwie kilka kroków dzieliło ją od schodów, kiedy popełniła błąd i zajrzała do ciemnego salonu. Zapało jej dech w piersiach, bo zobaczyła sylwetkę mężczyzny stojącego przy oknie. Nie był to Griff - cień nie był na tyle wysoki. Ani na tyle niski, żeby był to Sanders.

- Judd?

Uświadomiła sobie, że wypowiedziała jego imię, dopiero kiedy mężczyzna odwrócił się do niej.

- Cześć, Lindsay.

Cholera, Judd, czemu ty nie śpisz o tej porze i co robisz sam w salonie?

Powiedz mu „dobranoc” i idź spać, powiedziała sobie. Ale weszła do salonu. Tylko kilka kroków. Nie podchodź bliżej. Trzymaj się od niego w bezpiecznej odległości. Ale już było za późno. Świadomie wkroczyła w strefę zagrożenia.

Podszedł do niej, stawiając kilka niepewnych kroków.

Uciekaj czym prędzej! Natychmiast!

- Nie zostałam na noc - powiedział głębokim, niskim i przerażająco łagodnym głosem.

- Nie, nie zostałam.

Cisza.

Zrobił kilka kolejnych kroków w jej stronę.

Serce zaczęło jej bić szybciej.

- Nigdy nie zostaję na noc, kiedy jadę do Nathana - skłamała.

- Dlaczego?

Krew tętniła jej w skroniach z takim hukiem, że ledwie usłyszała jego krótkie pytanie.

Chciała się odezwać, ale nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Zresztą co niby miała mu powiedzieć, żeby nie wyglądało na kłamstwo?

Podszedł na tyle blisko, że dzieliło ich zaledwie kilka kroków.

Dzięki Bogu, że go dobrze nie widzę i że on nie widzi mnie. Gdyby mógł spojrzeć jej w oczy, gdyby zobaczył jej minę, od razu domyśliłby się prawdy. Przez tych kilka lat Judd nauczył się czytać z jej twarzy, jakby była otwartą książką. Nic nie była w stanie ukryć. Wiedział wszystko.

- Czy to porządny facet? - spytał. - Jesteś z nim szczęśliwa?

Z trudem przełknęła ślinę.

- Nathan jest wspaniałym facetem. Jest miły, rozsądny i opiekuńczy.

- Zasługujesz na kogoś takiego.

- Tak, wiem.

- Więc jesteś z nim szczęśliwa?

- A dlaczego miałabym nie być?

Judd przysunął się na niebezpieczną odległość. Znalazł się tak blisko niej, że ich oddechy zlewały się w jeden.

- Chyba będziem dobrym mężem... i ojcem. - Mówił spokojnie, ale w jego głosie słychać było chłód.

- Czemu tak cię interesuje Nathan? - spytała.

Chociaż było ciemno, czuła, że patrzy jej w oczy.

Proszę, nie dotykaj mnie. Jeżeli to zrobisz, rozsypię się w drobny mak.

- Interesuje mnie doktor Klyce, bo chcę, żebyś była szczęśliwa, a nie sądzę, żeby on cię uszczęśliwił.

Zacisnęła zęby, żeby się nie rozpłakać albo nie zacząć krzyczeć na Judda. Stała, wpatrując się w niego gniewnie, drżąc ze złości i bólu.

- Lindsay?

Nie była w stanie odpowiedzieć. Rozpłakałaby się. Albo dała się ponieść wściekłości.

I wtedy zrobił rzecz nie do pomyślenia. Dotknął jej. Boże, ratuj. Przesunął palcami po jej policzku, wzdłuż szyi, do ramienia.

Zadrzała.

- Przespałaś się z nim dzisiaj, żeby mnie zranić? - Zacisnęła dłoń na jej szyi, wbijając kciuk w szczękę. - No to ci się udało.

- Kłamiesz- wyrwało jej się. - Co cię może obchodzić, czy spałam z Nathanem albo tuzinem innych facetów? Nie jesteś zazdrosny. Człowiek jest zazdrosny, tylko kiedy mu na kimś zależy.

- A myślisz, że mnie nie zależy? - Pochylił głowę tak, że jego usta znalazły się nad jej wargami.

Nie była w stanie myśleć, nie była w stanie oddychać.

- Proszę, nie rób mi tego.

Przyciągnął ją do siebie.

- Pragnę cię tak bardzo, że czuję ból.

Łzy przesłoniły jej wzrok. Jak on może jej to robić?

- Przysięgam, że nigdy więcej cię nie skrzywdzę.

Pocałował ją. Delikatnie. Czule.

I przepadła.

Jej zdradzieckie ciało wtopiło się w niego, poddając się bez najmniejszej próby walki. Uniosła ręce i zarzuciła mu na szyję, a on objął ją zaborczo i zaczął całować mocniej.

Całował ją zachłannie, pożerał ją, miażdżył jej usta. A ona dawała mu wszystko, o co prosił, i jeszcze więcej. Spragniona jego bliskości tak, jak on jej.

Kiedy obojgu zabrakło tchu, przerwali. Judd oparł swoje czoło o jej.

- Zależy mi na tobie aż za bardzo - powiedział szeptem. Łagodnym. Niemal czułym.

Uniósł głowę.

- Nie jestem dla ciebie odpowiedni, skarbie. Dla nikogo nie jestem odpowiedni.

Lindsay poczuła się, jakby wylał jej kubeł zimnej wody na głowę.

- Judd?

- Najlepsze, co mogę dla ciebie zrobić, to zostawić cię w spokoju. Nie chcę tego, ale tak będzie dla ciebie lepiej. Jeżeli zostanie...

- Czy przypadkiem to nie ja powinnam decydować o tym, co jest dla mnie najlepsze? - Przywarła do niego w rozpaczliwym geście.

Odsunął ją delikatnie.

- Wyjadę rano, wrócę do leśniczówki.

- Nie, Judd... Proszę...

Przeszedł obok niej, przystanął i obejrzał się za siebie.

- Chciej tylko tego, co prawdziwe.

Zniknął w ciemnym korytarzu, zostawiając ją samą w salonie. Łzy spływały jej po policzkach.

- Ty jesteś prawdziwy, Judd - wyszeptwała. - Ty i nikt inny.

Rozdział 21

w niedzielę rano Griff poprosił przez Sandersa Lindsay, żeby przyszła do jego gabinetu. Pewnie chodzi o sprawy służbowe, pomyślała. Przynajmniej będzie mogła się czymś zająć i nie myśleć o tym, że Judd

dziś wyjeżdża. Chce być sam. Uciec od ludzkich uczuć. Zatrzymać w sobie to, co dla niego najdroższe na świecie - pamięć Jennifer.

Sanders, niosąc na srebrnej tacy mały dzbanek z kawą i filiżankę, zapukał do jej pokoju piętnaście po jedenastej. Nie wyglądał na zaskoczonego tym, że otworzyła mu w pełni rozbudzona i ubrana. Postawił tacę na biurku.

- Dzień dobry - powiedziała.
 - Dzień dobry - odpowiedziała.
 - Griffin chce się z tobą spotkać u siebie w biurze w południe.
 - Dobrze, przyjdę.
- Skinał tylko głową.
- Widziałeś dziś Judda?
- Posłał jej obojętne spojrzenie.
- Nie. Nie widziałem - odparł i wyszedł.

Lindsay spojrzała na zegarek. Punkt dwunasta. Otworzyła drzwi i weszła do gabinetu. Griff siedział przy stole konferencyjnym wśród porzucanych papierów, z wiecznym piórem w ręce. Kiedy usłyszał, że weszła, podniósł głowę i skinął na nią.

- Chodź. Chcę z tobą omówić kilka faktów.
- Usiadła na krześle stojącym najbliżej Griffa.
- Coś nowego? - spytała, obracając jedną z kartek tak, żeby widzieć, co jest na niej napisane. - To wydruk wszystkich ofiar zabójcy królowych piękności.
 - Tak. A odpowiadając na twoje pytanie: nie, nie pracujemy nad żadną nową informacją. Chciałem tylko wrócić do kilku podstawowych faktów i przeanalizować je pod kątem tego, czego w ostatnich tygodniach dowiedzieliśmy się o zabójcy. - Podał jej kolejną kartkę. - Rzuć okiem na to.
- Szybko przebiegła wzrokiem kartkę.
- Mam szukać czegoś konkretnego?
 - Przyjrzyj się datom kolejnych morderstw.
- Przesunęła wzrokiem po datach, zaczynając od tej sprzed niemal pięciu lat.
- Pierwszy kwietnia - powiedziała. - Przez ostatnie cztery lata zawsze pierwszego kwietnia miało miejsce morderstwo. A do pierwszego kwietnia został niecały miesiąc. - Wzdrygnęła się. - Ale to nic nowego. Już w zeszłym roku zwróciliśmy uwagę, że jedyną powtarzającą się datą jest pierwszy kwietnia.

- Możemy być niemal pewni, że zabije i w tym roku.
- Jestem tego świadoma, ale co nam daje ta informacja? Nie wiemy, gdzie zaatakuje ani kto będzie ofiarą. Więc na nic nam ta wiedza.

Griff podał jej kolejną kartkę.

- Przyjrzyj się opisom ofiar w kolejnych latach.

Lindsay spojrzała na kartkę.

- Blondynki, brunetki i rude, najmniej rudych.
- Popatrz dokładniej.

Spojrzała i westchnęła.

- Odkąd zaczął, prawie pięć lat temu, zabijał różne liczby brunetek i blondynek w roku, ale tylko dwie rude. - Spojrzała na Griffa. - Czemu tylko dwie rude, skoro wiemy, że są warte dwadzieścia punktów?

- Może to jedna z zasad gry?

- Ogranicza się do dwóch rudych rocznie, ale blondynki i brunetki zabija do woli.

- I ogranicza się do kobiet z Południa - powiedział Griff. - Od Teksasu po Florydę, od Karoliny Północnej po Arkansas.

- Derek zakłada, że zabójca mieszka na Południu. Często się przeprowadza albo dużo podróżuje.

- Profil sporządzony przez Dereka sugeruje, że zabójca jest bogaty i wykształcony, prawdopodobnie ma dobrze płatną pracę, która wiąże się z podróżowaniem, albo...

- Albo zdobył w jakiś sposób majątek: dzięki pracy, małżeństwu lub spadkowi.

Griff odchylił się na obrotowym krześle i założył ręce za głowę.

- Yvette twierdzi, że Barbara Jean łąda moment przypomni sobie szczegóły dotyczące mężczyzny, którego widziała w bloku siostry.

- Chyba tylko doktor Meng może jej w tym pomóc.

- Chcę, żebyś po południu porozmawiała z Yvette.

- Na jakiś konkretny temat?

- Judd wyjechał dziś rano. Koło ósmej.

Lindsay zakłuło serce.

- Ja... wiedziałam, że wraca do domu. Tylko nie sądziłam, że wyjedzie bez pożegnania.

- Porozmawiaj z Yvette.

- Nie muszę rozmawiać z Yvette. Nic mi nie jest.

Griff zmrużył oczy.

- Tak czy siak, porozmawiaj z nią.

Lindsay sapnęła.

- Spotkanie w sprawie zabójcy było tylko pretekstem, prawda? Chciałabym sprawdzić, jak się trzymam, i pomóc mi pogodzić się z tym, że Judd uciekł do swojej samotni. - Odsunęła krzesło i wstała. - Potrzebuję kilku dni urlopu, żeby przemyśleć, co mam zrobić ze swoim życiem. Zmarnowałam prawie cztery lata, usiłując ci pomóc znaleźć zjawę i próbując pomóc Juddowi przestać kochać ducha. Nie udało mi się ani jedno, ani drugie.

Griff podszedł do Lindsay i objął ją.

- Weź kilka dni wolnego, nawet cały tydzień. - Przytulił ją. - Ale zanim wyjedziesz, porozmawiaj z Yvette.

- Cholera, Griff, powiedziałam ci, że nie potrzebuję...

- Zrób to dla mnie - poprosił. - Jeżeli przed wyjazdem porozmawiasz z Yvette, nie będę się aż tak bardzo o ciebie martwić.

Westchnęła ciężko.

- Dobrze. Porozmawiam z doktor Meng.

Poprosiła Rodneya, żeby rano poszedł z nią i Martinem do kościoła, a po nabożeństwie pojechał z nimi do domu na późny lunch. Przed separacją niedziela była jedynym dniem tygodnia, który spędzali we troje w domu. Ale odkąd w ich małżeństwie zaczęło się psuć, Rodney często wymykał się po lunchu do swojego gabinetu i wychodził stamtąd dopiero późnym wieczorem.

Na początku byli szczęśliwi. Snuli wspólne plany, mieli dziecko. A później Rodneya ogarnęła obsesja na punkcie pracy. Zawzięta się, żeby odnieść sukces. LaShae czuła się samotna i zaniedbywana. I w końcu pojawił się inny mężczyzna.

Chociaż Ben nie był jakimś tam mężczyzną. Był mężczyzną, którego kochała. I którego nigdy nie będzie mieć dla siebie, poza skradzionymi chwilami w motelowych pokojach.

- Obiad był pyszny - pochwalił Rodney ciotkę Carol. - Uwielbiam kotlety wieprzowe, a nikt nie umie ich przyrządzić tak jak ty.

- Ach, przesadzasz. - Carol pękała z dumy. - Zresztą nie sama robiłam ten obiad. Wyobraź sobie, że sernik upiekła LaShae. Według przepisu swojej mamy.

Rodney posłał żonie ciepły uśmiech.

- Sernik był bardzo dobry. Gdybym nie był tak pełen - poklepał się po płaskim brzuchu - poprosiłbym o drugi kawałek.

- Ja chcę drugi kawałek - oznajmił Martin. - Uwielbiam sernik. Wszyscy się roześmiali.
- Wiemy, że lubisz sernik - powiedział Rodney. - Lubisz wszystko, co słodkie.
- Jak jego mama - rzekła ciotka. - Kiedy była mała, zamiast każdego posiłku jadłaby deser, a wszystko inne mogłoby nie istnieć. Martin przechylił głowę i spojrzał na matkę.
- Mamo, a kiedy byłaś małą dziewczynką?
- Dawno temu - odpowiedziała.
- Zanim się urodziłem?
- Znowu wszyscy wybuchnęli śmiechem.
- Rodney wstał i podszedł do syna.
- Chyba czas na twoją drzemkę, co?
- A muszę dzisiaj spać? - Martin się skrzywił.
- Oczywiście, że tak, młodzieńcze- odpowiedziała ciotka Carol, wstając i biorąc go za rękę. - Chodź ze mną. - Spojrzała na Rodneya i się uśmiechnęła. - Może pomogłbyś LaShae posprzątać ze stołu? Zanieście wszystko do kuchni, a ja później nastawię zmywarkę.
- Kiedy wyprowadziła Martina z pokoju, LaShae zaczęła zbierać brudne talerze.
- Na wypadek gdybyś się nie domyślił, ciotka Carol ulotniła się, żebyśmy mogli zostać sami.
- Rodney zaczął sprzątać sztućce od drugiej strony stołu.
- Dziękuję, że zaprosiłaś mnie na obiad. Tęsknię za Martinem. - Spojrzała na nią. - Za tobą też, LaShae.
- Ja tęsknię za tym, jak było kiedyś - powiedziała. - Gdybyśmy mogli cofnąć czas... Ale nie możemy.
- Możemy spróbować.
- Zaniosła stertę talerzy do kuchni. Rodney poszedł za nią z rękami pełnymi sztućców. Kiedy wstawiła naczynia do zlewu i odwróciła się, żeby wrócić do jadalni, zaszedł jej drogę.
- Nie chcę rezygnować z naszego małżeństwa - oświadczył. - Ciągle cię kocham.
- Wzięła głęboki oddech.
- Nie mam zamiaru rezygnować z naszego małżeństwa, ale potrzebujemy trochę od siebie odpocząć.
- Ty potrzebujesz.
- Tak.

- Z powodu Bena Thompsona?
- Zatkało ją.
- Myślałaś, że nie wiem?
- Ben wyjeżdża z Birmingham. Przeprowadza się z rodziną do Mobile. Jutro składa wypowiedzenie w pracy.
- Ty go odprawiłaś czy to on zostawia ciebie?
- Ja... niezręcznie się czuję, rozmawiając z tobą o... Och, Rodney. Przepraszam. Nie chciałam, żebyś się dowiedział.
- Kochasz go?

Boże!

- Zostawmy to.

Chwycił ją za ramiona, ściskając boleśnie.

- Odpowiedz mi, kobieto. Kochasz go?

Utknęła wzrok w podłogę i pokręciła głową.

- Nie ma znaczenia, co czuję do Bena. Za dwa tygodnie zniknie z mojego życia. Na zawsze.

Rodney szarpnął ją a potem odepchnął, wypuszczając gwałtownie. Odwrócił się i odszedł. Przełknęła łzy ściskające ją za gardło.

- Przykro mi, Rodney. Tak bardzo mi przykro - szepnęła.

Kilka minut później usłyszała odgłos mercedesa męża, który wycofywał samochód z podjazdu.

Otarła łzy, wyprostowała plecy i spojrzała na zegarek. Miała jeszcze dwie godziny do spotkania z Sammym w barze Blue Water. Żałowała, że nie może się dziś zobaczyć z Benem, porozmawiać z nim, przytulić do niego, kochać się z nim.

Nie, ten odcinek się skończył. I wiesz równie dobrze jak on, że tak jest najlepiej.

Może kiedy Ben wyjedzie, będzie w stanie myśleć trzeźwiej i spróbuje z Rodneyem uratować ich małżeństwo.

Jeżeli Rodney zdoła jej wybaczyć.

Późnym popołudniem doktor Meng poprosiła Lindsay, żeby przyszła do niej na przeszkoloną werandę. Lindsay zgodziła się, bo obiecała to Griffowi.

Za jakąś godzinę zacznie się ściemniać, a chciała dotrzeć do Chattanooga przed nocą. Wybierała się do kuzynki Callie, jedynej osoby z rodziny, z którą utrzymywała regularny kontakt. W dzieciństwie były najlepszymi przyjaciółkami, a dziesięć lat temu Lindsay była druhną na

ślubie Callie. Bez względu na to, ile czasu mijało między kolejnymi rozmowami telefonicznymi czy odwiedzinami, kiedy były razem, czuły się, jakby czas stał w miejscu. Oczywiście regularnie pisały do siebie maile, informując się na bieżąco o tym, co dzieje się w ich życiu.

Ale o jednej rzeczy Lindsay nigdy nie powiedziała kuzynce. I właśnie tym sekretem zamierzała teraz się z nią podzielić. Przypuszczała, że rozmowa z Callie da jej więcej niż spotkanie z doktor Meng, ale nie chciała łamać słowa danego Griffmowi.

- Nie masz ochoty ze mną rozmawiać - powiedziała Yvette, wskazując Lindsay miejsce naprzeciwko siebie. - Czemu?

- Bo nie potrzebuję psychoanalizy. Potrzebuję po prostu kilku dni urlopu. Jadę do Chattanooga odwiedzić kuzynkę.

- W Chattanooga mieszka Judd.

Lindsay się zjeżyła.

- Nie szukam Judda Walkera. Otrzeptałam po nim ręce raz na zawsze.

- A to ciekawe.

- Nie wierzysz mi, prawda?

- Nieważne, w co wierzę. Ważne jest, w co ty wierzysz, ale tak naprawdę.

- Nienawidzę go. Żałuję, że go poznałam. - Lindsay usiadła w wielkim fotelu naprzeciwko Yvette. Westchnęła ciężko i pokręciła głową. - Za bardzo się gorączkuje, prawda?

- Nie trzeba się wstydzić tego, że się kogoś kocha.

- Nie, ale trzeba się przygotować na cierpienie, jeżeli kocha się kogoś, kto tej miłości nie odwzajemnia.

- A myślisz, że Judd cię nie kocha?

Lindsay zaśmiała się sarkastycznie.

- Cholera, jasne, że nie. Chce się ze mną pieprzyć, ale jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochał, jest Jenny. Jego cholernie idealna Jenny.

- A jeżeli ci powiem, że Judd kocha ciebie... i to może bardziej niż kiedykolwiek kochał żonę?

Słowa doktor Meng poniosły się echem w głowie Lindsay. Popatrzyła na nią tak przerażona tym, co właśnie usłyszała, że nie była w stanie wydobyć z siebie słowa.

- On nie wie, jak bardzo cię kocha. - Yvette spojrzała Lindsay w oczy. - Jest zdezorientowany i zbolały. Naprawdę wierzy, że będzie ci lepiej bez niego.

- Czy powiedział ci, że...

- Nie, niezupełnie.
- To skąd wiesz? Dlaczego uważasz, że on mnie kocha?

Doktor Meng przesunęła się na brzeg kanapy i wyciągnęła rękę. Lindsay zrozumiała, o co chodzi Yvette, i położyła dłonie w delikatnym uścisku terapeutki, ufając jej bezgranicznie.

- Wczorajszej nocy nie uprawiałaś seksu z doktorem Klyce'em, ale chciałaś, żeby Judd myślał inaczej.

Lindsay zadrżała.

- Masz zamiar opowiedzieć swojej kuzynce Callie, co zaszło między tobą i Juddem pół roku temu.

Lindsay westchnęła.

- Jesteś przekonana, że ona pomoże ci lepiej niż ja. - Yvette się uśmiechnęła. - I masz rację.

- Skąd to wszystko wiesz? Czytasz w moich myślach?

- Tak. - Uśmiech Yvette stał się niepewny, słodko-gorzki.

Rozdział 22

Spotkanie z Sammym w barze Blue Water było udane. Intuicja podpowiadała LaShae, że wystarczy trochę delikatnej perswazji, a zdoła go namówić nie tylko do wystąpienia w programie, ale i tego, żeby złożył doniesienie na duchownego, który zgwałcił go w dzieciństwie. Sammy nie powiedział jej, ile ma lat, lecz przypuszczała, że nie więcej niż trzydzieści jeden, góra dwa. Biedak był potwornie nieśmiały i zamknięty w sobie i tylko raz spojrział jej w oczy. Nigdy nie widziała tak błękitnych oczu. Pięknych błękitnych oczu. Nie był przystojny, ale gdyby ściał zmierzwione blond włosy, zaczął się lepiej ubierać i nabrał trochę pewności siebie, byłby całkiem atrakcyjny.

Poprosiła go o drugie spotkanie. Zgodził się, jednak niechętnie. To dlatego zaproponowała, że przyjedzie wieczorem do jego motelu. Zwykle nie umawiała się z nikim nieznanym - mężczyzną czy kobietą - w okolicznościach, które mogłyby się okazać niebezpieczne dla któregoś ze stron. Ale czuła, że Sammy'emu należy okazać zaufanie - inaczej sam nie będzie w stanie jej zaufać.

Wjechała lexusem na parking przy motelu Potrójna Ósemka w Bessemer - nie najmiłym miejscu w nie najbezpieczniejszej okolicy. Ale

w skrytce w samochodzie wozila pistolet, a przy kluczach miała sprej paralizujący. I dwadzieścia cztery godziny na dobę komórkę przypiętą do paska torebki.

Telefon odezwał się, kiedy chwyciła klamkę drzwiczek. Jęknęła, puściła klamkę, chwyciła komórkę i sprawdziła, kto dzwoni. Rodney. Dziwne. Obiad zakończył się źle - mąż wypadł wściekły z domu. Myślała nawet, żeby do niego zadzwonić, ale stwierdziła, że lepiej dać mu czas, by ochłonał.

Może nie odbierać. Oddzwoni do niego wieczorem albo rano. Chyba nie ma jej do powiedzenia niczego, co nie mogłoby poczekać.

Nie, nie ma sensu tego odkładać.

Odebrała połączenie.

- Halo?

- LaShae, przepraszam - powiedział.

Zrobiło jej się głupio. To ona powinna go przeproszać, nie on ją.

- Masz prawo być zły. Przecież miałam romans.

Cisza.

- To ja powinnam cię przeprosić - przyznała.

- Nie tylko ty jesteś winna. Gdybym był lepszym mężem... Gdybym tak bardzo cię nie zaniedbywał...

Nie mogła znieść, że Rodney prosi o wybaczenie, chociaż to nie on złamał przysięgę małżeńską.

- Może za tydzień znów wpadniesz w niedzielę na obiad i spróbujemy jeszcze raz?

- Chętnie. Dziękuję, że dajesz mi szansę.

- Niczego nie obiecuję. To tylko niedzielny obiad. Nie możemy kierować się tylko tym, co jest dobre dla Martina, ale też tym, co jest najlepsze dla nas samych.

- LaShae...

- Tak?

- Kocham cię. Bez względu na wszystko.

Przełknęła z trudem ślinę.

- Ja też cię kocham.

Wyłączyła telefon i wsunęła do futerału przypiętego do rączki torebki. Kochała Rodneya i chyba zawsze będzie go kochać. Problem w tym, że zakochana jest w Benie Thompsonie.

Otworzyła drzwiczki, wysiadła i znalazła pokój numer 10. Pod drzwiami przystanęła, otworzyła torebkę i włączyła niewielki dyktafon,

który wykorzystywała do nagrywania wywiadów. Zamknęła torebkę i zapukała.

Cisza.

Odczekała kilka minut i zapukała ponownie.

Nic.

Zapukała głośniej.

- Sammy? Tu LaShae Goodloe. - Nie chcąc przeszkadzać innym gościom ani zwracać na siebie uwagi, nie podnosiła głosu.

Drzwi uchyliły się, a przez szparę wyjrzał Sammy, wlepiając w nią błękitne oczy.

- Ja... nie wiedziałem, czy pani przyjdzie.

- Przyszłam i bardzo chcę jeszcze raz z panem porozmawiać. - Czekala na jego reakcję, ale milczał. - Chcę panu pomóc.

Odpiął łańcuch w drzwiach i otworzył je szerzej, ale nie zaprosił jej do środka.

- Nie sądzę, żeby mogła mi pani pomóc. Chyba nikt nie może.

- Proszę dać mi szansę.

Wolno otworzył drzwi i ze wzrokiem utkwionym w podłogę cofnął się, żeby zrobić jej miejsce.

Chciała wziąć go w ramiona, przytulić i powiedzieć, że naprawdę chce mu pomóc. Ale powstrzymała się, wiedząc, że zbytnia poufałość może go spłoszyć.

Weszła do obskurnego, ponurego pokoju. Ten motel już dawno powinien zostać zamknięty, pomyślała. Pewnie zatrzymywały się tu głównie miejscowe dziwki, narkomani i faceci, którym się nie powiodło i którzy płacili za tydzień z góry. Wzdrygając się na myśl o karaluchach, zarzewiałej umywalce i grzybie pod śmierdzącym dywanem, żałowała, że nie może odwrócić się i wyjść.

- Tu tylko z pozoru jest tak niemiło - rzucił Sammy, jakby czytał w jej myślach. - Nie ma pluskiew ani nic. I pościel jest czysta. - Nerwowo zacierał dłonie.

Chciała ich dotknąć, ale gwałtownie cofnął ręce. Gdy spojrzała na niego, nerwowo odwrócił wzrok.

Biedny facet.

- Już dobrze - powiedziała miękko.

Skinął głową.

Rozejrzała się po pokoju. Na małym stoliku stały napoczęta trzylitrowa butelka coli i dwie szklanki: jedna pusta, a druga do połowy pełna.

- Mogę usiąść? - spytała, wskazując jedno z krzeseł stojących po obu stronach stołu.

- Tak, proszę.

Usiadła, a on zajął drugie krzesło.

- Napije się pani coli? - zapytał, patrząc w podłogę.

- Tak, chętnie. - Powiesiła torebkę na oparciu krzesła.

- Mam lód. - Wstał, żeby wziąć wiaderko z lodem z taniej zdezelowanej drewnianej toaletki.

Gdy wrzucił lód do szklanek, otworzyła torebkę, żeby rozmowa wyraźniej nagrała się na dyktafon.

- Mam nadzieję, że lubi pani colę. - Sammy odkręcił nakrętkę i nalał jej napoju do szklanki. -A może woli pani pepsi, albo sprite'a?

- Może być cola.

Unióś swoją szklankę, wypił i trzymając szklankę w obu dłoniach, opuścił na kolana. Milczał, uparczywie wpatrując się w podłogę.

- Bardzo bym chciała, żeby pan wystąpił w moim programie i opowiedział o tym, co pana spotkało - zaczęła LaShae. - Nawet jeżeli nie chce pan ujawnić tożsamości gwałciciela...

- Wielebny Boyd Morrow - wypalił Sammy.

LaShae wzięła głęboki oddech.

- Wiem, ile pana kosztowało, żeby powiedzieć mi to nazwisko.

Sammy unióś szklankę i wziął kolejny łyk coli.

LaShae też wypita kilka łyków, a potem odstawiła szklankę na stół.

- Jeżeli zdecyduje się pan złożyć doniesienie na wielebnego Morrowa, ja i WBNN wesprzemy pana i pomożemy, na ile tylko będziemy w stanie.

Sammy skinął głową.

- Może złożę doniesienie. Jeżeli pani... - Spojrzał na nią niewiarogodnie błękitnymi oczami. - Jeżeli pani obieca, że mnie nie zostawi własnemu losowi.

LaShae uśmiechnęła się i delikatnie poklepała go po ramieniu.

- Obiecuję - powiedziała.

Znów skinął głową.

Oparła się na krzesło i sięgnęła po szklankę.

- Jeżeli jest pan gotowy opowiedzieć mi więcej o tym, jak wielebny Morrow pana wykorzystał, chętnie pana wysłucham.

- Ale nie znienawidzi mnie pani ani nie potępi, ani nie pomyśli, że jestem straszny?

Wzięła spory łyk coli, odstawiła szklanekę i uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Przecież to pan jest ofiarą. Był pan wtedy niewinnym chłopcem. Jestem pełna podziwu, że zdecydował się pan opowiedzieć mi o tym, co się stało.

Nagle wszystko przed oczami LaShae stało się nieostre. Ale tylko na chwilę. Pokręciła głową i od razu zaczęła widzieć wyraźniej.

- Nic pani nie jest? - spytał.

- Nie wiem. Dziwnie się czuję. Trochę mi się kręci w głowie.

- Może jest pani głodna? Jadła pani obiad?

- Sammy, ja... - Próbowała wstać, ale jej się nie udało. Opadła z powrotem na krzesło. - Nie wiem, co mi jest...

Spojrzała na niego i wtedy dotarło do niej, że Sammy pochyla się nad nią z dziwnym uśmiechem na twarzy. Wiedziała, że straci przytomność. Za moment.

Judd zdjął ubłocone buty i zostawił na tylnym ganku. Chodził po lesie przez kilka godzin, próbując otrząsnąć się z nękającej go frustracji. Wyjechał z Przystani Griffina, bo chciał uciec od Lindsay i uczuć, jakie w nim wzbudzała. Nie chciał nic do niej czuć. Uczucia są zbyt bolesne. A utrata kogoś, kogo się kocha, jest gorsza niż śmierć.

W kuchni zdjął skórzaną kurtkę, powiesił ją na oparciu najbliższego krzesła i podszedł do kredensu, w którym trzymał whisky. Wczoraj upił się do nieprzytomności i dzięki temu zaznał kilku godzin zapomnienia. Kiedyś upijał się, żeby zapomnieć o Jennifer, o tym, jak bardzo ją kocha, i o tym, w jaki sposób zginęła. Ale wczoraj chciał zapomnieć o Lindsay.

Otworzył kredens i wyjął opróżnioną w trzech czwartych butelkę Jacka danielsa. Przypatrywał się jej, świadomy, czym jest naprawdę - najlepszym przyjacielem i najgorszym wrogiem. Przyjacielem, bo pomaga złagodzić ból. Choćby tylko na chwilę. Wrogiem, bo składa obietnice bez pokrycia.

Chciał się napić.

Musiał się napić.

Pół roku temu nie zastanawiałyby się ani chwili. Ba, jeszcze kilka tygodni temu upiłyby się i nie trzeźwiałyby przez tydzień.

Ale to było, zanim zrozumiał, że nienawidzi siebie za to, że skrzywdził Lindsay. Zanim przyznał, że choć nie zależy mu na sobie samym, szczerze zależy mu na Lindsay McAllister.

Wcale tego nie chciał, ale - Bóg mu świadkiem - nie był w stanie nic na to poradzić.

Postawił butelkę na blacie.

Drżącymi dłońmi włączył ekspres do kawy.

Pół roku temu udało mu się wytrzymać. Tym razem też mu się uda.

Na dobre.

Stał, przyglądając się, jak czarny płyn kapie do dzbanka. Patrzyć, ale nie widział, bo myślami znalazł się daleko. Nie walczył z tym, że miejsc wspomnień jego żony zajmowały wspomnienia Lindsay.

Lindsay pachniała świeżością i czystością, jak mydło Ivory i puder dla dzieci. Jej zapach wypełnił jego nozdrza, kusząc go bardziej niż najdroższe perfumy. Chanel No. 5 i każde inne mocne perfumy kojarzyły mu się z Jennifer.

A Lindsay w ogóle nie przypominała mu żony. Były różne jak noc i dzień. Porównywanie ich było jak porównywanie jabłka i pomarańczy.

Kochał Jennifer. Boże, kochał tę kobietę do szaleństwa. Była seksowna, kokietyjna, żywiołowa i taka piękna. Kiedy miał ją u boku, zazdrościli mu wszyscy mężczyźni i każdy chciał być na jego miejscu. Dopóki Jenny nie pojawiła się w jego życiu, nigdy tak naprawdę nie był zakochany i nie wiedział, jak to jest, kiedy człowiek skupia się tylko na jednej osobie.

W ich krótkim małżeństwie pojawiły się wprawdzie problemy, ale poradziliby sobie z nimi. Ani przez chwilę nie wątpił, że spędzą razem resztę życia, będą mieć dzieci i zestarzeją się razem.

Ogarnął go ból tak dotkliwy, że zgiął się wpół. Łzy przestąpiły mu oczy. Od lat nie czuł niczego tak intensywnie.

Jenny... Jenny...

Wyprostował się, kiedy ból ustąpił, i przeniósł wzrok z ekspresu do kawy na butelkę whisky.

Niech cię diabli, Lindsay McAllister. Niech cię diabli za to, że znów czuję.

Chwylił butelkę, otworzył, przechylił nad zlewem i wylał całą zawartość. Pustą butelkę wyrzucił do kosza na śmieci stojącego po drugiej stronie kuchni.

Zajrzał do lodówki. Pusta, nie licząc kilku bezkształtnych produktów, które kiedyś mogły nadawać się do jedzenia. Przeszukał spiżarnię i znalazł dwie puszki zupy i pół paczki krakersów. Pewnie starych.

Zupa, krakersy i kawa na kolację. Jutro rano wybierze się do najbliższego sklepu i zrobi zakupy. I zadzwoni do doktor Meng. Wołać mieć

plan awaryjny na wypadek, gdyby nie starczyło mu sił na to, by wygrać z alkoholem. Może potrzebować jej pomocy.

LaShae zadrżały powieki. Czuła się bezwładna, miała ciężkie kończyny i zamroczony umysł, ale zdołała otworzyć oczy. Pokój był skąpo oświetlony i dziwnie cichy - słychać było tylko muzykę. Instrumentalną. Bez słów. Nieznajome dźwięki. Klasyka. Może Mozart.

Gdzie ona jest? Nie w domu.

Myśl, LaShae. Przypomnij sobie.

Wyjechałam ze studia ijechałam do Bessemer spotkać się z Sammym.

Sammy!

Gdzie jest Sammy?

Rozejrzała się po pustym pokoju. Motelowy pokój Sammy'ego. Jest tu sama? A gdzie on się podział?

Chciała usiąść, ale nie zdołała się podnieść.

Dlaczego nie może się podnieść?

Ręce miała rozłożone na boki, a nadgarstki skrupowane sznurkiem, który ginął pod łóżkiem. Czyżby była przywiązana do ramy łóżka? Szarpała się, ale nie była w stanie się wyswobodzić. Sznur mocno trzymał.

Uniosła kolejno stopy. Nogi miała swobodne. Podniosła lewą, potem prawą, a w końcu zaczęła wierzcąc najmocniej, jak mogła, rzucając się bez sensu.

Kto jej to zrobił? I dlaczego?

Gdzie jest Sammy? Co się z nim stało?

Czy ktoś go zabił?

Jeszcze raz rozejrzała się po pokoju. Pusty, jest sama.

Krzycz! Otworzyła usta, żeby wezwać pomocy, ale dotarło do niej, że nie może. Gruba szmata przewiązana przez otwarte usta skutecznie ją kneblowała.

Czy ktoś ją zgwałcił i porzucił? Spojrzała na swoje ciało. Była ubrana, czuła stanik, majtki i nawet buty na nogach. Nikt jej nie rozbierał.

Usłyszała hałas. Co? Gdzie?

Otworzyły się drzwi łazienki. Skupiła wzrok na ciemnej postaci, która się do niej zbliżała. Powoli. Bardzo powoli.

Ktokolwiek to był, nie spieszyło mu się.

Co on trzyma w ręce?

Kiedy podszedł bliżej, serce zaczęło jej łomotać jak szalone, a w żyłach wezbrała adrenalina. Zatrzymał się kilka kroków od LaShae

i spojrział na nią. Wpatrywała się w niego, chociaż obraz miała lekko zamazany, a umysł otepiały.

Nie miała pojęcia, co się stało ani co się stanie. Zastanawiała się, co zamierza ten mężczyzna. Jeżeli tylko ją zgwałcić, może przeżyje. A jeśli nie, jeżeli chce ją zabić...

Nie, Boże, proszę! Nie! Nie chcę umierać.

Przysięgam, że będę dobra do końca życia. Odbuduję małżeństwo z Rodneyem. Będę wierną żoną, kochającą matką...

Jej wzrok zatrzymał się na przedmiocie, który mężczyzna trzymał w ręce. Zamarła, gdy rozpoznała, co to jest.

Lśniący nowa siekiera.

Boże wszechmogący!

Proszę, nie zabijaj mnie, próbowała powiedzieć, ale knebel zniekształcał słowa.

Mężczyzna podszedł bliżej i stanął obok łóżka. Spojrzała na niego z błaganiem w oczach. Jego oczy były brązowe, podobnie jak włosy, a twarz pełna i rumiana. Wyglądał znajomo, jednak nie mogła go z nikim skojarzyć. Chyba już go gdzieś widziała?

- Witaj, mój piękny kwiatuśku - odezwał się.

LaShae westchnęła. Mężczyzną z siekierą w ręce był Sammy. Ale co się stało z jego błękitnymi oczami i blond włosami?

Peruka? Szklane kontaktowe?

Mamrotała nieskładnie przez knebel, starając się go spytać, dlaczego chce ją zabić.

Czy naprawdę był ofiarą gwałtu w dzieciństwie, czy kłamał, żeby zwabić ją w pułapkę? Boże, czuła się jak idiotka. Dlaczego była tak naiwna? Dlaczego była tak ufna?

- Nie panikuj, moja piękna LaShae. - Wyciągnął wolną rękę i pogładził ją po policzku. - Nigdy się nie zestarzejesz i nie zbrzydniesz. Zerwę cię, kwiatuśku, zanim zwiędnie, kiedy jesteś jeszcze świeża.

Głaskał ją po twarzy, szyi, ramionach.

- Ćwiczyłem, więc powinienem odrąbać ci głowę jednym ciosem. - Ujął jej brodę między palce a kciuk i ścisnął. - Nie chcę, żebyś cierpiała.

LaShae zawyła, jednak knebel w jej ustach stłumił odgłos.

Nie. Błagam, błagam, nie!

Griffin poczuł obecność Yvette, zanim podniósł głowę i zobaczył ją w drzwiach swojego gabinetu. Przez lata poznał wiele atrakcyjnych ko-

biet, ale żadna nie miała serca i duszy równie pięknych jak twarz i ciało. Podziwiał Yvette, szanował ją i kochał.

Zawdzięczał jej życie.

- Dobry wieczór - powiedziała aksamitnym głosem, który po raz pierwszy usłyszał osiemnaście lat temu. Wtedy był to głos anioła w czeluściach piekła.

- Wejź. - Zaprosił ją do środka skinieniem dłoni.

Do pokoju wniknęła niczym smuga dymu - szła z takim wdziękiem, że wydawało się, że płynie.

- Spędziłam godzinę z Barbarą Jean.

Griff skinął głową.

- Mogę ci powiedzieć, co pamięta. Ze szczegółami.

- Jest sens wzywać rysownika do portretu pamięciowego?

- Może.

- Mów.

Yvette przez kilka sekund zbierała myśli.

- Był średniego wzrostu i prawdopodobnie średniej budowy. Miał na sobie beżowy prochowiec, kapelusz i okulary przeciwsłoneczne.

- To już wiemy. - Zerknął na nią. - Ale to nie wszystko, prawda?

- Włosy miał brązowe. Policzki różowe. Zarumienione albo upudrowane. Był świeżo ogolony. Tego jest pewna. Nosił tanie ciuchy, ale rękawiczki miał z eleganckiej skóry, a na szyi jedwabny szal.

- Więc miał na sobie własne drogie ubranie i tańsze przebranie.

- Miał okrągłą, pełną twarz i długi nos. Nie był przystojny, ale i nie brzydki.

- Coś jeszcze? - Griffin wiedział, że portret sporządzony na podstawie takiego opisu nikomu nie pomoże rozpoznać przestępcy. Ale i tak było to o wiele więcej, niż wiedzieli do tej pory. I zawsze istniała szansa, że przydatny może się okazać nawet rysunek faceta w okularach przeciwsłonecznych i w kapeluszu. - Czy Barbara Jean miała pojęcie, że...

- Nie. W rozmowie powtórzyła mi tylko to, co powiedziała ci już wcześniej - wyjaśniła Yvette. - Reszty dowiedziałam się, wchodząc w jej myśli.

Griffin ujął jej drobne, szczupłe dłonie, uniósł do ust i pocałował najpierw jedną, a później drugą.

- Nie czuj się winna, że wykorzystujesz swój szczególny dar. Zrobiłaś to w dobrej sprawie.

- Oczywiście, cel zawsze uświęca środki. - W jej głosie słychać było ton nagany dla siebie samej.

- Nie zawsze - powiedział. - Ale czasami tak.

Zacisnęła palce na jego dłoni.

- Damar bardzo się troszczy o Barbarę Jean.

Griff przytaknął.

- Przypomina mu jego żonę - dodała Yvette.

- Cholera! Powinienem być się domyślić, że o to chodzi. Przez tyle lat nie zainteresował się żadną kobietą, a teraz nagle... - Spojrzał na nią badawczo. - Nie powiedział ci tego, prawda?

- Nie.

- Jasne, nie chciałby, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

- Nie przyznał się do tego nawet przed samym sobą - potwierdziła.

- No to skąd... - Griff jęknął. - Zajrzałeś do jego podświadomości?

- Przypadkiem. Ale czasami tak się zdarza. Zwłaszcza jeżeli chodzi o ciebie i Damara. Mówiłam ci, że między naszą trójką istnieje bardzo silna więź.

- Trzy udręczone dusze, które wyrwały się ze szponów diabła. To zbliża ludzi, nie sądzisz?

Yvette wahała się ułamek sekundy. Z jej lśniących czarnych oczu wi-dać było, że dopadły ją wspomnienia.

- Wezwij rysownika. Popracuję z nim sama, tak żeby Barbara Jean się nie zorientowała.

- Dobrze. Załatwię kogoś na jutro rano.

Yvette wyszła z gabinetu. Choć tego nie chciał, męczyły go demony przeszłości.

Damar Sanders i Yvette Meng zawsze będą stanowili część jego życia. Byli mu tak bliscy, jakby łączyły ich więzy krwi. Pokrewieństwo dusz, zrodzone w ogniu i siarce.

Pinkie chłonał jej strach jak wygłodzony człowiek jedzenie. Chętnie pozbawiłby ją knebla, żeby usłyszeć jej krzyk, ale nie mógł ryzykować. Ktoś mógłby usłyszeć.

LaShae rzucała się na łóżku, usiłując się wyswobodzić. Biedactwo. Jak zwierzę schwyte w potrzask. Gdyby mogła, odgryzłaby sobie dłonie w nadgarstkach, byle tylko się uwolnić.

- Jeżeli przestaniesz się ruszać, łatwiej mi będzie odciąć ci głowę za jednym zamachem - oznajmił, upajając się widokiem przerażenia

w jej oczach. - Jeśli będziesz się wiercić, może będę musiał próbować kilka razy. A chyba nie chcesz cierpieć. Ja też nie chcę, żebyś cierpiała.

Z jej oczu popłynęły łzy.

Takie ładne jasnobrażowe oczy.

- Nigdy wcześniej nie odrąbywałem głowy, ale stwierdziłem, że pora spróbować, bo czas ucieka i niedługo gra dobiegnie końca. Na człowieka, rzecz jasna. Wcześniej próbowałem, ale tylko na zwierzętach. Głównie na kotach i psach.

Nagle zamarła, wpatrzona w niego, ze łzami ciekącymi po policzkach. Błagała go o litość, błagała o życie. Wolałby słyszeć, jak go prosi, ale tym razem musi mu wystarczyć to, co ma.

Uklęknął, sięgnął pod łóżko i wyjął wielką drewnianą deskę do krojenia, którą kupił w miejscowym sklepie. Położył siekiere na nocnej szafce, pochylił się, ujął głowę LaShae i wsunął jej deskę pod kark. Nie przestawała przyglądać mu się w milczeniu.

- Zrobię to szybko. Obiecuję.

Uniósł siekiere i zamachnął się z całej siły. Pierwszym ciosem odrąbał jej głowę, która potoczyła się na bok. Krew z tętnic szyjnych trysnęła na pościel i spodnie Pinkiego.

Zauważył, że sama głowa nie krwawi za bardzo, choć oczy poruszały się dość długo. Ciało drżało jedynie przez kilka sekund. I koniec.

Wszedł do łazienki, zdjął zakrwawione ciuchy i wrzucił pod prysznic. Potem umył ręce i włożył czyste spodnie i koszulę. Wrócił do sypialni, otworzył czarny plastikowy worek marynarski i wyjął aparat cyfrowy. Zrobił kilka zdjęć. Pośpiesznie.

Dzięki zdjęciom będzie mógł ciągle na nowo rozkoszować się tą chwilą. Przez wiele dni, tygodni, miesięcy.

Wrzucił aparat z powrotem do worka i wyjął długą czerwoną różę, którą kupił po południu w miejscowym supermarkecie.

Położył kwiat między cudownymi piersiami LaShae.

Rozdział 23

Lindsay i Callie siedziały na kanapie w salonie - obie z nogami na ławie i z kieliszkami schłodzonej nalewki figowej w dłoniach. Zegar

w korytarzu wybił jedenastą. Mąż i dzieci Callie spali już w najlepsze. Lindsay przyjechała do kuzynki wczoraj wieczorem, ale dopiero teraz mogły spędzić trochę czasu sam na sam - rozmawiać, śmiać się i płakać. I zwierzać się. Mężczyźni na ogół nie przejawiają skłonności do zwierzeń i nie pojmują potrzeby dzielenia się uczuciami, która u kobiet jest niemal wrodzona. Niektórym udało się nie zwariować tylko dlatego, że miały się komu zwierzyć.

- Więc powiesz mi czy nie? - spytała Callie.

Lindsay łyknęła łagodnej, zdradliwej nalewki- potrafiła zwalić z nóg, zanim człowiek się zorientował, że jest pijany.

- Jestem krerynką-oznajmiła.

Callie uniosła brwi pytająco.

Lindsay wzięła głęboki oddech.

- Cały czas jestem zakochana w Juddzie Walkerze - wyznała.

- To żadna tajemnica. Wiedziałam, że się okłamujesz, skoro w każdym mailu i telefonie zapewniałaś mnie, że w końcu się odkochałaś. - Callie pokręciła głową. - Ale to nie wszystko. Chodzi o coś więcej. Powiesz mi?

Jak ma opowiedzieć kuzynce o czymś, czego nie chce pamiętać? O czymś, o czym chciałaby zapomnieć?

- Zeszłego lata między Juddem i mną coś się wydarzyło - zaczęła.

- Domyśliłam się.

- Przez to go nienawidzę - ciągnęła Lindsay. - Wyszłam z tego mocno zraniona, ale przeżyłam. Przez kilka miesięcy poddawałam się terapii doktor Meng, przyjaciółki Griffina, która jest psychiatrą.

Callie popatrzyła z troską na kuzynkę.

- Co się stało? Co ci zrobił Judd?

- Poza tym, że złamał mi serce?- Nie będę płakać. Opowiem Callie o tym, co się stało, i nie będę się rozklejać. Judd mnie przeprosił. Szczerze. - Judd wiedział, że jestem w nim zakochana. Chciał mnie do siebie zrazić i udało mu się. Na pół roku.

Callie odstawiła kieliszek, wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Lindsay.

- Powiedz, co ci zrobił.

- Przeprosił mnie za to. Wytłumaczył mi, że chciał mnie do siebie zrazić dla mojego dobra, że chciał, żebym zobaczyła, jakim jest bydlakiem.

- Jeżeli trudno ci o tym mówić, to może...

- Mało mnie nie zgwałcił.

- O, Boże! - Callie ścisnęła dłoń kuzynki.

Oczy Lindsay zaszyły łzami.

- Byliśmy sami w jego starej rodzinnej leśniczówce, zresztą nie pierwszy raz. Starałam się mu pomóc... próbowałam go przekonać, żeby się położył i postarał trochę przespać. Wiesz, że czasami nie może zasnąć.

- Wiem. Mówiłaś mi.

Lindsay wyswobodziła dłoń i spojrzała Callie w oczy.

- Judd do mnie doskoczył. Zaczął mnie dotykać. Całować. A ja nie protestowałam. - Do tej pory czuła jego dłonie na swoich piersiach, jego wargi na swoich, język błędzący w jej ustach. - Zaciągnął mnie do łóżka, a kiedy już byliśmy nadzy... zaczął mi mówić potworne rzeczy. Że nie jestem pierwszą kobietą, jaką ma od śmierci Jennifer. Że będzie się ze mną pieprzył, myśląc o niej i wyobrażając sobie, że to ona, tak jak robił to z innymi kobietami.

- Och, Lindsay, skarbie, tak mi przykro.

- Chciałam uciec od niego, ale nie chciał mnie puścić.

- Bydlak.

- Powiedziała... zrobił... - Lindsay nabrała zachłannie powietrza, starając się powstrzymać łzy. - Przestraszył mnie. Myślałam, że mnie zmusi, żebym uprawiała z nim seks. Szarpałam się z nim i przez cały czas płakałam jak dziecko. A kiedy już myślałam, że... - przełknęła łzy - zszedł ze mnie i wyrzucił mnie z łóżka, a potem mnie wyśmiał.

Callie wzięła kuzynkę w ramiona i przytuliła.

Lindsay poczuła ogromną ulgę.

Dlaczego nie wyznałaś wszystkiego Callie już dawno temu? Bo nie byłaś gotowa, podpowiedział jej wewnętrzny głos. Mogłaś to zrobić dopiero teraz, kiedy rany trochę się zasklepiły, kiedy wybaczyłaś Juddowi i wiesz, że musisz zostawić go w spokoju. Jakimś cudem.

Łkała cicho, wtulona w kuzynkę.

- Jeśli chcesz, wezmę którąś ze strzelb Jimmy'ego i zabiję Judda Walkera jak psa - oznajmiła Callie.

Ta propozycja w jednej chwili poprawiła Lindsay nastrój. Callie zawsze potrafiła wywołać uśmiech na jej twarzy.

Przełknęła łzy, uniosła głowę z ramienia kuzynki i posłała jej błady uśmiech. Tylko na tyle mogła się zdobyć.

- Nie chcę, żebyś do niego strzelała. Chcę, żeby po prostu zniknął z mojego życia.

- To się od niego odczep i trzymaj z daleka. Udawało ci się przez pół roku.

- Zastanawiam się, czy nie rzucić pracy.

- Żartujesz?

- Nie, mówię poważnie. Dopóki będę pracować dla Griffa w sprawie zabójcy królowych piękności, nigdy nie uwolnię się od Judda.

- To rzuć pracę. Zadzwoń jutro do Griffina i zrezygnuj.

Lindsay westchnęła ciężko.

- Nie mogę.

- A dlaczego nie?

- Chcę, żeby Judd zniknął z mojego życia, ale nie potrafię znieść myśli, że miałabym go już nigdy więcej nie zobaczyć. Bardziej go Kocham, niż nienawidzę. Jestem skończoną kretynką.

- Nie powinnaś marnować życia na myślenie o facecie, którego nigdy nie będziesz mogła mieć. Jesteś dla niego za dobra. Wiesz o tym, prawda?

- Wiem, ale...

- A co z doktorem Klyce'em? Miałam nadzieję, że się wam ułoży.

- Nathan to zupełnie inna historia.

- Skoपाłaś sprawę, co?

Lindsay sięgnęła po kieliszek i łyknęła słodkiej nalewki.

- Skoपाłam, i to na dobre. Między nami wszystko skończone.

- No cóż, trudno. Rozejrzymy się za jakimś innym facetem. Takim, który pozwoli ci zapomnieć o Juddzie Walkerze.

- Ktoś taki nie istnieje - odparła Lindsay.

Callie pokiwała głową.

- Tobie po prostu trzeba długich wakacji. Zawsze chciałaś pojechać do Włoch, do Toskanii. Weź urlop u Powella i leć do Europy. Kto wie, może poznasz jakiegoś cudownego Włocha, który powali cię na kolana?

- Tak się zdarza tylko w filmach.

- Filmy czasami czerpią inspirację z życia.

- Życie jest do dupy, przynajmniej moje.

Callie napiła się nalewki.

- Dobra, wystarczy. Wyobraźmy sobie, że chcemy rozwiązać ten problem, i spójrzmy prawdzie w oczy. Nie chcesz jechać do Włoch. Nie chcesz wziąć urlopu u Griffina ani rzucić pracy. Nie chcesz się wycofać ze sprawy zabójcy królowych piękności i nie chcesz zostawić Judda Walkera.

- Chcę go zostawić - zapewniła Lindsay. - Chcę się go pozbyć z mojego życia.

Callie pogroziła jej palcem.

- Okłamujesz samą siebie, jeżeli rzeczywiście tak uważasz.

- Cholera, Callie, to co ja mam niby zrobić? Kocham go do bólu. A najgorsze jest, że wiem, że mu na mnie zależy. Przyznał się.

- Na Boga, dziewczyno, to co ty tu ze mną robisz? Powinnaś jechać do Juddai...

- Zależy mu na mnie, pociagam go, ale nadal kocha Jennifer.

- Sukinsyn!

- Tak, wiem. Męczyzna, którego kocham, zawsze będzie kochał swoją zmarłą żonę. I co mam zrobić?

- To zależy - stwierdziła Callie.

- Od czego?

- Od tego, czy jesteś w stanie znieść pamięć o niej i pozwolić mu, żeby kochał was obie.

Judd obudził się o świcie, po zaledwie trzech godzinach snu. Miał ochotę wziąć z garażu starego mercedesa ojca i pojechać do najbliższego sklepu z alkoholem. Wczoraj wieczorem chciał się napić. Aż skręcało go w żołądku. Trzęsły mu się ręce. Bolała go głowa. Miał gęsią skórkę.

Odrzucił kołdrę, usiadł i opuścił nogi na zimną drewnianą podłogę. Na noc zakręcał gazowe ogrzewanie, więc w starej leśniczówce robiło się zimno jak w zamrażarce. Lodowaty północny wiatr trzaskał starymi okiennicami i walił w dach gałęziami stojących nieopodal drzew. Marzec nadchodził niczym ryczący przeraźliwie lew.

Judd wyskoczył z łóżka i nagi, z poranną erekcją, pocztapał do łazienki na końcu korytarza. Wysikał się, odkręcił prysznic, odczekał, aż zleci zimna woda, i wszedł pod ciepły strumień. Umył głowę, a później namydlił ciało, zatrzymując dłoń na wzwiedzionym członku.

W myślach pojawiły mu się obrazy Lindsay - leżącej pod nim, rozpalonej, gotowej mu się oddać.

Cholera, dlaczego po prostu nie wziął tego, co mu dawała? Przecież mógł ją mieć. Bóg jeden wie, jak bardzo jej pragnął. Tak rozpaczliwie, że jeszcze teraz, po sześciu miesiącach, na samą myśl o niej sztywniał aż do bólu.

Zamknął oczy i myślał o tym, że kocha się z Lindsay. Wyobrażał sobie, jak by to było się w niej zanurzyć. Doszedł po kilku minutach.

Przycisnął czoło do wyłożonej płytkami ścianki kabiny, oddychając głęboko i nierówno. Dlaczego w jego fantazjach pojawia się Lindsay, nie Jennifer? Po śmierci żony, kiedy się onanizował albo uprawiał seks z kobietą, w jego sercu i myślach przez lata była Jenny. Aż nagle, pół roku temu, wszystko się zmieniło. Coraz częściej zamiast Jenny pojawiała się Lindsay.

To wcale nie znaczy, że ją kochasz. Pragniesz jej. Potrzebujesz. Ale jej nie kochasz.

Dokończył mycie, wrócił do sypialni i ubrał się w stare dżinsy, ciepłą podkoszulkę i flanelową koszulę. W kuchni nastawił kawę i sprawdził, która godzina. Wpół do szóstej. Za wcześnie, żeby dzwonić do Przystani Griffina. Czekając, aż kawa się zaparzy, wyszedł na tylny ganek, żeby odetchnąć rześkim porannym powietrzem.

Nie potrzebuję alkoholu, żeby przetrwać poranek. Mogę żyć bez tego.

Więc czemu czuje się, jakby przez jego ciało pędził pociąg towarowy? Dlaczego ma ochotę walnąć pięścią w ścianę? Czemu tak bardzo chce się napić?

Przeklinając się za to, że pozwolił, by alkohol tak nim zawładnął, wrócił do środka, nalał sobie do filiżanki czarnej kawy i wypił duszkiem, cały czas wpatrując się w telefon.

Kilka miesięcy temu odłączono mu zarówno linię stacjonarną, jak i komórkową. Ale kiedy był w Przystani Griffina, dzięki Lindsay obie zostały ponownie uruchomione.

Nie przestawał wpatrywać się w telefon.

Zadzwoń po pomoc.

Nie znosił nikogo o nic prosić. Zawsze był samowystarczalny. Miał wszystko i nigdy od nikogo pomocy nie potrzebował.

Ale to było przed śmiercią Jennifer.

Po morderstwie nabrał przekonania, że miłość jest słabością. To przez ten cholerny żal, który prawie go zniszczył. Który manifestował się w niekontrolowanej wściekłości i niepohamowanej żądzy zemsty.

Odrzucał pomocną dłoń przyjaciół i odpychał Lindsay. A dlaczego? Bał się, żeby nie zaczęło mu na nikim zależeć.

Przepraszam, Lindsay. Tak bardzo mi przykro.

Nalał sobie drugą filiżankę kawy, sięgnął po słuchawkę i wybrał numer Przystani Griffina. Musi odbudować wiele mostów - zaczynając od tego, który łączył go z Griffem i Lindsay. Ale najpierw potrzebuje pomocy.

Po czwartym sygnale odebrał Sanders.

- Rezydencja Powella.
- Przepraszam, jeżeli cię obudziłem - powiedział Judd. - Czy Griff już wstał?

- Nie, pan Powell jeszcze śpi.

- A doktor Meng?

- Nie zesza jeszcze na dół.

- Mógłbyś ją poprosić, żeby zadzwoniła do mnie najszybciej, jak to możliwe?

- Coś się stało? - spytał Sanders.

- Niezupełnie.

- A może ja mógłbym panu jakoś pomóc?

- Tak, kopnij mnie w tyłek.

- Zrobiłbym to z przyjemnością.

Judd się roześmiał. Chciał porozmawiać z Lindsay. Chciał usłyszeć jej głos. Ale jeszcze nie teraz. Dopiero gdy doprowadzi się do porządku. Kiedy będzie mógł ją poprosić o kolejną szansę.

- Proszę przekazać wiadomość doktor Meng - powiedział.

- Oczywiście.

Judd już miał odłożyć słuchawkę, ale usłyszał głos Sandersa.

- Doktor Meng może z panem rozmawiać już teraz.

Zanim zdążył podziękować, dobiegł go głos Yvette Meng.

- Dzień dobry. Czym mogę panu służyć?

Powiedz jej prawdę. Powiedz.

- Chyba potrzebna mi pomoc, żeby poradzić sobie z piciem.

- Chce pan, żebym załatwiła panu pobyt w klinice odwykowej?

- A nie ma innej rady?

- Może pan wrócić do rezydencji Powella i poddać się mojej terapii.

- Nie chciałbym wciągać w to Lindsay.

- Lindsay tu nie ma - oznajmiła doktor Meng. - Wzięła urlop.

- Dokąd pojechała? - Zanim zdążyła odpowiedzieć, zreflektował się. - Proszę zapomnieć, że spytałem. Wiem, że wyjechała, aby uciec ode mnie. - Yvette nie odezwała się, więc dodał: - Przez kilka dni spróbuj radzić sobie sam. Jeżeli mi się nie uda, przyjadę do Przystani Griffina.

Griff korzystał z usług Wade'a Freemana, który oprócz tego, że rysował doskonałe portrety pamięciowe, był utalentowanym malarzem i rzeźbiarzem. Mieszkał w Maryville w piętrowym domu z lat dwudziestych

ubiegłego wieku. Zadowalał się dwoma pokojami na górze, bo cały parter przeznaczony na pracownię. Griffin miał kilka obrazów i statuetek Wade'a - niektóre znajdowały się w Przystani, a inne w biurze Agencji w centrum Knoxville.

Wade przyjechał o siódmej rano. Razem z Griffem i innymi gośćmi zjadł śniadanie, a potem spotkał się z Yvette na werandzie, żeby pracować na portretem pamięciowym mężczyzny, którego widziała Barbara Jean, wchodząc do domu siostry kilka chwil po napadzie.

Griff i Yvette postanowili nie mówić pani Hughes, że doktor Meng posiada rzadki dar zgłębiania ludzkich myśli, a Wade Freeman jest rysownikiem. Widziała tylko tyle, że Wade jest starym przyjacielem, który wpadł z jednodniową wizytą.

Przez pierwszych kilka godzin po śniadaniu Griffin załatwiał różne telefony - ostatni do swojego informatora z Waszyngtonu. Rzecz jasna, miał świadomość, że często nagina, a czasem nawet łamie prawo. Ale zdarzają się sytuacje, kiedy cel naprawdę uświęca środki. W każdym razie on tak uważał. Pieniądze to władza - zawsze o tym wiedział, a odkaś sam stał się bogaty, przekonał się, co można za nie kupić.

Na przykład czyjąś lojalność.

Albo informacje najwyższej państwowej wagi.

Z umiarem wykorzystywał siłę swojego bogactwa, ale kiedy czegoś chciał, zwykle to osiągał.

Delikatne pukanie do drzwi gabinetu przerwało mu próby usprawiedliwienia tego, że szukał skrótów, łamał zasady, naginał prawo.

- Proszę - odezwał się.

Do gabinetu weszła Yvette z blokiem rysunkowym w dłoniach.

- Wade sporządził trzy różne portrety pamięciowe mężczyzny, którego mu opisałam. Jeden przedstawia to, co widziała Barbara Jean: profil twarzy. Drugi jest interpretacją, jak ten mężczyzna mógł wyglądać bez kapelusza i okularów. Trzeci to twarz *en face*, również interpretacja Wade'a.

Podążyła Griffowi blok. Pośpiesznie rzucił okiem na rysunki, a później przyglądał się każdemu z osobna przez kilka minut.

- Zwykły facet - ocenił.

- Jedyna cecha, którą można uznać za charakterystyczną, to długi nos.

Griff wzruszył ramionami.

- Wielu facetów ma długi nos.

- Co masz zamiar zrobić z tymi portretami?
- Prześlę je faksem Nic Baxter. - Griff uśmiechnął się, wyobrażając sobie reakcję Nicole. Patrzył dłuższą chwilę na pierwszy rysunek. - Wiesz, jego profil wydaje mi się znajomy.
- Myślisz, że widziałeś go kiedyś na zdjęciu albo zetknąłeś się z nim osobiście? - spytała Yvette.
- Nie wiem, ale coś w tym jest.
- Możliwe, że kiedyś miałeś z nim do czynienia: w interesach albo na gruncie towarzyskim. Z ostatniego raportu Dereka wynika, że zabójca jest prawdopodobnie bogaty i pochodzi z Południa, więc niewykluczone, że należy do kręgu twoich znajomych.

Chartiece Woods nienawidziła pracy pokojówki w motelu Potrójna Ósemka, ale dzięki niej, wraz z trójką dzieci, miała z czego żyć. Były mąż wysyłał jej pieniądze raz na parę miesięcy, lecz niczego innego się nie spodziewała - nie mogła na niego liczyć nawet wtedy, gdy jeszcze byli małżeństwem.

Tego ranka, pośpiesznie sprzątnęła kilka pokoi, jak zwykle odkurzając, zmieniając pościel i kładąc świeże ręczniki. W jednym zmarnowała więcej czasu, bo goście najwyraźniej urządzili sobie imprezę. Na podłodze walały się butelki po piwie, a umywalka i sedes były oblepione zaschniętymi rzygowinami. Gnoje!

Przekręcając klucz w drzwiach pokoju numer 10, spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta. Jeżeli chce zdążyć na popołudniowy mecz koszykówki syna, musi nadrobić czas, który zabrało jej doprowadzenie do porządku szóstki.

Zostawiła wózek z przyborami do sprzątnięcia na zewnątrz, weszła do pokoju, zapaliła światło i rozejrzała się.

Cholera, w łóżku ktoś śpi. Musi być pijany do nieprzytomności albo nieźle nafaszerowany prochami, skoro nie usłyszał, jak wchodziła.

- Przepraszam, że przeszkodziłam- powiedziała, podchodząc do leżanej w łóżku ubranej kobiety. - Mogę przyjść...

Dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie.

Chartiece zauważyła, że głowa kobiety nie jest połączona z ciałem.

I wydała z siebie mrożący krew w żyłach krzyk.

Rozdział 24

Kilka chwil przed kolacją Griffin otrzymał telefon, którego się spodziewał i obawiał. Przeprosił pozostałych, wyszedł z jadalni i odebrał telefon w zaciszu swojego gabinetu. Zabójca królowych piękności znów zaatakował. Ciało kobiety znaleziono wczoraj przed południem w motelu w Bessemer w Alabamie, niedaleko Birmingham.

Prowadząca poranny talk show w stacji WBNN LaShae Goodloe miała odrąbaną głowę.

Griff wrzał ze złości. Tylko dzięki temu, że przez lata uczył się sztuki medytacji, zdołał zapanować nad gniewem i przypomnieć sobie, że jego celem jest sprawiedliwość, nie zemsta.

- Mąż był przesłuchiwany przez kilka godzin - powiedział Griffowi jego człowiek w Waszyngtonie. - Chyba byli w separacji, a on często urządził awantury.

- Ale nie zabił żony?

- LaShae Goodloe, była Miss Birmingham, była jeszcze młoda i nadal bardzo atrakcyjna. W konkursie popisywała się śpiewem, więc odrąbał jej głowę, a między piersiami zostawił czerwoną różę. Na mój gust, to nasz zabójca. Poza tym mąż ma alibi.

- Domyślam się, że Nic już leci do Birmingham?

- Słusznie się domyślasz.

Griff wiedział, że musi podjąć szybkie decyzje dotyczące Lindsay i Judda. Przyziemnymi sprawami zajmie się Sanders - dopilnuje, żeby samolot został zatankowany i był gotowy do lotu, zarezerwuje hotel w Birmingham i załatwi samochód. Rick Carson zrobi wstępne rozeznanie na temat ofiary, jej rodziny, przyjaciół i znajomych oraz na temat zajmujących się sprawą detektywów.

Wiedza to władza. Innego rodzaju niż bogactwo, ale równie ważna. Na ogół dzięki jednemu można zyskać drugie.

Skoro Nic Baxter była już w drodze do Birmingham, Griff nie widział powodu, żeby gnać do Alabamy jeszcze dziś. Wystarczy jutro. Policja będzie wiedzieć więcej, a Rick zdąży się zorientować, kto mógłby być użytecznym informatorem.

Griffin nie musiał się zajmować szczegółami, zrobią to za niego jego pracownicy. On musi jedynie zdecydować, czy w najnowszą sprawę zabójcy królowych piękności angażować Lindsay. Judda zawiadomi sam

albo poprosi Ricka lub któregokolwiek innego agenta, żeby się z nim skontaktował.

Lindsay potrzebowała odpoczynku - od sprawy zabójcy królowych piękności i od Judda. Chyba będzie dla niej najlepiej, jeżeli tym razem nie wciągnie jej w dochodzenie.

- Griffin? - W drzwiach gabinetu stała Yvette. - Wszystko w porządku?

- Mam nadzieję, że nie czekacie na mnie z kolacją?

- Pozostali nie czekają- odpowiedziała, podchodząc do niego.- Pomyślałam, że to mógł być telefon ze złą wiadomością.

- Miałaś rację. Zabójca znów zaatakował.

Yvette z powagą skinęła głową.

- Szkoda, że nie potrafię widzieć przeszłości. Gdybym mogła na miejscu przestępstwa zobaczyć, co się tam stało, miałbyś ze mnie większy pożytek.

Griff pogładził ją grzbietem dłoni po policzku.

- Nie zmieniłbym w tobie nic, twoich zdolności też nie.

Yvette zamknęła oczy. Ktoś postronny uznałby, że upaja się dotykiem Griffa, ale on wiedział swoje. Zagłębiała się w jego myślach.

Odsunął dłoń od jej twarzy.

Uniosła głowę i spojrzała na niego z uśmiechem.

- Zadzwoń do Lindsay. I wyślij ją do Judda. Wieczorem.

Griff wytrzeszczył oczy, niezadowolony z rady przyjaciółki.

- Lindsay ma dość. Powinna...

- Powinna być z Juddem. - Czarne oczy Yvette zrobiły się wilgotne. - A on jej potrzebuje... jak powietrza.

Griff spojrzał na nią badawczo.

- Czyżbyś wiedziała o czymś, o czym ja nie wiem?

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Wiem, że nie są w stanie bez siebie żyć. Wyślij ją do niego. Zadzwoń do niej teraz.

Griff sapnął.

Chciał zaprotestować, ale nie zrobił tego. Do tej pory zawsze miała rację.

- Dobrze. Zadzwońię do Lindsay. Ale to wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Sandi Ford zamknęła drzwi swojego studia tanecznego przy Main Street w centrum Parsons w Luizjanie punktualnie o piątej i ruszyła do dżipa stojącego przed budynkiem. Trzy razy w tygodniu po zajęciach udzielała wieczorem prywatnych lekcji, od szóstej do siódmej. Jej dwunastoletnie bliźniaczki Joy i Jeri potrzebowały aparatów na zęby, ośmioletni syn Shaun złamał sobie nogę, grając w piłkę nożną, a ubezpieczalnia potrącała Earlowi Rayowi tysiąc pięćset dolarów na osobę. W ciągu ostatnich pięciu lat pensja Earla Raya wzrosła nieznacznie, natomiast opłaty na ubezpieczenie systematycznie się zwiększały. Nie miała wyboru - musiała podjąć dodatkową pracę. Chociaż zarówno ona, jak i Earl Ray pracowali bez wytchnienia, nie mogli wyjść z długów, a do tego w zeszłym tygodniu okazało się, że nici z podwyżki, na którą liczył jej mąż.

Sandi otworzyła drzwiczki od strony kierowcy i wsiadła za kierownicę tahoe'a, którego kupili trzy lata temu, zanim ceny benzyny osiągnęły horrendalne kwoty. Nie było ich stać, żeby zamienić dżipa na inne auto, zwłaszcza że zostało im jeszcze pół roku do spłacenia kredytu. Poza tym potrzebowała dużego samochodu nie tylko po to, by wozić troje swoich dzieci i ich kolegów, ale też do przewożenia ekipunku zespołu tanecznego, kiedy wyjeżdżali na zawody.

Droga z centrum do ich domu przy First Street zabierała niecałe pięć minut. Stary dom w wiktoriańskim stylu, który kupili i pięknie wyremontowali w pierwszych latach małżeństwa, był spełnieniem jej marzeń. Niestety, nie było jej stać, żeby zapełnić go antykami, które uwielbiała.

Może kiedyś.

Kiedy dzieci dorosną i skończą szkołę.

Zaparkowała na podjeździe za dziesięcioletnim fordem pikapem męża. Nosili się z zamiarem budowy garażu na dwa auta, ale nie mogli wygospodarować środków ze swojego domowego budżetu. Bardzo napiętego budżetu.

Zarzuciła torbę na ramię, wysiadła z tahoe'a, zamknęła drzwiczki i podeszła do tylnych drzwi. Gdy tylko weszła do kuchni, poczuła smakowity zapach sosu pomidorowego doprawionego mocno oregano. Earl Ray uniósł głowę znad piekarnika, do którego wkładała pałeczki chlebowe, i uśmiechnął się do niej. Kiedy pierwszy raz go zobaczyła - na randce w ciemno czternaście lat temu - zakochała się w jego uśmiechu. Teraz miał trzydzieści siedem lat i jego ciemne włosy zaczynały rzednąć, a brzuch zrobił się trochę zbyt wydatny, ale nadal wyglądał dobrze. O ile to możliwe, kochała go jeszcze bardziej niż na początku małżeństwa.

Zamknął piekarnik, nastawił zegar i rzucił ściereczkę na blat. Sandi powiesiła torbę na wieszaku przy drzwiach.

- Na kolację będziemy mieć spaghetti - powiedział. - Shaun ogląda w salonie telewizję i odrabia lekcje. Dziewczynki sprzątają swój pokój na górze.

Sandi podeszła do męża, objęła go i pocałowała w policzek.

- Wygląda na to, że wszystko masz pod kontrolą.

Klepnął ją w pupę. Zachichotała.

- Chłódzę w lodówce butelkę wina, które lubisz. Może jak dzieci już pójdą spać, będziemy mogli...

Pocałowała go znowu. Tym razem namiętnie. Chwycił ją za pośladki i przycisnął do swojej wezbranej męskości.

- O Jezu, moglibyście tego nie robić - oznajmił Shaun, wchodząc do kuchni. - Gorszyście dzieci.

Sandi i Earl Ray rozeźmieli się, słysząc uwagę syna, i odsunęli się od siebie. Sandi podeszła do Shauna i zmierzwiła jego gęste rude loki.

- Niedługo sam będziesz chciał pocałować dziewczynę - powiedziała.

- Wykluczone. Nigdy w życiu.

- Kiedy będzie kolacja? - spytała Sandi, spoglądając na męża.

- Za dziesięć minut. Posiedź sobie i odpocznij. - Skinął na syna. - Biegnij na górę i powiedz dziewczynkom, że mają schodzić na kolację.

- Muszę? - Shaun się skrzywił.

- Maszeruj! - nakazał Earl Ray.

Chłopiec wyszedł z kuchni naburmuszony. Po starym domu poniosło się echo jego kroków.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała Sandi. - Całe popołudnie byłam na nogach. Marzę tylko o tym, żeby na parę minut usiąść.

- Bardzo mi przykro, że musiałaś wziąć te dodatkowe lekcje. Gdybym dostał podwyżkę...

- To nie twoja wina. Nic nie poradzisz na to, że związki zawodowe zgodziły się na propozycję firmy - odparła Sandi. - Poza tym prywatne lekcje sprawiają mi przyjemność. Uwierzysz, że jedna z moich uczennic, Renae Yates, wiedziała, że kiedyś byłam Miss Nastolatek? Jej matka chodziła do tej samej szkoły co ja, w Parsons.

Na twarzy Earla Raya pojawił się dziwny wyraz. Przelotny. Chwilowy. Gdyby nie patrzyła mu w oczy, nie zauważyłaby go.

- Co się stało? - spytała.

- Nic. Tylko czasem zastanawiam się, czy kiedyś myślałaś o tym... no... czy nie żałujesz, że nie wykorzystałaś swoich możliwości.

- Wykorzystałam. Mam własną szkołę tańca, prawda?

- Wiesz, co mam na myśli. Gdybyśmy się nie pobrali...

- Nie chciałabym nic zmieniać. Poza tym wcale nie miałam takiego talentu, jak ci się wydaje. Czy jak wydawało się mojej matce.

Earl Ray się roześmiał.

- Wydaje mi się, że twoja matka nadal obwinia mnie za to, że nie zostałam primabaleriną w jakiejś słynnej grupie baletowej w Nowym Jorku.

Sandi posłała mężowi całusa i poszła do salonu. Kiedy była młoda, mierzyła wysoko. Jej matka marzyła, żeby została zawodową tancerką, i w końcu stało się to również jej marzeniem. Uwielbiała taniec, ale zanim skończyła osiemnaście lat, musiała przyznać sama przed sobą, że brakuje jej zarówno talentu, jak i zapału potrzebnych do odniesienia sukcesu. Jej matka nadal była święcie przekonana, że Sandi poświęciła karierę z powodu małżeństwa i macierzyństwa. Choć wiele razy tłumaczyła, że jest szczęśliwa i nie zamieniłaby swojego życia na żadne inne, matka nie chciała jej uwierzyć.

Sandi usiadła w fotelu w salonie i westchnęła, zamykając oczy i pozwalając odpłynąć myślom. Nie w przeszłość, ale w przyszłość. Do jesieni, kiedy spłaca jej tahoe'a. Do następnego roku, kiedy zaoszczędzi tyle, żeby mogli zabrać dzieci do Disneylandu na kilka dni. Do chwili, kiedy za piętnaście miesięcy będzie mogła uczcić piątą rocznicę wygranej walki z rakiem.

Pinkie opowiadał Pudge'owi, jaką zasadzkę wymyślił, żeby zwabić LaShae Goodloe. Pudge zwykle lubił słuchać o wszystkich ponurych detalach, uwielbiał słyszeć podniecenie w głosie kuzyna. Ale tego wieczoru było inaczej. Co chwila się wyłączał, myśląc o tym, jak niewiele zostało do końca pięcioletniej gry. Szli łeb w łeb i jeszcze nie było wiadomo, kto wygra. Pudge nie miał zamiaru przegrać. Gdyby teraz udało mu się znaleźć ruda...

- Teraz rozumiem, dlaczego kilka razy użyłeś tego sposobu. To takie emocjonujące odciąć komuś głowę. Nie miałem pojęcia, że krew tryśnie na pół pokoju.

- W szyi znajdują się dwie najważniejsze tętnice - wyjaśnił Pudge. - Dotykałeś jej później?

- Tylko żeby położyć jej na piersiach różę. A czemu pytasz?

- Pamiętasz Cotton Queen z Cullman w zeszłym roku? Po tym, jak odraubałem jej głowę, położyłem rękę na piersi. Jej serce biło jeszcze całe trzydzieści sekund.

- Następnym razem ja też...

- Obawiam się, że nie będziesz miał następnej okazji - powiedział Pudge. - Chyba że twoją ostatnią ofiarą znów będzie piosenkarka.

Pinkie westchnął ciężko.

- Szkoda, że wyznaczylismy sobie tylko pięć lat.

- Szkoda, ale musimy trzymać się zasad. Łącznie z tą, że zwycięzca bierze wszystko.

- Żałuję, że wymysliliśmy taki potworny warunek.

- Gra robiła się nudna - przypomniał Pudge. - Musielismy zrobić coś, żeby trzymała w napięciu, żeby warto było się wysilać.

- Masz rację. Tylko nie mogę znieść myśli, że będę musiał... - Pinkie przełknął ślinę. - Jeżeli wygram, to obiecuję, że zadam ci jak najmniej cierpienia - zapewnił.

- Jeżeli wygrasz.

- Na razie prowadzę. Dzięki LaShae Goodloe zarobiłem dziesięć punktów. Nawet jeśli teraz znajdziesz ruda...

- Będzie ruda.

- Chyba jej jeszcze nie wybrałeś, co? To byłoby oszustwo i...

- Niejasne, że nie - skłamał Pudge. Oczywiście, że wybrał kolejną ofiarę. Ale Pinkie nie musi o tym wiedzieć. Zadowolony z siebie pomyślał o rudowłosej miss z Parsons w Luizjanie, właściwie jego sąsiadce.

Jadąc z Soddy-Daisy do leśniczówki Walkerów, Lindsay zastanawiała się, czy ma po kolei w głowie. Co ona robi? Dlaczego tak jej się spieszy do Judda? Griff zadzwonił do niej godzinę temu, kiedy grała w monopol z dziećmi Callie, znakomicie się przy tym bawiąc. Pracując przez kilka ostatnich lat w Agencji Powella, zupełnie zapomniała, czym jest zwykłe życie. Zwykłe czynności, zwykli ludzie żyjący zwykłym życiem. Żadnych sensacji. Żadnych tajemniczych morderstw do wyjaśnienia. Żadnych bezwzględnych zabójców, których nie można powstrzymać.

- Znowu zabił - powiedział Griff. - Dawną Miss Birmingham. Odraubał jej głowę.

Lindsay zatrzymała trailblazera przed leśniczówką. Ku jej zaskoczeniu, cały dom był oświetlony. Judd nie siedzi po ciemku, jak to miał w zwyczaj.

- Jak przewidywał Derek, zabija coraz częściej. Przerwy nie są już miesięczne czy dwumiesięczne, ale zaledwie tygodniowe. Działa coraz bardziej gorączkowo, więc mamy większe szanse, że go dopadniemy, zwłaszcza jeśli popełni choć jeden błąd.

Lindsay wysiadła z dżipa, chwyciła płaszcz leżący na siedzeniu pasażera, zarzuciła go na siebie, zamknęła samochód i skierowała się w stronę ganku. Kiedy podeszła do drzwi, wydało jej się, że słyszy muzykę.

Muzyka? U Judda? Niemożliwe. Nie oglądał telewizji, nie czytał, rzadko słuchał muzyki, właściwie nie robił nic z rzeczy choć trochę normalnych.

- Zastanawiałem się, czy w ogóle do ciebie dzwonić - wyznał jej wcześniej Griff. - Byłem przekonany, że masz serdecznie dość i Judda, i sprawy zabójcy królowych piękności. Ale Yvette powiedziała, że powinienem cię zawiadomić, żebyś mogła sama zdecydować. Nie musisz tego robić. Możesz odmówić.

Owszem, mogła odmówić, ale Yvette i Griff dobrze wiedzieli, że tego nie zrobi. Kiedy w grę wchodził Judd Walker, nie miała godności. Co też miłość może zrobić z kobietą.

Gdy uniosła rękę, żeby zapukać, znów usłyszała muzykę. Łagodną. Pełną smutku. Z leśniczówki sączyła się chwytająca za serce melodia *Ciało i dusza*, niczym dym unoszący się z komina w ciemną noc. Opuściła rękę i stała tak na ganku z łomoczącym sercem. Wspominając. Podarowała Juddowi kilka płyt z nagraniami jazzowymi dwa lata temu na Gwiazdkę, wiedząc, że bardzo lubi jazz. Rzucił elegancko zapakowany prezent w ką, nawet go nie otwierając.

Czy to muzyka z którejś z tych płyt?

Zapukała kilka razy, słysząc kolejną melodię - *Send in the Clowns*. Spokojną, smutną.

Już miała zastukać po raz czwarty, kiedy drzwi otworzyły się z rozmachem. Sapnęła, nie spodziewając się, że Judd zareaguje tak szybko.

Stali, przyglądając się sobie. Widać było, że nie golił się od paru dni. Włosy miał rozczochrane - prosiły się nie tylko o strzyżenie, ale i o zwykły grzebień. Złote oczy były przekrwione, a twarz mizerna. Wyglądał potwornie.

W pierwszym odruchu chciała go przytulić i pocieszyć.

Powstrzymała się.

- Co tu robisz? - spytał obojętnym tonem.

Nie wyglądał na pijanego.

- Mogę wejść? - spytała.

Odsunął się na bok i wyciągnął rękę w zapraszającym geście.

- Jasne.

Weszła do środka, a on zamknął za nią drzwi. Z salonu po lewej stronie korytarza sączyły się melancholijne akordy pianina, trąbki i perkusji. Zajrzała przez otwarte drzwi i zauważyła, że w masywnym kamiennym kominku buzuje ogień.

Nigdy nie była na górze, ale rozkład pokoi na dole znała dobrze - dwa przestronne salony po obu stronach holu, jadalnia, kuchnia, trzy sypialnie i jedna łazienka z wyposażeniem sprzed dobrych czterdziestu lat.

Zauważyła, że Judd schował dłonie do kieszeni dżinsów, zaginając kciuki na zewnątrz, i nerwowo pocierał nimi materiał.

- Chcesz kawy albo gorącej herbaty? - spytał.

Czy słuch jej nie myli? Judd proponuje jej coś do picia? Czyżby nagle stał się gościnnie?

- Nie, dziękuję.

- Powiesić ci płaszcz?

Rozpięła prochowiec i podała mu.

- Wejdz do salonu. - Powiesił płaszcz na wieszaku w korytarzu.

Weszła do pokoju z lewej strony i poczuła dziwną niepewność. Co się dzieje z Juddem? Czemu jest dla niej taki miły?

- Usiądź - powiedział.

Przestraszona, że znalazł się zaledwie kilka kroków za nią, westchnęła i odwróciła się na pięcie twarzą do niego.

- Dzwonił Griff - oznajmiła. - Zabójca królowych piękności znowu zaatakował.

Judd skinął głową w milczeniu.

- Dawna Miss Birmingham. Odrąbał jej głowę.

Judd się skrzywił.

- Griff leci rano do Birmingham.

- Rozumiem. - Znów skinął głową. - Jedziemy do niego czy złapiemy poranny samolot z Chattanooga?

Wpatrywała się w niego, zaskoczona jego spokojną, racjonalną reakcją.

- Powiesz mi, co z tobą jest, czy mam przyjąć, że w Judda Walkera wcielił się ktoś obcy?

Wykrzywił usta. Czy to możliwe, żeby Judd niemal się uśmiechnął?

Zrobił kilka niepewnych kroków w jej stronę. Zaparło jej dech.

Kiedy dzieliły ich już tylko centymetry, Lindsay ogarnęła panika. Uciekaj! Natychmiast, dopóki jeszcze możesz.

- Nie powinnaś była przyjeżdżać - odezwał się spokojnym, cichym głosem.

- Zastanawiałam się nad tym - przyznała. - Griff powiedział, że może do ciebie zadzwonić albo wysłać tu Ricka, albo... Musiałam przyjechać.

- Tak, wiem.

Przytknęła do ust zwiniętą dłoń i przełknęła łzy. Nie będziesz płakać. Ty głupia kobieto!

- Chyba jestem jak stary pies, który ciągle wraca, chociaż jego pan skopał go po raz dwudziesty.

Judd patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Gdy wyciągnął rękę, Lindsay odskoczyła przestraszona. Ale nie mogła oderwać od niego wzroku. Uniósł dłoń, objął ją za szyję i delikatnie przyciągnął do siebie. Nie opierała się, nie potrafiła się oprzeć.

Pochylił głowę, zbliżając usta do jej warg.

- Przepraszam, kochanie - szepnął. - Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro.

A potem ją pocałował.

Rozdział 25

Chociaż Judd całował ją bardzo delikatnie, czuła dreszcz w każdej komórce ciała, ożywionej miłością i pożądaniem. Nie mogła przestać go kochać, tak samo jak nie mogła zdjąć gwiazdki z nieba.

Zakończył pocałunek, otworzył oczy i uniósł głowę. Lindsay wpatrywała się w niego w milczeniu, oszołomiona czułością i szczerością jego słów.

„Przepraszam, kochanie. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro”.

Dotknął czołem jej czoła, oddychając ciężko i nierówno. Przymknęła powieki i upajała się tą słodką chwilą. Czuła ciepło jego oddechu zlewającego się z jej oddechem i świeży zapach jego ciała.

- Przysięgam na wszystko, Lindsay, jeżeli mi wybaczysz, nigdy więcej nie zrobię nic, czym mógłbym cię skrzywdzić.

Czuła, że tym razem świadomie wypowiada każde słowo. Nie miała co do tego najmniejszej wątpliwości.

Wyciągnął ręce i ujął jej dłonie w swoje. Delikatnie, jakby były z kruchego szkła.

- Każda inna kobieta dałaby sobie ze mną spokój już dawno - powiedział. - Udało mi się odsunąć wszystkich przyjaciół, nawet Cama i Griffa. Griff dawał mi kolejne „ostatnie szanse” tylko dzięki tobie.

- Judd...

- Ciii... Daj mi dokończyć. Później ty powiesz wszystko, co chcesz powiedzieć.

Skinęła głową.

- Kiedy Jenny umarła... kiedy została zamordowana... - urwał.

Lindsay ścisnęła jego dłonie.

- Zwariowałem - podjął po chwili. - Tylko tak potrafię określić to, co się ze mną wtedy stało. Czułem potworny ból. Nie do zniesienia. Wiesz, jak cierpiałem. Byłaś przy tym. Ty, Griff i Cam. Później ten ból, zamiast maleć, jeszcze narastał, aż pewnego dnia umarło we mnie wszystko poza złością i żądzą zemsty. Ale niezależnie od tego, co mówiłem i robiłem, jak bardzo szalałem i się wściekałem, zawsze byłaś przy mnie, próbując mi pomóc i troszcząc się o mnie, choć nie zasługiwałem na troskę. Usiłowałem cię od siebie odepchnąć, ale mi nie pozwalałaś. Aż do dnia, kiedy... - znów przerwał.

Ich spojrzenia się spotkały. Lindsay wydawało się, że dostrzega w oczach Judda mglistą wilgoć, ale szybko zorientowała się, że to ona ma łzy w oczach, nie on.

- Dałaś mi miłość, a ja ją odrzuciłem.

- Nie mogłeś nic poradzić na to, że mnie nie kochasz. Nie wybieramy, kogo...

- Zależało mi na tobie - wyznał. - I w tym tkwił problem. Nie chciałem, żeby mi zależało, nie chciałem nic czuć. Nienawidziłem cię za to, że przez ciebie czuję. I nienawidziłem siebie za to, że tak strasznie cię potrzebowałem.

- Judd?

Uniosł jej dłonie do ust, pocałował, a później delikatnie ścisnął.

- Jest we mnie jeden wielki bałagan. Nie wiem, czy zdołam się z tego pozbierać i funkcjonować normalnie, czy należy mnie już spisać na straty. Ale... - Z trudem przełknął ślinę.- Jestem prawdziwym gnojkiem, że to mówię, ale trudno: nie chcę, żebyś się ode mnie odwróciła.

Potrzebuję cię. Choćby jako przyjaciółki. Może... może kogoś więcej niż przyjaciółki. Nie wiem.

Zakręciło jej się w głowie i miała wrażenie, że za chwilę zemdleje. Dopiero gdy łąpczywie zaczerpnęła powietrza, dotarło do niej, że wstrzymywała oddech.

- Wiesz, jak bardzo kochałem Jennifer. W głębi duszy zawsze będę ją kochał. Nic nie mogę na to poradzić. Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się pogodzić z jej śmiercią. Może kiedy zostanie schwytyany jej zabójca? A może i wtedy nie?

- Nie stracisz mnie - zdołała wykrztusić lekko drżącym głosem. - Zawsze będę twoją przyjaciółką. A co do tego, żebym była kimś więcej niż przyjaciółką... Kocham cię.

Wzięła ją w ramiona i przytulił.

- Nie zasługuję na twoją miłość. Ale, Boże dopomóż, pragnę jej.

Lindsay objęła go w pasie i wtuliła się w niego tak, jak zawsze chciała się w niego wtulić. Pochylił się i pocałował ją w czubek głowy, a kiedy spojrzała na niego - w czoło.

Takiego Judda nigdy nie znała. Dobrego, czułego mężczyzny, jakim musiał być dawniej, zanim Jennifer została zamordowana.

Delikatnie odsunął ją od siebie i się uśmiechnął.

- Pozwól mi doprowadzić do porządku moje życie. I wypróbuj mnie w roli przyjaciela. Byłem w tym całkiem niezły. Spytaj Griffa.

- Mówił mi. Opowiadał, jak razem z Camem robiliście różne numery nauczycielom, imprezowaliście, umawialiście się z tymi samymi kobietami...

- Pewnie ci powiedział, że wszyscy trzej chcieliśmy poderwać Jennifer i że poszła na randkę z nim i Camem, zanim umówiła się ze mną. - Uśmiech zniknął z twarzy Judda. - Przepraszam. Nie potrafię przestać o niej mówić.

- Nie szkodzi. Była twoją żoną. Kochałeś ją. Co byłaby ze mnie za przyjaciółka, gdybym nie chciała wiedzieć o tobie wszystkiego, również o związku z Jennifer?

Judd przyglądał się jej kilka sekund.

- Jesteś wyjątkową kobietą, Lindsay McAllister.

- Usiłuję cię o tym przekonać od niemal czterech lat - powiedziała z uśmiechem.

Skinął głową w stronę korytarza.

- Zrobiłem zakupy. Może ugotuję jakąś zupę i zrobię kanapki? Chyba że już jadłaś obiad?

- Jadłyśmy z Callie lunch. Dzieci miały zajęcia po południu, więc obiad znalazł się na stole późno, akurat kiedy zadzwonił Griff.

Wziął ją za rękę.

- To może ja się zajmę zupą, a ty zrobisz kanapki?

Skinęła głową i uśmiechnęła się promiennie.

- Mam pudełko maślanych ciastek - powiedział, idąc z nią przez korytarz. - Ty je kupiłaś, kiedy ostatnim razem robiłaś mi zakupy. Pamiętam, jak mówiłaś, że to twoje ulubione. I że świetnie pasują do kawy albo mleka.

- Mleka? Chyba mi nie powiesz, że masz mleko w lodówce?

- Oczywiście, że mam. Mam też bekon, jajka i bochenek świeżego chleba.

Przystanąła, kiedy znaleźli się przed kuchennymi drzwiami. Zauważył jej wahanie, zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na nią.

- O co chodzi? - spytał.

- Czy ty na pewno nie jesteś kimś obcym, kto się wcielił w Judda? Roześmiał się. Szczerze.

Lindsay zapało dech.

Nie mam pojęcia, co się stało, pomyślała. Nie wiem, czy to chwilo-
wy cud czy na zawsze, ale dziękuję ci, dobry Boże. Dziękuję.

Sandi leżała na kanapie w objęciach Earla Raya. Dzieci odprawili na górę zaraz po kolacji i właśnie skończyli butelkę schłodzonego zinfandela. Zegar na ścianie wybił dziesiątą.

- Powinniśmy iść do łóżka - powiedział. - Ani się zorientujemy, jak zrobi się wpół do szóstej. - Połaskotał ją nosem w szyję. - Masz ochotę trochę pogłować?

Westchnęła.

- Jestem zmęczona, ale... - Odwróciła się na tyle, żeby nieco się unieść i go pocałować. - Jeżeli wdrapiesz się na górę i zajmiesz wszystkim...

- Załatwione. - Pogładził ją po pośladkach.

Zeskoczyła z kanapy, położyła ręce na biodrach i spojrzała na niego.

- No to na co czekasz, chłopcze?

Chwycił ją, posadził sobie na kolanach i pocałował namiętnie. Kiedy przerwali, żeby nabrać powietrza, zadzwonił telefon.

- Kto, do cholery, wydzwaniania o tej porze? - mruknął Earl Ray.

- Odbiorę.

Chciała wstać, ale ją przytrzymał.

- Niech się włączy sekretarka.

Wyrwała mu się.

- Może to któraś z matek dzwoni, żeby zapytać o kostiumy na recital w przyszłym miesiącu.

Po piątym sygnale znalazła przenośną słuchawkę na stercie gazet przy fotelu. Odebrała połączenie.

- Halo? - powiedziała, nie patrząc na numer dzwoniącego.

- Pani Ford? - odezwał się męski głos.

- Tak, przy telefonie.

- Moje nazwisko Donald Holloway. Przeprowadziłem się tu z żoną z Tallulah w zeszłym miesiącu. Missy słyszała, że udziela pani lekcji tańca. Nasze dziewczynki chodziły na lekcje baletu w Tallulah i bardzo im tego brakuje.

- Witamy w Parsons, panie Holloway. - Dwie nowe uczennice? Tak, tak, tak! - Czy pan i pańska żona jesteście zainteresowani lekcjami dla swoich córek w mojej szkole?

- Tak, oczywiście, ale oboje pracujemy i możemy je przywozić do pani tylko wieczorem. Czy to nie będzie problem?

- Nie, skąd, udzielam prywatnych lekcji od szóstej do siódmej trzy razy w tygodniu.

- Czy w takim razie pasowałby pan jutrzejszy wieczór? Moglibyśmy wpaść między siódmą a wpół do ósmej. Oцени pani umiejętności naszej starszej córki, Melissy Lee, i zdecyduje, czy może udzielać lekcji. Nie liczymy się z kosztami, jeśli chodzi o nasze dzieci.

Dwie nowe uczennice, jedna może na dodatkowe lekcje. Cudownie. Sandi myślała, że zgłosiły się do niej już wszystkie kandydatki na lekcje tańca z Parsons, a tu proszę, zjawiają się nowi mieszkańcy. Czy to nie fart?

Wprawdzie w środę zamierzała wrócić do domu po ostatnich zajęciach o szóstej, żeby znowu nie opuścić wieczornego nabożeństwa, ale była pewna, że Bóg ją zrozumie.

- Zapraszam pana z żoną i córkami jutro wieczorem - powiedziała Sandi. - Moje studio znajduje się w centrum, przy Main Street. Na pewno państwo trafią. Budynek jest różowy, ma lawendowe drzwi, na szybie namalowaną baletnicę, a na wystawie wiszą trzy kostiumy.

- Moja żona już się zorientowała, gdzie to jest. Dziękuję pani. Do zobaczenia jutro wieczorem.

Sandi odłożyła słuchawkę i zrobiła piruet z radości. Earl Ray chwycił ją i pociągnął w ramiona.

- Myślałem, że jutro nie będziesz długo pracować. Obiecaliśmy dzieciom, że pójdziemy z nimi na wieczorne nabożeństwo. Nie byliśmy w kościele już trzy tygodnie.

- Wiem. - Sandi pogłaskała męża po policzku. - Ale chodzi o dwie nowe kandydatki do szkoły, jedna może zapisze się nawet na prywatne lekcje. Wiesz, ile to może być pieniędzy?

Earl Ray zmarszczył brwi.

Przesunęła dłoń po jego piersi i brzuchu.

- Może ty zabrałyś dzieci jutro do kościoła? A ja obiecuję, że w następną środę wieczorem nie będę pracować. - Opuściła dłoń tak, że znalazła się na rozporoku jego dzinsów.

Uśmiechnął się szeroko i położył swoją dłoń na jej ręce.

- Skoro tego chcesz.

Roześmiali się i *razem weszli* na górę.

Pudge odłożył komórkę na ławę, uśmiechając się do siebie na wspomnienie godnej Oskara roli przykładowego męża i ojca Donalda Hollowaya. Kolejny raz piękna wybranka ułatwia mu sprawę. Czasem rozmawiali z Pinkiem o tym, jak ufnie są te kobiety, jak łatwo dają się nabrać i wywieść w pole. Tak, wszystkie były równie piękne, jak głupie.

Późnym popołudniem pojechał do centrum Parsons i zauważył, że jest tam całkiem pusto. Pewnie tu powstał stary żart o zwijanych wieczorem chodnikach. Po szóstej otwarta była tylko rodzinna restauracja przy Tipton Avenue, przecznicy za Main Street. Cała sygnalizacja świetlna przełączała się na pulsujące żółte światło ostrzegawcze i od siódmej miasto wyglądało na wymarłe. Jutro wieczorem na ulicy, gdzie mieści się szkoła tańca Sandi, wszystko będzie pozamykane. Osiemdziesiąt procent ruchu skupi się przy trzech kościołach, z których żaden nie znajduje się w pobliżu Main Street.

Najłatwiej pozbawiłby Sandi stóp, gdyby mógł użyć małej piły łańcuchowej, ale to bardzo hałaśliwe narzędzie. Równie dobrze spisze się ostra siekiera albo tasak. Sandi była drobna i miała szczupłe kostki. Jeden porządny cios powinien załatwić sprawę.

Chciał usłyszeć jej krzyk. Ale czy może ryzykować, że ktoś inny ją usłyszy? Wszystko zależy od tego, gdzie mu się uda ją zamknąć. Najlepsze byłoby zaplecze. Przyćmione światło, odpowiedni nastrój.

To będzie jedno z jego ostatnich zabójstw, a każda chwila przed końcem gry powinna być wyjątkowa.

Po uczcie złożonej z kanapek z szynką i zupy ziemniaczanej Lindsay i Judd siedzieli przy kuchennym stole, pijąc mleko i jedząc ciastka maślane. Gdy wspólnie szykowali kolację, dzielili się wspomnieniami z posiłków w dzieciństwie.

- Moja mama wspaniale gotowała - powiedziała Lindsay. - Kiedy wracałam ze szkoły, codziennie czekały na mnie ciasteczka domowej roboty i szklanka zimnego mleka.

- Moja nie umiała gotować - przyznał Judd. - Oczywiście dlatego, że nie musiała. Dorastała w domu, w którym była kucharka, mój tata też. Ale babcia Walker umiała gotować, w każdym razie pamiętam, że jak byłem mały, robiła mi na śniadanie babeczki z dżemem pomarańczowym. I zawsze gotowała, kiedy przyjeżdżaliśmy do leśniczówki. Boże, jak ja ją uwielbiałem.

- Jak do niej mówiłeś? Babciu?

- Nazywałem ją Mimi.

- Słodko. Ja nie pamiętam moich babć, tylko dziadka, ojca mojego taty. Umarł, kiedy miałam dziesięć lat.

- Mimi zmarła, jak miałem szesnaście. Nie uroniłem ani jednej łzy. Dopiero po miesiącu wszystko we mnie pękło i płakałem przez wiele dni.

Lindsay знаła Judda od prawie czterech lat, ale to były ich pierwsze zwierzenia.

Przy kolacji rozmawiali niewiele, ciesząc się wspólnym posiłkiem. Lindsay miała dziwne wrażenie, że śni i za chwilę się obudzi. Ile razy marzyła o wieczorze takim jak ten?

Kiedy zjedli ciastka, Judd wstał i zebrał brudne naczynia.

- Ja pozmywam - oznajmił. - A ty wycieraj.

- Dobrze. - Wzięła ze stołu sztućce i poszła za nim do starego zlewu w kuchni.

- W tej kuchni trzeba zrobić remont. Kupić nową kuchenkę, lodówkę i na pewno zmywarkę - stwierdził Judd. - Może niedługo wyremontują cały dom.

- To cudowny dom, dookoła las, łąki i zwierzęta. Mógłbyś kupić dwa psy: collie albo labradory. A na ganku powinieneś postawić huśtawkę.

Judd uśmiechnął się promiennie.

- Ostatnią kobietą, która kochała tę starą leśniczówkę, była moja Mimi. Przyjeżdżała tu z dziadkiem w weekendy i... możesz mi wierzyć albo nie... uwielbiała polować na dzikie kaczki.

- Zartujesz?

- Nie. Na sarny nie polowała, ale strzelać umiała znakomicie. To ona założyła ogród z tyłu domu. Za jej życia były tam też zielnik i warzywnik. Uwielbiała kwiaty, świeże zioła i warzywa z domowego ogródka.

- To tak jak ja. Sanders i ja uprawiamy zioła w ogrodzie w Przystani Griffina. I każdej wiosny sadzimy pomidory w wielkich donicach na tarasie.

Judd zatkał korkiem odpływ w zlewie, odkręcił kurki i sięgnął po świeżo kupioną butelkę płynu do mycia naczyń.

- W rodzinnej posiadłości w Lookout Mountain Mimi miała szklarnię. Jeszcze stoi, ale pewnie jest pusta. Kiedy tam mieszkałem, kucharka uprawiała w niej zioła.

Lindsay przejechała dłonią po krawędzi olbrzymiego zlewu.

- Jeżeli będziesz kiedyś remontować kuchnię, powinieneś go zostawić. Jest w doskonałym stanie, a tego typu zlewy znów są w modzie.

Judd nalał płynu, odstawił butelkę i wstawił talerze i sztuce do spienionej wody.

- Wychowywałaś się w Chattanooga, prawda?

- Tak. W Lookout Valley. Moi rodzice pochodzili z Sand Mountain na północnym wschodzie Alabamy.

- Moja rodzina mieszka w Chattanooga od pokoleń. - Umył pierwszy talerz, spłukał go i podał Lindsay.

Rozmawiali o tym i owym i nie wiadomo kiedy naczynia, sztuce, waza i szklanki zostały umyte, wytarte i pochowane.

- Zabrałaś walizkę? - spytał Judd, biorąc od Lindsay ścierkę i wieszając na krawędzi zlewu, żeby wyschła.

- Tylko torbę podręczną.

- Będę musiał pościelić jedno z łóżek na dole. Możesz sobie wybrać, które chcesz. Pewnie nie masz ochoty spać w tym pokoju co zwykle, gdzie... - Zamknął oczy ze złością miną.

Lindsay chwyciła go za rękę tuż nad łokciem. Otworzył oczy i spojrział na nią.

- Jeżeli mamy zostać przyjaciółmi - powiedziała - oboje musimy zapomnieć o tym, co się stało tamtej nocy.

- A potrafisz?

- Tak, myślę, że tak. - Puściła go.
- Może ty jesteś w stanie mi wybaczyć, ale ja nie jestem pewien, czy potrafię wybaczyć samemu sobie.
- Wszystko w swoim czasie - rzekła miękko. - Robisz pierwsze kroki, próbując się pozbierać po potwornej tragedii. Nie oczekuję cudów z dnia na dzień, i ty też nie powinienes.

Westchnął.

- Chyba zawsze będę pokręcony. Nigdy nie będę tym samym facetem, którym byłem, zanim Jennifer została zamordowana, i wciąż pragnę zemsty równie mocno jak tydzień temu. Tylko... - Ścisnął jej rękę. - To dla ciebie chcę znów być porządnym człowiekiem.

- Dla mnie? - Lindsay nerwowo zagryzła dolną wargę.

Ujął jej twarz w dłonie.

- Walczyłem z tobą zębami i pazurami? Niczym nie zasłużyłem na twoją przyjaźń, a tym bardziej miłość. Wiem o tym. Ale nasz dobry znajomy Griff uświadomił mi, że byłem od ciebie zależny, że cię potrzebowałem, że chciałem i oczekiwałem tego, że zniesiesz cały ten syf, w którym tkwiłem, i nie będziesz miała dość.

Zamrugła, by powstrzymać łzy, i posłała mu nieśmiały uśmiech.

- Griff jest dobry w umoralniających gadkach, co?

- Nie mogę ci nic obiecać ani nic dać. Jeszcze nie. A może nigdy.

Położyła dłoń na jego rękę.

- Chyba wiesz, że jeśli chodzi o ciebie, wyzbyłam się wszelkiej godności. Zrobiłabym dla ciebie wszystko. Ja...

Pochylił głowę i pocałował ją, wciąż trzymając jej twarz w delikatnym uścisku. Zareagowała, rozchylając wargi i rozkoszując się chwilą. Kiedy obojgu zabrakło tchu, przerwali i wpatrywali się w siebie. Judd opuścił rękę.

- Gdybym poprosił, żebyś poszła ze mną do łóżka...

- Poproś.

- Nie, nie dzisiaj.

- Och. - Poczuli się, jakby wymierzył jej policzek.

- Nie chodzi o to, że cię nie pragnę. Nie. Pragnę cię do bólu.

- To czemu?

- Nie zasługuję na ciebie. - Wsunął drżące dłonie do kieszeni dżinsów. - Jestem zwariowanym pustelnikiem, oszalałym na punkcie zemsty degeneratem, a na dodatek alkoholikiem. Nie jestem atrakcją dla żadnej kobiety, a już na pewno nie dla ciebie.

Lindsay westchnęła ciężko. Judd przyznał się nie tylko do jednej potwornej prawdy, ale do trzech naraz. Nie zdawała sobie sprawy, że wie i sam przyzna, że stał się alkoholikiem. To chyba postęp!

- Nie kocha się kogoś dlatego, że jest doskonały. Kocha się mimo wad - powiedziała. - Proszę, pozwól sobie pomóc. Pozwól, żebym cię kochała.

- A jeśli nie mogę dać ci nic w zamian?

Możesz. I dasz. Kiedyś.

- Nie proszę cię o nic poza tym, żebyś otworzył się na tyle, by wpuścić mnie do swojego życia. Jako przyjaciółkę, jako kobietę. Jak chcesz, jak ci potrzeba.

- Chcę, żeby tym razem wszystko było tak, jak powinno być. Powoli, bez pośpiechu. Chcę poczekać, żebyś nie miała żadnych wątpliwości, żebyś nie myślała o tym ostatnim razie. Chcę, żebyś była w stanie mi zaufać. - Wyciągnął rękę.

Ujęła jego dłoń i wrócili do salonu. Nastawiła płytę, a gdy popłynęły delikatne dźwięki saksofonu i gitary, Judd wziął ją w ramiona, a ona wtopiła się w niego jak masło w ciepły chleb.

- Kiedyś dość dobrze tańczyłem - powiedział.

Zamknęła oczy, oparła głowę na jego piersi i jedną ręką objęła go w pasie, a drugą położyła na ramieniu.

Jeżeli to tylko sen, miała nadzieję, że nigdy się nie obudzi.

Rozdział 26

Obejrzała trzy sypialnie na dole - unikając tej, z której Judd wyrzucił ją przed pół rokiem - i wybrała drugą od wejścia, pewna, że był to pokój jego babci. W przestronnym pomieszczeniu dominowało mahoniowe łóżko z baldachimem, ustawione w rogu między wysokimi oknami na bocznej i tylnej ścianie. Przeciwległe ściany zajmowały trzymetrowa szafa z masywnymi drzwiami i misternie rzeźbionym frontem oraz marmurowa toaletka z olbrzymim fazonowanym lustrem.

- Będę spać w tej - oznajmiła.

Judd uśmiechnął się szeroko.

- To był pokój Mimi.

- Tak myślałam. - Weszła do sypialni i przyjrzała się wszystkiemu, od wełnianego dywanu na podłodze po sufit zwieńczony gzymssem w orzechowym kolorze, identycznym z ramami okien i drzwi.

- Meble przywieziono z domu w Lookout Mountain - powiedział Judd. - Należały do rodziców mojego dziadka i stały na strychu.

- Twój dom w górach musi być niesamowity. Któregoś dnia będziesz musiał mi go pokazać.

- Może ci się nie spodobać. Jennifer go nie lubiła, leśniczówki też nie. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Przepraszam. Ciągle...

Położyła mu palec na ustach.

- Nigdy mnie nie przepraszaj za to, że o niej mówisz.

Ścisnął jej dłoń i pocałował kostki palców.

- Pójdę po pościel. A jak mi dasz kluczyki do samochodu, to przyniosę twoją torbę.

- Ty zajmij się pościelą. Ja przyniosę torbę.

Spojrzał na kominek.

- Jeżeli chcesz, rozpalę ogień. Wiesz, że nie ma tu centralnego ogrzewania, a o tej porze roku noce bywają bardzo zimne.

- Kominek będzie cudowny. Dziękuję.

Kiedy wyszedł, rozejrzała się dokładniej. Otworzyła szafę i przejrzała się w wielkim lustrze. Ciekawe, jak wyglądała babcia Judda. Na pewno była piękna i elegancka, jak wszystkie kobiety z wyższych sfer. Przechadzając się po sypialni, dostrzegła oprawioną fotografię na nocnym stoliku. Od razu domyśliła się, że to zdjęcie Mimi. Kobieta na fotografii miała około czterdziestu lat, ogniście rude włosy, intensywnie błękitne oczy i kwadratową*twarz usianą piegami. Nie była piękna ani nawet ładna, ale emanowała energią i radością życia.

Przy fotografii stała prostokątna szkatułka na biżuterię. Lindsay uniosła wieczko i rozległy się dźwięki *Clair de Lune* Debussy'ego.

- To Mimi. - Judd spojrzał na ramkę, którą Lindsay trzymała w dłoni. Stał w drzwiach z nareczem poszewek, koców i poduszek. - Powiedziała mi, że dziadek wyznał jej już po ślubie, że gdy zobaczył ją po raz pierwszy, wydała mu się równie atrakcyjna jak stary but. Ale to było, zanim się do niego odezwała i uśmiechnęła.

Wszedł, rzucił pościel na łóżko, a potem podszedł do Lindsay i wziął od niej zdjęcie.

- Dla mnie była najpiękniejszą kobietą na ziemi - powiedział, wpatrując się w fotografię. - Kochałem ją najbardziej na świecie.

Odstawił ramkę i spojrzął na kominek.

- Pójdę po drewno i zapałki. Za chwilę wrócę.

Wyszedł, a Lindsay zajęła się ścieleniem łóżka. Pościel była czysta, ale lekko pachniała wilgocią, jakby po wypraniu poszewki długo leżały w szafie.

Gdy Judd wrócił, powlekała poduszki. Przyglądała się, jak układa drewno w kominku i zapala zapałkę.

Miał szerokie ramiona, szczupłą talię, wąskie biodra i długie nogi. Włosy sięgały mu krawędzi flanelowej koszuli w kolorze mchu.

Wstał i ich spojrzenia się spotkały.

Odwróciła wzrok.

- Powinnam wyjść po torbę - powiedziała.

- Ja to zrobię. Muszę mieć zajęcie. Inaczej zacznę walić głową w ścianę albo pojedę do najbliższego sklepu monopolowego. Upiłem się w niedzielę wieczorem, ale od tamtej pory nawet nie powąchałem alkoholu. Jestem rozdrażniony i... - Zachichotał smętnie. - Mówiłem ci, że jestem pokręcony.

Wyjęła z kieszeni kluczyki i rzuciła. Złapał je, mimo że drżały mu ręce.

- Wiesz, gdzie jest łazienka - powiedział i wyszedł na korytarz.

Lindsay zastanawiała się nad tym, co zaszło między nią a Juddem dzisiaj wieczoru. Akurat kiedy niemal zdążyła stracić nadzieję...

Nie złożył ci żadnych obietnic.

Boi się, że cię zrani.

Nadal kocha Jennifer.

Trzy powody, żeby nie angażować się seksualnie.

Bo emocjonalnie była już zaangażowana tak, że bardziej się nie da. I pragnęła go. Rozpaczliwie.

Wrócił po kilku minutach, niosąc jej torbę, którą postawił w nogach łóżka.

- Jeśli usłyszysz, że łązę po domu, nie przejmuj się. Wiesz, że mam problemy ze snaniem. A do tego staram się wytrwać w trzeźwości, więc mnie roznosi.

- Gdybym ci była potrzebna... gdybyś chciał towarzystwa o drugiej nad ranem, obudź mnie. Możemy pogadać albo zjeść ciastka z mlekiem.

Skinął głową i się uśmiechnął.

- Dobranoc, Lindsay.

- Dobranoc, Judd.

Judd nie zamykał drzwi na klucz, odkąd zamieszkał w leśniczówce, ale dziś to zrobił. Chciał, żeby Lindsay była bezpieczna.

Myślał, że jego instykt opiekuńczy umarł wraz z Jenny. A jednak nie. Po prostu był uśpiony.

Ale miłość umarła wraz z Jennifer.

Czyżby?

Nie jestem zakochany w Lindsay. Pragnę jej, potrzebuję. Ale jej nie kocham.

Jeżeli kogokolwiek kocham, to tylko Jennifer. W pewnym sensie zawsze będę kochał moją Jenny.

Ale przecież wydawało mi się, że miłość umarła wraz z nią.

Pokręcił głową zdezorientowany. Wydawało mu się, że dobrze zna swoją umęczoną duszę, i pogodził się z tym, że jest bezwzględny sukinysem. Lindsay na nowo rozbudziła w nim uczucia, sprawiła, że zobaczył życie w nowym świetle.

Jedna rzecz się nie zmieniła i nigdy nie zmieni - wraz z Jennifer umarła część niego samego. Dawny Judd Walker wykrwawił się na śmierć tamtego wieczoru, kiedy przytulił swoją martwą żonę. Pozostał z niego wrak, który z czasem zamienił się w żądny zemsty potwora odrzucającego przejawy wszelkiej ludzkiej dobroci. A jednak od Lindsay chłonał życiodajną dobroć, troskę i... miłość.

Pogasił światła w pokojach na dole i tylnymi schodami wszedł na piętro. Pokój, w którym spał, gdy przyjeżdżał do leśniczówki z rodzicami, wydał mu się ciemniejszy, chłodniejszy i bardziej pusty niż kiedykolwiek, odkąd tu zamieszkał.

Świadomość, że w łóżku Mimi śpi Lindsay, a na kominku buzuje ogień, uzmysłowiła mu, że nie chce już być sam.

Przez lata żył z dnia na dzień, użalając się nad sobą, pogrążony w skrajnej samotności. Taką egzystencję wybrał, ale nie można było tego nazwać życiem.

Podszedł do okna, odsunął zasłonę i wyrztał na ogród Mimi, w którym kiedyś rosły nie tylko lilie, nagietki i wiosenne żonkile, ale też wonne świeże zioła, a wczesną jesienią - mnóstwo warzyw. Babcia i ojciec uwielbiali leśniczówkę, nawet jego wymuskana matka od czasu do czasu lubiła wpaść na wieś.

Kochał i szanował rodziców, ale to Mimi wypełniła jego dzieciństwo śmiechem i pięknem. Ona potrafiła wycisnąć każdą kroplę radości z najprostszych rzeczy. Kochała swojego męża i syna i uwielbiała jednego wnuka. Szkoda, że nie doczekała prawnuka.

Nie będzie prawnuka, pomyślał ponuro. Nie będzie przyszłości bez Jennifer...

Kochanej Jenny.

Byłabyś zazdrosna, gdybyś wiedziała, że zależy mi na Lindsay?

Nie kocham jej. Nie wiem, czy jestem zdolny kochać kogokolwiek. Ale Lindsay jest dla mnie ważna.

Usiadł na łóżku i zdjął buty. Zauważył dziurę w prawej skarpecie. Od dawna nie przywiązywał wagi do takich drobiazgów. Uśmiechnął się, zdjął koszulę i rzucił ją na ziemię. Później rozpiął spodnie, położył się w poprzek na niepościelonym łóżku i wpatrywał się w sufit.

Byłbym nie w porządku wobec Lindsay, zaczynając związek z nią ze świadomością, że jej nie kocham.

Ale ty ją kochasz, powiedział mu wewnętrzny głos.

Podniósł się i usiadł na brzegu łóżka.

Tak, kocham ją, ale inaczej niż kochałem Jenny.

Jenny nie ma. A Lindsay żyje. Jest tutaj. I cię kocha.

Judd wstał, wyszedł na korytarz i zbiegł po schodach, zeskakując po dwa stopnie naraz.

Nie masz prawa brać od Lindsay więcej, niż już wzięłeś. Ona cię kocha. Jeżeli do niej pójdziesz, nie odepchnie cię.

Stanął na środku kuchni z zaciśniętymi pięściami. Miał ochotę coś rozwalić, wyładować frustrację na jakimś martwym przedmiocie.

Chciał się napić. Rozpaczliwie chciał się napić.

Ale w domu nie było alkoholu. Pozbył się wszystkich napoczętych butelek.

Nie możesz się upić.

Ale możesz pójść do Lindsay.

Ona cię rozumie, akceptuje i kocha.

A ty jej niczego nie obiecywałeś.

Dlaczego ma się zmagać z tym, czego pragnie, czego oboje pragną?

Wyszedł z kuchni i skierował się do sypialni Lindsay. Zamuruwało go na widok szeroko otwartych drzwi, które wręcz zapraszały do środka.

Zrobił jeden niepewny krok i wtedy zobaczył, że Lindsay nie leży w łóżku. Stała przed rozpalonym kominkiem. Chyba wyczuła jego obecność, bo odwróciła się, spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

Wiedziała, że przyjdzie. Widziała pożądanie w jego oczach, czuła je w jego uścisku, w pocałunku. Może jej nie kocha, ale jej pragnie, i na razie to musi wystarczyć.

- Myślałem, że śpisz - powiedział, pożerając ją wzrokiem.
- Nie jestem śpiąca.
- Ja też nie.

Stali tak, oddzieleni całą przestrzenią sypialni, i po prostu patrzyli na siebie. Judd miał na sobie tylko podkoszulek i dżinsy bez paska. Wyglądał smakowicie. Nic, tylko schrupać.

Zastanawiała się, jak on postrzegają. Nieciekawa w luźnej różowej koszuli nocnej sięgającej tuż nad kolano. Z twarzą bez makijażu i włosami potarganymi od ciągłego przeczesywania ich palcami. Na nogach miała ciepłe puszyste papcie.

- Jestem głodny - oznajmił.
 - Masz ochotę na ciastka i mleko?
- Pokręcił głową i zrobił kilka kroków w jej stronę.
- Nie mam ochoty na ciastka i mleko.
 - Nie? - Ożywiona niecierpliwością, przełknęła nerwowo ślinę.
 - Mam ochotę na ciebie - powiedział.
 - Judd...

Przemierzył dzielącą ich odległość, bez słowa objął ją za szyję i pocałował z zachłanną namiętnością. Dragą rękę położył na jej plecach i przycisnął ją do siebie tak, że dotknęła jego wzwiedzonego członka. Kiedy jęknęła podniecona, zanurzył język w jej ustach.

Całowali się, błędząc dłońmi po swoich ciałach. Pomogła Juddowi zdjąć podkoszulek. Rzucił go na podłogę, a później zdjął jej nocną koszulę i rzucił na swojákoszulkę. Zadrżała, kiedy nocny chłód dotknął jej nagiej skóry, a brodawki jej piersi stwardniały. Spojrzał na nią, uśmiechnął się i ujął jej piersi w dłonie. Kciukami pocierał obie brodawki, uprawiając ją o jęk rozkoszy.

- Lindsay...

Wiedział, że to nie będzie dla niego zwykły seks. Nie była jak inne kobiety. Nie była substytutem Jenny.

Wziął ją na ręce, zaniósł do łóża z baldachimem, położył, uniósł jej biodra i ściągnął majtki. Leżała rozedrgana, spragniona jego bliskości.

Wyciągnęła ręce, a on zdjął slipy i położył się między jej biodrami, wsparty na łokciach.

- Chciałbym, żeby ten pierwszy raz był dla ciebie doskonały - szepnął, patrząc jej w oczy - ale pragnę cię tak bardzo...
- Nie chcę gry wstępnej - powiedziała. - Nie tym razem. Chcę cię czuć w sobie. Teraz.

Chwycił ją za biodra i uniósł. Kiedy w nią wszedł, krzyknęła z czystej radości, że znalazł się w niej.

- Kocham cię -jęknęła. - Tak bardzo cię kocham.
- Moja słodka Lindsay.

Wziął ją w szaleństwie wspólnego pragnienia, zanurzając się w niej głęboko i szybko. Poruszała się wraz z nim, dostosowując się do rytmu, jaki narzucił. Z każdą chwilą narastało w niej podniecenie, aż eksplodowała z rozkoszy zaledwie kilka sekund przed nim.

Przywarła do niego i zaczęła całować po twarzy, wbijając palce w jego pośladki. Jęknął, kiedy wstrząsnął nim orgazm.

Judd, dysząc ciężko, zsunął się z niej i wziął ją w objęcia. Położyła mu głowę na ramieniu, szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Urodziła się po to, żeby kochać tego mężczyznę. Teraz i na zawsze.

Rozdział 27

Przez szpary w starych drewnianych okiennicach do sypialni wpadały promienie porannego słońca. Żółtobiałe palce światła wkradające się przez boczne i tylne okna błędziły po podłodze i dywanie i krzyżowały się na łożu z baldachimem. Ogień w kominku wygasł nad ranem - zostały tylko rozżarzone węgle, więc marcowy wiatr przyniósł do pokoju chłód.

Ale Lindsay nie czuła zimna. Czuła tylko gorące dłonie Judda i jeszcze bardziej gorące wargi, które ją pieściły. Drżała z rozkoszy, kiedy zgłębiał zakamarki jej kobiecości końcem języka. Wreszcie zalała ją fala spełnienia. Judd podciągnął się wyżej, chwycił ją w talii i uniósł nad siebie, tak żeby go dosiadła.

Wciąż przenikały ją dreszcze słabnącego orgazmu, kiedy naprowadził ją na swój członek. Jęknęła, gdy ją wypełnił, i pochyliła się, dając mu dostęp do swoich piersi. Wziął do ust jedną brodawkę, a drugą pieścił kciukiem i palcem wskazującym.

Głodził ją po pośladkach, kiedy go ujeżdżała, przyspieszając stopniowo. Jęknął raz, drugi, ścisnął łakomie wargami jej pierś i eksplodował. Zwolniła i zamarła. Gdy przestały nim wstrząsać fale rozkoszy, ponaglił ją do ruchu i szybko dotarła na szczyt, czując w sobie pół wzwiedzionego jeszcze członek.

Dyszcząc z wyczerpania, rozciągnęła się na nim i ich ciała zespolił wspólny pot. Judd pogłaskał ją po plecach, a później przesunął rękę na pośladki, pieszcząc je niespiesznie.

Wtopiła się w niego i westchnęła ze szczęścia.

- Mogłabym zostać tutaj na zawsze - powiedziała.

Zachichotał.

- W końcu byśmy zgłodnieli i musiałbym cię zanieść do kuchni na mleko i ciastka.

Zamknęła oczy i upajała się tą chwilą. Przez tych kilka lat, odkąd znała Judda, nigdy nie słyszała, żeby żartował i nigdy nie słyszała radości w jego głosie.

Może nie jestem jego miłością ale jestem jego kochanką. Uszczęśliwiam go. Wiem to.

Miała zamiar brać tyle, ile mogła dostać.

- Nie musimy jechać do Birmingham - wyszeptwała, niepewna, jak zareaguje Judd.

- Owszem, musimy. - Położył ją na plecach, pochylił się nad nią i pocałował w czubek nosa. - Byliśmy w naszym świecie. A teraz musimy wrócić do rzeczywistości.

Skinęła głową, wzdychając.

Pogłaskał ją po policzku, a później pocałował, pozbawiając tchu.

Kiedy oderwał usta od jej warg, spojrzała mu w oczy.

- Czy rzeczywistość zakłada nasze wspólne istnienie?

Usiadł na łóżku.

- Zależy, czego chcesz... na co jesteś w stanie się zgodzić.

Zakłuła ją w piersiach. Nie będzie miłosnych wyznań, nie będzie obietnic „na zawsze razem”. Tak wygląda ich rzeczywistość.

- Zgodzę się na wszystko, co możesz mi dać - powiedziała, siadając i przesuwając się na brzegu łóżka tyłem do niego.

Położył jej rękę na ramieniu.

- Zaslugujesz na więcej, niż mogę ci dać.

- Oboje o tym wiemy. Ale moje serce kieruje się własnym rozsądkiem.

Ścisnęła ją za ramię.

- Więc jest, jak jest. Przyjaźń i seks.

Nie płacz. Nie waż się płakać.

- Przyjaźń i seks - powtórzyła.

- Może weź prysznic, a ja w tym czasie zaparzę kawę - zaproponował. - Później ja się wykąpię, a ty przygotujesz nam coś na śniadanie.

Zmusiła się do uśmiechu i zerknęła przez ramię.

- Jedna noc namiętnego seksu, a ty już oczekujesz, że będę ci robić śniadania. Co jeszcze, mój panie i władco? Mam przynosić ci kaptcie i fajkę?

Nie wprowadzaj poważnej atmosfery. Nie utrudniaj mu sprawy. I tak zrobił gigantyczny krok naprzód. Wyjźdź mu naprzeciw.

Judd się roześmiał.

- Fajki nie palę, więc wystarczy przynoszenie kaptcie.

Wstała, zupełnie nie krępując się nagością. Przecież Judd każdy centymetr jej ciała nie tylko widział, ale też dotykał i zgębił.

- Mam ochotę na kąpiel w pianie - oznajmiła. - Przynieś mi do łazienki filiżankę kawy, a może zrobię ci na śniadanie francuską grzanekę.

- Jeżeli zrobisz francuską grzanekę, nie tylko przyniosę kawę, ale jeszcze umyję ci plecy.

- Kawa wystarczy. Jeśli zaczniesz myć mi plecy, skończy się tym, że wylądujesz ze mną w wannie. - Puściła do niego oko, biorąc z podłogi przy łóżku swoją torbę podróżną.

- Wspólna kąpiel to niezły pomysł - stwierdził.

- Skoro mamy jechać do Birmingham, to nie ma już czasu na figle.

Wstał z łóżka, cudownie, rozkosznie nagi.

Boże, mogłaby go zjeść.

- Ślinka ci cieknie, skarbie - powiedział.

- Nic na to nie poradzę. Jesteś wspaniała.

Zmierzył ją łakomym wzrokiem od stóp do głów.

- Ty też.

- Kawa - przypomniała mu. - A później śniadanie. Potem wyjeżdżamy. Ja będę prowadziła, a ty zadzwonisz do Griffa.

- Jesteś apodyktyczna, maleńka.

- Od zawsze.

- Tak, ale dla mnie to coś nowego.

Roześmiała się, przerzuciła sobie torbę przez ramię i ruszyła do łazienki.

Dwie godziny później zamknęli dom na klucz i wyruszyli w kierunku Whitwell. Autostradą międzystanową 24 dotarli do drogi numer 59, prowadzącej prosto do Birmingham.

Griff i agentka Maleah Perdue pojechali do hotelu Wynfrey, a Rick Carson umówił spotkania z trzema kandydatami na informatorów. Wszyscy

pracowali w wydziale dochodzeniowym Bessemer na dość wysokich stanowiskach, ale tylko jeden z nich był bezpośrednio zaangażowany w sprawę LaShae Goodloe - jako jeden z pierwszych policjantów zjawił się na miejscu zbrodni, kiedy kierownik motelu zgłosił morderstwo w pokoju numer 10.

Powell zadzwonił do prowadzącego śledztwo porucznika dochodzeniówki Jeremy'ego Watsona, który zareagował przychylnie, ale powściągliwie. Zmienił podejście, kiedy Griff stwierdził, że FBI niepotrzebnie tak szybko wkracza do akcji i przejmuje sprawę. Wspomniał też, że agentka Nic Baxter, która za wszelką cenę stara się być jak facet, każdego porządnego mężczyznę wpędza w kompleksy - co podziało na męskie ego Watsona jak zakłęcie.

Griff dowiedział się wcześniej - i to dawało mu zdecydowaną przewagę w rozmowie - że Watson był kiedyś mężem przemądrzałej modliszki zajmującej się handlem nieruchomościami, która rzuciła go dla bogatego klienta, a cztery lata temu przeszedł mu koło nosa awans, który dostała młodsza policjantka z mniejszym doświadczeniem.

Uśmiechnął się szeroko, pewny, że Nic Baxter zdążyła już wkurzyć detektywa swoim obcesowym podejściem.

- Słuchaj, Jeremy... Chyba mogę się do ciebie zwracać po imieniu? - spytał tonem grzecznego chłopca.

- Jasne. Ale mów mi Jere. Tak zwracają się do mnie kumple.

- A ty mów mi Griff.

- Z przyjemnością - odrzekł Watson.

- No to słuchaj, Jere. Wiem, że oficjalnie nie możesz włączyć mnie do śledztwa, i nie chcę stwarzać żadnych problemów. Ale my, faceci, powinniśmy trzymać sztamę, nie sądzisz?

- Jasna sprawa.

- Agentka Baxter wykonuje swoją pracę...

- A przy okazji poniewiera mną i całym moim wydziałem. Przejęła nawet prowadzenie konferencji prasowej po południu. - Watson mruknął pod nosem kilka niecenzuralnych słów. - Wiesz, co to za typ. Cholera, ty chyba nawet znasz ją osobiście?

- Tak, musiałem się z nią użerać przy okazji każdej sprawy związanej z zabójcą królowych piękności. - Griff zachichotał i ściszył głos do szeptu. - Ta baba to prawdziwa modliszka.

Watson zaśmiał się głośno.

- Słuchaj, muszę kończyć. Baxter i ten jej pomagier Friedman wzywają mnie. Sprowadzili recepcjonistę z nocnej zmiany. Przesłuchałem

go wczoraj, ale jej to nie wystarcza. Musi go przesłuchać osobiście. Nie dowie się niczego poza tym, że widział, jak do pokoju numer 10 wchodził jeden facet, a wychodził inny.

- Skoro tak, to chyba znalazłeś naocznego świadka?
- Owszem. Problem w tym, że nie potrafi dokładnie opisać żadnego

z tych facetów.

Griff starał się panować nad głosem.

- Dzięki za informacje.
- Niczego przed tobą nie zataję - powiedział Watson. - Może umówimy się później na piwo? Daj mi swój numer, to do ciebie zadzwonię.

Mając głównego śledczego tak skorego do współpracy, mogą wcale nie potrzebować informatora, ale Griff wolał zabezpieczyć się na każdym froncie. Nie zaszkodzi mieć więcej źródeł informacji.

Nic od pierwszej chwili czuła niechęć detektywa Watsona. Choć był tuż po czterdziestce, należał do policjantów starej daty, którzy uważają, że kobiety powinny siedzieć w domu i rodzić dzieci. Pewnie miał do czynienia z kobietą, która jeździła po nim, jak chciała, i dlatego nie cierpi wszystkich dynamicznych kobiet. Do diabła z nim, pomyślała. Nie ma czasu ani ochoty przejmować się jego uprzedzeniami.

W imię dobrej współpracy poprosiła porucznika, żeby razem z nią i Joshem przesłuchał Randy'ego Tidwella, recepcjonistę z nocnej zmiany w motelu, w którym znaleziono ciało LaShae.

Nic i Josh przyjechali do Birmingham wczoraj późnym wieczorem i od razu udali się do siedziby miejscowej policji, a dopiero później zameldowali się w hotelu. Rano dołączyło do nich czterech innych agentów pracujących nad sprawą zabójcy królowych piękności.

Gdy tuż przed ósmą dotarła z Friedmanem na komisariat, spodziewała się, że zastanie tam Griffina Powella. Ale jak do tej pory nie pojawił się. Czyżby czekał na popołudniową konferencję prasową? Pewnie tak. Szukał każdej okazji, żeby ją wkurzyć. Kiedyś przesadzi i da jej powód, żeby mogła go aresztować.

Musiała przyznać, że z utęsknieniem czeka na ten dzień.

- Watson już jest - wyszeptał jej do ucha Josh. - Możemy wchodzić?
- Tak, jasne. - Skinęła głową porucznikowi, po czym wszyscy troje weszli do pokoju przesłuchań.

Randy Tidwell siedział na krześle z rękami uniesionymi do góry i dłońmi splecionymi za głową. Wyglądał, jakby wszystko miał gdzieś.

- Dzień dobry, panie Tidwell. Nazywam się Baxter i jestem agentką specjalną Federalnego Biura Śledczego. - Podeszła do niego z wyciągniętą ręką.

Poderwał się z krzesła i uściśnął jej dłoń.

- To pani prowadzi sprawę?

- Tak. - Ruchem głowy wskazała na Josha. - To agent specjalny Friedman. - Obejrzała się za siebie. - Detektywa Watsona z wydziału dochodzeniowego już pan poznał.

Tidwell spojrzał kolejno na obu mężczyzn, po czym utkwiał wzrok w Nic.

- Kiedy szef zadzwonił do mnie i powiedział, że w naszym motelu została zamordowana LaShae Goodloe z WBNN, dotarło do mnie, że któryś z naszych gości z pokoju numer 10 był zabójcą. Albo ten, który go wynajął, albo ten drugi.

- Proszę opowiedzieć, jak wyglądał ten, który wynajął pokój - prosiła Nic.

- Miał potargane blond włosy i niebieskie oczy. Był średniego wzrostu i trochę przykości. Może nie gruby, ale nabity.

- Rozpoznałby go pan, gdyby go pan zobaczył? - spytała Nic.

- Chyba tak.

Zmrużyła oczy. Od Tidwela wyczuwała dziwne sygnały - nic niepokojącego, po prostu miała wrażenie, że podoba mu się rola naocznego świadka.

- Porucznikowi Watsonowi nie podałeś pan żadnych szczegółów na temat wyglądu mężczyzn. Dlaczego?

- Nie chciałem tracić czasu na pionka. - Tidwell uśmiechnął się szeroko. - Całą historię zostawiłem dla szefa. - Wskazał na nią. - Znaczy się, dla pani.

Wiedziała, że ta uwaga uraziła męską dumę Watsona.

- Dobrze. Więc widział pan blondyna, który wchodził do pokoju numer 10, a kilka godzin później widział pan, jak wychodzi ktoś inny.

- Zgadza się. Wskoczyłem na chwilę po pepsi z maszyny przed biurkiem i wtedy zobaczyłem, jak ten drugi facet jakby się wymyka z pokoju numer 10. Chyba myślał, że nikt go nie widzi. Ale ja widziałem.

- Ja wyglądał ten mężczyzna?

- Mógł mieć metr siedemdziesiąt pięć, może metr osiemdziesiąt. Mocno zbudowany, ale nie gruby. Było ciemno, nie widziałem, jakiego koloru ma oczy, ale włosy miał ciemne. Chyba ciemnobrązowe.

Kolor włosów i oczu można zmienić w jednej chwili - wystarczy skłła kontaktowe i farba albo peruka. Intuicja podpowiadała jej, że blondyn, który wchodził do pokoju, i brunet, który z niego wychodził, to ten sam mężczyzna. Średniego wzrostu, solidnej budowy.

Skinęła na Josha, który wyjął z teczki kopie trzech portretów pamięciowych i podał jej.

- Chciałabym, żeby przyjrzał się pan tym portretom i powiedział, czy mężczyzna, którego pan widział, był podobny do któregoś z nich. - Nic rozłożyła rysunki na stole. - Proszę się nie spieszyć.

Tidwell przyglądała się portretom pamięciowym, a porucznik Watson niepostrzeżenie przesunął się za Nic, żeby mieć lepszy widok.

- Na żadnym z nich nie ma blondyna - oznajmił recepcjonista. - Nie jestem pewien, ale ten... - Wskazał palcem jeden ze szkiców sporządzonych przez rysownika Grifnna Powella.

Nie była zaskoczona, kiedy kilka dni temu otrzymała te portrety w załączniku mailowym. Griffin przekazywał FBI informacje, odkąd Judd Walker wynajął go do prowadzenia niezależnego śledztwa w sprawie morderstwa Jennifer Walker. Musiała przyznać, że czasem udawało mu się dotrzeć do informacji, których oni nie mieli.

- Czy mężczyzna, którego pan widział, miał kapelusz albo okulary przeciwsłoneczne? - spytała.

- Nie, ale widziałem go z profilu, tak jak jest na tym rysunku, i wyglądał jak ten facet.

- Dziękuję, panie Tidwell. - Zerknęła na Josha, który skinął głową, a później znów zwróciła się do świadka. - Agent specjalny Friedman zada panu jeszcze kilka pytań, a później będzie pan wolny. I dziękuję za współpracę.

Wyszła z pokoju przesłuchań, a za nią porucznik Watson. Zanim zdążył coś powiedzieć, podszedł do nich śledczy Deaton, partner Watsona.

- Mogę cię na chwilę prosić, Jere?

- Przepraszam, pani Baxter. - Porucznik celowo pominął jej oficjalny tytuł, zwrócił się do niej per „pani”, jakby była zwykłą kobietą.

Coś się kroi, czuła to w kościach. Watson i Deaton rozmawiali szeptem, od czasu do czasu spoglądając w jej stronę, jakby była tematem ich rozmowy. Po kilku minutach Deaton wyszedł, a Watson zwrócił się do niej.

- Chłopaki od badania miejsca zbrodni znaleźli dowód, który przekażą pani ludziom. - Spełnił swój obowiązek, ale czuła, że nie miał na to najmniejszej ochoty.

- Dlaczego nie wspomniał pan wcześniej o tym dowodzie?
- Bo dopóki nie zajęła się nim ekipa badająca miejsce przestępstwa, nie wiedzieliśmy, że jest tak istotny.
- Rozumiem. Proszę mi powiedzieć, co to za dowód.
- Na miejscu przestępstwa znaleźliśmy torebkę LaShae Goodloe - rzekł Watson. - Nie sądziliśmy, że cokolwiek wniesie do sprawy, dopóki nie znaleźliśmy w niej dyktafonu.

Nic przyjrzała mu się badawczo, ale powstrzymała się od komentarzy.

- Była dziennikarką telewizyjną, czy kimś w tym stylu - ciągnął Watson. - Nikogo nie zdziwiło, że miała dyktafon. Oddaliśmy torebkę z całą zawartością chłopakom od badania miejsca przestępstwa. Przesłuchali kasetę dziś rano. Jest na niej fragment wywiadu, w którym jakiś facet opowiada o tym, jak w dzieciństwie został wykorzystany seksualnie przez duchownego. I...

- I?

- Nagrał się też zabójca, który mówi ofierze, w jaki sposób ma zamiar ją zabić. Nie słycać wszystkiego, ale to, co jest, wystarczy do rozpoznania głosu, jeżeli będzie z czym go porównać.

Rozdział 28

Zaledwie pół godziny po przyjeździe Lindsay i Judda do Birmingham Griff zorientował się, że wiele się zmieniło nie tylko między nimi obojgiem, ale i w samym Juddzie. Nie była to rewolucja, ale każdy, kto znał Judda nie od dziś, wychwyciłby drobne różnice. A on znał go i sprzed Jennifer, i z okresu ich małżeństwa, i z okresu po jej śmierci. Choć mężczyzna, który zjawił się w Wynfrey, nie przypominał żadnego z tych Juddów, Griff dostrzegł w nim znajome cechy. Był rozdrażniony z powodu głodu alkoholowego, jednak sprawiał wrażenie mniej ponurego i z pewnością nie był tak zacięty jak dawniej.

- Jadę się spotkać z detektywem Watsonem - oznajmił Griff. - Może pojechałbyś ze mną?

Judd spojrział na niego pytająco.

- A mnie nie spytasz? - oburzyła się Lindsay.

Griff pokręcił głową.

- Nie. Ani ciebie, ani Maleah. Z tego, co wiem, porucznik woli mieć do czynienia z mężczyznami. - Uśmiechnął się promiennie do niedawno zatrudnionej agentki, drobnej blondynki z wielkimi brązowymi oczami i ciałem modelki. Była magistrem prawa karnego, wyborową snajperką i mistrzowsko grała w pokera. Ta ostatnia informacja pochodziła bezpośrednio od Ricka Carsona, który ostatnio zgrał się przez nią do koszuli.

- Rozumiem. - Lindsay wyduła wargi i skinęła głową. - Tak to jest zostawić sprawy w twoich rękach. Słowo daję, Griffinie Powelli, jesteś jak kameleon, zmieniasz się na zawołanie.

- Tego rodzaju talent jest w mojej pracy bezcenny.

Przewróciła oczami i pokręciła głową.

Griff puścił do niej oko.

- My, mężczyźni, odwalimy najcięższą robotę, a wy, dziewczyny, zorganizujcie u mnie w pokoju kolację dla nas wszystkich. Będziemy mieć nowe wieści, porównamy fakty.

Maleah spojrzała gniewnie na szefa. Lindsay z uśmiechem pogroziła mu palcem.

- Żartuje - wyjaśniła koleżance. - Ale uprzedzam cię: wielki szef szanuje równouprawnienie w pracy, lecz jednocześnie jest męskim szowinistą.

- To się chyba nazywa zawołany komplement? - skwitował Griff.

- Jedźcie, chłopaki - odpędziła ich Lindsay. - Maleah przekaże mi wszystkie bieżące informacje.

Pięć minut później Griff i Judd wyjeżdżali z Winfrey do baru w Bessemer, gdzie sierżant Watson umówił się z Powellem.

- Mam dla ciebie bardzo interesującą informację - oznajmił porucznik. - Nowy fakt w sprawie.

Griff nie naciskał, żeby Watson przekazał mu informację przez telefon. Domyślał się, że porucznik należy do osób, które lubią, żeby poklepać je po plecach za dobrą robotę.

Kiedy wjeżdżali na drogę numer 459, rzucił Juddowi przelotne spojrzenie.

- Co mi powiesz?

- A co ci mam powiedzieć? - odparł Judd, jakby nie miał pojęcia, o co Griffowi chodzi.

- Co zaszło między tobą a Lindsay?

- Jest dobrze. Naprawdę dobrze.

- To znaczy?

- Pracujemy nad tym, żeby ustalić, co nas łączy.
- W porządku. Ale nie waż się jej znowu zranić - ostrzegł go Griff.
- Jeżeli mi się zdarzy, to na pewno niechcący.

Griff prychnął.

- Ja... nie jestem niczego pewien - wyznał Judd. - Przez kilka lat tkwiłem w czarnej dziurze, a teraz próbuję się z niej wydostać. Może mi się uda. Może nie.

- Jeżeli będziesz nieostrożny, możesz pociągnąć za sobą do tej czarnej dziury Lindsay.

- Myślisz, że o tym nie wiem?

- A wiesz? Ta kobieta oddałaby za ciebie życie, a ty przez ostatnie cztery lata tylko ją..

- Miałeś rację, że jej potrzebuję.

Griff nie odpowiedział. Zjechał z autostrady, kierując się wskazówkami Watsona, i dopiero gdy zatrzymał się na czerwonym świetle, spojrzął przyjacielowi w oczy.

- Jak mogę ci pomóc? - spytał.

- Po pierwsze, potrzebuję pomocy, żeby przestać pić. - Judd otarł ręką usta. - Od kilku dni nie tknąłem ani kropli i jest mi coraz trudniej, nie łatwiej.

- Pojedź z nami do Przystani Griffina. Yvette...

- Już z nią rozmawiałem i zaproponowała, że może ze mną pracować. Ale nie chcę w to wciągać Lindsay, a ona przecież będzie w Przystani. Tę jedną rzecz chcę zrobić o własnych siłach, bez jej pomocy. - Spojrzał Griffowi w oczy jak mężczyzna mężczyźnie.

- Rozumiem. Znajdziemy dla ciebie najlepszą klinikę odwykową na Południu.

- Dzięki. I nie chcę z tym zwlekać. Chcę tam pojechać, jak tylko ustalimy nowe fakty w sprawie tego zabójstwa.

- Słuchaj, umówiłem się z Watsonem w barze - uprzedził Griff. - Gdybym wiedział, że starasz się przestać pić...

- Przecież nie zawrócisz, żeby mnie odwiedzić do hotelu - rzucił Judd. - Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia ten facet. Muszę przy tym być.

- Ale aż się pocisz na samą myśl o...

- Zamówię colę, a gdyby mi przyszło do głowy wypić coś mocniejszego, kopnij mnie w tyłek.

- Masz to jak w banku - zapewnił Griff.

Maleah przygotowała wszystko do kolacji na sześć osób w pokoju Griffa, a Lindsay skontaktowała się z Rickiem i Holtem, żeby poinformować ich o wieczornych planach.

- Chyba szybko się uwinęłyśmy. - Spojrzała na Maleah z uśmiechem.

Maleah, zatrudniona tuż przed Bożym Narodzeniem, dopiero niedawno ukończyła sześciotygodniowe szkolenie, które musiał zaliczyć każdy agent Powella. Niezależnie od tego, jakie doświadczenie zawodowe miał nowo zatrudniany agent - w policji, wojsku czy jako najemnik - Griffin wszystkich wysyłał na specjalny obóz dla rekrutów. Niektórzy go zaliczali, inni nie.

Lindsay nie była w stanie pojąć, dlaczego kobieta z wyglądem i inteligencją Maleah chce zostać prywatnym detektywem, nawet jeśli miałaby to być praca w Agencji Powella, uznawanej za jedną z najlepszych w branży.

- Chyba wiesz, że to moje pierwsze zadanie w terenie - powiedziała Maleah. - Zdziwiłam się, że pan Powell zabiera mnie ze sobą. Sprowadził inną agentkę, żeby pomagała Angie w ochronie pani Hughes.

- Griff lubi dawać nowym agentom rozmaite zadania. Dzięki temu może ocenić ich zdolności w różnych dziedzinach i zdecydować, do jakiego rodzaju pracy nadają się najlepiej.

- Ty pracujesz tylko nad sprawą zabójcy królowych piękności, prawda?

- Właściwie tak. Od czasu do czasu trafia mi się jakieś inne zadanie, ale zajmuję się głównie tym śledztwem.

- Słyszałam od innych agentów o panu Walkerze i muszę przyznać, że nie tego się spodziewałam. Wcale nie wygląda na bestię. - Zorientowała się, że powiedziała coś, czego nie powinna była powiedzieć. - Przepraszam, wymknęło mi się. Wiem, że jesteś związana z... - Pokręciła głową. - Boże, przepraszam. Jestem zdenerwowana i za dużo gadam.

- Nie szkodzi - uspokoiła ją Lindsay. - Pewnie Angie powiedziała ci, co mnie łączy z Griffem i Juddem, kiedy pracowaliście razem w Przystani Griffina.

- Angie nie plotkowała. Naprawdę.

- Nie przejmuj się. To żadna tajemnica, że przyszedłam do Agencji Powella tylko z jednego powodu: żeby pomóc Griffowi wytropić zabójcę królowych piękności. I że kierowały mną osobiste pobudki. Pracowałam

z głównym detektywem w sprawie morderstwa Jennifer Walker i od dłuższego czasu jestem zakochana w Juddzie.

Maleah spojrzała na Lindsay z wyrazem podziwu w dużych brązowych oczach.

- Chyba cię polubię - stwierdziła. - Jesteś bezpośrednia i szczerą.

- Ja chyba też cię polubię.

- Przyjaźń? - Maleah wyciągnęła rękę.

Lindsay uścisnęła jej dłoń.

- Słuchaj, chciałabym zaproponować coś panu Powellowi - oznajmiła Maleah. - Ale jestem w agencji nowa i nie wiem, czy mi wypada. Mogłabyś mi doradzić?

Lindsay wskazała gestem kanapę w apartamencie Griffa.

- Jasne. Usiądźmy i powiesz mi, o co chodzi.

- Dobrze - zgodziła się Maleah. Sięgnęła po swoją aktówkę leżącą na biurku pod oknem i zajęła miejsce obok Lindsay. Położyła sobie teczkę na kolanach, otworzyła ją i wyjęła skoroszyt. - Spójrz na to. Wycinki z gazet i szczegółowe dane na temat pewnej kobiety.

Lindsay popatrzyła na zdjęcie przedstawiające atrakcyjną drobną blondynkę. Przebiegła wzrokiem artykuł o dawnej Miss Studentek, która teraz była aktorką, autorką sztuk teatralnych i reżyserem. Paige Allgood zamierzała stworzyć w Knoxville grupę teatralną, która wystawiałaby jej sztuki oraz sztuki innych zaprzyjaźnionych dramatopisarzy. Dzięki majątkowi odziedziczonemu po niedawno zmarłym mężu mogła spełnić marzenie swojego życia.

- To interesujące, ale nie widzę...

- Przypatr się jej - powiedziała Maleah. - Nie dostrzegasz podobieństwa?

Lindsay jeszcze raz spojrzała na zdjęcie, a później przejrzała plik wycinków prasowych, lecz nie skojarzyła kobiety z nikim znajomym.

- Przykro mi, ale...

- Ta kobieta mogłaby uchodzić za moją albo twoją siostrę. Blondynka, drobna, ładna i w naszym wieku. Ma trzydzieści lat. Ja mam dwadzieścia dziewięć.

Lindsay nigdy nie uważała się za ładną.

- I co?

- Gdyby udało się nam skłonić ją do współpracy, przez kilka tygodni mogłabym się pod nią podszywać i...

- Cholera! Proponujesz pułapkę i za przynętę chcesz użyć siebie.

- Wiem, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć, czy zabójca poślknie haczyk, ale...

- Griff nigdy się na to nie zgodzi.

- Jesteś pewna?

- Tak, ja...- Lindsay przyjrzała się zdjęciom Paige Allgood. Rzeczywiście, ona też była podobna do tej kobiety. Nawet bardziej niż Maleah, którą natura obdarzyła znacznie wydatniejszym biustem i o wiele ładniejszą twarzą od byłej Miss Studentek. Lindsay, przy odpowiednim makijażu i fryzurze, i oczywiście w innym stroju, bez trudu mogłaby uchodzić za Paige Allgood wśród ludzi, którzy nie znają jej osobiście.

- Nic nie mówisz - zauważyła Maleah. - Ale widać, jak pracując ci tryby w mózgu. O czym tak myślisz?

- O paru sprawach. Po pierwsze, trudno będzie przekonać Griffa do tego pomysłu. Po drugie, nie wiemy, czy Paige Allgood zgodzi się z nami współpracować. A po trzecie, to ja powinnam udawać Paige, nie ty. - Maleah otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Lindsay powstrzymała ją gestem dłoni. - Żadnych protestów. - Wsunęła jej w dłoń fotografię Paige. - Ona i ja jesteśmy tej samej budowy. Poza tym ja dłużej pracuję w Agencji Powella i mam doświadczenie z pracy w policji, więc jestem lepiej przygotowana do takiej roli niż ty.

- I masz w tym osobisty interes, prawda? - Maleah się skrzywiła. - Przepraszam. Znowu mi się wymknęło. Jestem specjalistką od gaf.

- Nie, masz rację. Jeżeli schwytałyśmy zabójcę Jennifer, może Judd w końcu zdoła uporać się z przeszłością.

- Zrobiłabyś dla niego wszystko. Przecież nawet jeśli zastosujemy wszystkie możliwe środki bezpieczeństwa, coś może pójść nie tak.

- Powinnaś o czymś wiedzieć. FBI już dwa razy próbowało prowokacji. Posłużyli się agentkami, które podawały się za dawne królowe piękności, ale zabójca nie wziął ich pod uwagę, o ile w ogóle zorientował się, że istnieją.

- A ja myślałam, że wpadłam na genialny pomysł!

- To dobry plan. Tyle że nie oryginalny.

Maleah się uśmiechnęła.

- No to porozmawiamy z panem Powellem czy...

- Ja z nim porozmawiam. Powiem mu, że to ty wpadłaś na ten pomysł, ale w Paige Allgood chcę się wcielić ja.

- Jak myślisz, co powie?

- Myślę, że się nie zgodzi.

- I co wtedy?
- Jeżeli zdecyduję się to zrobić na własną rękę, pomożesz mi?
- Naprawdę myślisz, że pan Powell odrzuci ten pomysł?
- Nie wiem, ale gdyby...
- Pomogę ci - zapewniła Maleah.

Lindsay wiedziała, że musi spróbować. Dla Judda. Gdyby udało się jej zwabić zabójcę w pułapkę...

Jedyną rzeczą w pubie O'Brien's, która miała cokolwiek wspólnego z Irlandią, była nazwa i kilka irlandzkich piw w karcie. Jak w większości barów, puszczano tam głośną muzykę, powietrze było przesiąknięte dymem papierosowym, a klientelę stanowiła zbieranina ludzi różnych ras, obojga płci i w różnym wieku. Kiedy weszli z Juddem do środka, Griff rozejrzał się po stolikach.

- Spytaj Pete'a, barmana - poradził mu wcześniej Watson. - On ci pokaże moje stałe miejsce.

Griff wiedział, jak wygląda porucznik - Rick zrobił wywiad na temat Watsona i kilku innych kluczowych postaci w sprawie morderstwa LaShae Goodloe, a do każdego raportu załączył zdjęcie.

- To on. - Wskazał głową stolik w głębi, przy którym nad butelką piwa siedział samotny mężczyzna. - Poczekaj tu, a ja spytam barmana o Watsona. - Uśmiechnął się szelmowsko.

Chwilę później podeszli do policjanta, który dostrzegłszy dwóch mężczyzn zmierzających w jego stronę, wstał i zmierzył ich wzrokiem.

- Porucznik Watson? - Griff wyciągnął rękę.

- Tak. Griffin Powell? Wyglądasz zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy grałeś w piłkę.

- Przez dwadzieścia lat człowiek się zmienia. - Griff uścił dłoń Watsona i przedstawił swojego towarzysza. - To Judd Walker, mój stary przyjaciel. Jego żona padła ofiarą zabójcy królowych piękności cztery lata temu.

Watson przywitał się z Juddem.

- Wyrazy współczucia - powiedział. - Dopadniemy tego sukinsyna.

Usiedli i porucznik skinął na kelnerkę.

- Czego się napijecie? - spytał.

Griff i Judd wymienili spojrzenia, po czym Powell zwrócił się do Watsona.

- Jesteśmy umówieni na wieczór z niesamowitymi kobietami, więc poprzestaniemy na coli. Chcemy odpowiednio zająć się naszymi damami, a alkohol może faceta obezwładnić, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Watson zachichotał i poklepał Griffa po plecach.

- Szczęściarz. - Spojrzył na Judda. - Ty też. Ja wracam do domu, gdzie czekają na mnie obiad z mikrofalówki i pilot od telewizora.

- Facet taki jak ty powinien się opędać od kobiet- stwierdził Griff.

Watson uśmiechnął się szeroko.

Do ich stolika podeszła kelnerka. Griffin zamówił dwie cole, a Watson poprosił o kolejne piwo.

- Tych informacji nie macie ode mnie - powiedział, gdy kelnerka zniknęła. - Chyba mogę liczyć na to, że nie zdradzicie mojego nazwiska?

- Oczywiście - zapewnił Griff.

- Jak już mówiłem, mamy naocznego świadka. Recepcjonista z nocnej zmiany, niejaki Tidwell, widział, jak do pokoju numer 10 wchodzi jeden facet, a wychodzi inny. - Watson pochylił się i ściszył głos do szeptu. - Ta cała Baxter myśli, że nie wpadłem na to, że ci dwaj faceci, których widział Tidwell, to jedna i ta sama osoba, tylko w przebraniu. Wydaje się jej, że jestem miejscowym półgłówkiem.

- Agentce Baxter wydaje się, że jest bystrzejsza niż większość mężczyzn - skomentował Griff.

- Pokazała Tidwellowi portrety pamięciowe- ciągnął Watson.- Pewnie sporządził je któryś z rysowników FBI na podstawie opisu innego świadka.

- I co? - spytał Griff.

- Czy ten Tidwell dostrzegł jakieś podobieństwo między mężczyzną, którego widział, a mężczyzną z portretów? - wtrącił Judd.

- Tak. Powiedział, że mężczyzna w kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych przypomina mu faceta, który wychodził z pokoju numer 10 w nocy, kiedy dokonano morderstwa.

Judd i Griff wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Mam dla pana jeszcze jedną perełkę, panie Powell - oznajmił Watson z szelmowskim błyskiem w oku.

- Daj spokój, Jere, chyba prosiłem, żebyś mówił mi Griff?

Porucznik się roześmiał.

- Tak, pamiętam. - Pociągnął kilka łyków piwa. -Ale ta informacja jest ściśle tajna i w żadnym wypadku nie może wyciec. Jasne?

- Od nas nikt się niczego nie dowie - zapewnił go Griff.

Kelnerka wróciła z piwem i dwiema colami, które postawiła na stole, i odeszła.

- LaShae Goodloe prowadziła poranny talk show w lokalnej telewizji. Robiła wywiady z ludźmi. - Watson rozejrzał się na lewo i prawo, jakby w obawie, że ktoś może podsłuchiwać. - W jej torebce znaleźliśmy mały dyktafon. Chłopaki od badania miejsca przestępstwa odsłuchali taśmę i zgadnijcie, co usłyszeli?

Griff spojrzął na Judda, który nagle zeszywniał.

- Ta Goodloe musiała włączyć dyktafon, bo nagrało się, jak ten facet opowiada, jak ją zabije - oznajmił Watson. - Chłopaki z naszego zespołu twierdzą, że głos jest na tyle wyraźny, że można dokonać porównania, o ile będzie z czym.

- Dasz radę zdobyć dla mnie kopię tej kasety? - spytał Griffin.

Watson pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie. Chciałbym ci pomóc, ale wpakowałbym się w niezłe gówno, gdybym zrobił coś takiego.

Griff poklepał go po plecach.

- Rozumiem, Jere. Nie przejmuj się.

Gdy pół godziny później jechali z Juddem z powrotem do Wynfrey, powiedział:

- Znajdę sposób, żeby dotrzeć do tego nagrania.

- Danuj sobie - odparł Judd. - Na co ci głos z taśmy, skoro nie masz go z czym porównać?

- Coś ci powiem, ale nie chcę, żebyś się przed kimś wygadał.

- Co?! - zabrzmiało to jak żądanie.

- Portrety pamięciowe, które Baxter pokazała recepcjoniście z nocnej zmiany, wysłałem jej ja.

Judd spojrzął na Griffa zaskoczony.

- Więc Barbara Jean Hughes w końcu przypomniała sobie tyle, że można było zatrudnić rysownika?

- Tak, informacje mieliśmy od Barbary Jean. - Griff nie kłamał, jedynie chronił Yvette. - Licząc recepcjonistę, mamy już trzech naocznych świadków, których opisy się zgadzają.

- Świetnie, ale to niczego nie zmienia. Na portrecie jest facet w okularach przeciwsłonecznych i w kapeluszu. Wielkie mi halo. Masz ogólny rysopis, portret pamięciowy mężczyzny w przebraniu i głos z kasety, którego nie ma z czym porównać. Na co to komu?

- Kiedy zobaczyłem portrety Wade'a, uświadomiłem sobie, że twarz tego faceta jest mi skądś znajoma.
- Co takiego?!
- Chyba go gdzieś widziałem, ale nie potrafię sobie przypomnieć, gdzie, kiedy ani kto to jest. Widocznie przebranie stanowi dla mojego umysłu zbyt wielką barierę.

Rozdział 29

Sandi Ford spojrzała na zegarek- dwadzieścia po siódmej. Miała nadzieję, że Hollowayowie się nie spóźnią, raczej zjawią się wcześniej, ale stało się inaczej. Nie ma sensu bezproduktywnie czekać na potencjalne uczennice i ich rodziców. Tego popołudnia przyszła nowa przesyłka z kostiumami. Kurier jak zwykle zostawił paczki na podłodze tuż za drzwiami. Do wiosennego recitalu zostało zaledwie kilka tygodni, więc im szybciej rozpakuje kostiumy i rozda dzieciom, tym więcej czasu będzie miała na ewentualne poprawki. W zeszłym roku zwlekała niemal do ostatniej chwili i skończyło się tak, że dopłacała za ekspresową przesyłkę.

Wyłączyła wszystkie światła z wyjątkiem jednej jarzeniówki na środku sufitu, która paliła się dwadzieścia cztery godziny na dobę, i poszła do drzwi, żeby przyjrzeć się przesyłce. Kiedy podnosiła pierwsze z wielkich pudeł, usłyszała dziwny hałas.

Co to?

Przycisnęła karton do piersi i zamarła, nasłuchując.

Cisza.

Nie pierwszy raz słyszy dziwne odgłosy, będąc sama w szkole. Budynek jest prawie stuletni, a stare budowle mają to do siebie, że trzeszczą i skrzypią. Wiekowe drewniane podłogi i stropy, skorodowane rury kanalizacyjne, wiatr hulający w kominie.

Zaniósła pudło na zaplecze, włączyła sufitowe światło i postawiła karton na długim drewnianym stole.

Gdzie są nożyki do rozcinania kartonu? Chyba w pudełku z przyborami na najwyższej półce regału. Postawiła na stole przy regale krzesło, weszła na stół i stanęła na siedzisku. Musiała wspiąć się na palce, żeby dosięgnąć pudła.

Czemu, u licha, schowała je tak wysoko?
Żeby dzieci nie mogły go dorwać, ot, dlaczego.
Kiedy zdołała chwycić krawędź pojemnika, usłyszała męski głos.
- Może pani pomóc?

Przestraszona, wypuściła pudło z drżących rąk. Z hukiem upadło na podłogę.

Popatrywała na mężczyznę stojącego w drzwiach. Średniego wzrostu, nieco przy kości, ciemnowłosa i ciemnooki, ubrany w granatowy roboczy kombinezon, jaki zwykle noszą pracownicy obsługi i mechanicy.

- Przepraszam, że panią przestraszyłem. - Uśmiechnął się ciepło. - Nic pani nie jest?

Sandi z trudem usiłowała zapanować nad przerażeniem.

- Pan Holloway?

- Oczywiście. Trochę się spóźniłem. Przepraszam.

Sandi zaczęła schodzić z krzesła, a Donald Holloway pośpieszył jej z pomocą. Zeskoczyła na podłogę, odwróciła się do niego i podała mu rękę, którą serdecznie uściśnęła.

- Gdzie pańska żona i córki? - spytała.

- Dziewczynki są w samochodzie - powiedział. - A Missy, niestety, nie mogła przyjechać. Musiała zostać na dodatkowej zmianie przy pakowaniu.

- Ach, rozumiem. - Nie powinnaś się denerwować tylko dlatego, że jesteś sama na zapleczu z nieznanym mężczyzną. To mąż i ojciec. Ma miły uśmiech i jest sympatyczny. - Może wejdziemy do studia? Na biurku mam broszurkę, którą może pan wziąć i pokazać żonie. Dam panu również formularz zgłoszeniowy.

Mężczyzna skierował się do drzwi i Sandi odetchnęła z ulgą.

Ale nie wyszedł z zaplecza. Zamknął drzwi i odwrócił się twarzą do niej.

- Co pan robi? - spytała, zdając sobie sprawę, jak głupio musiało zabrzmieć jej pytanie. Podeszła do niego zdecydowanym krokiem. - Proszę otworzyć drzwi, panie Holloway.

- Obawiam się, że nie mogę, Sandi.

Jego uśmiech się zmienił. Nie był już uprzejmy, ale chytry i jakby kpiący.

Boże, będą kłopoty!

Kiedy Donald Holloway przysunął się do niej, zaczęła bardzo powoli się wycofywać. Tuż za nią znajdowało się tylne wyjście. Ciężkie dREW-

niane drzwi wychodziły na ulicę, ale niestety były zamknięte na klucz. Cholera, klucze ma w torebce na biurku, razem z telefonem komórkowym i puszką spreju pieprzowego.

Cholera!

- Cieszę się, że tak mi ułatwiłaś sprawę - powiedział Holloway. - Zastanawiałem się, czy jest tu zaplecze, gdzie będziemy mogli być sami.

W jednej chwili podskoczył jej poziom adrenaliny. Usiłowała sobie przypomnieć podstawowe zasady obrony, które znała z telewizji: celuj w oczy albo w krocze. Staraj się złamać facetowi nos. Ale żeby chociaż spróbować, musiałaby podejść bliżej, a nie miała na to najmniejszej ochoty. Co robić? Ten zboczeniec ją zgwałci, o ile nie wymyśli, jak go powstrzymać.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział. - Zastanawiasz się, jak sobie ze mną poradzić i masz nadzieję, że uda ci się uciec. - Zmrużył oczy i wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu. - Im bardziej będziesz się opierała, tym gorzej dla ciebie.

- Niech pan tego nie robi. Proszę.

- Oj, Sandi, Sandi. - Podchodził do niej powoli, bez pośpiechu, jakby był pewien, że ma mnóstwo czasu. - Nie rozumiesz. Muszę. Jesteś dla mnie warta dwadzieścia punktów, a ja tych punktów bardzo potrzebuję, żeby wygrać.

Wpatrywała się w niego zdezorientowana.

- Nie rozumiem.

Wyciągnął rękę i ujął kosmyk jej długich do ramion włosów. Usiłowała się cofnąć, ale pociągnął ją za włosy. Jęknęła z bólu.

- Masz takie piękne rude włosy. Dlatego jesteś warta dwadzieścia punktów.

- Co to za chora gra? - Czyżby za zgwałcenie kobiety o określonym kolorze włosów przyznawał sobie odpowiednią liczbę punktów?

Jego głośny śmiech przeszył ją niczym ostrze noża.

Choć drżała z przerażenia, postanowiła, że nie podda się bez walki.

Kiedy zarzucił jej na kark mięsistą dłoń, wspięła się na palce i uderzyła go głową. Zaklął z bólu i puścił ją w jednej chwili. Wymknęła mu się i ruszyła do drzwi.

- Zapłacisz mi za to, suko!

Już dotykała klamki, gdy chwycił ją za włosy. Przeciągnął ją przez pokój i rzucił na ścianę. Uderzyła twarzą w starą gipsową płytę. Z nosa trysnęła krew.

Holloway jednym szarpnięciem odwrócił ją do siebie i zakrył jej zakrwawioną twarz cuchnącą szmatą. Po kilku sekundach zemdłała.

Pudge zaaranżował wszystko na zapleczu i zamknął na klucz drzwi wejściowe. Ile ma czasu, zanim mąż Sandi zacznie się o nią martwić i przyjedzie sprawdzić, co się dzieje? Pół godziny? Godzinę? Tak czy siak, niewiele.

Otworzyła oczy. Kiedy zorientowała się, że leży na drewnianym stole, a on stoi nad nią, wydała z siebie rozzierający krzyk. Ale tutaj, z dala od ulicy, nikt jej nie usłyszy, choćby nawet - co mało prawdopodobne - przechodził tuż obok szkoły. O tej porze Main Street była opustoszała, jeśli nie liczyć przejeżdżających z rzadka samochodów.

Pudge pogłaskał ją po policzku.

- Ale z ciebie zadziorna wojownicza.

Chciała się podnieść, lecz ręce miała związane tak mocno, że nie mogła się ruszyć.

- No dalej, zgwałć mnie! - zawołała. - Czy może już...

- Zgwałcić cię? Nie bądź głupia. Nie mam zamiaru cię gwałcić.

- To co w takim razie... - Nagle ją olśniło. Znowu krzyknęła.

- Nikt cię nie usłyszy - rzekł beznamiętnie.

- Błagam, nie zabijaj mnie. Mam troje dzieci...

Jej żałosne prośby zagłuszył myślą o nowej lśniącej siekierze, którą ze sobą przywiózł do studia. Schował ją w dużym pudle, które przewiązał szpagatem i postawił przy wejściu. Teraz leżała przy nogach stołu.

Obszedł stół dookoła i zaczął pieścić stopy Sandi. Szarpnęła się i jęknęła.

- Takie zgrabne, małe stopki. Stopki tancerki.

Podniósł siekiere. Przerazona Sandi otworzyła usta do krzyku, ale wydobył się z nich jedynie ochryple świst.

Ścisnął siekiere i uniósł, zamierzając się do pierwszego ciosu. Ogarnęła go euforia, jak na narkotykowym haju, tylko silniejsza i słodsza. O wiele słodsza.

Prawie czuł przerażenie Sandi. Odgłosy jej jęków, krzyków i błagań przyprowadziły go o wzwód. Opuścił siekiere. Ciężkie ostrze odcięło prawą stopę.

Sandi wrzasnęła z bólu.

Pudge uniósł splamioną krwią siekiere i zadał kolejny cios, odrabując jej lewą stopę. Znowu krzyknęła. Jego mięśnie stężały jak porażone prądem.

Przeżył orgazm.
Śmiertelne krzyki Sandi pobrzmiwały mu w uszach, gdy drżał z rozkoszy.

Rzadko miał orgazm, zabijając kobietę; raczej dopiero później, kiedy ponownie rozkoszował się tą chwilą, oglądając zdjęcia, które zawsze robił.

Z zakrwawioną siekierą w dłoniach, przyglądał się Sandi, która najwyraźniej zemdleła z bólu.

Zanim dotarło do niego, co robi, zamachnął się ponownie i opuścił siekierę na jej lewe kolano. Dopiero za trzecim razem udało mu się odciąć łydkę.

Znów poczuł podniecenie. Odrąbał prawą łydkę.

Boże, co za uczucie!

Ogarnięty radością posiadania niemal boskiej mocy, odrąbał Sandi dłonie i przedramiona. Krew zalała stół i ściekała na podłogę. A Pudge, śmiejąc się, nie przestawał wywijać siekierą.

Rozdział 30

Lindsay przeciągnęła się leniwie, rozkoszując się wspomnieniem nocy z Juddem. Wzięli w Wynfrey jeden pokój, więc Griff i jego agenci wiedzieli. I co z tego? I tak od dawna wiedzieli, że ona kocha Judda.

Obróciła się na bok, spodziewając się, że zobaczy Judda, ale jego miejsce było puste. Serce podskoczyło jej do gardła.

- Judd? - zawołała.

- Już idę. - Głos dobiegał zza ściany. Z łazienki albo z korytarza.

Usłyszała jakieś szept i delikatne kliknięcie. Poszukała koszuli nocnej w nogach łóżka, ale nie mogła jej znaleźć. Odrzuciła kołdrę i spojrzała na podłogę. Jest. Schyliła się, podniosła koszulę i wciągnęła przez głowę. Kiedy wstała, Judd wwiózł do pokoju wózek nakryty białym obrusem.

- Podano śniadanie - oznajmił z uśmiechem.

- Zamówiłeś śniadanie? - Przeszła przez pokój. - Cudownie. Umieram z głodu.

Objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

- Namiętny seks pobudza apetyt.
Spojrzała na niego.
- Chyba obojgu nam wychodzi na dobre to bycie razem?
Jasne, Lindsay. Daj mu serce na dłoni. Przecież ty go właściwie błągasz, żeby wyznał ci miłość.
Judd usiadł na krześle i posadził ją sobie na kolanach.
- Mnie wychodzi na dobre, ale nie jestem pewien, czy tobie też - rzekł. - Odkąd się poznaliśmy, ty zawsze dawałaś, a ja tylko brałem.
Obsypała pocałunkami jego twarz.
- Nie mam nic przeciwko dawaniu, o ile tylko chcesz brać to, co mam do zaoferowania. Miłość, przyjaźń, zrozumienie i...
Pocałował ją. Westchnęła, czując upojny smak jego warg.
- Wyjeżdżam na jakiś czas - oznajmił.
Poczuła się tak, jakby uszło z niej powietrze.
- Co? Kiedy?
Ujął jej dłoń, podniósł do ust, rozpostarł i złożył pocałunek na samym środku wewnętrznej strony.
- Dziś po południu. Jadę z Holtem Keinanem do Przystani Griffina, a stamtąd doktor Meng zawiezie mnie do kliniki odwykowej.
- Kiedy się zdecydowałaś? - spytała Lindsay. I dlaczego nie spytałaś mnie o zdanie, dodała w myślach.
- Rozmawiałem o tym z Griffem wczoraj. Wieczorem powiedziała mi, że Yvette wszystko załatwiła i mogę się zgłosić, jak tylko będę gotowy.
- Jadę z tobą - rzuciła bez namysłu.
- Nie.
- Ale dlaczego? Potrzebujesz mnie. Ty...
- Potrzebuję, żebyś pozwoliła mi to zrobić bez ciebie.
Odwrociła wzrok, nie chcąc, żeby widział, jak bardzo jest zła.
- Lindsay?
- Co?
- Zostań z Griffem. Bądź moimi uszami i oczami w tym śledztwie. Chyba możesz to dla mnie zrobić?

Skinęła głową.
- Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, nie będzie mnie tylko kilka tygodni. - Ujął jej podbródek i zmusił, by spojrzała mu w twarz. - Jestem alkoholikiem. Od czterech dni jestem trzeźwy, ale przez cały czas myślę o tym, żeby się napić. Sam sobie z tym nie poradzę. Griff znalazł mi naj-

lepszą klinikę na Południu. Po kilku dniach Yvette będzie mogła ze mną pracować jako osobisty psychiatra.

- Chcesz powiedzieć...

- Chcę powiedzieć, że potrzebowałem psychiatry od śmierci Jennifer. W końcu dostanę pomoc, jakiej potrzebowałem. - Oparł czoło o głowę Lindsay i wyszeptał: - Dla ciebie.

Te słowa napełniły jej serce radością. Judd nie może jej powiedzieć, że ją kocha. Jeszcze nie. Ale kiedyś. Jeśli będzie cierpliwa.

- Mogę dzwonić do kliniki? - spytała.

- Przez pierwszy tydzień chyba nie - odparł. - Ale sam do ciebie zadzwonię, gdy tylko mi pozwolą.

Wtuliła się w niego.

Ty będziesz walczył z demonami, a ja zostawię pułapkę na zabójcę Jennifer i mam nadzieję, że go złapię. To będzie mój podarunek dla ciebie.

Na południe Griff zwołał naradę agentów i wszyscy mieli się stawić o wpół do trzeciej w jego apartamencie. Nikt nie ma prawa się spóźnić. Griff nie znosił niepunktualności. Była to jedna z jego obsesji.

Lindsay przez większą część poranka obmyślała szczegóły planu, który uznały z Maleah za genialny. Jeżeli zdołają skłonić Paige Allgood do współpracy, to ona będzie się pod nią podszywała. Wprowadzi się do Paige, a Maleah będzie udawała jej służącą.

Judd szykował się do wyjazdu do kliniki odwykowej. Zadzwonił do swojego prawnika, do Yvette i wreszcie do swojego starego przyjaciela Camdena Hendrixa. Cam był bardzo zaskoczony telefonem, ale rozmawiali piętnaście minut i umówili się, że się spotkają, kiedy Judd wyjdzie z kliniki.

- Zbyt wiele straciłem przez ostatnie lata - powiedział potem Lindsay. - Jenny została mi odebrana, lecz wszystko inne odrzuciłem sam.

Ona i Judd znaleźli się przed drzwiami Griffa zaledwie kilka minut przed Holtem Keinanem, wysokim chłopakiem z Teksasu, który nosił długie buty i kowbojski kapelusz, a miał maniery dżentelmena starej daty.

Weszli do apartamentu. Maleah i Rick już tam byli.

Kiedy wszyscy usiedli przy stole konferencyjnym - standardowym wyposażeniu w pokojach dla VIP-ów - Griff położył na środku mały magnetofon.

- Czy to ta kasetka? - spytała Lindsay.
- Jeżeli chodzi ci o kopię kasety z torebki LaShae Goodloe, to masz rację - odparł Griff.
- Nie pytam, jak ją zdobyłeś, bo domyślam się, że komuś posmarowałeś.
- Słusznie się domyślasz - przyznał Griff. - Jeszcze jej nie słuchałem, więc nie wiem, co dokładnie zawiera. - Spojrzyła na Judda. - Jeżeli wolałbyś...

- Włącz - przerwał mu Judd.

Griff wcisnął „start”.

Najpierw usłyszeli głos LaShae Goodloe, a później męski głos, cichy i łagodny, niemal nieśmiały.

„Bardzo bym chciała, żeby pan wystąpił w moim programie i opowiedział o tym, co pana spotkało” - powiedziała kobieta. - „Nawet jeżeli nie chce pan ujawnić tożsamości gwałciciela...”

„Wielebny Boyd Morrow” - rzekł mężczyzna.

Griff zatrzymał taśmę.

- Przypuszczam, że żaden wielebny Boyd Morrow nie istnieje, ale sprawdzimy, żeby mieć pewność.

Ponownie włączył kasetę.

„Wiem, ile pana kosztowało, żeby powiedzieć mi to nazwisko. Jeżeli zdecyduje się pan złożyć doniesienie na wielebnego Morrowa, ja i WBNN wesprzemy pana i pomożemy, na ile tylko będziemy w stanie”.

Rozmowa toczyła się dalej - mężczyzna prosił, żeby nie zostawiała go samemu sobie.

Obiecała.

Kilka minut później mężczyzna spytał: „Nic pani nie jest?” - na co odpowiedziała: „Nie, chyba nie. Dziwnie się czuję. Trochę mi się kręci w głowie”.

- Bydlak podał jej jakiś narkotyk - stwierdził Rick.

- Pewnie dosypał jej czegoś do coli - dodała Maleah.

Przez kilka minut nie było słychać rozmowy, tylko nieokreślonego rodzaju hałas. Później, jakby z przeciwległego końca pokoju, rozległ się męski głos:

„Nie panikuj, moja piękna LaShae. Nigdy się nie zestarzejesz i nie zbrzydniesz. Zerwę cię, kwiatuśku, zanim zwiędnie, kiedy jesteś jeszcze świeża i piękna”.

Lindsay ścisnęło w żołądku. Spojrzała na Judda. Był blady, oczy mu błyszczały. Wiedziała, nad czym się zastanawia - czy zabójca wypowiedział podobne słowa do Jennifer, zanim ją zamordował.

„Ćwiczyłem, więc powinienem odrąbać ci głowę jednym silnym ciosem” - ciągnął mężczyzna. - „Nie chcę, żebyś cierpiała”.

Lindsay wzięła Judda za rękę. Była zimna jak lód.

Słuchali dalej. Z kasety dobiegał tylko męski głos.

- Najwyraźniej ją zakneblował, bo słychać tylko jęki - skomentował Griff.

- W tle słychać muzykę - zauważył Rick. - W Potrójnej Ósemce nie ma radia w pokojach. Facet musiał przygotować akompaniament do morderstwa.

„Jeżeli przestaniesz się ruszać, łatwiej mi będzie odrąbać ci głowę za jednym zamachem. Jeśli będziesz się wiercić, będę musiał próbować kilka razy. Chyba nie chcesz cierpieć. Ja też nie chcę, żebyś cierpiała”.

Judd ścisnął dłoń Lindsay tak mocno, że niemal krzyknęła. Dobry Boże, jak on musi cierpieć.

„Nigdy wcześniej nie odrąbywałem głowy, ale stwierdziłem, że pora spróbować, bo czas ucieka i gra niedługo dobiegnie końca. Na człowieku, rzecz jasna. Wcześniej próbowałem, ale tylko na zwierzętach. Głównie na kotach i psach”.

Judd puścił dłoń Lindsay, zerwał się z krzesła i pobiegł do drzwi.

Griff zatrzymał taśmę.

Nikt się nie odezwał, kiedy Lindsay wstała i wybiegła za Juddem.

Dogoniła go w połowie korytarza, kiedy zatrzymał się i zgiął wpół.

- Judd?

- Zostaw mnie. - Nie było w tym wrogości, tylko przejmujący smutek.

- Nie powinnam była pozwolić, żebyś tego słuchał.

- Sam chciałem.

- Powinnam była cię powstrzymać.

Uniósł głowę i spojrzał na nią wilgotnymi oczami.

Mój Boże, on naprawdę ma w oczach łzy!

- Chcę zostać sam - powiedział.

- Judd, proszę, daj sobie pomóc.

- Nie możesz. Nie teraz.

Chciała go objąć.

- Przepraszam, ja... - Odwrócił się i odszedł.

- Judd!

Szedł do najbliższego baru. Idź, upij się do nieprzytomności. Rób wszystko, żeby zagłuszyć ból.

Aż podskoczyła, kiedy na jej ramieniu spoczęła wielka dłoń. Obejrzała się przez ramię i spojrzała prosto w błękitne oczy Griffa.

- Wyślę za nim Holta - powiedział.

- Nie powinniśmy byli dopuścić, żeby słuchoł tej kasyty.

- Musiał jej wysłuchać.

Zamrugała, żeby powstrzymać łzy.

- Wiesz, co czuł i co widział oczami wyobraźni.

- Tak, wiem.

- Pójdę za nim. Powiedz Holtowi...

- Nie, Lindsay. Daj mu trochę swobody. Jeżeli wejdiesz mu w paradę, możesz się sparzyć.

- Mam to gdzieś - odparła i zaniósła się szlochem.

Griff objął ją i przytulił. Płakała jak dziecko z twarzą opartą na jego ramieniu.

Holt poszedł za Juddem, a Lindsay wróciła do apartamentu. Rick i Griff wyszli, zostawiając ją sam na sam z Maleah.

Lindsay krążyła nerwowo po pokoju, mamrocząc do siebie.

- Nie krępuj się, kopnij coś albo rozbij - poradziła jej Maleah. - A później, jak już uporasz się z frustracją, zrób coś konstruktywnego.

Lindsay stanęła i wlepiła w nią wzrok.

Tak, Maleah ma rację: aby pomóc Juddowi, musi zrobić coś konstruktywnego. Nie pomoże mu, starając się go powstrzymać, żeby nie pił. Ale gdyby schwytała zabójcę jego żony...

- Masz rację - zgodziła się. - Nie jestem w stanie powstrzymać Judda przed piciem. Ale mogę posłużyć za przynętę, żeby zwabić zabójcę Jennifer w pułapkę.

- Zuch dziewczyna.

- Gdzie Griff?

- Nie wiem, dokąd poszli z Rickiem, ale zadzwonię do pana Powella na komórkę i powiem, że musimy z nim porozmawiać.

Pół godziny później Lindsay i Maleah przedstawiały Griffowi swój plan. Słuchał ich cierpliwie, ale z nachmurzoną miną.

- To wykluczone - stwierdził kategorycznie, gdy skończyły.

- Nie upieraj się głupio - powiedziała Lindsay.

- Będę z nią cały czas jako jej służąca - dodała Maleah.
- Jeżeli będziesz z nią cały czas, zabójca się nie pokaże - odparł Griff. - Nie jest idiotą.

- Nie będzie wiedział, że z nią jestem. Urządzimy to tak, żeby myślał, że Lindsay jest sama, a tymczasem będziemy mieć ją na oku.

- FBI już dwa razy próbowała prowokacji i zabójca nie połknął haczyka. Czemu właśnie teraz miałyby...

- Muszę to zrobić - oznajmiła Lindsay.

- Może lepiej po prostu dam ci pistolet i pomogę przystawić go sobie do skroni i pociągnąć za spust? - Griff zacisnął dłonie w pięści. - Nie ma żadnej gwarancji, że facet połknie haczyk. A jeśli nawet, to nie zamierzam cię wystawiać na takie ryzyko.

- Nic mi się nie stanie. Dopracujemy wszystkie szczegóły i dopiero wtedy wprowadzimy plan w życie. Zabójca jest sprytny, ale nie na tyle, żebyśmy nie mogli go przechytrzyć.

- A jeśli się nie zgodzę? - spytał Griff.

Lindsay i Maleah wymienili spojrzenia.

- Rozumiem. Zrobicie to bez względu na to, czy wam pomogę czy nie.

- Więc pomóż nam. Proszę.

Nie odzywał się przez kilka minut, pogrążony w myślach.

- No dobrze. - Spojrzał najpierw na Lindsay, potem na Maleah. - Ale pod warunkiem, że obie bezwzględnie zastosujecie się do moich poleceń. Jasne?

- Jasne - odpowiedziały jednocześnie.

Tuż przed dziesiątą ktoś zapukał do pokoju Lindsay. Pobiegła boso do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Na korytarzu stali Judd i Holt Keinan. Otworzyła drzwi.

- Piłem - oznajmił Judd, wchodząc. - Ale nie jestem pijany, w każdym razie nie bardzo.

- Chciałem, żeby spał na wolnym łóżku u mnie - wyjaśnił Keinan. - Ale on się uparł, że wróci do ciebie.

- Dzięki, Holt - powiedziała Lindsay. - Możesz iść. Ja się nim zajmę.

- Tak, Holt, stary kumplu, możesz iść - rzekł Judd. - Lindsay się o mnie zatroszczy. Zawsze się troszczyła.

- Jesteś pewna? - spytał Holt.

- Tak. - Lindsay odprowadziła go do drzwi, po czym odwróciła się i podeszła do Judda. - Chcesz kawy, gorącej herbaty czy drinka? Szkockiej? Burbona? Jakiej trucizny sobie życzysz?

- Chciałbym mleka. Z ciastkami.

- Coś podobnego!

- Tak. A potem chcę ciebie. - Próbował ją objąć, ale się odsunęła. - Oj, przestań, nie bądź taka.

- Jesteś pijany.

- Tylko troszkę.

- Nie, jesteś pijany w sztok.

- Nie wściekaj się na mnie. Wiesz, dlaczego... Utopiłem smutki.

Nie czuję bólu.

Spojrzała na niego gniewnie.

- Czyżby? Zero bólu. Zero smutków. Biedny Judd.

Podszedł do niej chwiejnym krokiem.

- Przepraszam. Starałem się. Naprawdę się starałem.

Uniosła dłoń i pogłaskała go po policzku.

- Wiem.

- Nie zostawiaj mnie, skarbie. - Objął ją i oparł brodę na jej ramieniu. - Chociaż ty mnie nie zostawiaj.

Objęła go w pasie i zaprowadziła do łóżka.

- Usiądź. Pomogę ci się rozebrać.

Usiadł. Kiedy rozpięła mu koszulę, chwycił ją za rękę.

- Dziękuję.

Posłała mu wymuszony uśmiech i ściągnęła z niego następne części garderoby, aż rozebrała go do slipek. Kiedy go pchnęła, zmuszając, żeby się położył, nie opierał się. Przykryła go kołdrą.

Popatrzył na nią.

- Podziękowałem ci?

- Tak. - Odgarnęła mu włosy z twarzy, pochyliła się i pocałowała go w czoło.

Zamknął oczy i westchnął ciężko. Po chwili twardo spał.

Lindsay weszła do łazienki, przebrała się w nocną koszulę i wsunęła się do łóżka obok Judda. Leżała, przyglądając się, jak z każdym oddechem jego pierś unosi się i opada.

- Boże, pomóż mu - szepnęła. - Pomóż nam obojgu.

Griff siedział na sofie w swoim apartamencie, bez marynarki, z rękawami koszuli podwiniętymi do łokci. Próbował oglądać wieczorne wiadomości CNN, ale powieki opadały mu ze zmęczenia. To był długi dzień. Zaczął się obiecująco, a skończył gorzko. Przynajmniej dla Judda i Lindsay.

Odkąd zgodził się, że pomoże Lindsay i Maleah przeprowadzić plan schwywania zabójcy królowych piękności, nękały go obawy. Wystawianie Lindsay jako wabika oznaczało narażenie jej życia na niebezpieczeństwo. Bez względu na to, jak starannie dopracują szczegóły, coś mogło pójść nie tak.

Wiedział, dlaczego Lindsay chce to zrobić. Wiedzieli wszyscy zorientowani w sprawie. Była przekonana, że jeżeli morderca Jennifer zostanie ujęty, Judd zdoła zostawić przeszłość za sobą i rozpocząć nowe życie. Życie z nią.

Jak by to było, gdyby jakaś kobieta kochała mnie tak jak Lindsay Judda?

Prychnął.

Miłość jest nie dla niego. Nie chce ani nie potrzebuje nikogo. A zwłaszcza kobiety, która chciałaby dla niego wszystko poświęcić. Za nic w świecie nie pozwoliłby...

Zadzwoiła jego komórka. Kto, u licha? Przecież jest po jedenastej.

Pomacał pasek w poszukiwaniu telefonu, aż przypomniał sobie, że zdjął go i razem z telefonem położył na łóżku.

Niech się włączy skrzynka głosowa.

Nie, lepiej odbierz. Może to coś ważnego. Nikt nie dzwoni o tej porze bez powodu.

Wstał, poczłapał do sypialni i zdążył odebrać połączenie, zanim włączyła się automatyczna sekretarka. Nawet nie sprawdzał, kto dzwoni.

- Słucham, Powell.
- Zabił znowu - powiedział informator z Waszyngtonu. - Rudowłosa z Parsons w Luizjanie.
- Przecież ostatnie zabójstwo miało miejsce dwa dni temu.
- To było inne.
- Jak to?
- Była nauczycielką tańca.
- I?
- Normalnie odciąłby jej stopy albo odrąbał nogi.
- A co zrobił?

- Odrąbał jej stopy i nogi. A później ręce, głowę i... Cholera, Griff, poćwiartował ją na drobne kawałki.

Rozdział 3 I

Jesteś dziwnie milcząca - zagadnęła Maleah. - Wszystko w porządku?

Od wyjazdu z Birmingham o siódmej Lindsay prawie się nie odzywała, zajęta obserwowaniem drogi i rozmyślaniami o ostatnich chwilach spędzonych tego ranka z Juddem.

- Tak, tylko trochę się martwię.

- Wiem, że chciałaś z nim być, ale da sobie radę. Samo to, że zdecydował się na odwyk, świadczy, że jest dzielny.

- Tak, wiem, jestem z niego dumna i cieszę się, że wreszcie odważył się poprosić o pomoc, której potrzebuje. Ale chciałabym być tam z nim, żeby go chronić i móc się nim opiekować.

- Nie zapominaj, że robisz teraz coś, co może mu pomóc bardziej niż twoja obecność. Jeżeli dopadniemy tego sukinsyna, Juddowi i bliższym innym ofiar będzie łatwiej się z tym uporać.

- Może masz rację.

- Czyżby ci się odwidziało?

- Nie. - Lindsay zerknęła przelotnie na Maleah. - Jestem gotowa jutro z samego rana wcielić się w rolę Paige Allgood.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że pan Powell tak szybko wszystko załatwił - powiedziała Maleah. - W niecałe dwanaście godzin udało mu się przekonać Paige Allgood do naszego planu i zorganizować ludzi, którzy przygotowują dla nas nie tylko jej dom, ale i budynek, który przerabia na teatr.

- Pieniądze mogą wszystko.

- Czy on rzeczywiście jest taki bogaty, jak mówią?

- Chyba bogatszy.

- Skoro tak, to nie rozumiem, po co mu firma detektywistyczna.

- Musiałabyś go zapytać.

- Mowy nie ma, nigdy się na to nie odważę.

Lindsay się uśmiechnęła.

- Griff bywa surowy, ale zaręczam, że dobry z niego człowiek.

- Bardzo go lubisz, prawda?
- Tak, lubię i szanuję, chociaż właściwie prawie go nie znam. Sądzę, że nikt go nie zna. No, może z wyjątkiem Sandersa i doktor Meng.

Lindsay zjechała płynnie na prawy pas.

- Pewnie wiesz, że krążą o was różne plotki? - rzuciła Maleah. - Jako jedyna z agentów mieszkasz na stałe w Przystani Griffina i... O rany, znów za dużo gadam. Obiecuję, że nie powiem już ani słowa.

Cisza.

- Lindsay, przepraszam, wiem, że to nie moja sprawa, ale niestety jestem ciekawska.

- Nie szkodzi. Mogę ci powiedzieć, że w tych plotkach nie ma ani śliska prawdy. Griff i ja jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi, nic więcej nas nie łączy.

- Tak mi się wydawało. Przecież jesteś zakochana w Juddzie Walkerze. - Maleah jęknęła. - Chyba lepiej się zamknę. Przepraszam.

- Przestań przepraszać - odparła Lindsay, zjeżdżając na pas łączący I-59 z I-24. - Mamy spędzić ze sobą kilka tygodni, więc powinniśmy się akceptować. Nie martw się, jeśli powiesz coś, co mnie dotknie albo mi się nie spodoba, na pewno cię o tym poinformuję. W porządku?

- Tak, w porządku. - Maleah odetchnęła z ulgą. - Będę już siedzieć cicho.

Lindsay nie spuszczała wzroku z drogi, a w jej głowie znowu pojawił się obraz ostatnich chwil spędzonych z Juddem i porannego pożegnania. Nie płakała. Nie prosiła, żeby ją ze sobą zabrał. Była tylko przepełniająca serce nadzieją i czuły pocałunek.

- Chyba jednak wolę, jak mówisz - stwierdziła. - Łatwiej mi wtedy nie myśleć o innych sprawach.

- A o czym chciałabyś rozmawiać?

- Wszystko jedno, byle nie o Juddzie, Griffinie ani zabójcy królowych piękności.

- Dobrze, spróbujmy... Podobno na wiosnę znów będzie modne mini, naukowcy stwierdzili ostatnio, że kawa i czekolada wcale nie są szkodliwe, a George Clooney ma ponoć kandydować na prezydenta.

Lindsay roześmiała się.

- Oj, tak, na pewno się zaprzyjaźnimy.

Wczesnym rankiem Griff i Rick Carson polecili do Parsons. Griff zameldował ich w miejscowym pensjonacie, w którym zarezerwował

wszystkie dziesięć pokoi, a Rick w tym czasie zabrał się do pracy, rozpoznając teren. Pierwszy meldunek przysłał o wpół do dziewiątej.

- Nic Baxter z brygadą jeszcze się nie zjawiła. Powinni być lada chwila. Chyba początkowo nie byli pewni, czy to zabójstwo ma związek ze sprawą królowych piękności, stąd to opóźnienie.

- A dlaczego mieli wątpliwości?

- Ciało kobiety zostało poćwiartowane, a to nie jest metoda naszego zabójcy.

- Zostawił różę?

- Tak. Żółtą. Sandi Ford była ruda. Ale różę znaleziono dopiero później. Nie położył jej na ciele.

Griff zaparkował wypożyczony samochód przecnicę od Main Street i pieszo dotarł do szkoły tańca Sandi. Widok zasłaniał mu kordon policji i tabun dziennikarzy i gapiów. Spojrzył na zegarek: dziesięć po dziewiątej. Rozejrzył się wśród tłumu, szukając wzrokiem Nic i Josha. Nie było ich.

Sam jego wzrost wzbudzał respekt, więc bez trudu utorował sobie drogę i podszedł do żółtej taśmy odgradzającej miejsce zbrodni. Stojący na straży policjant miał nie więcej niż dwadzieścia jeden lat.

- Kto tu dowodzi? - spytał Griff.

- Komendant Crowell - odpowiedział funkcjonariusz.

- Jest tu?

- Tak, sir.

- Chciałbym z nim porozmawiać. - Griff wyjął swoją wizytówkę i wręczył chłopakowi, który ją wziął, obejrzał i uśmiechnął się promiennie. - Słyszałem o panu. Grał pan kiedyś w nogę. A teraz jest pan niezłym detektywem, zgadza się?

Griff odwzajemnił uśmiech.

- Wie pan co, komendant w zasadzie na pana czeka - ciągnął policjant. - Powiedział, że pojawia się pan przy wszystkich zabójstwach dawnych miss, i był pewien, że zjawi się pan dziś w Parsons.

- I słusznie - odparł Griff. - Czy mógłby mi pan powiedzieć, że jestem i byłbym wdzięczny, gdyby znalazł dla mnie kilka minut?

- Jasne, panie Powell.

Pięć minut później Griff pił kawę z komendantem Crowellem w księgiarnianej kawiarence trzy budynki dalej.

- Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem - powiedział Crowell. - Najgorsze zabójstwo jakie można sobie wyobrazić. - Pokręcił głową. - Biedna kobieta. Żona i matka. Porządna chrześcijanka.

~ Czy może mi pan cokolwiek zdradzić, oczywiście nieoficjalnie? Słyszałem, że w pierwszej chwili nie był pan pewien, czy to robota naszego mordercy.

- Tak, rzeczywiście. Z tego, co wiem, zabójca królowych piękności nie ćwiartuje ofiar. - Komendant przełknął ślinę. - A Sandi Ford została dosłownie posiekana. W dodatku na początku nikt nie zauważył róży. Chyba spadła na podłogę. Jeden z policjantów, którzy pierwsi dotarli na miejsce, wszedł na nią i pozostawiał wszędzie krwawe ślady. - Crowell spojrzał Griffowi w oczy. - To oczywiście informacje poufne. Takie rzeczy działają na niekorzyść wydziału.

Griff skinął głową.

- Kto znalazł ciało?

Crowell sapnął.

- Mąż. Biedak, był w kościele na śródownym wieczornym nabożeństwie z trójką dzieci, a kiedy wrócił do domu i nie zastał żony, przyjechał do szkoły sprawdzić, co ją zatrzymało.

- On zawiadomił policję?

- Nie, jedno z dzieci. Earl Ray Ford był w szoku. Jedna z córek wykręciła numer alarmowy. Kiedy na miejsce dotarli policjanci, znaleźli ciało kobiety.

- I co?

- Natychmiast powiadomili mnie. Coś takiego nigdy wcześniej się w Parsons nie zdarzyło.

- Rozumiem.

- Od razu zadzwoniłem do komendanta stanowego. My nie mamy zaplecza, żeby zająć się sprawą morderstwa, zwłaszcza takiego. Cholera, z zabójstwem nie mieliśmy do czynienia od pięciu lat.

- Więc sprawę przejęła policja stanowa? To ich ludzie badają miejsce przestępstwa?

- Tak. Ale rano zostałem poinformowany, że sprawę przejmie FBI, jak tylko zjawią się agenci.

Siedzieli przy stoliku w pobliżu wejścia, więc Griff nie mógł nie zauważyć, że drzwi otwierają się i do środka wchodzi kobieta. Uśmiechnął się.

- Chyba są - oznajmił.

- Co?

Do stolika podeszła Nic Baxter z furią w ciemnych oczach. Przystanąła, założyła ręce na biodra i spojrzała na komendanta.

- Mam nadzieję, że nie omawia pan z tym panem sprawy zabójstwa Sandi Ford?

Na twarzy komendanta pojawiło się zmieszanie.

- Madam?

- Komendancie Crowell, pozwoli pan, że panu przedstawię: agentka specjalna Nicole Baxter - odezwał się Griff. - Kieruje zespołem FBI do spraw zabójstw królowych piękności. Krótko mówiąc, to ona nosi tu spodnie.

Nic obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Nie muszę pana informować, że to prywatny detektyw. - Chociaż zwracała się do komendanta, nie spuszczała wzroku z Griffa. - Nie bierze udziału w oficjalnym dochodzeniu. Jeżeli perswazją lub przymusem wyciągnął od pana jakiegokolwiek informacje, muszę o tym natychmiast wiedzieć.

Crowell odsunął krzesło, wstał i poklepał Nic po plecach.

- Madam, wiem, że jestem tylko komendantem policji małego miasteczka, ale nie jestem idiotą. Pan Powell to bardzo kulturalny człowiek. Nie było żadnej perswazji ani przymusu. Siedzimy sobie, pijemy kawę i rozmawiamy o piłce nożnej.

Griff mało nie ryknął śmiechem.

Nic zjeżyła się.

- Dziękuję. - Zignorowała Griffa i całą uwagę skupiła na komendancie. - Jak tylko skończy pan przerwę na kawę z panem Powellem, chciałabym z panem porozmawiać. Na osobności.

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło - powiedział Pudge. - Przysięgam, miałem wrażenie, że ćwiartuje ją kto inny, a ja się tylko przyglądam.

Pinkie, słuchając opowieści kuzyna o tym, jakie szaleństwo ogarnęło go, kiedy zabił Sandi Ford, myślał o tym, że Pudge zdobył dwadzieścia punktów i teraz łeb w łeb zbliżają się do mety.

- To było najbardziej ekscytujące doświadczenie w moim życiu - oznajmił Pudge. - Zupełnie nierealne, ale niewymownie piękne.

Pinkie wiedział, że musi działać szybko, by wybić się na prowadzenie. Nie mógł dopuścić, żeby Pudge zdobył kolejne punkty. Poniósłby śmiertelne konsekwencje. Chociaż był niemal pewien, że Pudge oszukiwał i wybrał Sandi Ford na kolejną ofiarę, jeszcze zanim on zabił LaShae Goodloe, nie drażył tematu ani nie robił afery. Za to sam posunął się do małego oszustwa. Znalazł już sobie cudowną blondynkę, dawną Miss Memphis, która była tamburmajorem. To ci dopiero talent.

- Jak skończyłem, cały byłem we krwi. - Pudge westchnął. - Niestety, musiałem się umyć w łazience w studio, bo się bałem, że ktoś

mnie tak zobaczy. Wtarłem sobie jej krew w dłoń i w twarz. Była gładka jak najlepszy balsam.

Pinkie zastanawiał się, jak zabije piękną blondynkę, Sarę Ann Stewart. Odetnie jej dłoń? Odrąbie ręce?

Wysłuchał opowieści o morderstwie Sandi Ford i uznał, że jemu poćwiartowanie ofiary nie sprawiłoby przyjemności. Pudge był o wiele bardziej brutalnym, bestialskim typem zabójcy niż on. On wolał być mniej teatralny, ale równie skuteczny. W końcu śmierć to śmierć.

A może zatłuc ją pałką? - odpowiedział mu wewnętrzny głos.

Cudowny pomysł. To będzie coś nowego i niepowtarzalnego.

- Gra trwa już za długo - powiedział Pudge. - Przynaj, że robienie w kółko tego samego znudziło cię tak samo jak mnie. Dlatego kiedy porąbałem małą Sandi na kawałki, nabrałem wigoru.

- Mnie sama świadomość, że to ostatnie dni naszej gry, dostarcza dość emocji - odparł Pinkie.

- Czyżbyś się martwił, kuzynie?

- Ależ skąd. Jestem siebie całkowicie pewien. Ale chciałbym jeszcze raz omówić warunki.

Śmiech Pudge'a zirytował go jak nigdy.

- Ciebie to śmieszy?

- Tak, prawdę mówiąc, tak. Widzisz, drogi kuzynie, wiem, że się martwisz, że ja wygram, a ty przegrasz. Inaczej nie błagałbyś mnie, żebyśmy pod sam koniec gry zmieniali warunki.

- Ja o nic nie błagam. Po prostu chciałem dać ci jakoś z tego wybrnąć.

- Co z tobą? Chyba nie boisz się śmierci?

- Nie bardziej niż ty.

Rozdział 32

Trzydziesty pierwszy marca. Koniec miesiąca i koniec tygodnia. Zabójca królowych piękności w ciągu ostatnich sześciu dni zaatakował cztery razy. Sara Ann Stewart z Memphis w Tennessee, blondynka, zatłuczona kijem na śmierć. Audrey Smallwood z Macon w Georgii, brunetka, poćwiartowana równie brutalnie jak Sandra Ford. Kalindy Naramore

z Columbus w Missisipi, kolejna brunetka, znaleziona z odciętymi rękoma. Whitney Webster z Bowling Green w Kentucky, blondynka, obłana naftą i podpalona.

Każde kolejne morderstwo było bardziej okrutne niż poprzednie.

Ile punktów warta była dla niego każda z tych kobiet?

- Jest w szale - powiedział Griff. - Jakby przed pierwszym kwietniam ogarnęła go mordercza pasja.

Derek Lawrence przypuszczał, że koniec morderczej gry jest przewidziany właśnie na ten dzień i dlatego zabójca stara się zabić do tego czasu jak najwięcej kobiet.

Dlaczego nie wybrał mnie, Paige Allgood? Lindsay przez kilka ostatnich tygodni żyła życiem innej kobiety. Nosiła platynową biżuterię, perukę do ramion, szkła kontaktowe i drogie markowe ubrania, których szczerze nienawidziła. Ale największy problem stanowiła dla niej właśnie biżuteria. Na każdym zdjęciu z konkursu piękności Miss Studentek miała na sobie bransoletki, ciężki złoty naszyjnik, broszkę w klapie marynarki lub kołnierzu i po dwa kolczyki w uszach.

Dla Lindsay, której biżuteria ograniczała się do diamentowych kolczyków i zegarka na rękę, obwieszanie się złotem i drogimi błyskotkami na co dzień było nader denerwujące. Jak można normalnie funkcjonować, nosząc na sobie kilogramy kosztowności?

Ubrana w dzinsy i luźną bawełnianą bluzę siedziała właśnie na sofie w pokoju dziennym Paige Allgood. Paige spała zwykle do południa, więc poranki Lindsay miała tylko dla siebie. Popołudnia spędzała w centrum miasta, w budynku, który prawdziwa Paige zamierzała przekształcić w teatr - w starym Woodruff. Agenci Powelia wcielali się w wykonawców, projektantów i inwestorów, pomagając jej odgrywać rolę Paige Allgood. Jedynym pytaniem było, czy mają widownię. Widownię w postaci jednej osoby.

Czy zabójca królowych piękności obserwuje ją i czeka? A może wcale nie zauważył dawnej miss - młodej atrakcyjnej blondynki, która miała być jego głównym daniem?

Pogrążona w rozmyślaniach aż podskoczyła, kiedy zadzwonił telefon. Rany, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest spięta. Kolejne dni bezskutecznego czekania zaczynały osłabiać jej psychikę.

Maleah, bez czarnej peruki i okularów, które nosiła do przebrania pokojówki, weszła do pokoju z przenośną słuchawką w rękę.

- Pani Allgood, telefon do pani. Jakiś dzentelmen chce z panią rozmawiać. - Zastłoniła dłonią słuchawkę. - Na wyświetlaczu nie ma na-

zwy, tylko sam numer. Twierdzi, że nazywa się Alien Posey i chciałby wesprzeć miejscowych aktorów znaczną sumą, którą zamierza przekazać twojej grupie teatralnej.

Lindsay skinęła głową.

- Zadzwoń do Powella, żeby go sprawdził, a potem weź drugą słuchawkę i słuchaj.

- Tak jest. - Maleah podała Lindsay słuchawkę.

- Witam, panie Posey, Paige Allgood przy telefonie.

- Pani Allgood, to dla mnie prawdziwy zaszczyt - odezwał się dystyngowany głos z południowym akcentem. - Ostatnio dużo czytałem o pani planach i muszę stwierdzić, że bardzo chciałbym przyczynić się do osiągnięcia tego szczytnego celu.

- Doprawdy? Cóż, bardzo mi miło, ale zapewne pan wie, że nie potrzebuję sponsorów. Nie chciałabym jednak być samolubna, chętnie dam pole do popisu również innym filantropom.

- Więc nie odrzuca pani mojej darowizny?

- Broń Boże.

- Mam tylko małą prośbę. - Roześmiał się łagodnie. - A właściwie dwie. Pierwsza dotyczy mojej córki Cynthii. To bardzo utalentowana dziewczyna i chciałbym ją zobaczyć w obsadzie pani pierwszej produkcji.

- Hm... Myślę, że to się da załatwić, zwłaszcza jeśli rzeczywiście jest utalentowana.

- A po drugie, chciałbym panią prosić o pokazanie budynku, w którym mieścić się będzie pani teatr.

- Ależ naturalnie. Nie widzę żadnego problemu. Umówię pana z moim asystentem, kiedy tylko będzie panu odpowiadało.

- Nie, nie, moja droga, chyba się nie zrozumieliśmy. Chciałbym, aby to pani była moim przewodnikiem.

W umyśle Lindsay zapaliła się lampka ostrzegawcza.

- Cóż... To chyba również da się zorganizować.

- Świetnie. Może umówimy się od razu na jutrzejszy wieczór? Około osiemnastej? - spytał rozanielony.

Jego ton przyprawił Lindsay o dreszcz.

- Dobrze, jutro o osiemnastej, przy głównym wejściu. Podam panu adres i wytłumaczę, jak najlepiej...

- Nie ma potrzeby, znam te okolice.

- Jest pan z Knoxville?

- Tak, oczywiście. Byłem pewien, że słyszała pani o mnie. - Westchnął teatralnie. - Czy nie będę zbyt śmiały, jeżeli zaproszę panią jutro na kolację po naszej wycieczce?

Kolacja? Hmm... Albo jąpodrywa, albo świetnie udaje. Lindsay nie była pewna, co o tym myśleć, ale intuicja podpowiadała jej, że raczej to drugie. Poza tym Posey wydał jej się odpychający, chociaż nie potrafiła powiedzieć, dlaczego.

- Kolacja? Brzmi interesująco.
- W takim razie do jutra do osiemnastej.

Lindsay wyłączyła telefon i odłożyła na sofę. Maleah, która przysłuchiwała się rozmowie przez drugi aparat, najwyraźniej uznała ją za intrygującą.

- Co ty na to? - spytała Lindsay.
- To może być on.
- Wiemy, że po mistrzowsku potrafi złapać w swoją sieć całkiem bystre kobiety. Zdaniem Dereka zawsze wciela się w kogoś, kto może być interesujący dla ofiary, i za każdym razem wymyśla inny scenariusz.
- Całkiem możliwe. - Maleah usiadła obok Lindsay. - Kto mógłby zaintrygować Paige bardziej niż wytworny dżentelmen zainteresowany jej teatrem?

- Mamy niewiele ponad dobę, żeby się przygotować. Najpierw musimy zdobyć wszystkie informacje na temat Allena Poseya. Jeżeli Allen Posey w ogóle istnieje.

Zadzwoń! komórka Maleah. Wyciągnęła ją z kieszeni i odebrała.

- Tak, słucham... Uhm. Rozumiem. Dobrze, zaraz jej przekażę. - Maleah zamknęła klapkę telefonu i zwróciła się do Lindsay: Dzwonili z biura. Znaleźli tego Poseya. To stary zbzikowany bogacz z Knoxville, ze znanej rodziny z wielką fortuną. Ma dwie córki: Cynthię i Trację.

Lindsay zagryzła dolną wargę.

- Więc albo rzeczywiście byłam podrywana, albo nasz rozmówca podszedł się pod Allena Poseya, wiedząc o tym, że Paige Allgood się nie zorientuje.

- Musimy natychmiast zawiadomić pana Powełła.
- Ja się tym zajmę.
- W porządku. - Maleah wstała. - Mam ochotę na szopską sałatkę na obiad. Co ty na to?
- Brzmi nieźle.
- Dam ci znać, jak będzie gotowa.

Maleah wyszła z pokoju, a Lindsay wybrała numer komórki Griffa.

Judd w porannej rozmowie nie wspomniał Lindsay, że dziś ma opuścić klinikę. Chciał jej zrobić niespodziankę, zjawiając się jutro w Przystani Griffina, ale przedtem musiał pojechać do domu w Chattanooga, przejrzeć zawartość swojej szafy i wybrać odpowiednie ciuchy. Poprosił już swoją gospodynię, żeby przygotowała pokoje na jego przyjazd i oddała do przeglądu jego porsche, aby mógł nim jeździć.

Jeśli chce zacząć życie od nowa, musi wrócić do tego, co zna z czasów sprzed morderstwa Jeniffer i rozpocząć z tamtego miejsca. Doktor Meng uświadomiła mu, że do tej pory jego życie przypominało parę starych butów, które nie uwierają. Wracając do przeszłości, wybierał tylko te zdarzenia, które nie sprawiały mu bólu, a te niewygodne wymazywał z pamięci.

- Musisz zacząć wszystko od nowa - powiedziała Yvette. - Nie będzie ci łatwo. Trzeba dużo czasu i pracy, ale w końcu nadejdzie dzień, kiedy znów będziesz się cieszyć, że żyjesz.

Judd się nie łudził. Wiedział, że ma przed sobą trudne chwile i że za każdy krok naprzód może zapłacić dwoma w tył. Ale dopóki jest przy nim Lindsay, ze wszystkim sobie poradzi. Boże, jak za nią tęsknił. Ponad dwa tygodnie trudnego odwyku, a do tego dwa razy dziennie ciężkie sesje z Yvette i wyszedł czysty i trzeźwy. Gotowy na kolejne miesiące walki z żalem.

- Gotowy do wyjścia?

- Tak. - Skinał głową w stronę Yvette stojącej w drzwiach jego pokoju.

- Na pewno mam cię zawieźć do Chattanooga?

- Tak. - Podniósł płócienną torbę, przerzucił ją przez ramię i podszedł do Yvette. - Jak dotrzesz do Przystani Griffina, to nie mów Lindsay, że już wyszedłem. Chcę jej zrobić niespodziankę.

- Nie pisnę ani słowa - obiecała.

Griff siedział w salonie. Na stoliku obok szklanki z burbonem leżały portrety pamięciowe zabójcy królowych piękności sporządzone przez Wade'a Freemana. Przyglądając się rysunkom, raz po raz odtwarzał nagranie na swoim małym magnetofonie.

„Nigdy wcześniej nie odrąbywałem głowy, ale stwierdziłem, że pora spróbować, bo czas ucieka i gra niedługo dobiegnie końca. Na człowieku, rzecz jasna. Wcześniej próbowałem, ale tylko na zwierzętach. Głównie na kotach i psach”.

Nie dawało mu spokoju, że twarz z rysunków i głos z taśmy kogoś mu przypominają. Przez ostatnie dwie godziny zastanawiał się, czy to tylko umysł płata mu figle, czy też rzeczywiście zna zabójcę królowych piękności. Czy to możliwe, że ten potwór należy do kręgu jego znajomych? Czy zdarzyło się, że podawał mu rękę? Jeśli tak, to kim on jest i dlaczego nie mogę go sobie przypomnieć?

Griff znał setki ludzi na tyle dobrze, że był z nimi na „ty”. Jeśli morderca należy do tego kręgu, to bez wątpienia twarz z portretów pamięciowych i głos na kasecie są w pewnym stopniu zmienione. Zrozumiałe, że maskował się przebraniem, ale po co miałby zmieniać głos, skoro nie wiedział, że jest nagrywany? A może wcale nie udawał, tylko głos zmienił mu się pod wpływem silnych emocji?

Griff jedną ręką podrapał się po głowie, a drugą sięgnął po szklankę z alkoholem. Jutro o tej porze, jeśli wszystko dobrze pójdzie, to będzie już bez znaczenia. Mężczyzna, który dzwonił dziś do Lindsay, jest oszustem. Griff rozmawiał po południu z prawdziwym Allenem Poseyem, od trzech tygodni przebywającym w swoim domu we Włoszech.

Rozdział 33

Pinkiemu wystarczy tylko jedno zabójstwo, żeby wygrać. Dzisiaj. Pierwszego kwietnia. Pudge nie mógł do tego dopuścić. Przez prawie pięć lat stosował się do zasad gry, ale ostatnio przestraszył się, że może przegrać. Nie był gotowy, by zapłacić najwyższą stawkę i oddać wszystko drogiemu kuzynowi. Kiedy zaproponował dodanie do zasad gry warunku, że przegrany traci życie, nie brał pod uwagę możliwości, że to on może przegrać. Pinkie był wprawdzie bystry, ale nie dorównywał mu sprytem. Ani diaboliczną naturą. Pinkie potrafił kochać, on - nie. Szanował kuzyna, bo okazał się godnym przeciwnikiem, i będzie mu brakowało ich wspólnych gier, które zaczęli prowadzić, kiedy byli jeszcze nastolatkami.

Ale Pudge nigdy nikogo nie kochał. Nigdy nie zależało mu na żadnej ludzkiej istocie. Choćby dlatego powinien wygrać.

Użył każdego możliwego sposobu, żeby wyciągnąć od kuzyna nazwisko wybranej ofiary, ale Pinkie nie dał się podejść. Byłoby o wiele

łatwiej, gdyby nie był tak uparty. Jednak na wszystko jest rada. Miał Pinkie na oku - wiedział, gdzie jest i co robi.

Nie znał nazwiska jego kolejnej ofiary, lecz wiedział, gdzie rozegra się dramat: na terenie starego budynku Woodruff w centrum Knoxville.

Pinkie zdobył oryginalne plany budynku, a Pudge pojechał tam za nim wczorajszego wieczoru. Wiedział, że Pinkie przygotowuje się psychicznie do zabójstwa, wyobrażając sobie scenę.

Które z pomieszczeń wybrał na ołtarz ofiary?

Pudge zaparkował wypożyczony samochód przecnicę dalej, wyjął walizkę, w której znajdowała się strzelba, i przeszedł pod tylne wejście do starego budynku. Spojrzał na zegarek. Samo południe. Musi po prostu cierpliwie czekać. Prędzej czy później pojawi się Pinkie w towarzystwie dawnej królowej piękności, pewny, że jej śmierć oznacza jego wygraną. Nie wie, że ostatnią ofiarą w tej grze nie będzie ona, lecz on.

Judd jechał do Przystani Griffina swoim porsche, które dostał od ojca na osiemnaste urodziny. Miał kilka samochodów, ale ten lubił najbardziej. Jadąc nim, czuł się, jakby znów miał osiemnaście lat i całe życie przed sobą. Zaparkował, wyskoczył z auta i podbiegł do drzwi. Nie mógł się doczekać, żeby zobaczyć Lindsay, porwać ją w ramiona i pocałować. Nie wiedział, jak się rozwinie ich związek, ale jednego był pewny - że Lindsay jest częścią jego przyszłości, tak jak Jennifer stanowiła część jego przeszłości.

Zadzwoił do drzwi.

Po chwili otworzył mu Sanders.

- Dobry wieczór, panie Walker. Miło pana widzieć.

Judd minął Sandersa i jak burza wpadł do środka.

- Dobry wieczór. Mógłbyś przekazać Lindsay, że ma gościa?

Sanders odkaslnął.

- Przypuszczam, że się pana nie spodziewa.

- Chciałem jej zrobić niespodziankę.

- Rozumiem, sir. Proszę wejść i poczekać w salonie.

- A jest Griff? Chciałem z nim porozmawiać.

- Nie, proszę pana, Griff jest w Knoxville.

Sanders zniknął w korytarzu, a Judd wszedł do salonu. Zarezerwował stolik na późną kolację w ekskluzywnej restauracji w Knoxville i apartament w czterogwiazdkowym hotelu, gdzie zamierzał spędzić namiętą noc z Lindsay. Chciał rozpocząć nowe życie - życie z kobietą, którą kocha.

Bo naprawdę kocha Lindsay.

Nie tak, jak kochał Jennifer, ale równie mocno.

- Każda miłość jest inna - powiedziała mu Yvette. - Co wcale nie znaczy, że jedna jest silniejsza od drugiej.

Judd przeszedł przez salon, stanął przy przeszklonej ścianie i wyjrzał na zewnątrz. Wreszcie nadeszła wiosna. Drzewa zaczęły wypuszczać zielone liście, kwitły kwiaty, rosła świeża trawa.

Postanowił założyć przy leśniczówce ogród, taki, jaki wiele lat temu miała jego Mimi. Świeże zioła, trochę warzyw i kwiaty.

Dla Lindsay.

Z Lindsay.

Od tej pory Lindsay będzie częścią jego życia.

- Judd?-zawołała Yvette.

Weszła do pokoju tak cicho, że zdał sobie sprawę z jej obecności dopiero, kiedy się odezwała.

- Cudowny wieczór, prawda? - zagadnął.

Wszedł Sanders i stanął obok Yvette.

Judd zorientował się w jednej chwili, że coś jest nie tak.

- Co się stało? - spytał.

- Lindsay nie ma - powiedział Sanders. - Jest w Knoxville.

- Pracuje z Griffem?

- W pewnym sensie - odparł Sanders.

Judd spojrział na Yvette, a później znów na Sandersa.

- Chcę wiedzieć to, czego mi nie mówicie - właściwie warknął.

Sanders się zawahał.

- Przykro mi, panie Walker...

Judd przebiegł przez pokój jak tornado, gnany nieokreślonym strachem.

- Stój. - Spokojny, ale stanowczy ton Yvette podziałał na niego skuteczniej niż ostry rozkaz.

- Na miłość boską, o co chodzi? - Judd spojrział na nią błagalnie.

- Powiedz mu - zwróciła się do Sandersa.

- Na pewno?

Skinęła głową.

Sanders wyjaśnił, że Lindsay i Maleah wymyśliły plan prowokacji zabójcy królowych piękności. Mówił, nie przejmując się gniewnymi komentarzami Judda.

- I Griff się na to zgodził? Pozwolił jej? Cholera, co on sobie wyobraża?! Naraża ją na cholerne niebezpieczeństwo, wystawiając ją jako przynętę!

- Griffin ją ochrania - tłumaczył. - Lindsay robi to z tego samego powodu, z jakiego robiła wszystko przez ostatnie cztery lata: dla pana. Zrobiłaby to, nawet gdyby Griff się nie zgodził.

- Nigdy jej nie prosiłem... - Judd walnął pięścią w ścianę, robiąc dziurę w gipsowej płycie. - Wszystko przeze mnie. Jeżeli coś jej się stanie...

- Jest z nią Griffin i sześciu agentów. Holt Keinan był snajperem w brygadzie antyterrorystycznej. Ustalili wszystko kilka godzin temu. Lindsay jest zabezpieczana ze wszystkich stron.

- Kiedy to ma być?

- Dzisiaj - odpowiedział Sanders. - Umówiła się z tym facetem na szóstą.

Judd spojrzął na zegarek: piętnaście po piątej.

- Gdzie?

- Powiedz mu - poprosiła Sandersa Yvette. - Ale pod warunkiem - chwyciła Judda za rękę - że się zgodzisz, żebym pojechała z tobą.

Judd spojrzął na nią ponuro.

- Zgoda.

Pinkie przejrzał się w lustrze i uśmiechnął się. Był znacznie młodszy i o kilka kilogramów cięższy niż prawdziwy Allen Posey, ale z siwą peruką i wąsami spokojnie mógł udawać mężczyznę pod pięćdziesiątkę. Szkoda, że nie udało mu się dostać do budynku Woodruff wieczorową porą - przygotowałyby wszystko na dziś. Zapamiętał jednak plany, a okolicę znał doskonale. Zrobi to w piwnicy. Będzie mogła krzyknąć do woli i nikt jej nie usłyszy. Z kieszeni spodni wyjął małą fiolkę, przyglądał jej się chwilę i schował z powrotem razem z białą płócienną chusteczką. Kilka wdechów specyfiku i padnie jak kawka. Jest szczupła, więc bez trudu ją przeniesie. Nie znosił ofiar, które stawiały opór. Poklepał się po pośladkach - pod płaszczem miał dwudziestocentymetrowy nóż myśliwski, który zatknął za pasek. Użyje go do zabójstwa. Pistolet w zewnętrznej kieszeni jest tylko zabezpieczeniem. Na wszelki wypadek.

Po zabójstwie wróci tu, do motelu, zdejmie przebranie, weźmie prysznic i położy się spać. A jutro poleci prosto do Luizjany, do posiadłości

Pudge'a, z dowodem zabójstwa - zdjęciami zrobionymi aparatem cyfrowym.

I wtedy zabije kuzyna.

Westchnął.

Myśl, że musi zabić Pudge'a, wcale mu się nie podobała. Ale zasady są zasadami. Pozwoli drogiemu kuzynowi wybrać, jak chce umrzeć. Trucizna? Strzał w głowę? Uduśnienie?

Lindsay zjawiła się przy budynku Woodruff dokładnie dwie minuty przed szóstą. Paige Allgood zgodziła się, żeby Agencja Powella używała jej bentleya, którego tego wieczoru prowadził Rick Carson w stroju szofera. Podjeżdżając do krawężnika, dokładnie zlustrował teren przy głównym wejściu.

- Tu go nie ma - stwierdził.

- Nie, ale może obserwuje i czeka - odparła.

Rick wysiadł, otworzył tylne drzwi i pomógł wysiąść Lindsay.

- Uważaj - wyszeptał.

Uśmiechnęła się, wyprostowała i uniosła dumnie głowę - dowód pewności siebie czy fałszywej odwagi?

Rick odjechał, ale wiedziała, że zaparkuje dwie przecznice dalej w ulicze za budynkiem i dołączy do Griffa i reszty.

Poprawiła obszyty futrem kaszmirowy sweter i ruszyła do wejścia. Co parę kroków przystawała, żeby się rozejrzeć, jak ktoś, kto się z kimś umówił.

Kiedy znalazła się przed głównymi drzwiami, odwróciła się w stronę ulicy i spojrzała na osiemnastokaratowy złoty zegarek Paige. Była minuta po szóstej.

Zachowuj się normalnie. Miej pogodny wyraz twarzy. Nie pokazuj, że się denerwujesz. Jeżeli cię obserwuje, może dostrzec najmniejszą oznakę niepokoju.

Ale jak mogę zachowywać się normalnie, skoro wiem, że za chwilę stanę twarzą w twarz z brutalnym mordercą?

Pamiętaj, jeżeli dopadniesz tego bydlaka, nie tylko uratujesz życie innym, ale pomożesz Juddowi zamknąć za sobą przeszłość.

Pięć minut później Lindsay zaczęła okręcać ciężkie złote bransoletki na prawym nadgarstku. Jak Paige Allgood może nosić te cholerstwa? Spokojnie. Spóźnia się, ale to wcale nie znaczy, że się nie zjawi.

Spojrzała na ulicę, w lewo, potem w prawo. Serce zaczęło jej bić szybciej, kiedy dostrzegła idącego w jej kierunku mężczyznę średniego wzrostu i średniej budowy. Miał starannie ułożone siwe włosy, bez wąpienia perukę. Twarzy nie była w stanie dostrzec, bo mrok rozpraszało tylko światło latarni.

- Pani Allgood! - zawołał, kiedy znalazł się kilka metrów od niej.
- Pan Posey?
- Tak jest, madam.

Wyszła mu naprzeciw. Uśmiechnął się. Odwzajemniła uśmiech.

Jego twarz wydała jej się znajoma. Oczy. Nie kolor, ale spojrzenie. I usta. Czyżby znała tego mężczyznę? Może się kiedyś spotkali? Miał siwe włosy i wąsy, była jednak pewna, że daleko mu do pięćdziesiątki.

Gdy delikatnie uściśnął jej wyciągniętą dłoń, z trudem powstrzymała się, by nie wyrwać ręki.

Nie panikuj. Wejź z nim do środka. Griff porozstawiał agentów dookoła budynku. Jesteś bezpieczna.

- Pokażę panu budynek - powiedziała - a jeśli po obejrzeniu wewnątrz nadal będzie pan zainteresowany, podczas kolacji możemy obejrzeć plan przebudowy wykonany przez mojego architekta. Mam kopię tutaj, w biurze.

- Chętnie zwiedzę budynek i obejrzę plany, ale najbardziej mi zależy na wspólnej kolacji. Mam nadzieję, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że zarezerwowałem stolik na wcześniejszą godzinę? Wołałbym najpierw pojechać do restauracji, a budynek zwiedzić później.

Lindsay od razu wiedziała, że coś jest nie tak. Dlaczego zmienił plany? Dlaczego zacieśnił uścisk na jej nadgarstku? I dlaczego przyciąga ją do siebie?

Wpadł w pułapkę! Jak mógł być tak głupi? Nie, nie jest głupi. Skąd mógł wiedzieć?

Ta kobieta była podobna do Paige Allgood, ale nie była dawną miss, którą spotkał kilka razy przy różnych okazjach.

Znał tę kobietę i bez trudu rozpoznał.

To Lindsay McAllister, agentka Powella.

Przez ostatnie trzy lata widział ją parę razy z Griffmem Powellem.

Co go czeka, jeżeli wejdzie z nią do budynku? Na pewno nic dobrego. To może spróbować ucieczki? Nie, ucieczka nie wchodzi w rachubę.

Ona wie, że coś nie gra. Kiedy zmienił plany, zrobiła się podejrliwa. Razej nie uda mu się zwabić jej do samochodu pod pretekstem kolacji.

Myśl, cholera jasna, myśl! Musisz znaleźć sposób, żeby się z tego wyplątać.

Czyżby naprawdę znalazł się w sytuacji bez wyjścia?

Musi być jakieś wyjście.

A jeśli nie?

Nie zamierzał poddać się bez walki. Może zdoła przechrzyć przeciwników. A jeżeli nie, to przynajmniej odejdzie w chwale. I nie sam.

- Mój samochód czeka - powiedział. - Pozwoli pani?

- Przykro mi - odparła - ale wołałabym najpierw oprowadzić pana po budynku, a na kolację pojechać później, tak jak uzgodniliśmy.

Nie nabrała się. Więc wie, że nie jest prawdziwym Allenem Poseyem. Wsunął rękę do kieszeni płaszcza, chwycił pistolet i wbił jej w żebra.

- Obawiam się, że nastąpiła diametralna zmiana planów, pani McAllister.

Rozdział 34

Pani McAllister. Pani McAllister. W umyśle Lindsay pobrzmiewało jej własne nazwisko. Ten mężczyzna ją zna, kimkolwiek jest.

Odwrociła głowę i spojrzała mu w twarz.

Jego szyderczy uśmiech wydał jej się znajomy.

- Obawiam się, że nie mogę zrobić pani tej przyjemności i dać się złapać w pułapkę Griffina - powiedział.

Nie panikuj, Lindsay. Zachowaj spokój i staraj się panować nad sobą. Tutaj cię nie zastrzeli. Wie, co go czeka, jeżeli wejdzie do budynku, i musi zdawać sobie sprawę, że nie ma szans ucieczki. Jesteś jego zakładniczką, jedyną kartą przetargową. Musi mieć cię żywą.

Przynajmniej na razie.

Griff wie, co się dzieje. Po to założył ci podsłuch.

I co teraz? Udawać głupią? Udawać, że nie wie, o co mu chodzi? Grać na zwłokę, żeby Griff miał czas zdecydować, co robić?

Lindsay ledwie panowała nad ogarniającą ją paniką.

- O co panu chodzi, panie Posey? Jestem Paige Allgood, nie żadna McAllister.

- Nie jest pani Paige Allgood. Prawdziwy Allen Posey nie miał okazji poznać Paige, ale ja owszem.

Lindsay zamarła.

- Naprawdę nie rozumiem, co panu przyszło do głowy - powiedziała, siląc się na spokój. - Oczywiście, że jestem Paige Allgood. - Chciała uwolnić rękę, ale trzymał ją mocno. - Jeżeli mnie pan puści, pokażę panu moje prawo jazdy, karty kredytowe i...

Roześmiał się tak złowieszczo, że Lindsay przesyłał dreszcz.

- Muszę przyznać, że istnieje pewne podobieństwo. Gdybyśmy się nie znali, prawdopodobnie nie zorientowałbym się, że nie jest pani Paige, i plan Griffina mógłby się powieść.

Lindsay z trudem przełknęła ślinę.

- Myśmy się poznali? Kiedy? Gdzie?

- Masz podstęp, moja droga? - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Oczywiście, że tak. Więc mnie słyszysz, prawda, Griff? - Zachichotał.

Lindsay dostała gęziej skórki. Więc facet już wie, że nie ma nic do stracenia.

- Niezależnie od tego, co zrobi pan ze mną, nie uda się panu uciec - powiedziała.

Nachylił się do jej ucha.

- Zdażymy się ukryć, zanim Griffin skieruje na mnie swoich snajperów - wyszeptał. - Jeżeli będziesz się opierać, zastrzelę cię. Rozumiesz? Kiwnij tylko głową. Nic nie mów.

Skinęła.

Pociągnął ją za róg budynku, w boczną uliczkę.

- Na dół! - rozkazał, kiedy znaleźli się przy schodach prowadzących do wejścia do piwnicy.

Wybrał miejsce, gdzie będzie bezpieczny, poza zasięgiem snajperów. I gdzie można się dostać tylko z wnętrza budynku albo schodami od ulicy. W obu przypadkach oprawca zdaży ją zabić, zanim ktoś zdoła mu przeszkodzić.

Griffin postanowił za wszelką cenę ratować Lindsay. To, czy zabójca królowych piękności wymknie się z pułapki, nie miało dla niego znaczenia. Natychmiast wydał stosownie rozkazy.

W budynku na antresoli zostawił dwóch agentów, żeby widzieli, gdyby ktoś wchodził czy wychodził. Jednego wysłał do piwnicy, żeby zabezpieczał teren, a pozostałych na zewnątrz. Holtowi Keinanowi polecił zorientować się, gdzie znajdują się Lindsay i jej oprawca.

- Jeżeli się da, wyprowadź go na zewnątrz - nakazał. - Ale Lindsay ma wyjść cała. Jasne?

Nie mógł dopuścić, żeby strach o Lindsay zaćmił mu umysł, ale jej bezpieczeństwo było dla niego najważniejsze. Mógłby wezwać miejscowych policjantów, lecz sama ich obecność prawdopodobnie wyprowadziłaby zabójcę z równowagi. Poza tym to on zgodził się na tę operację i to on musi doprowadzić ją do końca. I uratować Lindsay.

Cholera, czemu dałem ci się na to namówić? Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, jeżeli Judd straci cię przez tego samego szaleńca, przez którego stracił Jennifer.

Judd!

Yvette dzwoniła dziesięć minut temu, żeby go uprzedzić, że jedzie z Juddem do Woodruff. Gdy wściekły spytał: „Po co mu powiedziałaś, do cholery?“, odparła ze stoickim spokojem: „Zawsze ufałaś mojej intuicji. Zaufaj i tym razem. Myślę, że Judd musi tam być“.

Griff sięgnął po komórkę i wybrał numer Yvette.

- Trzymaj Judda z daleka - powiedział. - Mamy problem. Zabójca zorientował się, że to pułapka. Wziął Lindsay jako zakładniczkę.

Yvette wyłączyła telefon i spojrzała na Judda. Od razu się domyśliła, że nie ma dobrych wieści.

- Co się dzieje? - spytał.

- Zatrzymaj się - powiedziała. - Zjedź na pobocze, jak tylko będziesz mógł. Musimy porozmawiać.

Judd ogarnęły złe przeczucia. Po kilku minutach zjechał na parking należący do miejscowego banku. Nie wyłączył silnika.

- Ufasz mi? - spytała Yvette, patrząc mu w oczy.

- Jasne. - A co to ma do rzeczy, czy jej ufa?

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Pułapka zastawiona na zabójcę...

Judd zamknął oczy, bo ogarnął go przeraźliwy ból.

- Co się stało? Lindsay... ?

Ścisnęła mocniej jego ramię.

- On nie zabierze ci kolejnej kobiety, którą kochasz.

Judd otworzył oczy i spojrzął na Yvette.

- Ty naprawdę umiesz czytać w myślach, prawda? - Wyrwał się z jej uścisku. - Mów. Natychmiast!

- Zabójca jakimś cudem zorientował się, że to pułapka. Wziął Lindsay jako zakładniczkę.

Judd zdrewniał. Ogarnął go ból tak potworny, że myślał, że umiera.

- Cholerny Griff! Niech go diabli! Dlaczego pozwolił jej ryzykować życie?!

- Griffin prosi, żebyśmy poczekali.

- Mowy nie ma. Nie będę czekał z założonymi rękami.

Yvette skinęła głową.

- On też kocha Lindsay i zrobi wszystko, żeby ją uratować.

- Może i ją kocha, ale Lindsay nie jest dla niego całym życiem.

- A dla ciebie jest. Rozumiem.

- Nie uciekniesz - odezwała się Lindsay. - Nie masz dokąd.

Uśmiechnął się ponuro.

- Może masz rację, ale zanim mnie złapią albo zabiją, ja zabiję ciebie.

- Nic ci to nie da. Potrzebujesz mnie. Tylko ja dzielę cię od brygady snajperów. Jeśli uważasz, że Griffin Powell pozwoli ci żyć, jeżeli mnie zabijesz, to...

Jego szaleńczy śmiech poniosł się echem po piwnicy. Słyszała bicie śmiertelnych dzwonów zwiastujących nieszczęście.

- Wiesz, ile kobiet zabiłem?

Zrozumiała, że to pytanie retoryczne.

- Wprawdzie zwykły strzał nie sprawi mi przyjemności, ale - spojrzął na drzwi za nimi i zniżył głos do szeptu - jeżeli uda mi się otworzyć te drzwi i znajdziemy jakieś ustronne miejsce, pokażę ci, z kim masz do czynienia i kogo zamierzałaś złapać w pułapkę.

- Drzwi są zamknięte - powiedziała Lindsay głośno i wyraźnie. Nie miała pojęcia, czy rzeczywiście są zamknięte, ale chciała dać jakąś wskazówkę Griffowi, bo nie była pewna, czy wie, gdzie dokładnie się znajduje. - A jeśli zaryzykujesz i podejdziesz bliżej...

Wymierzył jej policzek. Uderzenie było tak silne, że zatoczyła się i poleciała do tyłu. Upadłaby na betonową posadzkę, gdyby jej nie złapał. Ledwo zdążyła oblizać zakrwawione usta, znów wcisnął jej pistolet między żebra. Wolną rękę zanurzył pod kaszmirowy sweter, chwycił przyczepiony do piersi kabel i oderwał.

Jęknęła i spojrzała na niego. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Nie może liczyć na to, że z odsieczą przyjdą jej Griff i jego agenci. Musi działać, zanim będzie za późno.

Chciała się ruszyć, ale oprawca zarzucił jej rękę na szyję i przycisnął do nosa cuchnącą szmatę.

Nie, cholera, nie!

Ze swojej kryjówki Pudge słyszał odgłosy szybkich kroków i fragmenty wydawanych rozkazów. Przyjechał do Woodruff zabić kuzyna. Nie mógł dopuścić, żeby Pinkie zamordował swoją ostatnią ofiarę i wygrał pięcioletnią śmiertelną grę. Ku swemu zaskoczeniu znalazł się w potrzasku, bo do budynku weszła grupa uzbrojonych mężczyzn. Wkrótce zorientował się, że Griffin Powell zastawił na Pinkiego pułapkę, wykorzystując jako przynętę jedną ze swoich agentek. Gdyby sam nie był uwikłany w tę prowokację, uznałby ją za całkiem zabawną. Pozostawało mu jedynie czekać, patrzeć na to, co rozgrywa się na jego oczach, i wyglądać sposobności do ucieczki.

To niesprawiedliwe, że Pinkiego zabije ktoś inny. A stanie się to nieuchronnie. Jego kuzyn był z tych, którzy się nie poddają. Prędzej umrze, niż pozwoli się złapać.

Kobieta, którą wziął jako zakładniczkę, nie była dawną miss, więc niezależnie od tego, czy przeżyje czy zginie - Pinkie przegra. A dziś pierwszy kwietnia. Koniec gry. Pudge zwyciężył i tylko on ma prawo odebrać nagrodę.

Może istnieje jakiś sposób...

Lindsay powoli odzyskiwała przytomność. Co się stało? Gdzie jest? Na jak długo straciła świadomość? Ten bydlak ją czymś obezwładnił. Może eterem? Nie miała pojęcia. Zresztą co to ma za znaczenie?

Udało mu się otworzyć drzwi do piwnicy? Gdzie teraz są?

Kiedy w końcu zdołała unieść powieki, zorientowała się, że są w budynku, ale nie w piwnicy.

Spojrzała w górę i zobaczyła sierp księżycy, kilka migoczących gwiazd i bezkresne czarne niebo. Próbowwała usiąść, ale nie mogła, bo miała związane ręce i nogi. Kiedy zaczęła się szamotać, usiłując zerwać więzy, usłyszała pełen zadowolenia chichot, a potem słowa:

- Nie ruszaj się. Nie chcę, żebyś spadła z dachu, to całe sześć piętér.
- Z dachu? - wykrztusiła przerażona.

- Drzwi do piwnicy wcale nie były zamknięte. Wniosłem cię do środka, prosto do windy towarowej, zanim ktokolwiek się połapał, gdzie jestem i co robię. Teraz pewnie biegając oparzeni, żeby ustalić, co się z nami stało.

- Griffin mnie znajdzie. Dopadnie cię! - Wypróbowała więzy na rękach. Mocne. W dodatku im bardziej się szarpała, tym bardziej się zaciskały.

- Gdy Griffin cię znajdzie, mnie już tu nie będzie. A ty, droga Lindsay, będziesz martwa.

Zadrzała mimowolnie, starając się w ciemności dojrzeć jego twarz. Stał w odległości kilku kroków, w mroku. »

- Paige Allgood jest znana z talentu aktorskiego i wokalnego, więc zamierzałem rozciąć jej gardło i wyrwać struny głosowe.

Co on trzyma w ręce?

Och, Boże! To długi nóż z ząbkami. Nóż myśliwski.

- Ale z tobą mogę zrobić, co mi się żywnie podoba, więc ponacinam sobie tu i tam... - Wywijał nożem nad jej twarzą, rękami, brzuchem. - Będziesz wrzeszczeć jak opętana. A ja uwielbiam krzyk cierpiącej kobiety. Daje mi poczucie władzy.

Proszę, Griff, znajdź mnie. Znajdź mnie, zanim będzie za późno. A jeżeli nie zdążysz, to powiedz Juddowi... Powiedz mu, że go kocham.

Judd i Yvette weszli do budynku i, zgodnie z poleceniem Griffa, udali się od razu na obszerną galerię ogrodzoną balustradą. Wiodły do niej schody rozgałęziające się spiralnie na prawo i lewo.

Yvette, nie dotykając Judda, wyczuła narastające w nim napięcie, które sięgnęło zenitu, kiedy z poważną miną podszedł do nich Griffin.

- Co się dzieje? - spytał Judd, ledwie panując nad wściekłością.

Yvette wysyłała do jego podświadomości sygnały, ale tak, żeby nie zorientował się, co robi. Judd był na skraju wytrzymałości nerwowej. Jeden fałszywy ruch i wpadnie w niekontrolowany szał. Jedną kobietę już stracił przez tego sadybę i był gotowy na wszystko, byle nie dopuścić, żeby historia się powtórzyła.

- Namierzylimy go - oznajmił Griff. - Gdybym mógł cofnąć czas... - Wziął głęboki oddech. - Zabrał ją na dach. - Spojrzał w górę. - Winda dojeżdża na szóste piętro, a stamtąd do drzwi na dach prowadzą krótkie schody. Zamknął drzwi od środka. Jeżeli je staranujemy, zabije ją na pewno. Helikopter też nie wchodzi w rachubę.

- Powiedz mi, że masz jakiś plan - warknął Judd. - Bo jeżeli nie...

- Mam. - Griff zerknął na Yvette. Zapewniła go telepatycznie, że Judd przynajmniej chwilowo jest pod kontrolą. - Wjadę na górę i porozmawiam z nim przez drzwi. Spróbuję odwrócić jego uwagę do czasu, aż Holt dostanie się na dach jednego z budynków po drugiej stronie ulicy. Nasz jest narożny, a sąsiedni ma tylko cztery piętra. Holt może wycelować w zabójcę i zastrzelić go tylko z któregoś z domów naprzeciwko. Ale najpierw musi się tam dostać, a jeśli zabójca będzie patrzył w tamtą stronę, może go zauważyć.

- Czyli trzeba odwrócić uwagę zabójcy i podprowadzić go na linię ognia. Tak?

- Tak.

- Ja pójdę - oznajmił Judd.

- Nie. Ty nie. Jeżeli schrzaniisz sprawę... Chodzi o życie Lindsay.

- Myślisz, że o tym nie wiem?

Griffin znów zerknął na Yvette. Musisz mu na to pozwolić, wyczytał z jej oczu.

- Dobra - powiedział.

Judd westchnął ciężko.

- No to idę.

Lindsay nie chciała umierać.

Boże, nie dopuść do tego. Nie teraz. Nie w ten sposób. Jeżeli ten potwór mnie zabije, okaleczy moje ciało, Judd nigdy się nie pozbiera...

Leżała na dachu zwinięta w kłębek. Ręce i nogi miała wprawdzie związane, ale nie zamierzała bezwolnie dać się poćwiartować szaleńcowi na drobne kawałki.

- Dam ci jeszcze kilka minut, żebyś się pożegnała z życiem - powiedział, pochylając się nad nią. - Możesz błagać mnie o litość. Rajcuje mnie błaganie moich ofiar. Wszystkie to robia, wiesz?

- Ja nie będę.

- Oj, będziesz. Kiedy zrobię kilka pierwszych cięć i ból stanie się nie do zniesienia, będziesz błagać, płakać i krzyczeć jak wszystkie.

- Jesteś szalony.

- A ty przerażona.

- Jak można stać się takim potworem? - Griffin, gdzie jesteś? Mój czas się kończy.

Dach omiół chłodny powiew wiosennego wiatru. Lindsay *zadrżała* z zimna. A może ze strachu?

Czy będzie bardzo bolało? Rozcinanie, ćwiartowanie, tortury, wykrwawianie się na śmierć...

- Trzęsiesz się z zimna? - spytał, jakby potrafił czytać w myślach. - Czy może wreszcie do ciebie dotarło, że nikt cię nie uratuje?

- Jeżeli mnie uwolnisz...

Roześmiał się.

- Uwolniłbym, gdybym wierzył, że Griffin się ze mną dogada i dotrzyma słowa. Ale oboje wiemy, że poświęci twoje życie, byle tylko mnie dorwać.

Zanim Lindsay zdążyła zastanowić się nad odpowiedzią, zza zamkniętych drzwi, prowadzących na dach, dobiegł znajomy głos:

- Może Griffin byłby skłonny ją poświęcić, ale nie ja. Jestem Judd Walker. Będę z tobą negocjował. Podaj warunki.

Rozdział 35

Judd tu jest? Jak to możliwe? Przecież powinien być w Atlancie, w klinice odwykowej?

Zabójca, zaskoczony nie mniej niż Lindsay, obrócił się na pięcie i spojrzał na drzwi dzielące go od człowieka, który oferował mu drogę ucieczki przed pewną śmiercią.

- Jesteś mężem Jennifer Walker - powiedział. - To ty cztery lata temu wynająłeś Griffina Powella.

- Porozmawiajmy - odparł Judd. - Dogadamy się.

- Dlaczego mam ci wierzyć?

- A co masz do stracenia?

Zabójca tylko się roześmiał.

- Rozmowa ze mną - ciągnął Judd - to twoja jedyna szansa, żeby wyjść z tego cało. Przecież wiesz, że jeżeli cokolwiek stanie się Lindsay, jesteś martwy.

- I tak jestem martwy.

- Niekoniecznie.

- Nie możesz mi niczego zaoferować.

- Nieprawda. Zrób tylko pierwszy krok: zamień zakładników. Moje życie za życie Lindsay, w razie gdyby coś miało pójść nie tak. Porozmawiajmy twarzą w twarz. Otworzę drzwi...

- Nie ma mowy!

- Wejść bardzo powoli, z rękami nad głową. Jeżeli zrobię fałszywy ruch, możesz mnie zastrzelić, o ile masz broń.

- Mam cwaniaczku. I umiem się nią posługiwać. Ale mam też nóż, który już wypróbowałem na Lindsay.

Nie, nie! On kłamie. Nie słuchaj go, łąkało serce Lindsay. Niech cię piekło pochłonie, sukinsynu. Nie rób tego Juddowi. Nie przypominaj mu, co zrobiłeś z Jennifer.

- Judd, o nie... - Jej głos był tak słaby, że nie sądziła, by Judd ją usłyszał.

Zabójca bez ostrzeżenia wycelował w nią i strzelił. Kula przeszła ramię. Lindsay jęknęła z bólu.

- Strzeliłem do niej. Słyszysz? Jeżeli będziesz kombinował, zastrzelę ją. Przysięgam, że to zrobię.

- Lindsay! - krzyknął Judd.

- Chyba cię kocha, skoro chce zamienić się z tobą miejscami - powiedział zabójca. Podszedł do niej i kopnął ją w zębra. - Z tym większą rozkoszą cię zabiję.

Skupiony na Lindsay leżącej u jego stóp zareagował z opóźnieniem, gdy drzwi otworzyły się z impetem i na dach wpadł rozwścieczony Judd. Wahał się tylko ułamek sekundy, ale to wystarczyło, by stracił kontrolę nad strategią. Wszystko działo się bardzo szybko - niemal jednocześnie. Judd staranował zabójcę, któremu wypalił pistolet. Niemał w tej chwili rozległy się dwa strzały z karabinu. Lindsay poczuła potworny ból w dole brzucha, jakby zanurzyło się w nim ostrze noża. Wiedziała, że trafiła ją kula. Leżała, wpatrując się w oprawcę, stojącego zaledwie kilka kroków od niej. Dostrzegła krew tryskającą z dziury w jego głowie, i z drugiej w szyi. Osunął się na kolana, a później zwałił twarzą na ziemię.

Lindsay z trudem uniosła powieki. Bolała ją głowa i czuła suchość w ustach. Zastanawiając się, gdzie jest, powiodła wzrokiem dookoła. Okna zasłaniały białe rolety. Przez szpary sączyło się słoneczne światło. Ściany były w kolorze bladej zieleni, a sufit biały. Łóżko było wąskie, a pościel miękka. Przy łóżku stał stojak z kropłówką, połączoną z jej ręką za pomocą długiej rurki.

Popatrzyła na wierzch posiniaczonej dłoni. Do żyły miała wprowadzony wenflon, zaklejony na krzyż plastrem, który go przytrzymał.

Jestem w szpitalu.

Żyję.

Co się stało? Nie pamiętasz? - odezwał się jej wewnętrzny głos. Postrzelił cię zabójca królowych piękności. A potem ktoś zastrzelił jego.

Judd! Och, Boże! Gdyby nie odwrócił uwagi oprawcy...

Uniosła się, szukając Judda. Potrzebowała go.

Delikatne dłonie spoczęły na jej ramionach.

- Nie ruszaj się, kochanie. Wszystko w porządku. Wyzdrowiejesz.

Spojrzała w złote oczy Judda.

- Witaj, piękna.

- Gdzie... Co... Jak długo...

- Jesteś w szpitalu i dochodzisz do siebie. Miałaś paskudną ranę. Postrzelił cię Cary Maygarden.

- Cary Maygarden? Zabójcą królowych piękności był ekscentryczny milioner z Nashville?

Lindsay zakręciło się w głowie, kiedy dotarło do niej, że całkiem niedawno ona, Judd i Griffin spotkali się z zabójcą na gruncie towarzyskim. Nic dziwnego, że wydał jej się znajomy.

- Jedna kula przeszła ramię, a druga trafiła w brzuch. Ale lekarze cię pozszywali i niedługo będziesz zdrowa jak ryba.

- Cary Maygarden - powtórzyła Lindsay, ciągle nie mogąc w to uwierzyć.

- Miał szybką śmierć. Dwa strzały: jeden w głowę, drugi w szyję. A powinien był umierać w długich męczarniach. Żałuję, że nie mogłem rozedrzeć go na strzępy, kawałek po kawałku, za to, co ci zrobił... za to, co zrobił Jennifer.

Lindsay uniosła wolną od kroplówki rękę. Judd chwycił jej dłoń i przytulił do policzka. Poczwała kłujący zarost.

- Musisz się ogolić - powiedziała. - Jak długo...?

- Cztery dni. Najdłuższe cztery dni w moim życiu.

- Chce mi się pić.

Nalał wody do szklanki i przysunął do jej ust, żeby przez słomkę wypić kilka łyków.

Odstawił szklankę na stolik i usiadł na brzegu łóżka.

- Zrobiłaś straszną głupotę, wystawiając się jako przynęta dla zabójcy. Gdyby coś ci się stało... Boże, Lindsay, kiedy pomyślę, że ciebie też mogłem stracić...

Uniosła rękę i położyła mu na ramieniu.

- Dopadliśmy go, prawda? Warto było ryzykować.

- Ale gdybym cię stracił... - Ścisnął jej dłoń z największą czułością. - Lindsay...

- Skąd wiedziałeś, gdzie jestem i co się dzieje? Na pewno nie od Sandersa.

- Właśnie od niego. Ale tylko dlatego, że Yvette mu kazała. Zanim wyjechaliśmy z Przystani, zadzwoniła do Griffa. Uprzedziła go, że jedziemy do Knoxville, i obiecała, że dopilnuje, żebym nie zrobił nic głupiego.

- Najwyraźniej jej się nie udało.

Judd zmarszczył brwi.

- Kiedy usłyszałem pierwszy strzał, myślałem, że cię zabił. Wtedy już mnie nie obchodziło, co się ze mną stanie. - Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. - Kocham cię.

- Powtórz.

- Kocham cię, Lindsay McAllister.

Łzy napłynęły jej do oczu. Zamrugnęła, żeby je powstrzymać, ale kilka i tak spłynęło po policzkach.

- Ja też cię kocham, ale ty wiesz o tym od dawna. I chcę ci powiedzieć, że zrozumieć, jeżeli nigdy nie będziesz w stanie pokochać mnie tak jak Jennifer. Nie przejmuję się tym, że ciągle ją kochasz i że zawsze będziesz kochał.

Ujął jej dłoń i przycisnąwszy sobie do piersi, powiedział:

- Yvette uświadomiła mi, że nigdy nie przestanę kochać Jennifer, ale mogę też kochać ciebie. Jenny na zawsze pozostanie moją pierwszą prawdziwą miłością. Ale ty, Lindsay, jesteś kobietą, z którą chcę spędzić resztę życia. Kobieta, która była mi pisana. Moją ostatnią miłością i bratnią duszą.

Griff był zaskoczony, kiedy zadzwonił do niego były agent FBI Curtis Jackson i zaprosił na oględziny rodzinnej posiadłości Cary'ego Maygardena pod Nashville.

- Sprawę zabójcy królowych piękności przejęła Nic, ale że do niedawna zespołem kierowałem ja, pozwolono mi uczestniczyć w końcowej fazie śledztwa - powiedział. - Nasi ludzie przez kilka dni badali dom w poszukiwaniu śladów zabójstw.

- I?
- Odkryli sekretne pomieszczenie w piwnicy.
- A w nim?
- Zupełnie nic. Już właściwie odpuścili i wtedy coś znaleźli.

Zgadnij co.

- Następny sekretny pokój.
Jackson zachichotał.
- Bingo. Pomyślałem, że skoro to ty zdemaskowałeś Maygardena, powinieneś obejrzeć jego pamiątkowy pokój.
- Co na to Nic?
- Nie szalała ze szczęścia, ale zgodziła się wyświadczyć mi przysługę jako starszemu koledze.

I tak Griff, wraz z Nic Baxter, Joshem Friedmanem i Curtisem Jacksonem, znalazł się w sekretnym pokoju Cary'ego Maygardena, którego ściany obwieszane były fotografiami królowych piękności - zdjęciami z konkursów, w koronach, z kwiatami, a obok mnóstwem ujęć tych samych kobiet tuż po zamordowaniu: okaleczonych, poćwiartowanych, zaszlachtowanych żon, matek, córek, siostr. Każdą ktoś kochał, każdą ktoś opłakiwał.

Griff przystanął przed fotografią Jennifer Mobley Walker zrobioną tego wieczoru, kiedy zdobyła koronę Miss Tennessee. Taka młoda. Taka piękna. Tak pełna życia.

Wpatrując się w zdjęcie Jenny na kuchennej podłodze, z odrąbanymi dłońmi leżącymi po obu stronach ciała, wyszeptał jej imię.

- To żona Judda, prawda? - spytała Nic, stając obok niego. - Była piękna.

Griff skinął głową.

- Zastanawiam się, czemu powiesił zdjęcia akurat tych kobiet - powiedziała Nic.

- Co? - Griff nadal myślni był przy Jennifer.
- Spójrz na te zdjęcia. Nie licz fotografii, ale kobiety na nich.
- Czy istnieje jakiś powód, dla którego każesz mi bawić się w wyliczniki? Wiemy, ile kobiet zabił, więc powinno być... - przerwał i zmierzwił wzrokiem obwieszone fotkami ściany.

Wrócił do pierwszego zdjęcia i zaczął liczyć - kobiety, nie fotografie.

- Niech mnie. Powiesił zdjęcia tylko połowy kobiet, które zabił - zauważył.

- Dziwne, nie sądzisz?

Przytaknął.

- Ale pewnie da się to wyjaśnić w prosty sposób. Może z jakiegoś powodu wymieniał zdjęcia? Skoro był zdolny do tego, żeby za każde morderstwo przyznawać sobie punkty, nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że zmieniał zdjęcia ofiar na ścianach w zależności od miesiąca, pory roku czy czegokolwiek innego.

- Pewnie masz rację.

Griff przyjrzał się Nic i zauważył, że wykrzywia usta. Nie był to uśmiezek. A już z pewnością nie był to uśmiech.

- Czegoś mi nie mówisz - stwierdził.

Wzruszyła ramionami.

- Na jakiej podstawie sądzisz... No dobra. Dowiesz się i tak, kiedy twój snajper... jak się nazywa?

- Holt Keinan.

- Kiedy pan Keinan zostanie powiadomiony, że Maygarden niekoniecznie zginął od jego kuli.

- Co?

- Z sekcji zwłok wynika, że kula trafiła Maygardena w szyję, rozrywając aortę. Kula Keinana trafiła go w głowę, prawdopodobnie kilka sekund później lub wcześniej. Nie wiadomo, który strzał był śmiertelny.

- To znaczy, że Holt strzelał dwa razy.

- Z dwóch różnych strzelb?

- Dwoch różnych...?

- Kule wyjęte z ciała Maygardena pochodzą z dwóch różnych strzelb, a to oznacza...

- Że strzelało do niego dwóch różnych ludzi.

- Czy jeszcze któryś z twoich agentów strzelał do Maygardena? - spytała Nic.

Griff pokręcił głową.

- Jeżeli nie, to mamy do czynienia z tajemniczym strzelcem, któremu niepostrzeżenie udało się dostać na dach pobliskiego budynku. Musiał mieć powód, żeby zabić Cary'ego Maygardena.

- Czy FBI zacznie poszukiwania drugiego snajpera?

- Nie, na razie nie.

- Co przekażesz prasie?

- Tylko podstawowe informacje. Żadnych szczegółów. Ale mam zamiar zbadać każdy aspekt tej sprawy, od A do Z, żeby się dowiedzieć, kto poza twoim agentem mógł chcieć zabić Maygardena i dlaczego.

- I mówisz mi o tym, żebym ci pomógł rozwiązać zagadkę - rzucił z przekąsem, wiedząc doskonale, że jest ostatnią osobą na ziemi, którą Nic poprosiłaby o pomoc.

- Nie, powiedziałam ci o tym, bo chcę, żebyś zachodził w głowę, rozgryzał każdy szczegół, odchodził od zmysłów i wychodził ze skóry, żeby poskładać to w sensowną całość. Ale nie wiesz wszystkiego, więc na pewno nie ty rozwiążesz tę zagadkę.

Pudge jechał całą noc, w ogóle nie czując senności. Zabijanie dostarczało mu potężnej dawki adrenaliny, od której serce zaczynało mu bić żywiej, a puls przyspieszał.

Wiedział, że ostatnią ofiarą będzie Pinkie i że w Prima Aprilis tak właśnie upamiętni ich pierwsze zabójstwo i zakończy grę. Gdyby jego kuzyn wygrał, on musiałby przegrać. A stawka była wysoka. Przegrany miał oddać zwycięzcy swoje życie.

Pudge był pewien, że wygra. Pinkie miał wprawdzie smykałkę do mordowania i okaleczania, ale on był bardziej inteligentny - IQ geniusza.

Kiedy więc gra dobiegała końca, wiedział, co musi zrobić. Musiał mieć kuzyna na oku i iść za nim na spotkanie z ostatnią ofiarą. Gdy zorientował się, że biedny Pinkie dał się złapać w pułapkę, dostał się na górę tylnymi schodami i wszedł na dach budynku naprzeciwko Woodruff. Gdyby Pinkiego aresztowano, wyśpiewałby wszystko i wydałby go.

Gdyby przewidział, że Griff na dach innego budynku wyśle swojego snajpera, oszczędziłby sobie zachodu. Być może to nie jego kula odebrała Pinkiemu życie, ale miał przynajmniej tę satysfakcję, że oglądał na żywo przednie widowisko.

Kiedy lekarz sądowy stwierdzi, że kule z ciała Pinkiego pochodzą z dwóch różnych karabinów, FBI na pewno rozpocznie śledztwo. Ale jemu nic nie grozi - żaden trop nie doprowadzi do jego strzelby, a poza tym nikt nie będzie go o nic podejrzewać.

Zabójca królowych piękności spocznie w pokoju i sprawa zostanie zamknięta, a on będzie mógł rozpocząć nową grę. Grę o śmierć.

Epilog

Wiosna rozgościła się na dobre, potem ustąpiła miejsca latu i wreszcie jesieni, wraz z którą nastały chłodne wieczory i pierwsze przymrozki. I dzień ślubu Lindsay z Juddem. W skromnej ceremonii uczestniczyli tylko najbliższa rodzina i przyjaciele. Druhną była kuzynka Callie, družbą Griff. Wśród gości znaleźli się Cam Hendrix, Sanders, Barbara Jean Hughes, Yvette Meng, Maleah Perdue, Rick Carson i Holt Keinan.

Judd powiedział Lindsay, że mogą spędzić miesiąc miodowy, gdzie tylko chce, bo wyszła za bardzo bogatego mężczyznę i może mieć wszystko, czego tylko jej dusza zapagnie.

- Moja dusza pragnie ciebie- odparła.- I miesiąca miodowego w leśniczówce.

Tak więc na podróż poślubną wyjechali do leśniczówki Walkerów pod Whitwell. Planowane dwa tygodnie przedłużyły się do blisko dwóch miesięcy, a niedawno postanowili, że skontaktują się z architektem, by sporządził plan renowacji domu, którą chcieli rozpocząć w następnym roku.

Judd jeszcze nie zdecydował, czy wznowi praktykę prawniczą, czy też zostanie rolnikiem o szlachetnym rodowodzie. Dla Lindsay nie miało to znaczenia. Zgadzała się na wszystko, co uszczęśliwiało męża. Wypełniły się przecież wszystkie jej marzenia. No, prawie wszystkie. Ale późnym latem przyszłego roku będzie miała już wszystko.

Lindsay i Judd ramię w ramię pracowali w dawnym ogrodzie Mimi, sadząc cebulki tulipanów i żonkili, które zakwitną w marcu i kwietniu. W tylnej alejce kwitły okazałe brązowe i żółte chryzantemy, które posadzili w październiku. Przymrozki pewnie im zaszkodzą, ale przyszłej jesieni zakwitną znowu.

Judd pomógł żonie wstać, objął ją w tali i spojrzął w górę na bezchmurne błękitne niebo.

- Piękny dzień.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Z tobą każdy dzień jest piękny.

- Co powiesz na to, żebyśmy zamieszkali tu na stałe? - spytał.

- Mówisz poważnie?

- Jeżeli nie miałabyś nic przeciwko temu. Jeżeli naprawdę tego chcesz.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się.

- Tego właśnie chcę. Wiesz, że kocham to miejsce. Uwielbiam łowić ryby w potoku i kapać się w stawie. Uwielbiam wspólne spacerować po lesie i pracę w ogrodzie, i... - Spojrzała mu w oczy. -I nie wyobrażam sobie lepszego miejsca dla naszej córeczki.

- Naszej córeczki?

- Hm, może się okazać, że to chłopiec, ale... - położyła dłoń na brzuchu - ..czuję, że nasze pierwsze dziecko to będzie dziewczynka.

- Jesteś w ciąży?

- Uhm. Wczoraj w aptece w Whitwell kupiłam test ciążowy i kiedy go rano zrobiłam...

Judd porwał ją w ramiona i obracał się z nią dookoła jak szalony. Wreszcie postawił ją z powrotem na ziemi i mocno przytulił.

- Chcę, żebyśmy dali jej imię po twojej babci. Ale nigdy mi nie powiedziałaś, jak miała na imię.

- Emily. Mimi miała na imię Emily.

- Ślicznie. - Uśmiechnęła się. - Czy zgadzasz się, żeby nasza córeczka nazywała się Emily Walker II?

Judd odważemnił uśmiech i pocałował Lindsay w nos.

- Czy już mówiłem dziś pani, pani Walker, jak bardzo panią kocham?

Wtuliła się w niego.

- Tak, ale to było przed śniadaniem, więc powiedz mi jeszcze raz.

- Kocham cię. - Położył dłoń na jej brzuchu. -I kocham naszą małą Emily II. Albo Juddsona VI.

Przytulili się do siebie, rozkoszując się chwilą, a ich śmiech niósł się daleko na listopadowym wietrze.

Nic Baxter rozpoznała numer dzwoniącego i wahała się, czy odebrać połączenie. Zmogła ją ciekawość.

- Witam, panie Powell, czym mogę służyć?

- Wesołych Świąt - powiedział Griff. - Planujesz piękny dzień z rodziną albo przyjaciółmi czy musisz pracować?

- Po co dzwonicz?

- Jadę do leśniczówki Walkerów, żeby spędzić święta z Lindsay i Juddem i pomyślałem o tobie. Nie jesteś przypadkiem sama?

- Albo mi powiesz, po co naprawdę dzwonicz, albo się rozłączę.

- Z tobą nie da się poartować.

Nic jęknęła.

- Było ich dwóch - oznajmił Griff.

- Słucham?

- Pewnie wpadłaś na to mniej więcej w tym samym czasie co ja. Cary Maygarden w swojej chorej śmiertelnej grze miał przeciwnika. Zatrzymałaś to dla siebie, bo inaczej FBI nie zamknęłoby sprawy zabójcy królowych piękności.

- To tylko spekulacje - odparła. - Nie mam dowodów.

- Ale dobrze wiesz, co to oznacza, prawda? Gdzieś na wolności jest seryjny zabójca.

- Od śmierci Cary'ego Maygardena nie zdarzyło się ani jedno zabójstwo dawnej miss.

- To dlatego, że wraz z jego śmiercią gra dobiegła końca. Jak sądzisz, kto strzelał do Maygardena w Woodruff?

- Jego przeciwnik.

- Bingo. A seryjny zabójca się nie zmienia: na zawsze pozostaje seryjnym zabójcą. Jestem pewien, że za jakiś czas zacnie zabijać znowu. O ile już nie zaczął...